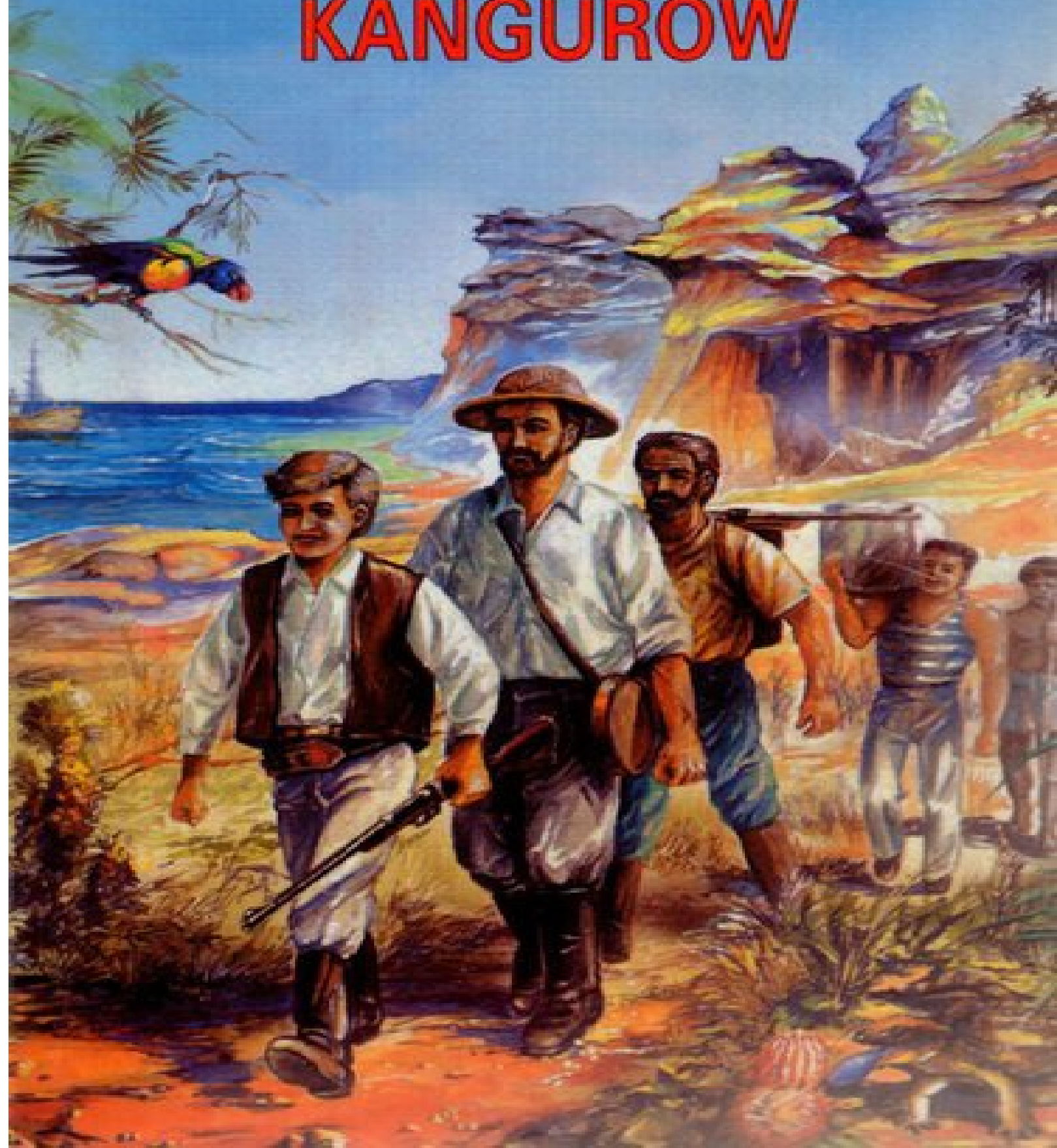


ALFRED SZKLARSKI
**TOMEK W KRAINIE
KANGURÓW**



ALFRED SZKLARSKI
TOMEK W KRAINIE
KANGURÓW



Alfred Szklarski

Tomek w krainie kangurów

Konwersja do formatu Epub:



ZEMSTA

Lada chwila miał rozbrzmieć dzwonek na koniec przerwy pomiędzy lekcjami. Korytarz z wolna pustoszał, uczniowie znikali w klasach, cisza ogarniała szkolne mury. Jeszcze tylko grupka czwartoklasistów kręciła się w pobliżu głównych, schodów i drzwi pokoju nauczycielskiego.

W miarę jak zbliżał się koniec pauzy, nieśmiała nadzieja zaczynała kiełkować w sercach myszkujących po korytarzu chłopców. Krasawcewa, nauczyciela geografii, nie było dotąd ani w kancelarii, ani w pokoju nauczycielskim. Może więc zachorował i nie przyjdzie w ogóle do szkoły? A może szczęśliwy los zdarzy, że przynajmniej się spóźni, jak mu się to często przytrafiało.

W grupce szeptem rozmawiającej na korytarzu rej wodził Tomek Wilmowski, dobrze zbudowany blondyn, który z ożywieniem pocieszał swych zdenerwowanych kolegów:

– Mówię wam, że „piły” nie ma w budzie. Stwierdziłem sam i ręczę za to. Może jego gospodyni, wychodząc na miasto po sprawunki, przez zapomnienie zamknęła drzwi na klucz? To byłaby heca! Czy wyobrażacie sobie „piłę” z notesem w ręku miotającego się bezsilnie po mieszkaniu? Och, gdybym to mógł zobaczyć!

Twarze chłopców rozjaśniły się na samą myśl o takiej wspaniałej możliwości. Trudno się nawet było dziwić, że snute przez Tomka domysły napawały jego kolegów nadzieją i radością. Zaledwie niecałe trzy tygodnie dzieliły ich do wakacji letnich, a tymczasem Krasawcew, czy też jak go uczniowie nazywali „piła”, zapowiedział, że przed swym przyspieszonym wyjazdem do Rosji pozostawi „polskim buntowszczykom” taką pamiątkę, iż popamiętają go przez cały następny rok „zimowania” w tej samej klasie. Mogło to tylko oznaczać zaostrenie kursu dyrekcji gimnazjum przeciw czwartoklasistom.

Domysły te nie były pozbawione podstaw. Mianowany przed kilkoma miesiącami dyrektor gimnazjum, Rosjanin Mielnikow, z niezwykłą surowością wymagał od swych wychowanków ślepego posłuszeństwa i przywiązania do carskiej Rosji. Niezwykła ta opowieść rozpoczyna się bowiem w 1902 roku gdy znaczna część Polski znajdowała się pod okupacją rosyjską. Znienawidzony przez uczniów nowy dyrektor wykazywał szczególną gorliwość w dziele rusyfikowania[1] polskiej młodzieży. Mało mu było tego, że wszystkie lekcje prowadzono wówczas w języku rosyjskim. Mielnikow, a pod jego wpływem i niektórzy nauczyciele pilnie przestrzegali, aby uczniowie w szkole w ogóle nie rozmawiali po polsku. Dyrektor wiele czasu poświęcał również badaniu stosunków panujących w rodzinach swych wychowanków. Na każdym kroku węszył nieprzychylność do carskiej Rosji, co w zasadzie znajdowało w szkole odbicie w ujemnej ocenie postępów w nauce.

Wkrótce po objęciu stanowiska Mielnikow zwrócił uwagę na czwartą klasę. Według jego zdania, brak było w niej „rosyjskiego ducha”. Czwartoklasiści nie wykazywali należytej gorliwości w nauce historii Rosji, większość z nich miała złą wymowę rosyjską i, jak twierdzili podstawieni donosiciele, między sobą rozmawiała po polsku. Dyrektor mocno zaniepokojony tymi faktami zasięgnął informacji w policji, gdzie stwierdził, iż

niektórzy rodzice tych uczniów notowani byli w kartotekach jako politycznie podejrzani. Wtedy to nie namyślając się wiele postanowił rozbić „gniazdo małych os” i wydał odpowiednią instrukcję swemu zaufanemu podwładnemu, nauczycielowi geografii, sześćdziesięcioletniemu Krasawcewowi.

Mielnikow sprowadził go do Warszawy na miejsce poprzedniego nauczyciela, który uległ poważnemu wypadkowi i ustąpił ze stanowiska.

Krasawcew był zgorzkniałym człowiekiem, często szukającym zapomnienia w alkoholu. Stąd też w szkole bywał niezwykle roztargniony, a całą swoją uwagę skupiał przeważnie na wypełnianiu specjalnych zarządzeń Mielnikowa. Aby móc je dokładnie wykonać, ważniejsze uwagi przełożonego zapisywał w notesie, do którego stale zaglądał podczas lekcji.

Uczniowie doskonale wyczuwali nastawienie dyrektora oraz jego poplecznika, toteż niedwuznaczna, pełna groźby zapowiedź Krasawcewa napełniała ich obawą przed tą ostatnią w roku szkolnym lekcją geografii.

Terkot dzwonka rozbrzmiał na korytarzach. Czwartoklasiści odetchnęli z ulgą. Teraz weszli do klasy, skąd przez uchylone drzwi obserwowali nauczycieli podążających na lekcje. Krasawcew nie nadchodził. W tej jednak chwili Jurek Tymowski, ukryty za filarem na korytarzu przy schodach, zaczął dawać ręką niepokojące znaki. Wykonywał ruch, jakby trzymał rączkę piły tnącej drzewo. Tomek Wilmowski natychmiast zrozumiał umówione hasło.

– A niech to lichy porwie! Jednak „piła” przyszedł do budy – zawołał do przyczajonych za nim kolegów.

Jurek Tymowski wsunął się do klasy. Zrezygnowany machnął ręką mówiąc:

– Piła jest już na schodach. Po drodze rozpina płaszcz i sapie niemiłosiernie... Ha, że też w taki piękny, słoneczny dzień czyha na człowieka sromotna klęska...

– Może tak źle nie będzie. Najważniejsze nie trać ducha – szepnął Tomek, ściskając łokieć przyjaciela.

Podnieceni chłopcy zajmowali miejsca w ławkach. Wyjątek wśród nich stanowił prymus klasy Pawluk, podchlebiający się na każdym kroku nauczycielom, a nawet często szpiegujący swych towarzyszy. Nie okazywał on jakiegokolwiek obawy. Siedząc wyprostowany, spoglądał ze złośliwym zadowoleniem na mocno zaniepokojonych kolegów.

Tomek Wilmowski zdenerwowany zajął miejsce obok Jurka Tymowskiego. Właściwie nie miał powodów do obaw o siebie. Uczył się doskonale, a geografia była jego ulubionym przedmiotem. Gdyby wśród większości nauczycieli nie miał opinii „polskiego buntowszczyka”, na pewno byłby prymusem. Dzisiaj lękał się jedynie o swego przyjaciela, któremu z całą pewnością zagrażało niebezpieczeństwo. W szkole wszyscy wiedzieli, że ojciec Jurka miał niedawno kłopoty z żandarmami. Pan Tymowski był instruktorem konnej jazdy w ujeżdżalni przy ulicy Litewskiej, gdzie, jak podejrzewała policja, odbywały

się tajne schadzki Polaków spiskujących przeciwko carskiej Rosji. Z tego powodu Mielnikow niejednokrotnie już szkodził Jurkowi, nie ulegało wątpliwości, że polecił go „opiece” Krasawcewa. Tymczasem Tomek przyjaźnił się z Jurkiem i bardzo lubił pana Tymowskiego. Dzięki jego życzliwości korzystał w ujeżdżalni z pewnych przywilejów. W wolnych chwilach Tymowski ćwiczył obydwóch chłopców w konnej jeździe. Według zapewnień instruktora, Tomek trzymał się już na wierzchowcu bardzo dobrze. Chłopiec był z tego nadzwyczaj dumny. Skromne warunki materialne jego opiekunów nie pozwalały mu na zbyt wiele rozrywek. Bezpłatna nauka konnej jazdy stanowiła dla niego z wielu względów dużą przyjemność. Tomek z niepokojem rozmyślał teraz, ile kłopotu oraz zmartwienia sprawi Jurek ojcu, jeżeli nie otrzyma promocji.

Krasawcew z dziennikiem szkolnym pod pachą wkroczył do klasy. Zaraz też można było poznać, że tego dnia jest w nie najlepszym humorze. Szurając nogami usiadł przy biurku, rozłożył dziennik i mamrocząc coś do siebie, nerwowymi ruchami zaczął przeszukiwać swoje kieszenie. Nie znajdował w nich tego, czego szukał, marszczył więc coraz gniewniej czoło.

Jurek Tymowski widząc to pochylił się w stronę Tomka.

– A to ci dopiero będzie sądny dzień! Piła pewno znów zapomniał zabrać z domu swoje okulary... – szepnął.

– Dobrze mu tak! – również szeptem odparł Tomek. – A może i notesu nie przyniósł dzisiaj...

Nadzieje chłopców spełniły się jednak tylko połowicznie; w tej właśnie chwili nauczyciel wydobyl z kieszeni notes, położył go przed sobą i rozgniewany wzruszył ramionami – okularów nie znalazł. Przez jakiś czas szperał w notatniku, po czym zakrzywionym palcem zaczął wodzić po otwartym dzienniku, leżącym przed nim na stole.

Lekcja rozpoczęła się; Krasawcew co chwila wywoływał któregoś z uczniów na środek klasy. Zadawał jedno lub dwa podchwytliwe pytania, a następnie wpisywał stopień do dziennika. Oceny odpowiedzi były bardzo surowe.

Tomek i Jurek w lot zorientowali się, że nauczyciel wywołuje specjalnie tych chłopców, których rodziców podejrzewano o nieprzychylność dla Rosji. Jurek siedział posępny z opuszczoną na piersi głową. Tomek z niepokojem spoglądał na drzwi wiodące na korytarz.

„Może już niedługo do dzwonka na koniec lekcji? – rozmyślał. – Co się stanie, jeśli Jurek teraz oberwie dwóję z geografii?!”

Sytuacja Jurka Tymowskiego naprawdę nie była godna pozazdroszczenia. Przecież i tak z e wszystkich przedmiotów otrzymywał zazwyczaj gorsze stopnie nie mogąc opanować należycie akcentu w języku rosyjskim.

Krasawcew głęboko pochylony nad dziennikiem wciąż wodził po nim palcem; obecnie zatrzymywał go niemal wyłącznie przy nazwiskach rozpoczynających się od końcowych liter alfabetu. Przed chwilą wywołał do odpowiedzi Tatarkiewicza.

– Taka wyspa i to akurat przy końcu roku – szepnął Jurek. – Czuję, że pójde następny...

– Zaraz powinien być dzwonek, może nie zdąży... – pocieszył go Tomek, chociaż sam nie wierzył już w szczęśliwe zakończenie lekcji.

Mimo woli spojrzął na nauczyciela. Właśnie stawiał w tej chwili stopień Tatarkiewiczowi niemal dotykając nosem dziennika. To ostatnie nasunęło Tomkowi szaleńczy pomysł. Nauczyciel chorował na oczy, z tego też powodu niedowidział, a dzisiaj szczęśliwym zdarzeniem losu, nie miał okularów i całą jego uwagę pochłaniał dziennik, w którym z takim zapałem stawiał złe noty.

„Trzeba ratować Jurka za wszelką cenę, choćby przez wzgląd na jego ojca – z determinacją pomyślał Tomek. – Niech się dzieje co chce! Raz kozie śmierć!”

Krasawcew w dalszym ciągu nie podnosząc głowy znad dziennika zawołał:

– Tymowski!

– Siadaj! – syknął Tomek i zdobywając się na jak największy spokój wyszedł zamiast Jurka na środek klasy.

Uczniowie zaciekawieni poruszyli się w ławkach, a potem zamarli w bezruchu. Zaległa grobowa cisza.

Widać było, że Krasawcew szykuje się do zadania śmiertelnego ciosu. Ze złośliwym uśmiechem na twarzy zastanawiał się przez chwilę, jakim pytaniem ma pogrążyć nie lubianego przez dyrektora ucznia, po czym nie podnosząc ani nie odwracając głowy mruknął:

– No, powiedz, jaki jest najdłuższy na ziemi łańcuch wysp!

Przytomny, zawsze zdecydowany w niebezpiecznych chwilach Tomek dzielnie opanował drżenie głosu. Naśladując sposób mówienia Jurka, odparł:

– Wyspy japońskie tworzą najdłuższy na ziemi archipelag. Towarzyszy on wschodnim wybrzeżom Azji, zamykając razem z Archipelagiem Malajskim cztery wielkie morza przybrzeżne: Ochockie, Japońskie, Żółte i Wschodnio-chińskie. Japonia obejmuje pięć większych wysp i około sześciuset mniejszych. Cztery z nich stanowią Japonię właściwą. Wyspy japońskie tworzą ostatni stopień lądu w stronę Oceanu Spokojnego, dlatego Japończycy nazywają swoją ojczyznę „Krajem wschodzącego słońca”.

Nauczyciel drgnął niemile zaskoczony płynną, celującą odpowiedzią; zaraz też zadał drugie pytanie.

– Wymień najważniejsze wulkany Meksyku!

– Najważniejszymi wulkanami Meksyku są: Orizaba o wysokości pięciu tysięcy pięćdziesięciu metrów i Popocatepetl, czyli Popo, mający wysokość pięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt metrów. Zamykają one kotlinę Meksyku od południa i nadają jej krajobrazowi swoiste piękno.

Krasawcew głośno zasapał ze zdenerwowania. Druga odpowiedź była równie doskonała jak pierwsza. Zastanowił się dłuższą chwilę, w końcu zapytał podstępnie:

– Hm, powiedz ty mi, co uważasz za największe osiągnięcie świata w ostatnim dziesięcioleciu?

Tomek od razu wyczuł zastawioną pułapkę. Cokolwiek odpowie, to Krasawcew i tak będzie mógł mu zaprzeczyć.

„Trzeba użyć fortelu, by zagiąć «pilę»„ – pomyślał. Zaraz też przypomniał sobie artykuł w gazecie, czytany kilka dni temu przez wujka i spokojnie odpowiedział:

– Największym osiągnięciem cywilizowanego świata w ostatnim dziesięcioleciu jest bez wątpienia budowa przez Rosję kolei transsyberyjskiej. Długość linii od Moskwy do Władywostoku wyniesie osiem tysięcy kilometrów. Tym samym będzie ona jedną z najdłuższych kolei na świecie.

Krasawcew siedział bez ruchu, jak rażony gromem. Skąd ten syn „wywrotowca” mógł odgadnąć, o co mu chodziło? Przecież w żadnym razie nie wypadało teraz zaprzeczyć. I choć stary, zapijaczony belfer nie wahał się stawiać złych not na polecenie dyrektora, to jednak mimo wszystko celujące odpowiedzi słabego dotąd ucznia wzbudziły w nim uznanie. Nie, tego chłopaka nie mógł oblać mimo najszczerzych chęci.

„A czort z nim! Przecież jeden taki smyk nie może zaszkodzić potężnemu carowi” pomyślał. Głośniej zaś mruknął:

– Hm, masz szczęście, przygotowałeś się do repetycji... Poprawiłeś nawet nieco swój akcent. Wierzę, że mógłbyś umieć geografię, tak jak ten nicpoń Wilmowski, no, wracaj do ławki.

Tylko niezwykłość sytuacji powstrzymała Tomka od wybuchnięcia śmiechem. Krasawcew szybko postawił dobry stopień w dzienniku, a tymczasem wszyscy uczniowie chichotali już w najlepsze.

Naraz stała się rzecz straszna. Oto prymus Pawluk podniósł się szybko i zawołał:

– Panie profesorze, przecież to nie jest Tymowski!

Tomek zatrzymał się i przybladł. Wprawdzie w tym momencie Jurek siedzący w ławce tuż za Pawlukiem pociągnął go mocno za ucho, lecz było już za późno. Nauczyciel uniósł głowę znad dziennika. Spojrzał na Tomka. Nie był jednak pewny, czy go wzrok nie myli.

– Podejdz do mnie bliżej – powiedział.

Tomek przysunął się o dwa małe kroki.

– Jeszcze bliżej – mruknął Krasawcew, szeroko otwierając oczy.

Tomek stanął przy samej katedrze.

– Co to znaczy, Wilmowski? – groźnie zapytał nauczyciel, spoglądając na chłopca. – Przecież wywołałem do odpowiedzi Tymowskiego!

– Niemożliwe, panie profesorze! Słyszałem wyraźnie moje nazwisko – odparł Tomek, obawiając się, czy głośnie bicie serca nie zdradzi go przed nauczycielem.

– Głupstwa pleciesz! Wywołałem do lekcji Tymowskiego – oburzył się Krasawcew.

Pawluk chciał się odezwać, lecz Jurek pociągnął go za bluzę mundurka szepcząc: „Spierzemy cię na kwaśne jabłko, jeśli piśniesz choć jedno słowo, lizusie!”

Niepewny siebie Krasawcew mierzył Tomka podejrzliwym wzrokiem. Może jednak przypadkowo pomylił nazwiska? Zastanawiał się, czy nie warto by przeprowadzić śledztwa.

– Bardzo przepraszam pana profesora, jeśli się przesłyszałem – Tomek zmienił taktykę obrony. – Tak bardzo chciałem odpowiadać jeszcze przed końcem roku... Zapewne ja się mylę, bo przecież pan profesor mylić się nie może.

Pod wpływem nieoczekiwanego pochlebstwa Krasawcew rozchmurzył się nieco. Wilmowski był doskonałym geografem, dlatego też zawsze wywoływał go do odpowiedzi podczas wizytacji. Zgorzkniały profesor miał mimo wszystko słabość do wesołego i roztropnego chłopca. Spojrzał więc na leżący na biurku zegarek. Zaraz powinien być dzwonek. Postanowił jeszcze przepyttać Tymowskiego, przy którego nazwisku figurowała w jego notesie duża, czerwona kropka.

– No, Wilmowski! Uważaj ty lepiej na drugi raz, żebyś źle nie wylądował – powiedział surowym głosem.

Tomek odetchnął głęboko, jak człowiek wypływający na powierzchnię po długim przebywaniu pod wodą: zaraz poprawił mu się humor. Lada chwila odezwie się dzwonek i Jurek będzie uratowany. Dla zyskania na czasie uklonił się nisko nauczycielowi. Udając wielką skruchę powiedział:

– Tak mi przykro, proszę pana profesora, że sprawiłem niepotrzebnie tyle zamieszania. Serdecznie dziękuję za wybaczenie mi pomyłki. Jeszcze raz bardzo przepraszam pana profesora.

– No dobrze, już dobrze, Wilmowski – burczał Krasawcew. – Idź już na miejsce. Tymowski, do lekcji!

Zanim jednak Jurek zdążył podejść do katedry, dzwonek ostro zaterkotał na korytarzu. Krasawcew momentalnie zapomniał o uczniu. Tego dnia musiał jeszcze odbyć wizyty pożegnalne przed wyjazdem na wakacje do Rosji.

Szybko więc schował zegarek oraz notes do kieszeni i zatrzasnął dziennik. Mruczając coś pod nosem, wybiegł z klasy.

– Uratowałeś mnie – szepnął Jurek do Tomka.

Wyszli razem na korytarz. Natychmiast otoczyli ich koledzy. Wszyscy winszowali Tomkowi odwagi oraz przytomności umysłu. Oczywiście byli mocno oburzeni zachowaniem się Pawluka. Proponowali zaraz dać „koca” lizusowi, lecz Tomek przerwał dyskusję, mówiąc:

– Nie zgadzam się na żadne bójkę. Na pewno wyrzuciliby nas z budy, i to tuż przed samym końcem roku. Pawluk tylko mnie chciał dopiec za to, że lepiej uczę się od niego. To między nami dwoma sprawa. Bądźcie spokojni, zemszczę się na nim, lecz na razie to tajemnica. Zobaczycie, jak mu za to zapłacę!

Rozległ się dzwonek na nową lekcję. Uczniowie powrócili do klasy. Ku ogólnemu zdziwieniu Tomek rozpoczął rozmowę z Pawlukiem, jak gdyby między nimi nie zaszło nic nadzwyczajnego. Przestraszony początkowo prymus rozruszał się widząc wesołość kolegi.

Tomek był naprawdę w doskonałym humorze. Z całkowitym spokojem oczekiwał na rozpoczęcie się lekcji historii. Zapowiedziane przybycie inspektora usuwało od niego i Jurka wszelkie niebezpieczeństwo. Przecież właśnie odporne przyswajanie sobie przez uczniów historii Rosji budziło zastrzeżenia dyrektora szkoły. Nawet taki uczeń jak Tomek wolał nieraz oberwać dwóję, niż na przykład wyliczyć z pamięci poczet, znienawidzonej przez Polaków, panującej rodziny carskiej. Jasne więc było, że nauczyciel historii nie dopuści do kompromitacji przy inspektorze. Tomek był pewny, iż z tego powodu do odpowiedzi będzie wywołany oficjalny prymus klasy – Pawluk. W związku z tym obmyślił pewien plan zemsty i wesoło rozmawiał z „lizusem”, aby uśpić jego czujność.

Wtem drzwi klasy otworzyły się; wszedł nauczyciel historii w towarzystwie inspektora. Gdy tylko chłopcy usiedli po przywitaniu napuszonego Rosjanina, Tomek natychmiast wydobyl z tornistra tekturowe pudełeczko. Ostrożnie uchylił podziurawione szpilką przykrycie. Na jego twarzy ukazał się szelmowski uśmiech. Olbrzymi chrząszcz jelonek – schwytyany trzy dni temu podczas wycieczki z wujostwem za miasto, nie stracił ze swej żywości, mimo uciążliwej niewoli. Zaledwie Tomek uniósł wieczko pudełka, owad zaraz wysunął swe ogromnie rozwinięte żuwaczki, usiłując odzyskać wolność. Tomek wepchnął chrząszcza z powrotem do pudełeczka, po czym wsunął je do kieszeni.

Na pozór lekcja odbywała się tak jak w każdy zwykły dzień szkolny. Najpierw nauczyciel obszernie wyjaśnił nowy, ostatni w tym roku, fragment historii Rosji nie zaglądając nawet do książki. Następnie, czego zazwyczaj nie czynił, zaczął przypominać chłopcom, jakie okresy już przerobili; skończył dopiero wtedy, gdy inspektor spoglądając na zegarek oświadczył, że pragnąłby jeszcze przysłuchać się odpowiedzi któregoś z uczniów.

Był to znak dla Tomka. Zaledwie nauczyciel pochylił się nad dziennikiem, niby to zastanawiając się kogo wywołać do lekcji, Tomek szybko wydobyl z kieszeni pudełko. Przysunawszy je do pleców Pawluka, uchylił wieczko. Wielki chrząszcz natychmiast skorzystał z upragnionej okazji; znalazł się na kołnierzu mundurka prymusa akurat w chwili, gdy nauczyciel wywołał go na środek klasy.

Pawluk zatrzymał się przed katedrą. Uniżenie ukłonił się inspektorowi i nauczycielowi. Na wszystkie pytania odpowiadał z niezwykłą płynnością, jakby czytał z książki. Teraz powtarzał bezbłędnie nową lekcję, stojąc wyprostowany jak struna. Nauczyciel z triumfującym uśmiechem spoglądał na zupełnie widocznie zadowolonego inspektora.

Tomek, obserwując sukces nie lubianego kolegi, przeżywał prawdziwą burzę

niepokoju:

„Cóż to się stało z chrząszczem? – rozmyślał. – Lizus boi się wszelkich owadów. Co by to była za wspaniała zemsta, gdyby przestraszył się chrząszcza teraz w czasie popisowego recytowania lekcji!”

Chrząszcz jednak, nieczuły na prośby i zaklęcia Tomka, w dalszym ciągu nie dawał znaku życia. Gdy w końcu Tomek zaczął czynić sobie wyrzuty, iż zupełnie niepotrzebnie trudził się zbieraniem pożywienia dla niewdzięcznego owada – Pawluk naraz poruszył niecierpliwie głową.

Nadzieja wstąpiła, w serce Tomka. Pawluk po raz drugi wstrząsnął głową, po czym przesunął dłonią po karku. Teraz wymarzone przez Tomka zdarzenia potoczyły się z szybkością spadającej śnieżnej lawiny. Oto Pawluk nerwowym ruchem cofnął swą dłoń i, zaledwie ujrzał w niej chrząszcza, wrzasnął przeraźliwie, odruchowo wstrząsając ręką. Potężny chrząszcz uderzył w twarz inspektora, który podskoczył jak oparzony.

Rozpoczęła się straszliwa awantura. Nauczyciel, nie mniej przestraszony od inspektora, ostro skarcił Pawluka i udzielił mu nagany. Z kolei giął się w ukłonach przepraszając rozindyczonego zwierzchnika. Oczywiście był to już koniec lekcji, ponieważ rozgniewany dygnitarz zaraz wyszedł z klasy, a za nim podążył roztrzęsiony nauczyciel.

Po raz drugi tego dnia Tomek, pusząc się jak paw, przyjmował gratulacje od rozentuzjasmowanych przyjaciół. Oto za jednym zamachem zemścił się na podłym „lizusie” i dokuczył nauczycielowi, którego nadmierna gorliwość narażała go w domu na największe przykrości.

Po zakończeniu lekcji uradowani Tomek i Jurek razem wyszli ze szkoły.

TAJEMNICZY GOŚĆ

Tomek pożegnał się z Jurkiem, a sam przystanął przy małym zieleńcu na środku placu Trzech Krzyży. Zaczął rozmyślać, jak ma spędzić resztę popołudnia. Powrót do domu bezpośrednio ze szkoły w tak interesująco rozpoczętym dniu nie nęcił go zupełnie. Czerwcową, słoneczną pogodą zachęcała przecież do spaceru po mieście. Pokusa była tym większa, że z placu Trzech Krzyży wystarczyło przejść jedynie przez jezdnię, aby znaleźć się w kipiących zielenią Alejach Ujazdowskich. Jeżeli nie skorzysta teraz z tak wspaniałej okazji, to potem w domu ciotka Janina, jak zwykle, wynajdzie tysiąc powodów, aby go już nigdzie nie wypuścić.

Długo rozważał wszystkie możliwości, lecz nie mógł jakoś powziąć decyzji. Ciotkę niełatwo było wprowadzić w błąd. Codziennie po powrocie dzieci ze szkoły uważnie wypytywała o zadane lekcje i otrzymane stopnie; niemal każda taka rozmowa kończyła się powiedzeniem:

„Teraz proszę pokazać dzienniczki!”

Jeżeli sprawozdania dzieci nie były zgodne z notatkami nauczycieli, następowała dłuższa rozprawa. Spóźniony powrót ze szkoły był tak samo oceniany i karany jak złe stopnie.

Irena, Zbyszek i Witek, dzieci ciotki Janiny, przyzwyczajeni od najmłodszych lat do surowości matki, łatwiej przystosowywali się do jej wymagań. Tomek jednak nie umiał nawet tak jak oni udawać skruchy. Dlatego też częściej otrzymywał kary.

Ciotka miała szczególne powody, aby zwracać na niego baczniejszą uwagę. Od chwili śmierci matki był właściwie sierotą i nie wiadomo, co by się z nim stało, gdyby wujostwo Karscy nie wzięli go na wychowanie. Matka Tomka umarła w dwa lata po ucieczce swego męża za granicę, który jedynie w ten sposób zdołał uniknąć aresztowania przez carskich żandarmów. Ciotka Janina, pamiętając o tragedii swej siostry, więcej niż ognia obawiała się wszelkich spisków politycznych. Przecież udział w nich, w najlepszym razie, groził zesłaniem na Sybir.

Ku jej utrapieniu Tomek widział w ojcu bohatera i w najskrytszych marzeniach pragnął go naśladować pod każdym względem. Odziedziczył też zapewne po nim zdolności i zamiłowanie do nauki. Tak jak ojciec szczególnie interesował się geografią. Większość wolnego czasu spędzał na czytaniu różnych dzieł, w których znajdował opisy obcych krajów oraz zamieszkujących je ludów, a od książek napisanych przez polskich podróżników i odkrywców wprost nie mógł się oderwać. Więcej niż jego rówieśnicy wiedział również o smutnych dziejach Polski, okupowanej prawie od stu lat przez wrogie mocarstwa.^[2] Matka do ostatnich dni swego życia uczyła go w domu prawdziwej historii Polski, przypominała mu również przy każdej okazji, że jego ojciec prześladowany był za walkę o niepodległość ojczyzny.

Nic też dziwnego, że Tomek nieraz otrzymywał złe stopnie z historii, którą znał z ust matki, inną, niż mu się jej uczyć kazano w szkole. Napominany stale przez ciotkę starał się

ukrywać swą niechęć do tego przedmiotu, lecz nie zawsze mu się to udawało. Ze względu na to, że z innych przedmiotów otrzymywał dobre noty, wychowawca klasy orzekł, iż chłopiec wykazuje specjalnie złą wolę w nauce historii. Po każdej wywiadówce bojaźliwa ciotka zasypywała Tomka wyrzutami.

Ostatnie półrocze było dla niego szczególnie niepomysłne. Otrzymał nagane. Ciotka nie szczędziła mu tym razem ostrych wymówek, a nawet w uniesieniu zawołała:

„Skończysz tak jak twój ojciec!”

Urażony tym Tomek zapytał:

„Ciociu, czy naprawdę uważasz, że mój ojciec zrobił coś złego?”

„Wpędził do grobu twoją matkę a moją siostrę!” zawołała w gniewie.

Wówczas to przeżył Tomek, na równi z ciotką Janiną, wielką niespodziankę. Ślęczący zazwyczaj w milczeniu nad księgami buchalteryjnymi wuj Antoni z trzaskiem rzucił pióro na stół i chyba po raz pierwszy w swym życiu odezwał się do żony podniesionym głosem:

„Przestaniesz wreszcie dręczyć tego dzielnego chłopca? Dlaczego uparłaś się zabić to, co jest w nim najlepsze?”

Ciotka oniemiała, a ze wszystkich obecnych przy tym wydarzeniu Tomek zdumiał się najwięcej. Całe zajście zostało jednak szybko zażegnane, gdyż wuj nerwowym ruchem poprawił na nosie okulary i znów pochylił się nad rozłożoną na stole księgą. Od tej pory ciotka zmieniła całkowicie swe postępowanie w stosunku do Tomka. Przestała napędzać go do nauki historii, lecz tym bardziej ograniczała jego przebywanie poza domem. Dlatego też spacer po mieście i nauka konnej jazdy w ujeżdżalni stanowiły dla niego szczególną pokusę.

Stał teraz na placu Trzech Krzyży i rozmyślał. Jeżeli zaraz wróci do domu, będzie musiał natychmiast zasiąść do odrabiania lekcji. Później czeka go repetycja z młodszymi braćmi ciotecznymi. Same nudy! Jakże przyjemnie byłoby pójść do Ogrodu Botanicznego! Co tu robić? W czasie tych zawitych zmagania z sobą przyszła mu do głowy wspaniała myśl.

„Niech los rozstrzygnie, co ma być” zdecydował.

Ruszył w kierunku najbliższej latarni ulicznej, szepcząc przy każdym kroku:

„Spacer, dom, spacer, dom, spacer, dom”, aż ku wielkiej swej radości zatrzymał się obok latarni na słowie „spacer”.

Odetchnął z ulgą, wdzięczny losowi za tak korzystne rozwiązanie zawilego problemu. Rażnym krokiem ruszył w Aleje Ujazdowskie.

Wkrótce znalazł się w Ogrodzie Botanicznym i niebawem zapomniał o kłopotach oczekujących go po powrocie do domu. Usiadł w cichym zakątku. Odurzający zapach kwiatów i miły świergot ptactwa nastrajały do przyjemnych rozmyślań. W takich chwilach ogarniała go zazwyczaj ogromna tęsknota za nieznanym niemal zupełnie ojcem. Przymykał oczy... W wyobraźni jego rysował się mocno zamglony obraz wysokiego

mężczyzny, którego twarzy nie mógł sobie przypomnieć. Nie wiedział nawet, gdzie on teraz przebywa i co porabia? Sprawy te ciotka Janina utrzymywała w ścisłej tajemnicy. Listy od ojca przychodziły bardzo rzadko, lecz za to co pół roku listonosz przynosił ciotce wezwanie na główną pocztę. Po każdym takim wezwaniu zaopatrywała dzieci w nową garderobę. Był to widomy znak, że ojciec Tomka nadesłał pieniądze.

Karscy traktowali Tomka na równi z własnymi dziećmi. Jedynym wyróżnieniem były lekcje języka angielskiego, na które Tomek uczęszczał prywatnie do rodowitej Angielki osiadłej w Warszawie. W stosunku do możliwości zarobkowych wujka Antoniego opłata za naukę obcego języka stanowiła pokaźny wydatek. Dlatego Tomek był przekonany, że korzystał z tego przywileju na wyraźne życzenie swego ojca. Pragnął więc sprawić mu przyjemność i uczył się bardzo pilnie. Z uporem wkuwając słówka, myślał – „niech wie, że go kocham”.

Teraz siedząc w parku na ławce, układał w myśli swoją pierwszą rozmowę z ojcem, gdy go kiedyś zobaczy. Oczywiście rozmowa potoczy się po angielsku, ponieważ ojciec na pewno będzie ciekaw wyników tak kosztownej nauki. Zadawał więc sobie pytania, odpowiadał na nie wyszukując trudniejsze wyrazy w słowniczku i nawet nie spostrzegł, jak minęły trzy godziny. Do ogrodu przybywało coraz więcej ludzi. W końcu nawet zamyślony Tomek zwrócił na nich uwagę.

„Pewno już bardzo późno – pomyślał. – Ciotka Janina będzie się znów gniewała...”

Zaraz też zaczął zastanawiać się, czy otrzyma karę. Nieoczekiwanie wzrok jego zatrzymał się na zielonych krzewach.

„Ha, skoro los doradził mi udanie się na spacer, niech więc wyjaśni teraz niepewność” – zdecydował i natychmiast zerwał małą gałązkę. Obrywając listek po listku, powtarzał:

„Będzie kara, nie będzie, będzie, nie będzie...”

Zrobiło mu się weselej na duszy, gdy rzucał na ziemię ostatni listek. Mówił on, że „kary nie będzie”. Z kolei zaczął rozważać, dlaczego miałyby go minąć? Przecież ciotka zwracała wielką uwagę na punktualne przychodzenie ze szkoły.

„Może ciocię rozboleła głowa? – monologował. – Jeśli położyła się do łóżka i usnęła, to mogę nie otrzymać kary. A może wyszła po zakupy i nie zapyta, czy wróciłem punktualnie?”

Postanowił przekonać się jak najprędzej o prawdziwości wróżby; pospieszył w kierunku domu. Z Alei Ujazdowskich na ulicę Mokotowską nie było zbyt daleko, wkrótce więc zatrzymał się niezdecydowanie przed bramą. Co będzie, jeśli wróżba zawiedzie? Mimo wszystko nie lubił, gdy ciotka denerwowała się na niego. Nie mógł już dłużej znieść niepewności. Przebiegł przez bramę i przystanął na skraju podwórka. Spojrzał w kierunku mrocznych zazwyczaj okien drugiego piętra; ogarnął go niepokój. W saloniku paliło się jasne światło. Był to widomy znak, że w mieszkaniu wujostwa działo się coś niecodziennego. Jakże więc mogła minąć go kara?

„Niedobrze, oj, naprawdę niedobrze – zmartwił się. – Więc jednak wróżba zawiodła.

No tak, przecież dzisiaj jest sobota, a ciocia zawsze twierdzi, że najodpowiedniejszymi dniami do spełniania się wszelkich wróżb są poniedziałki, środy i piątki. Że też nie pomyślałem o tym wcześniej!”

Zrezygnowany i przygotowany na najgorsze wszedł na drugie piętro. Nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyła jego cioteczna siostra Irena.

– Gdzie byłeś tak długo? – zagadnęła podnieconym głosem.

Tomek machnął ręką i mruknął:

– Los wystrychnął mnie na dudka. Zapomniałem, że dzisiaj jest sobota...

– Co ty bredzisz? – niecierpliwiła się Irena.

– Czy ciocia bardzo się gniewa? – zapytał Tomek, nie zwracając uwagi na jej słowa.

– Nie wiadomo, gdyż już od trzech godzin razem z ojcem siedzą zamknięci w saloniku z jakimś bardzo tajemniczym gościem.

Tomek odetchnął pełną piersią. Natychmiast odzyskał humor. Więc jednak wróżenie na listkach okazało się najprawdziwsze ze wszystkich znanych mu sposobów.

– A gdzie są Witek i Zbyszek? – zwrócił się do dziewczynki zaintrygowany jej podnieceniem.

– Podglądają przez dziurkę od klucza – pospiesznie wyjaśniła Irena.

– Oberwą za to burę, jeśli ciocia zauważy. Tak jakby nigdy nie widzieli gości! I ty też na pewno podglądałaś?

– Ho, ho! Pan Tomasz coś bardzo dzisiaj ważny! – odparła z przekąsem. – Wobec tego nic więcej nie dowiesz się ode mnie!

– I tak nie wytrzymasz, więc lepiej od razu powiedz wszystko, co wiesz!

– Zaraz poprosisz o zapisanie cię w kolejkę do dziurki od klucza, gdy usłyszysz, że to nie jest taki sobie zwykły gość. Kiedy wszedł do przedpokoju, to po prostu zapachniało prawdziwą dżunglą.

– Może się poperfumował? – zażartował chłopiec.

– Głuptas jesteś! – oburzyła się. – Wcale nie chodzi tu o zapach. Wygląda tak, jakby przed chwilą wrócił z samego serca Afryki.

– No i co było dalej? – pytał Tomek.

– Powiedział coś mamusi, ona omal nie zemdląła i zawołała: „Antosiu, Antosiu! Chodź prędeż, mamy niezwykłego gościa!” Potem w trójkę zamknęli się w saloniku i rozmawiają do tej pory.

Twarz Tomka pokryła się bladością. Tornister wysunął mu się z ręki na podłogę. Nieoczekiwana myśl wprawiła go w wielkie wzruszenie.

– Irka, czy na pewno nie wiesz, kto to jest? – zawołał przejęty.

– Przecież powiedziałam, że nie wiem. No, ale pan Tomasz też się już zainteresował naszym gościem!

Tomek stłumił wzruszenie. Pomyślał, że gdyby to był jego ojciec, wuj i ciotka nie zachowaliby tego w tajemnicy przed własnymi dziećmi. Popatrzył więc na Irkę i z udaną obojętnością powiedział:

– Ciekawość ciekawością, a podsłuchiwanie i podglądanie przez dziurkę od klucza nie zasługuje na pochwałę. Skoro jednak to robicie, lepiej będzie, jeśli razem oberwiemy burę.

– Obludnik! Ale nie traćmy cennego czasu – roześmiała się Irena. – Zanieś tornister do pokoju i chodźmy na punkt obserwacyjny.

Na palcach weszli do jadalni. Zbyszek pochylony wpatrywał się w dziurkę od klucza. Witek, stojąc, przy nim, dawał ręką znaki, by zbliżyli się do nich.

– Co tam się dzieje? – cicho zapytała Irena.

– Mama płacze, a ojciec chodzi po pokoju, wymachuje rękami i mówi. Gość zasłuchany siedzi w dalszym ciągu w fotelu! O, teraz odezwał się – informował Zbyszek.

Tomek stuknął go w ramię i dał na migi do zrozumienia, że chce spojrzeć przez dziurkę od klucza. Zbyszek tylko machnął ręką, by mu nie przeszkadzano. Tomek zniecierpliwiony ujął go za ucho i odciągnął od drzwi. Pochylił się, przymknął lewe oko, aby lepiej widzieć. W fotelu siedział wysoki mężczyzna. W spalonej słońcem twarzy błyszczały jasne, duże oczy. Tłumaczył coś zapłakanej ciotce. Tomek zapragnął za wszelką cenę usłyszeć, co on mówi. Przycisnął więc ucho do dziurki od klucza.

„Czy nie lepiej byłoby dać chłopcu możliwość powzięcia decyzji?” pytał nieznajomy.

W tej chwili Tomek syknął z bólu i uderzył głową o klamkę. Przestraszony odskoczył od drzwi, a Zbyszek, trzymając jeszcze w ręku szpilkę, którą go ukłuł, pochylił się natychmiast do dziurki. Zanim Tomek zdążył się zemścić, Zbyszek uderzony drzwiami w głowę usiadł na podłodze. W progu stanął wuj Antoni.

– Co się tutaj dzieje? – powiedział. – Irenko, zajmij się chłopcami, a ty, Tomku, skoro już wróciłeś do domu, chodź do nas do saloniku.

Tomek wszedł niepewnym krokiem do pokoju. Coś nie bardzo wyglądało na to, aby miała go minąć kara. Na wszelki przypadek zatrzymał się w pobliżu drzwi. Mimo obawy ciekawie spojrzął na tajemniczego gościa mówiąc:

– Dobry wieczór!

– To jest właśnie nasz wychowanek, Tomasz Wilmowski – rzekł wuj Antoni, a zwracając się do chłopca dodał: – Tomku, pan Jan Smuga, przyjaciel twego ojca, przyjechał do ciebie w jego imieniu!

– Przyjaciel mego ojca! – zawołał Tomek i nagle odwrócił głowę, powstrzymując łzy ciskające się mu do oczu.

Smuga zbliżył się do niego. Nie mówiąc ani słowa przygarnął go do siebie. Przez

dłuższą chwilę cisza panowała w saloniku. Potem gość wziął Tomka za rękę i posadził przy sobie w fotelu. Dopiero teraz odezwał się:

– Sprawileś mi, Tomku, miłą niespodziankę. Ojciec opowiadał o tobie, jako o małym jeszcze chłopcu. Tymczasem jesteś już niemal okazałym kawalerem, i to nawet dzielnym, według zapewnień wujostwa. Twój ojciec na pewno się z tego ucieszy. Czy domyślasz się, dlaczego przysłał mnie w swoim zastępstwie?

Tomek rozpromienił się słysząc pochwałę. Mężnie zapanował nad swym wzruszeniem i odpowiedział:

– Domyślam się, proszę pana. Ojciec musiał uciekać z kraju, aby uniknąć aresztowania za udział w spisku przeciwko carowi. Zapewne teraz również nie byłby tutaj bezpieczny.

– To prawda, Tomku. Gdyby powrócił do Polski, zostałby aresztowany. Dlatego nie może przyjechać do ciebie.

– Wiem, proszę pana.

– Czy chciałbyś zobaczyć się z ojcem?

W pierwszej chwili Tomek aż zaniemówił ze wzruszenia na samą myśl o ujrzaniu wytęsknionego ojca. Potem zawołał jednym tchem:

– Och, tak bardzo bym chciał! Wymyśliłem nawet na to sposób, tylko...

– Co „tylko”? – podchwycił Smuga, pilnie go obserwując.

– Tylko żał mi było cioci i wujka – dokończył Tomek.

– Nie rozumiem, co masz na myśli, może. wytłumaczyłbyś mi to jaśniej?

Tomek niepewnie spojrział na ciotkę, która, widząc jego niezdecydowanie, uśmiechnęła się do niego i zachęciła:

– Pan Smuga jest przyjacielem twego ojca, Tomku. Poza tym przyjechał do ciebie w jego imieniu. Trzeba odpowiedzieć szczerze, jeśli pyta.

– Może to niezbyt mądre, ale chciałem zrobić coś takiego, żebym musiał również uciekać za granicę – szybko odparł Tomek, widząc, że ciotka wcale nie gniewa się na niego.

– No, no, to zaczyna być bardzo ciekawe. Co miałeś zamiar zrobić? – indagował dalej zaintrygowany Smuga.

– Postanowiłem napisać w szkole na tablicy „precz z tyranem carem”. Myślałem, że wtedy na pewno będą chcieli mnie aresztować i już miałbym powód do ucieczki.

– I ty byłeś gotów to zrobić, Tomku? – zawołała ciotka z przerażeniem.

Tomek zmieszany, z trudem zdobył się na odwagę – zarumieniony wyjaśnił:

– Nawet zrobiłem, ciociu. Akurat tego dnia lizusa Pawluka nie było w szkole. Na nieszczęście, gdy wychowawca wszedł do klasy, przestraszyłem się i szybko starłem

tablicę. Przypomniałem sobie, że mógłbym ciebie wpędzić do grobu, tak jak tatuś mamę...

Ciotka oniemiała, a tymczasem Smuga zapytał poważnie:

– Kto ci powiedział, że twój ojciec wpędził matkę do grobu?

– Ciotka Janina – mruknął Tomek, czując, że palnął głupstwo. Smuga spojrział na Karską. Zaczęła płakać. Dopiero po dłuższej chwili powiedziała usprawiedliwiająco:

– Przecież mówiłam panu, jak bardzo boję się o chłopca. On jest stanowczo nad wiek rozwinięty umysłowo i naprawdę za wiele myśli... o tym. Sam pan teraz miał dowód!

– Droga pani, Andrzej ma wiele wdzięczności dla państwa za opiekę nad Tomkiem – odparł Smuga. – Należy pamiętać, że żona Andrzeja gorąco była zainteresowana polityczną działalnością męża. Pod groźbą aresztowania słusznie poparła projekt ucieczki z kraju. Przecież w najszcześniejszym przypadku groziło mu zesłanie na Sybir... Przed przybyciem do państwa widziałem się z dawnym przyjacielem Andrzeja. Potwierdził nasze przekonanie, że przyjazd jego do Polski jest w dalszym ciągu niemożliwy. To znów, co Tomek mówił nam o swoich planach, wydaje mi się najśluszniejszym powodem, który powinien panią przekonać, że lepiej i nawet... bezpieczniej będzie przyjąć propozycję ojca.

Ciotka Janina zasłoniła twarz rękoma. Milczący dotąd wuj Antoni podniósł się z krzesła i podszedł do chłopca.

– Tomku, chcemy cię o coś zapytać, lecz zastanów się dobrze, zanim odpowiesz. Jak słyszałeś, ojciec twój nie może powrócić do kraju, gdyż naraziłby się na przykrości. Tęskni jednak za tobą i chciałby cię mieć przy sobie. My znów nie mniej cię kochamy; wychowaliśmy ciebie na równi z własnymi dziećmi... Trudno nam dzisiaj pogodzić się z myślą, że masz odjechać od nas w świat. Chcemy wszakże jedynie twego dobra. Dlatego muszę dodać, że nawet gdybyś zdecydował się pojechać do ojca, to zawsze możesz powrócić do nas jak do własnego domu. Jesteś już dość mądrym chłopcem. Postanowiliśmy więc dać ci możliwość wyboru. Powiedz: wolisz pozostać z nami, czy też chciałbyś pojechać do ojca?

Myśl, że wkrótce może ujrzeć ojca, za którym tęsknił przez tyle długich lat, podnieciła Tomka i napełniła wielką radością. Mimo. to przywykł uważać wujostwo za swych rodziców. Oni go również kochali. Przecież ciotka bez przerwy wyciera oczy chusteczką, a milczący zazwyczaj wujek wygłasza do niego niemal przemowę i to bardzo wzruszonym głosem.

Tomkowi trudno było powziąć decyzję. Co tu powiedzieć? W końcu zapytał Smugę:

– Czy pan jest pewny, że tatuś pozwoli mi przyjechać do wujostwa, gdy zechcę ich odwiedzić?

– Jestem tego zupełnie pewny – odparł Smuga z powagą.

– Jeśli ojciec za mną tęskni, to bardzo chciałbym pojechać do niego. Do wujostwa będę stale przyjeżdżał – zdecydował Tomek.

Ciotka Janina ponownie się rozplakała, potem uściskała go i wycierając oczy

chusteczką wyszła z pokoju, aby wydać dyspozycje do przygotowania kolacji. Irka, Zbyszek i Witek powiadomieni o wyjeździe Tomka do ojca wbiegli do saloniku. Po przywitaniu gościa najstarsza z rodzeństwa i najsprytniejsza Irka zwróciła się do Smugi:

– Proszę pana, gdzie przebywa teraz Tomka ojciec? Przecież nie wiemy nawet, dokąd braciszek wyjedzie.

– Na życzenie pani Karskiej nie poinformowałem o tym Tomka w czasie naszej rozmowy. Woleliśmy, aby nie miało to wpływu na jego decyzję. Obecnie nie ma już potrzeby zachowywania tajemnicy.

– Naprawdę, zapomniałem zapytać o to – zawołał Tomek. – Tyle niezwykłych i ważnych nowin naraz... Gdzie jest tatuś, proszę pana?

– Oczekuje na nas w Trieście, nad Morzem Adriatyckim – wyjaśnił Smuga.

– Triest znajduje się w Austro-Węgrach[3] – orzekła Irenka zadowolona, że może pochwalić się swymi geograficznymi wiadomościami.

– To my tam będziemy mieszkali? – zdziwił się Tomek.

– Nie, nie będziemy mieszkali w Trieście – zaprzeczył Smuga. – Muszę najpierw opowiedzieć ci coś niecoś o przeżyciach twego ojca, żebyś wszystko należycie zrozumiał. Po ucieczce za granicę tęsknił bardzo za twoją matką i tobą. Miał zamiar zabrać was do siebie, lecz nim zdążył zgromadzić odpowiednie fundusze, matka twoja nieoczekiwanie umarła. Od tej pory jedynie włóczęga po świecie ułatwiała mu zapomnienie o nieszczęściu. Przypadek zrządził, że w owym czasie poznał jednego z pracowników Hagenbecka. Musisz wiedzieć, że Hagenbeck posiada wielkie przedsiębiorstwo zajmujące się sprowadzaniem zwierząt ze wszystkich części świata do cyrków i ogrodów zoologicznych. Ponieważ pracownik poznany przez ojca wybierał się na dłuższą wyprawę po zwierzęta do Ameryki Południowej, twój ojciec, jako geograf, postanowił również wziąć udział w tej wyprawie. Od tego czasu minęło już sześć lat. Ojciec twój stał się znanym łowcą dzikich zwierząt i zaprzyjaźnił się z tym pracownikiem Hagenbecka. Obecnie na statku specjalnie przystosowanym do przewozu zwierząt mają wyruszyć na wielkie łowy do Australii. Hagenbeck zakłada olbrzymi ogród zoologiczny w Stellingen pod Hamburgiem, gdzie najrozmaitsze zwierzęta będą żyły w warunkach najbardziej zbliżonych do naturalnych. Do tego właśnie ogrodu ojciec twój razem z przyjacielem zobowiązali się dostarczyć niektóre zwierzęta z Australii.

– To i ja pojedę do Australii?! – zawołał Tomek niedowierzająco.

– Tak. Pojedziesz z ojcem do Australii łowić dzikie kangury.

Tomek z wielkiego wrażenia zaniemówił na chwilę. Usłyszane wiadomości przechodziły najśmielsze jego marzenia.

Witek i Zbyszek słuchali tych nowin, chłonąc każde słowo gościa z otwartymi ze zdziwienia ustami. Jedynie Irka wpadła na myśl zadania Smudze pytania:

– Proszę pana, a kto jest tym przyjacielem ojca Tomka?

– Nie domyślasz się? – odparł pytaniem Smuga.

– To pan jest nim właśnie! – triumfująco orzekła Irenka. – Kiedy pan tylko wszedł do przedpokoju, od razu wydało mi się, że zapachniało u nas dżunglą. Tak sobie zawsze wyobrażałam wielkich podróżników.

SPOTKANIE Z OJCEM

Przez następnych kilka dni Tomek pozostawał pod wrażeniem, że za chwilę przebudzi się z niezwykłego snu i powróci do codziennego, szarego życia. Jakże trudno było mu uwierzyć w prawdziwość ostatnich wydarzeń! Mimo obaw Smuga „nie znikał”. Z każdą natomiast chwilą coraz bardziej odczuwało się jego niezawodną opiekę.

Okazało się, że był nadzwyczaj przedsiębiorczym człowiekiem. Dzięki jego energii, już po trzech dniach starań Tomek miał dokumenty konieczne do wyjazdu za granicę. Wymagało to wielu zabiegów oraz znacznych kosztów, lecz pełnomocnik ojca nie liczył się z tym zupełnie. Na perswazje wujostwa Karskich odpowiadał z uśmiechem, że utrzymanie w Trieście całej załogi statku oczekującej tylko na nich, więcej pochłania pieniędzy niż dodatkowe opłaty za przyspieszenie załatwienia formalności. Wpływy podróżnika musiały być niemałe, skoro zdołał porozumieć się nawet z dyrektorem gimnazjum, Mielnikowem. Tomek jeszcze przed zakończeniem roku szkolnego otrzymał świadectwo z promocją do następnej klasy.

Wuj Antoni i ciotka Janina, mimo niezwykłych na przyszłość perspektyw Tomka, nie taili troski o dalsze losy chłopca, którego zwykli już uważać za swego syna. Szczególnie ciotka załamywała ręce i popłakiwała, gdy Smuga, na prośby Tomka oraz ciotecznego rodzeństwa, opowiadał o warunkach istniejących w dalekiej, tak mało jeszcze znanej Australii.

Dla mieszczuchów wychowywanych w Warszawie relacje podróżnika o piątym kontynencie brzmiały naprawdę zastraszająco.

Czym bowiem były spokojne ulice tak dobrze znanego miasta wobec spalonych przez żar słoneczny bezmiernych stepów i pustyń australijskich? Zbite chaszcze ciernistych krzewów, gąszcze dziewiczych lasów, wyschnięte koryta rzek, wypełniające się błyskawicznie szalejącym żywiołem, burze piaskowe i gwałtownie następujące zmiany temperatury, a ponadto dzikie psy dingo, kangury, strusie emu oraz tyle, tyle innych nie znanych w Europie dziwów miało zagrażać Tomkowi podczas niebezpiecznej wyprawy.

Tomek wprost „pęczniał” z dumy, widząc obawy ciotki i uwielbienie dla Smugi, malujące się w oczach zasłuchanego w jego opowiadania rodzeństwa. Jednak w miarę jak wielkimi krokami zbliżał się termin wyjazdu, z coraz większym żalem, a czasem nawet i obawą myślał o chwili rozstania.

Ostateczne pożegnanie z dotychczasowymi opiekunami nastąpiło na dworcu warszawskim. Z wielkim wzruszeniem uściskał Tomek nadzwyczaj poważnego w tym dniu wujka Antoniego; rozplakał się, widząc łzy w oczach ciotki Janiny. Długo żegnał się z ciotecznym rodzeństwem i Jurkiem Tymowskim, który razem z ojcem odprowadził go na dworzec. Gdy zajął już miejsce w wagonie, poczuł się opuszczony i samotny. W pierwszych godzinach po wyruszeniu pociągu z Warszawy z trudem mógł zrozumieć, co troskliwy Smuga do niego mówił. Siedział roztargniony i nawet nie spoglądał na współtowarzyszy podróży. Ożywił się dopiero na punkcie granicznym, gdy Smuga szepnął mu do ucha, że nieprędko już ujrzy znienawidzone mundury rosyjskich urzędników. Po dwóch godzinach

przybyli do Krakowa. Smuga postanowił zatrzymać się tu na krótki odpoczynek. Tutaj też Tomek otrząsnął się z przygnębienia. Ze wzruszeniem zwiedzał Zamek Wawelski, dawną siedzibę polskich królów, wyniosły kopiec usypany przez rodaków dla uczczenia pamięci Kościuszki, bohatera narodowego, oraz inne zabytki miasta, stanowiącego kolebkę polskiej kultury.

Po dwudniowym wypoczynku wyruszyli pociągiem dalej, do Wiednia. Duże, obce miasto, wprost kipiące swobodnym życiem, wprowadziło Tomka w radosny nastrój, odzyskał humor i pełną fantazję.

Smuga ucieszony dobrym samopoczuciem młodego towarzysza podróży postanowił prznocować w Wiedniu. Dopiero więc następnego ranka znaleźli się w pociągu dążącym do Triestu.

Tomek początkowo ciekawie spoglądał przez okno wagonu, podziwiając jedną z najpiękniejszych dróg w Europie. Pociąg wił się po serpentynach wśród gór, wspinał się na zbocza, znikał w tunelach, zawisał na wiaduktach nad przepaściami, a Tomek wciąż obserwował malownicze widoki.

Po kilku godzinach jazdy Tomek, nasyciwszy się wspaniałymi krajobrazami, zasypał Smugę niezliczonymi pytaniami. W czasie długiej rozmowy zdobył niezwykle cenne informacje.

Przede wszystkim upewnił się, że ojciec będzie oczekiwał na nich w Trieście, bo Smuga powiadomił go telegraficznie o porze przyjazdu. Następnie dowiedział się, że statek, którym mieli płynąć do Australii, był starym węglowcem o wyporności dwóch tysięcy ton, wycofanym już z regularnej żeglugi. Przedsiębiorstwo Hagenbecka zakupiło go bardzo tanio na licytacji i przekazało stoczni w Trieście do przebudowy. Wnętrze parowca zostało przystosowane do przewozu zwierząt. Teraz właśnie dawny węglowiec miał wyruszyć w swą pierwszą podróż jako „pływający zwierzyniec”.

Tomek zdążył również pogłębić nieco swe wiadomości o faunie australijskiej. Dowiedział się, że ssaki-torbacze[4], zwane również workowcami, to nie tylko długonogie, skaczące kangury. Grupa ta bowiem obejmuje liczne gatunki, wielce zróżnicowane pod względem wyglądu zewnętrznego i sposobu życia. Pośród torbaczy wyróżniają się gatunki żywiące się mięsem kręgowców, gatunki owadożerne i roślinożerne. Jedne z nich posuwają się skacząc jak kangury, inne biegają, wspinają się, jeszcze inne żyją w norach ziemnych, jak nasze krety. Jedną z charakterystycznych cech torbaczy jest występująca u samic torba, w której ukryte są sutki mleczne. Wszystkie torbacze należą do zwierząt żyworodnych i małe swe karmią mlekiem, wydzielanym przez otwory sutek. Są więc ssakami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Torbacze[5] wyginęły już dawno niemal na wszystkich kontynentach, lecz w Australii znajdujemy je jeszcze w około stu sześćdziesięciu gatunkach.

Nie mniej zaciekały Tomka, tak swoiste dla Australii, stekowce, podobne pod względem budowy przewodu pokarmowego oraz narządów moczopłciowych do ptaków, gadów i płazów. W pierwszej podgromadzie ssaków stekowce tworzą jeden rząd zwierząt

podzielony na dwie rodziny: kolczatek i dziobaków.

Tomek niezmiernie wypytywał Smugę o dzikie, drapieżne psy dingo, o ryby oddychające płucami i skrzelami, o ptaki lirogony i wiele, wiele innych ciekawych go kwestii.

Już nawet ogólne informacje podróżnika wprawiły Tomka w duże podniecenie. Zaczął więc z kolei zasypywać Smugę pytaniami o australijskich krajowców, o klimat i inne ciekawostki kontynentu. Pod lawiną pytań Smuga poczuł lekkie łaskotanie w gardle, a potem ogarnęła go nieprzewyciężona senność. Zasnął wkrótce, niemal w połowie słowa. Siedział teraz naprzeciw Tomka i, mimo niewygodnej pozycji, spał już co najmniej od godziny. Początkowo Tomek spoglądał na niego ze zgorzaniem. Wprost nie rozumiał, w jaki sposób można nieoczekiwanie zasnąć podczas tak zajmującej rozmowy. Później zaczął bawić się doskonale, obserwując śmieszne ruchy, jakie wykonywała głowa i część tułowia śpiącego.

„Jeśli ojciec śpi tak samo twardo jak pan Smuga, to niedługo pożyjemy w Australii – osądził w końcu Tomek – bo na przykład zaśniemy gdzieś na stepie, a zbudzimy się w żołądkach dzikich dingo. Będę musiał czuwać nad nimi.”

Tomek urozmaicał sobie czas podobnymi rozmyślaniami, nie przypuszczając, że to właśnie wartki potok jego pytań spowodował senność opiekuna. Tak było w rzeczywistości. Łowcę, który bez wysiłku potrafił przez całe tygodnie tropić dzikie zwierzęta, zmógł nawał pytań czternastoletniego, ciekawego chłopca i w końcu zasnął ze zmęczenia.

Mijała godzina za godziną. Smuga spał bez przerwy. Tymczasem pociąg zbliżał się do Triestu. Pasażerowie zaczęli już przygotowywać się do wysiadania. Tomka ogarnął wielki niepokój. Widok twardo śpiącego Smugi nasunął mu straszliwe podejrzenie.

Od najmłodszych lat interesował się przeżyciami sławnych podróżników. Wiele też wiedział już o niebezpieczeństwach czyhających na obcych lądach. Smuga dużo podróżował i wspominał mu, iż przebywał przez dłuższy czas w Afryce. Kto wie, czy przypadkiem nie ukąsiła go jakaś złośliwa mucha tse-tse[6]? Może też zachorował na śpiączkę? Zaczął więc wiercić się i głośno chrząkać, lecz nie odnosiło to jakiegokolwiek skutku. Smuga spał w najlepsze. Teraz Tomek uzmysłowił sobie grozę własnego położenia. Jeżeli to śpiączka, to nie rozpozna ojca na dworcu. Nie zna go nawet z fotografii. Po chwili wszakże twarz mu się rozpogodziła.

„Zawołam dwóch numerowych i każę obnosić śpiącego pana Smugę po peronie – postanowił. – Wtedy ojciec pozna nas na pewno!”

Tak uspokojony oczekiwał na dalsze wydarzenia. Na szczęście wszelkie obawy okazały się zbyteczne. Załedwie pociąg zaczął zwalniać bieg, Smuga otworzył oczy i natychmiast spojrzął na zegarek.

– Zaraz wysiadamy – powiedział. – Zdrzemnąłem się trochę. Nie nudziłeś się, Tomku?

Tomek spoglądał poważnie na Smugę i dopiero po dłuższej chwili zapytał:

- Czy pan jest pewny, że w czasie pobytu w Afryce nie ukąsiła pana mucha tse-tse?
- Smuga potraktował zapytanie jako dalszą część przerwanej snem rozmowy i odparł:
- Mnie nie ukąsiła tse-tse, ale widziałem Murzynów chorujących na śpiączkę.
- A czy śpiączka jest zaraźliwa? – indagował Tomek.
- Nie, przecież powoduje ją jedynie ukąszenie tse-tse.
- Czy jest pan tego zupełnie pewny?
- Dlaczego o to pytasz? – zdziwił się Smuga.
- A może jednak poszedłby pan w Trieście do lekarza?

Teraz dopiero podróżnik domyślił się, co chłopca niepokoiło. Wybuchnął śmiechem.

– Nie obawiaj się – zawołał rozweselony – jestem zdrowy, a w stepie budzi mnie nawet szelest trawy.

Tomek miał zamiar wspomnieć o możliwości ocknięcia się ze snu w żołądku dzikiego dingo, ale w tej chwili przez okna pociągu zobaczyli budynki dworca w Trieście.

Pociąg wjechał na peron. Smuga zaraz otworzył okno; wychylony rozglądał się za ojcem Tomka. Wkrótce też machnął ręką na powitanie, a w kilka minut później Tomek znalazł się w mocnych objęciach wysokiego, barczystego mężczyzny.

– Nareszcie jesteśmy razem, mój kochany synu – usłyszał głos i natychmiast zapomniał o przygotowywanej przez wiele miesięcy powitalnej mowie, którą zamierzał wygłosić w chwili spotkania. Zdołał tylko zawołać, tak jak to czynił przed laty:

– Mój, mój kochany tatuś! – i rozplakał się jak małe dziecko.

Ojciec także wycierał załzawione oczy. Syn przypomniał mu przedwcześnie zmarłą żonę, którą musiał zostawić w kraju, oraz najcięższe w jego życiu chwile rozstania z nią. Tuląc chłopca w ramionach, ten silny, zahartowany przeciwnościami losu mężczyzna z trudem opanowywał wzruszenie. Dopiero po dłuższym milczeniu przemówił:

– Głowa do góry, Tomku! Teraz, gdy jesteśmy razem, mamy już najgorsze za sobą.

Smuga, cały czas obecny przy powitaniu, pełen subtelnej delikatności, nie odezwał się dotąd ni słowem. Znając już trochę upodobania Tomka, pragnął obecnie zwrócić uwagę chłopca na coś innego.

– Czy nasz statek jest już gotowy do wyruszenia w morze? – zapytał.

– Całkowicie. Jutro podnosimy kotwicę – potwierdził Wilmowski.

– Czy zaraz pojedziemy na statek? – natychmiast zainteresował się Tomek, ścierając z policzków ślady łez.

– Dzisiaj przenocujemy w hotelu – poinformował Wilmowski. – Na „Aligatora” przeniesiemy się jutro rano. No, a teraz zapraszam was na powitalny obiad, przygotowany dla nas na tarasie hotelu.

W tej chwili w porcie znajdującym się w pobliżu dworca rozległ się basowy ryk syreny okrętowej. Oczy Tomka zaiskrzyły się radością. Chwycił ojca mocno za rękę. Wyszli z dworca na ulicę. Do hotelu pojechali konną dorożką.

Zaledwie Smuga i Tomek zdążyli odświeżyć się po podróży, Wilmowski poprowadził ich na zastawiony stolikami taras. Roztaczał się stąd piękny widok na lazurowe wody Morza Adriatyckiego.

Tomek z zaciekawieniem spoglądał na widoczne w dali maszty statków. Ucieszył się bardzo, gdy zajęli stolik na końcu tarasu, skąd doskonale widać było część portu.

Oczekując na podanie obiadu w cieniu olbrzymiego, barwnego parasola rozpiętego nad stolikiem, ojciec zaczął wypytywać syna o wszystko, co działo się w domu po jego ucieczce.

Tomek opowiadał, że matka często była smutna i płakała. Udzielała lekcji, by zarobić na utrzymanie. Potem przyszła nieoczekiwana choroba i śmierć. Opowiedział również, jak to matka wtajemniczyła go w przyczyny ucieczki ojca z kraju, a także pochwalił się znajomością prawdziwej historii Polski.

Gdy Smuga powtórzył, co Tomek chciał zrobić w szkole, aby mieć powód do ucieczki za granicę, Wilmowski uściskał syna i poweselał.

W czasie obiadu przyjaciele wymieniali uwagi o przygotowaniach do dalekiej wyprawy.

– „Aligator” jest obecnie doskonale przystosowany do dalekomorskiego przewozu zwierząt – mówił Wilmowski. – Cała załoga znajduje się na statku; w każdej chwili możemy wyruszyć w morze.

– A kto jest kapitanem „Aligatora”? – zagadnął Smuga.

– Irlandczyk, kapitan Mac Dougal. Pływał on już chyba po wszystkich morzach naszego globu. Prócz marynarzy zabieramy również pięciu ludzi danych nam przez Hagenbecka dla doglądania zwierząt.

– Czy formalności z władzami australijskimi zostały już załatwione? – indagował Smuga.

– Tą sprawą zajęło się przedsiębiorstwo Hagenbecka za pośrednictwem kierownika ogrodu zoologicznego w Melbourne, zoologa, Karola Bentleya. Będzie on również towarzyszył nam w wyprawie jako doradca- odparł Wilmowski. – Cztery dni temu otrzymałem wszystkie dokumenty. Zaproponowano nam jednocześnie przywiezienie do Australii pięćdziesięciu wielbłądów z Afryki oraz słonia i tygrysa bengalskiego z Cejlonu. Nie będziemy wobec tego jechali do Australii bez ładunku.

– W jakiej miejscowości znajdują się te wielbłądy?

– W Port Sudan.

– To jest we Wschodniej Afryce nad Morzem Czerwonym – zaraz dodał Tomek.

– A gdzie w Australii mamy wylądować wielbłądy? – z kolei zapytał Smuga.

– W Port Augusta – wyjaśnił Wilmowski.

– Czy i my tam wylądujemy? – zaciekawiał się Tomek.

– Tak, tam opuścimy statek. Słoń i tygrys także stamtąd będą odesłane koleją do ogrodu zoologicznego w Melbourne.

– Czy wielbłądy nie są przeznaczone dla ogrodu zoologicznego? – zdziwił się Tomek.

– One odbędą podróż w innym celu. Osadnicy zamieszkujący południową i zachodnią Australię wykorzystują te zwierzęta jako siłę pociągową, ze względu na ich wytrzymałość na brak wody – odpowiedział Wilmowski.

– Czy nie moglibyśmy już dzisiaj przenieść się na statek? – poprosił Tomek.

– To niemożliwe – odparł ojciec. – Przede wszystkim musimy ciebie zaopatrzyć w odpowiednie ubranie do podróży i w inne konieczne drobiazgi.

Smuga i Wilmowski zaczęli omawiać podział zajęć poszczególnych członków ekspedycji. Tomek słuchał ich rozmowy w milczeniu, odczuwając coraz większy niepokój. Smuga wkrótce to zauważył i domyśliwszy się przyczyn podniecenia chłopca, powiedział:

– Ponieważ każdy uczestnik wyprawy musi pełnić jakąś funkcję, należałoby i Tomka uczynić za coś odpowiedzialnym.

– Myślałem już o tym – rzekł Wilmowski, a zwracając się do syna zapytał: – Umiesz strzelać?

Tomek poczerwieniał z zadowolenia. Pochlebiało mu, że ojciec ma dla niego funkcję związaną ze strzelaniem. Lecz jak tu się przyznać, iż prócz wiatrówki nigdy w życiu nie miał w ręku innej broni? Chrząknął więc kilka razy i mruknął:

– To zależy... z czego?

– A tak... ze sztucera?

– Oczywiście, że umiem – potwierdził Tomek na wszelki wypadek, nie chcąc pozbawiać się przyjemnej funkcji.

– To bardzo dobrze – powiedział Wilmowski, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie ze Smugą. – Chcemy powierzyć ci zaopatrywanie ekspedycji w świeże mięso.

– To ja niby mam polować?

– Tak! Czy to ci nie odpowiada?

– Myślę, że... mogę to robić – odparł Tomek, zachowując jak największą obojętność, jakkolwiek poczuł się bardzo niepewnie w nowej roli myśliwego.

– Wobec tego załatwione – zakończył Smuga.

Wyruszyli na miasto po zakupy. Nim nadszedł wieczór, Tomek miał już odpowiedni ekwipunek na wyprawę. Własnoręcznie zapakował do walizy flanelowe koszule, spodnie i mocne sznurowane buty ze sztylpami, które miały go chronić przed ukąszeniem węży,

licznie zadomowionych w Australii.

Resztę rzeczy, w myśl zapowiedzi ojca, miał znaleźć w swojej kabinie na „Aligatorze”.

Wieczorem wcześniej położyli się do łóżek, aby po raz ostatni przed długą morską podróżą wypocząć należycie na stałym lądzie. Tomek mimo wrażeń doznanych tego dnia zasnął niemal natychmiast. Przez całą noc śniły mu się polowania na kangury i dingo. Dzięki swej celności ratował ekspedycję od śmierci głodowej w stepach Australii, a nawet jednego upieczonego dzikiego dingo przesłał do Warszawy jako upominek wujostwu Karskim.

Podczas gdy chłopiec przeżywał we śnie tyle bohaterских przygód, ojciec jego nie mógł zasnąć przez długie godziny. Wspomnienia wywołane przybyciem syna budziły w jego sercu żal i niepokój. Życie przyniosło mu zbyt wiele trosk. Musiał porzucić najbliższą rodzinę, utracił żonę i pozostał sam na świecie. Naraz Tomek zawołał coś przez sen i wtedy Wilmowski uzmysłowił sobie, że przecież jest już przy nim ten kochany chłopiec, za którym tęsknił przez długie lata. Jakże poczuł się nagle szczęśliwy, że ma go przy sobie! Pojadą teraz na wyprawę do Australii, która w jego mniemaniu nie przedstawiała szczególnych niebezpieczeństw. Potem Tomek ukończy szkołę w Anglii. Wakacje będą spędzali razem i odbędą- wspólnie niejedną wyprawę. Może syn znajdzie w życiu więcej szczęścia.

NIESPODZIANKI NA „ALIGATORZE”

Był wczesny ranek, lecz na ulicach Triestu panował już ożywiony ruch. Dorożka, którą jechał Tomek z ojcem i Smugą, powoli torowała sobie drogę.

Po raz pierwszy Tomek znalazł się w portowym mieście. Z zaciekawieniem spoglądał na las masztów okrętowych widoczny w dużej zatoce. Skrzywienie dźwigów załadowujących na statki towary mieszało się z nawoływaniem marynarzy. Gwar, olbrzymi ruch panujący wokół i widok potężnych parowców robiły na chłopcu wielkie wrażenie, a nawet w pewnej mierze napełniały lękiem przed wielkim, nie znanym mu dotąd światem. Tomkowi wydawało się, że jest zaledwie maleńkim pyłkiem na drodze kroczących olbrzymów i lada chwila musi zginąć pod ich ciężkimi stopami. Daleka Warszawa, kilkakrotnie większa od Triestu, zdawała mu się obecnie najbezpieczniejszym schronieniem na świecie. Naraz zrozumiał, dlaczego ciotka Janina tak bardzo obawiała się jego wyjazdu za granicę.

„Jeśli tutaj jest już tak strasznie obco – myślał – to cóż oczekuje mnie na olbrzymim morzu, a potem w tej dalekiej, nieznannej Australii?”

Przypomniawszy sobie słowa nauczyciela geografii, który opowiadał o wielkich, nie dających cienia australijskich lasach, o bezwodnych stepach, pustyniach oraz o czarnych ludziach, używających do polowania i walki groźnych w ich rękach bumerangów[7].

Aż pobladł z wrażenia uzmysławiając sobie wszystkie oczekujące go niebezpieczeństwa. Kiedy wydało mu się, że nie ma już dla niego żadnego ratunku, poczuł nagle na swoim ramieniu dotknięcie ciepłej dłoni i usłyszał głos ojca:

– To tylko w pierwszej chwili wszystko wydaje się takie obce, Tomku. – Po kilku tygodniach przywykniesz do nowych warunków i będziesz się czuł tak pewnie, jak ryba w wodzie.

Ze zdziwieniem spojrział na ojca, a potem na Smugę. Obydwaj uśmiechali się przyjaźnie, jakby odgadywali wszystkie jego obawy.

„Jaki jestem niemądry! – pomyślał. – Przecież oni są ze mną!”

Zaraz też zrobiło mu się weselej.

– W jaki sposób odnajdziemy „Aligatora” w tym gąszczu statków? – zagadnął.

– „Aligator” zakotwiczony jest w głębi zatoki – odparł ojciec. – Za chwilę ujrzysz łódź, która już nas oczekuje.

Po kilkunastu minutach dorożka zboczyła na nabrzeże.

– Jesteśmy na miejscu – poinformował Wilmowski.

Obładowani pakunkami przeszli zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy rozgarniając silnymi rękoma mrowie ludzkie, dotarł do nich wysoki marynarz o szerokich ramionach.

– Dzień dobry, Andrzeju, dzień dobry panie Smuga! – zawołał po polsku. – Widzę, że

przybył już nasz warszawiak!

Wilmowski i Smuga przywitali się z marynarzem o osmalonej wichrem twarzy.

– Tomku, przedstaw się naszemu bosmanowi, panu Tadeuszowi Nowickiemu – powiedział Wilmowski.

Dłoń Tomka zniknęła na chwilę w dużej, żylastej dłoni bosmana, który nie tracąc czasu odebrał mu walizkę, ujął go za rękę i poprowadził w kierunku przystani.

– No, kochany chłopie, toś ty zaledwie wczoraj przyjechał z Warszawy? – rubasznie zapytał bosman, gdy znaleźli się na mniej zatłoczonej ludźmi części mola.

– Tak, proszę pana – potwierdził Tomek.

– A powiedz mi, kiedy ostatni raz byłeś w Łazienkach?

Tomek zastanowił się chwilę, po czym odparł:

– Akurat pięć dni temu poszedłem przed odjazdem popatrzeć jeszcze na łabędzie.

– Tak bardzo lubisz Łazienki i te łabędzie?

– Naprawdę lubię! Uciekałem z domu, aby włóczyć się po Łazienkach i Ogrodzie Botanicznym. Obrywałem też za to od ciotki!

– Toś mi bliski, brachu! Chętnie posłucham, co tam słyhać w starej, kochanej Warszawie. Nie byłem przecież w domu ładnych parę lat!

– To pan także pochodzi z Warszawy? – zdziwił się Tomek.

– Z Powiśla, kochany brachu! I wierz mi, że chociaż wiele cudów ujrzysz podczas włóczęgi po świecie, takiej rzeki jak Wisła i takiego miasta jak Warszawa nigdzie nie znajdziesz.

Tomek sam nie wiedział, dlaczego nagle poczuł wielką sympatię dla olbrzymiego bosmana. Nie zastanawiając się ani chwili, rzekł:

– Przed odjazdem z Warszawy kupiłem sobie komplet pocztówek z widokami miasta. Podzielę się nimi z panem.

– Widzę, że szukaliśmy się w korcu maku – wesoło rzekł olbrzymi bosman. – Taki upominek uraduje mnie więcej niż butelka najlepszego rumu.

Rozmawiając zbliżali się do krańca pomostu, gdzie w dużej łodzi oczekiwało na nich czterech marynarzy. Bosman usadowił Tomka obok siebie na ławce przy sterze. Natychmiast odbili od brzegu.

Tomek z uwagą odczytywał nazwy statków, szukając „Aligatora”. Nie mogąc go dostrzec, zwrócił się do marynarza:

– Panie bosmanie, czy stąd można już zobaczyć nasz statek?

– Zerknij na ten parowiec w głębi zatoki, z którego komina wali dym jak z Wezuwiusza[8] - wyjaśnił bosman. – To jest właśnie, nasz „Aligator”.

Tomek spojrział we wskazanym kierunku. Ujrzał statek niezbyt wielkich rozmiarów, w porównaniu z innymi dalekomorskimi parowcami zakotwiczonymi w porcie. Łódź szybko zbliżyła się do „Aligatora”. Z pokładu zwisały na blokach liny; do nich to zaraz przymocowano łódź i opuszczono sznurową drabinę.

Tomek zachęcony przez bosmana pierwszy wszedł po chwiejnych stopniach na pokład. Zaledwie dotknął go stopami, ujrzał niskiego, szczupłego mężczyznę z fajką w zębach.

– Jeżeli się nie mylę, to mam przyjemność widzieć młodego pogromcę dzikich zwierząt. Oczekujemy na ciebie już od wczoraj – odezwał się mężczyzna wyjmując fajeczkę z ust – Jestem Mac Dougal.

– Dzień dobry, panie kapitanie! – odpowiedział Tomek po angielsku, stwierdzając z zadowoleniem, że nauka obcego języka nie poszła na marne. – Jestem Tomasz Wilmowski.

Kapitan dotknął dwoma palcami daszka czapki i podał Tomkowi rękę mówiąc:

– Bosman Nowicki przygotował dla ciebie kajutę tuż obok mojej, będziemy sąsiadami. Czy chrapiesz bardzo głośno w czasie snu?

– Chrapię tylko wtedy, gdy śpię na wznak, panie kapitanie.

– Nie przejmuj się tym. Ja to czynię w każdej pozycji – odparł z uśmiechem kapitan witając się z Wilmowskim i Smugą wchodzącymi kolejno na pokład.

– Czy wszystko przygotowane do odjazdu? – zapytał Wilmowski.

– Kotły trzymamy pod parą już od świtu – odpowiedział Mac Dougal.

– Jeśli pan gotów, to możemy podnieść kotwicę – polecił Wilmowski.

Po wąskich, żelaznych stopniach weszli na górny pokład, gdzie umocowano łódź wyciągniętą z morza. Mac Dougal stanął na mostku kapitańskim; natychmiast zaczął wydawać rozkazy.

Wkrótce też rozległa się syrena okrętowa. Tomkowi wydało się, że pokład drży pod jego stopami. Usłyszał chrzęst łańcuchów podnoszących kotwicę. Syrena po raz trzeci zahuczała głuchym basem. Statek drgnął, jakby nagle ożył, i nieznacznie zaczął zmieniać swoje położenie.

– No, Tomku, rozpoczęliśmy naszą pierwszą wspólną wyprawę – zagadnął Wilmowski.

– Patrz, tatusiu! Wygląda, jakby brzeg odsuwał się od nas, a nie my od niego – zawołał Tomek.

Zaledwie wyczuwalne drżenie pokładu oznajmiło uruchomienie maszyn. „Aligator” ruszył naprzód, wkrótce wypłynął z zatoki w morze. Tomek stojąc obok ojca obserwował ład oddalający się coraz bardziej...

– Kapitan Mac Dougal powiedział, że moja kajuta znajduje się tuż obok jego – odezwał się, kiedy domy na wybrzeżu zaczęły zmieniać się w wąski kolorowy pasek.

– Mamy na statku dość dużo wolnych pomieszczeń – wyjaśnił Wilmowski – wobec tego każdy z nas otrzymał własny kącik. Jest to bardzo celowe, na „Aligatorze” spędzimy kilka miesięcy.

– Czy w czasie pobytu w Australii będziemy również mieszkać na statku? – zaciekał się Tomek.

– „Aligator” jest naszą główną bazą operacyjną. Stosownie do potrzeb będzie mógł zmieniać miejsce postoju. W ten sposób zwierzęta schwytane w czasie poszczególnych wypraw możemy odsyłać na statek. Większość z nich bardzo źle znosi pierwszy okres niewoli. W nieodpowiednich warunkach transportowych wiele zwierząt ginie niepotrzebnie. Dlatego też „Aligator” będzie dla nich najdogodniejszym miejscem pobytu.

– Czy zwierzęta chorują w czasie morskiej podróży? – pytał niezmordowany Tomek.

– Niektóre chorują, lecz niemal wszystkie są rozdrażnione. Pomówimy o tym przy okazji. Teraz musisz urządzić się w swojej kabynie.

Wilmowski zaprowadził syna do nadbudówki położonej na górnym pokładzie. Po obydwóch stronach wąskiego korytarza znajdowały się drzwi opatrzone tabliczkami z numerami. Wilmowski zatrzymał się na progu i poinformował syna:

– Pierwsze drzwi po lewej – to kabina kapitana. Następne twoja, trzecie moja, a ostatnie należą do Smugi. Drugą stronę korytarza zajmują oficerowie i bosman Nowicki. Reszta załogi ma swoje kwatery o piętro niżej. Tam też mieszczą się wspólne sale.

Wilmowski przystanął przed kabiną przeznaczoną dla Tomka; z uśmiechem zaproponował:

– Wydaje mi się, że najlepiej będzie zacząć zwiedzanie statku od twojej własnej kabiny. Proszę, wejdź pierwszy!

Tomek otworzył drzwi. Ogarnęło go zdumienie, gdy rozejrzał się po przytulnym pokoiku. Nad wąskim, przymocowanym do ściany łóżkiem wisiał lśniący sztucer.

– Tatusiu, czy wszystko to, co jest w kabynie, należy do mnie? – upewniał się, z trudem hamując ogarniające go wzruszenie.

– Tak – odparł ojciec – znajdziesz tu cały ekwipunek konieczny na wyprawę.

– Irka, Witek i Zbyszek pękną z zazdrości, kiedy im o tym napiszę! – zawołał Tomek.

– Czy masz ochotę zwiedzić teraz resztę statku? – zapytał Wilmowski, widząc, że Tomek co chwila niecierpliwie spogląda na wiszący nad łóżkiem sztucer. – A może wolisz najpierw rozejrzeć się tutaj?

– Myślę, że tak będzie najlepiej. Później mogę obejrzeć statek – orzekł Tomek zadowolony z propozycji.

– Dobrze, zostań więc w swojej kabynie, a ja pójdę na naradę z panem Smugą i kapitanem. Będziemy w palarni na dolnym pokładzie. Wystarczy zejść schodkami znajdującymi się w końcu korytarza, aby trafić do nas.

– Doskonale, tatusiu. Przyjdę tam do Was.

Zaledwie drzwi zamknęły się za ojcem, Tomek jednym susem wskoczył na łóżko; z największą ostrożnością zdjął sztucer z wieszaka. W skupieniu oglądał na wszystkie strony lśniącą broń. Wyraz niepokoju ukazał się na jego twarzy. Tak był zajęty, że nawet nie usłyszał wejścia bosmana.

– Ho, ho! Widzę, że zafundowałeś sobie piękną broń na wyprawę – odezwał się bosman Nowicki.

Tomek drgnął przestraszony i omal nie upuścił sztucera.

– Nie słyszałem, jak pan wchodził do kabiny – usprawiedliwił się, zmieszany widokiem marynarza.

– Nie masz się czego wstydzić, braciszku – powiedział ze śmiechem bosman. – potrafię podejść nawet do śpiącego lwa nie zwracając na siebie uwagi. Masz piękny sztucer. Nowy zapewne!

– Myślę, że... nowy – potwierdził Tomek.

– Nowoczesna broń. Na pewno nie widziałeś jeszcze takiej w Warszawie – mówił dalej bosman. – Pokaż, braciszku, obejrzymy ją wspólnie.

Z westchnieniem ulgi Tomek podał sztucer bosmanowi. Musiał on być nie lada znawcą broni, gdyż w jego rękach ożyła nagle, ukazując wszystkie swe tajniki. W kilka minut rozłożył niemal cały sztucer, wyjaśniając jednocześnie przeznaczenie poszczególnych części. Potem złożył go z powrotem i zaproponował:

– No, braciszku, spróbuj teraz zrobić to samo. Słyszałem od twego ojca, że masz być naszym, dostawcą świeżego mięsa, musisz więc doskonale poznać swoją broń, aby móc na niej polegać.

Za trzecim razem Tomek ku swej wielkiej radości samodzielnie rozebrał i złożył sztucer. Bosman zdawał się odgadywać jego najskrytsze myśli, mówiąc:

– Jest tu na statku miejsce, gdzie nie podglądani przez ciekawskich będziemy mogli wypróbować to błyszczące cacko. Od jutra rozpoczniemy naukę strzelania.

– I nikt nie będzie o tym wiedział? – zaciekawił się Tomek.

– Chyba jakiś zabłąkany szczur okrętowy, których na pewno nie brak pod pokładem tego starego pudła. Maszyny zagłuszą huk strzałów, ponieważ urządzimy sobie strzelnicę w pobliżu smoluchów[9].

– A to wspaniale! – ucieszył się Tomek. Przecież odkąd wiedział o funkcji wyznaczonej mu na czas wyprawy, nie zaznał chwili spokoju. Toteż sympatia, jaką poczuł do bosmana już w Trieście, pogłębiła się teraz ogromnie. Z pośpiechem przetrząsnął walizę. Wydobył z niej dużą kopertę i podał ją bosmanowi.

– Mieliśmy podzielić się widokówkami Warszawy. Proszę, niech pan wybierze te, które się panu podobają najwięcej – zaproponował zachęcająco.

Bosman usiadł, przy stoliczku, rozłożył przed sobą wszystkie pocztówki i długo oglądał je w milczeniu. Wreszcie zaczął odkładać na prawą stronę pocztówki przedstawiające dzielnice miasta leżące w pobliżu Wisły.

– Słuchaj, mały brachu, o ile nie masz nic przeciwko temu, to te właśnie chciałbym zatrzymać dla siebie – zwrócił się do Tomka.

– Oczywiście, zgadzam się na to. Dziwi mnie tylko, że wybrał pan jedynie widokówki z samego Powiśla.

– Wychowałem się na Powiślu. Tam mieszkają moi staruszkowie – wyjaśnił bosman.

– Czy pan bardzo tęskni za Warszawą?

– Jak ryba za wodą!

– Czemu więc nie pojedzie pan w odwiedziny?

– Czy wiesz, z jakiego powodu twój ojciec nie może powrócić do kraju? – zapytał bosman.

– Wiem!

– Zaraz zrozumiesz, dlaczego nie jadę do Warszawy, gdy powiem, że razem z nim musiałem wiać za granicę. Ta jedynie była między nami różnica, że on pozostawił żonę i ciebie, a ja tylko moich staruszków.

Tomek spojrzał ze zdziwieniem na bosmana, który po krótkiej chwili milczenia dodał:

– Tak, tak, po ucieczce z Warszawy nie powodziło się nam najlepiej. Trzeba było szukać pracy na obczyźnie. Mnie coś pchało na morze. Udało mi się zaciągnąć na statek. Po kilku latach dochrapałem się bosmana. Twój ojciec natomiast zaczął pracować u Hagenbecka. Przed kilkoma miesiącami spotkaliśmy się w Hamburgu. Wtedy właśnie powiedział mi o „Aligatorze”. Czasem dobrze jest mieć przy sobie starego druha, szepnął więc słówko Hagenbeckowi i... płyniemy razem do Australii.

– A to wspaniale! – zawołał Tomek. – Czy pan Smuga również musiał uciekać z kraju?

– O nie, braciszku kochany! On jeden z całej naszej paczki jest z prawdziwego powołania podróżnikiem i łowcą zwierząt. Podobno jeszcze raczkując, chwycił już dla wprawy koty za ogony.

– To pan Smuga tak wcześnie wybrał sobie zawód? – zaśmiał się Tomek, domyślając się w tym powiedzeniu żartu.

– Tak by z tego wynikało. On ma, jak to się mówi, łowienie zwierząt we krwi.

– Co to znaczy, proszę pana? – zapytał Tomek zaintrygowany słowami bosmana.

– No, tak się mówi, gdy chce się powiedzieć, że ktoś ma specjalną żyłkę do czegoś, taką smykałkę, rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem – odparł Tomek z zadowoleniem. – To znaczy, że ktoś ma specjalne zamiłowanie lub uzdolnienie do czegoś.

– Trafieś teraz, brachu, w samo sedno rzeczy – orzekł bosman. Tomka ogarnęła niezwykła ciekawość, czy przypadkiem i on nie posiada takiej „żyłki” do łowienia zwierząt, toteż zaraz zapytał bosmana:

– Proszę pana, ciekaw jestem, czy można wyrobić w sobie taką „żyłkę” do włóczęgi i łowienia zwierząt?

Bosman spojrział na chłopca spod oka. Tłumiąc wesołość odparł:

– Mówi się przecież, że przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, więc chyba można. Trzeba tylko mieć dobre chęci i głowę nie od parady.

Tomek poweselał. Nie zdradzając się przed bosmanem, postanowił wiernie naśladować we wszystkim pana Smugę, aby z czasem stać się takim wytrawnym łowcą jak on.

Bosman chował do kieszeni bluzy pocztówki, gdy na korytarzu zabrzmiał donośny dźwięk gongu.

– Coś się chyba stało! – zaniepokoił się Tomek.

– Zgadłeś, brachu! Kucharz ugotował obiad – odparł poważnie bosman. – Wobec tego smarujemy szybko do jadalni.

– Hm, to tylko obiad... – mruknął Tomek.

Obszerna jadalnia mieściła się na niższym pokładzie. Tomek i bosman zastali już w niej kilkanaście osób.

– Jesteście nareszcie – odezwał się Wilmowski na widok wchodzących. – Tak długo przebywałeś, Tomku, w swojej kabinie, że obawiałem się, czy gong na obiad zdoła cię z niej wywabić.

– Nie wiedziałem, że już jest tak późno – tłumaczył się Tomek, nie spostrzegając porozumiewawczych spojrzeń wymienianych przez ojca i bosmana.

Tymczasem Wilmowski śmiał się w duchu z naiwności syna, który nawet nie domyślił się, że ojciec przejrzał na wylot jego chłopięcą ambicję. Orientował się doskonale, że Tomek nie ma pojęcia o polowaniu i strzelaniu. Wyznaczenie mu funkcji „wielkiego łowczego wyprawy” było żartem, który został potraktowany przez Tomka z całą powagą. Wilmowski przypuszczał, że sztucznie okazywana przez syna obojętność rozwieje się na widok wspaniałego sztucera. Ku jego zdumieniu Tomek sprytnie ukrył swą obawę i wielkie zaciekawienie. Nie chcąc mu psuć przyjemności, poprosił bosmana Nowickiego, aby w dyskretny sposób nauczył go obchodzić się z bronią. Bosman ochoczo podjął się tej misji. Przecież Tomek był dla niego częsteczką ukochanej, dalekiej Warszawy. Toteż z powierzonego zadania wywiązał się znakomicie i teraz, mrugając porozumiewawczo do Wilmowskiego, dawał znać, że wszystko poszło jak najlepiej.

Wilmowski przedstawił syna zebranim w jadalni członkom załogi, po czym wszyscy usiedli przy stole.

Tomek spożywał obiad w wielkim roztargnieniu. Postanowił przecież solennie we

wszystkim naśladować pana Smugę, spoglądał więc co chwila na niego i rozmyślał:

„Bosman Nowicki musi wiele wiedzieć, skoro z taką łatwością rozkłada sztucer, jak na przykład ja nabieram teraz na łyżkę zupy z talerza. Zabawne to wprowadzie, ale chyba pan Smuga, jeszcze na czworakach chodząc, rzeczywiście chwycił dla wprawy koty za ogony. Wielka szkoda, że ciotka Janina nie lubiła zwierząt i nie pozwalała trzymać w domu nawet kota. Ha, nie ma innej rady! Muszę wiernie naśladować pana Smugę. Wtedy najprędzej zostanę wielkim łowcą, a może nawet i pogromcą.”

Szybko jadł zupę, mimo że wydawała mu się niezbyt smaczna. Udało mu się nawet wyprzedzić Smugę o kilka łyżek, lecz radość jego zmieniła się w przerażenie, gdy spostrzegł, że podróżnik nalewa sobie na talerz drugą porcję.

„W spaniu to może jeszcze z czasem dorównam panu Smudze – pomyślał z goryczą – ale w jedzeniu nie dam rady. Przynajmniej nie tak od razu. Muszę przy okazji zapytać bosmana Nowickiego, czy pan Smuga miał już taki apetyt od najmłodszych lat.”

Do wyjaśnienia niepewności postanowił jeść umiarkowanie. Teraz zwrócił swą uwagę na resztę załogi. Składała się ona z przedstawicieli różnych ras i narodowości. Szczególnie spodobało mu się dwóch atletycznie zbudowanych Murzynów palaczy. Dlatego też zdecydował się rozpocząć zwiedzanie statku od kotłowni.

Dopiero późnym wieczorem udał się do swej kabiny na spoczynek. Szybko rozebrał się, wskoczył do łóżka i zgasił światło. Przyrzekł ojcu, że postara się zasnąć natychmiast, ale mimo najszczerzej chęci wcale nie był senny. Jakże tu można zasnąć, gdy w ciągu niedługich kilku godzin przeżyło się tyle emocjonujących wrażeń! Przymknął wprowadzie powieki, lecz natychmiast przypomniał sobie półnagich palaczy, którzy wielkimi łopatami wrzucali węgiel do potężnych pieców buchających żarem. Potem przeniósł się myślami do budki sternika, widział czuwających oficerów i marynarzy. Wszyscy oni trudzili się po to, aby bezpiecznie doprowadzić statek do dalekiej Australii. Następnie przypomniał sobie cel podróży; zaczął rozmyślać, ile to przygód oczekuje go w najbliższej przyszłości.

Leżał w wąskim okrętowym łóżku i przeżywał w wyobraźni olbrzymie polowanie na szybkonogie kangury i krwiożercze dingo. W ciągu niedługiego czasu dokonał w myślach tylu nadzwyczajnych czynów, że w końcu zmęczony zasnął.

WRÓŻBITA Z PORT SAIDU

Była piękna, bezwietrzna, słoneczna pogoda. „Aligator” płynął spokojnie po wygładzonym jak zwierciadło Morzu Adriatyckim. Tomek czuł się na statku bezpiecznie jak w domu u ciotki Janiny. Żywe usposobienie oraz ciekawość nie pozwalały mu zbyt długo usiedzieć na jednym miejscu. Całe dni spędzał w ustawicznym ruchu. Schodził do kotłowni do palaczy, zaglądał do pomieszczeń przygotowanych dla zwierząt, zaprzyjaźnił się z kucharzem, odwiedzał marynarzy w ich kwaterach i po dwóch pracowicie spędzonych dniach znał już na pamięć wszystkie zakamarki „pływającego zwierzyńca” na równi z kapitanem Mac Dougalem.

Zgodnie z przyrzeczeniem bosman Nowicki rozpoczął naukę strzelania. W jednym z pomieszczeń przeznaczonych dla zwierząt urządził strzelnicę, w której spędzał z Tomkiem codziennie po kilka godzin, strzelając do zaimprovizowanej tarczy.

Każdego ranka Tomek zachodził do palarni i uważnie studiował mapę, na której oznaczano drogę przebytą przez statek w ciągu doby. Siódmego dnia czarna linia nieomal dotykała wybrzeży Afryki. Tomek wybiegł zaraz na pokład. „Aligator” zbliżał się już do portu. W małej grupce mężczyzn stojących na górnym pokładzie dostrzegł ojca i Smugę. Szybko podbiegł do nich.

– Tatusiu, czyżby to był już Port Said[10]? – zagadnął.

– Tak, wpływamy do Port Saidu, leżącego u wrót Kanału Sueskiego – powiedział Wilmowski.

– Czy będziemy mogli wysiąść na ląd? – pytał Tomek niecierpliwie, ciekaw ujrzeć miasto znane mu dotąd tylko z lektury i nauki geografii w szkole.

– Uzupełnimy tutaj nasz zapas węgla. Postój „Aligatora” potrwa więc kilka godzin. Po południu zwiedzimy miasto – odpowiedział Wilmowski.

Przy akompaniamencie ryku syreny „Aligator” ostrożnie manewrował wśród setek łodzi i mniejszych statków, przepłynął obok kilku dużych parowców spokojnie drzemiących w głębi portu i zarzucił kotwicę w pobliżu lądu.

Tomek z ciekawością spoglądał w kierunku miasta, nad którym szeroko rozciągało się bezchmurne, wyłoczone palącym słońcem niebo. Wysoko ponad dachy niskich domów wystrzelała śmigła wieża latarni morskiej, a w dali pięły się ku niebu iglice minaretów[11].

Zaledwie „Aligator” stanął na uwięzi, otoczył go rój łodzi. Znajdowali się w nich ruchliwi Arabowie i Murzyni trudniący się przewożeniem pasażerów ze statków na wybrzeże. Skoro jednak dowiedzieli się, że „Aligator” nie jest statkiem pasażerskim, odpłynęli pospiesznie. Teraz natomiast zbliżyło się kilka łódeczek. Mali wioślarze, półnaczy chłopcy arabscy, wrzaskliwie usiłowali porozumieć się z załogą statku.

– Czego oni chcą od nas? – zapytał Tomek zaintrygowany ich hałaśliwym zachowaniem.

– Zaraz zobaczysz – odparł Wilmowski. Wyjął z kieszeni portmonetkę. Zaledwie w jego

dłoni błysnęła srebrna moneta, jedna z łódek jeszcze bardziej zbliżyła się do statku.

– Teraz uważaj dobrze – powiedział do syna.

Moneta rzucona za burtę wpadła w morze. W tej chwili mały Arab skoczył z łodzi głową w dół, zniknął w głębinie na kilka sekund i wkrótce wynurzył się znów na powierzchnię, trzymając w zębach pieniążek.

– Ależ to wspaniały pływak! – zdumiał się Tomek. – Daj mi tatusiu kilka monet, muszę dokładnie przyjrzeć się, jak on to robi.

Tomek rzucał monety zręcznym nurkom Port Saidu, a także przyglądał się „magicznym sztukom” produkowanym przez starszego Araba. Dopiero po wyczerpaniu otrzymanych od ojca srebrnych monet spostrzegł, że po przeciwnej stronie statku dzieje się coś nowego. Wychylił się za burtę. Ujrzał pięć ciężkich kryp załadowanych węglem, które kolejno miały podpływać do luku otwartego w boku parowca. Jedna z nich właśnie przyłgnęła do „Aligatora”. Mrowie brunatnych, półnagich Arabów zwinnie zaczęło przeładowywać kosztami węgiel na statek. Chmury czarnego pyłu docierały aż na pokład. Swobodnie poruszający się na krypach Arabowie spoglądali na marynarzy stojących na pokładzie, ukazując w wesołym, szczerym uśmiechu mięsistych warg przedziwnie białe zęby.

Przeładunku pilnował stary Arab w brudnym burnusie. Nie żałował grubego sznura i najczęściej bijąc powietrze – niby to popędzał ładowaczy.

Smuga zbliżył się do Tomka.

– Przygotuj się do zejścia na ląd! – zawołał, a kiedy chłopiec odwrócił się twarzą do niego parsknął śmiechem i dodał: – Do licha! Przecież wymalowałeś się na Murzyna.

Teraz dopiero Tomek spostrzegł, że cały pokryty jest czarnym węglowym pyłem unoszącym się wokoło.

– A to się zagapiłem! – odparł. – Zaraz pójdę się przebrać. To wszystko przez tego starego Araba dozorcę o wyglądzie więdźmy. Niech pan spojrzy! Jak on śmiesznie udaje, że popędza innych w pracy! Tymczasem wszyscy się z tego śmieją.

– Taki jest już ich ceremoniał pracy – powiedział Smuga. – Bez tego starego poganiacza przeładunek szedłby na pewno równie sprawnie. Umyj się teraz i przebierz, gdyż zaraz wsiadamy do łodzi.

Tomek pobiegł do kabiny. Wkrótce umyty i w czystym ubraniu znowu pojawił się na pokładzie. Ojciec, Smuga i bosman Nowicki już czekali na niego. Po sznurowej drabinie zeszli do łódki. Niebawem znaleźli się na lądzie. Otoczyli ich rozkrzyczani przewodnicy, proponując swe usługi przy zwiedzaniu miasta. Bosman Nowicki rzucił im kilka monet, po czym odprawił ruchem ręki, gdyż znał już dobrze Port Said z czasu poprzednich rejsów.

Wkrótce znaleźli się na długiej, nadzwyczaj ruchliwej ulicy, zabudowanej niskimi domami. Wystawy sklepowe przeładowane były najrozmaitszymi przedmiotami. Tomek co chwila przystawał, by podziwiać straszliwe, złocone smoki, misterne rzeźby z kości słoniowej, przezrocyste i delikatne naczynka z chińskiej porcelany, śmieszne, barwne

figuryнки, przedziwne szkatuły z drzewa sandałowego, piękne materie tkane złotem oraz srebrem i tyle, tyle różnych widzianych po raz pierwszy przedmiotów. Właściciele sklepów natarczywie zachwalali swoje towary, namawiali do ich obejrzenia. W końcu gwar różnojęzycznych głosów oszołomił Tomka do tego stopnia, że skrył się między swych towarzyszy. Wkroczyli do dzielnicy europejskiej, zabudowanej wyższymi, schludniejszymi budynkami. Tutaj mieściły się hotele, banki i przedsiębiorstwa handlowe, a wśród rozległych ogrodów bielili się wille bogatszych mieszkańców.

Z kolei przeszli do dzielnicy arabskiej. Wśród nielicznych murowanych domów rozpościerały się budy sklecone z trzciny polepionej gliną, pełne łat, dziur i brudu. Przede wszystkim jednak na plan pierwszy wysuwały się, jakby przyrośnięte do ścian domów, liczne stragany z jarzynami oraz ponętymi wschodnimi owocami. Po ulicach spokojnie spacerowały osiołki i kozy, nie zwracając uwagi na krzykliwych przechodniów. Kiedy nasi podróżnicy mijali jedną z lepianek, siedzący na ziemi stary, skulony Arab zawołał:

– Przystańcie na chwilę, szlachetni przybysze!

Zatrzymali się, a starzec wpił w nich przenikliwy wzrok. Wyciągnął ku nim suchą dłoń o mocno pomarszczonej skórze i zaczął mówić skrzeczącym głosem:

– Każdy człowiek ma wyznaczony w księdze życia swój los. Za kilka nędznych srebrników powiem każdemu z was, co go czeka w życiu.

Smuga rzucił wróżbicie monetę. Naśladując jego sposób mówienia odparł: – Masz, szlachetny mężu, lecz nie potrzebujesz męczyć się przepowiadaniem mego losu. Równie dobrze jak ty umiem czytać w księdze życia. Dlatego też uchylę ci rąbka tajemnicy – nawet zupełnie bezinteresownie – i powiem, że nie zrobisz nigdy majątku na twoich wróżbach.

Brunatna dłoń drapieżnym ruchem schwyciła błyszczący pieniążek, który natychmiast zniknął w woreczku zawieszonym u pasa.

– Przystaniesz się śmiać, kiedy między tobą a śmiercią stanie mały chłopiec. Może pożałujesz wtedy, że nie chciałeś posłuchać mojej wróżby – odpowiedział Arab, po czym jego cienkie wargi wykrzywiły się w pogardliwym uśmiechu.

Pomarszczona twarz starca oraz jego dziwne słowa zrobiły na Tomku pewne wrażenie. Bezwiednie wygrzebał z kieszeni srebrną monetę i włożył ją do glinianej miseczki stojącej na ziemi przed wróżbitą. Zanim chłopiec zdążył odejść, spod brudnego burnusa wychyliła się koścista dłoń. Niespodziewanym, szybkim ruchem wróżbita chwycił go za rękę i przyciągnął ku sobie.

– Posłuchaj starego Araba – odezwał się skrzekliwym głosem, nie puszczać ręki Tomka. – Młody jesteś i długo żyć będziesz. Zapamiętasz więc i wspomnisz moje słowa.

Prawą dłonią rozgarnął piasek leżący przed nim w blaszanej misce i jakby czytając w nim, mówił:

– W dalekim i dzikim kraju znajdziesz to, czego inni będą szukali bezskutecznie. Kiedy to się stanie, zyskasz najlepszego przyjaciela, który nigdy nie powie ani słowa...

Wilmowski wzruszył niecierpliwie ramionami. Następnie wziął Tomka za rękę i powiedział:

– Dość już tej głupiej zabawy! Chodźmy teraz napić się czegoś zimnego.

Odeszli od wróżbity szybkim krokiem, a on, uśmiechając się złośliwie, spoglądał za nimi przekrwionymi oczyma.

Smuga i Wilmowski po drodze opowiadali zabawne historyjki o arabskich wróżbitach. Tomek i bosman Nowicki przysłuchiwali się w milczeniu. Niebawem zasiedli w dużej kawiarni przy stoliku. Tomek kręcił się niespokojnie na krzeselku, aż w końcu odezwał się do swych towarzyszy.

– Tatuś i pan Smuga twierdzą, że ten stary Arab mówił same bzdury. Skąd on jednak mógł wiedzieć, że jedziemy do dalekiego i dzikiego kraju?

– W tak ruchliwym portowym mieście można każdemu Europejczykowi powiedzieć to bez chwili wahania – odparł Smuga. – Wróżbici mają zdolność wyłudzenia pieniędzy od naiwnych. Nie warto zwracać uwagi na ich gadaninę.

– Pierwszy pan dał mu jałmużnę – roześmiał się bosman Nowicki. – Wróżb nie chce pan słuchać, ale pieniążków nie żałuje. Inaczej mówiąc „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”. No, ale za tę obłudę uraczył pana niezłą przepowiednią. Ja tam nie lubię, gdy taki staruch źle mi wróży. Dlatego też trzymam język za zębami przechodząc obok wróżbitów.

– Jałmużnę daję, bo przecież śmieszny staruszek musi jakoś zarobić na utrzymanie – bronił się Smuga ze śmiechem. – W żadne gusła nie wierzyłem od najmłodszych lat. Nie przejmuję się niebezpieczeństwem, gdy mam przy sobie dobrą broń.

– Dzięki twoim żartom nakarmił nas straszliwymi, w jego mniemaniu, przepowiedniami – wesoło wtrącił Wilmowski.

– Zdaje mi się, że czas już zwinąć żagle i pomyśleć o powrocie na statek – zauważył zawsze praktyczny i punktualny bosman Nowicki. – Wieczorem podnosimy kotwicę.

– Rzeczywiście czas już na nas – potaknął Wilmowski. Wyszli z kawiarni. W drodze powrotnej kupili całe naręcza soczystych, południowych owoców. W dobrym nastroju przybyli na „Aligatora”. Na pokładzie znajdował się już pilot, który miał przeprowadzić statek przez kanał.

Zaledwie pierwsze gwiazdy rozblysnęły na niebie, „Aligator” wpłynął w Kanał Sueski. W żółtym tempie minął jednopiętrowy, jaskrawo oświetlony pałac Kompanii Suezu[12], mieszczący biura przedsiębiorstwa oraz liczne zabudowania, o których przeznaczenie Tomek zapomniał zapytać. Wszyscy pasażerowie przebywali na górnym pokładzie, gdyż zaduch w kabinach wprost uniemożliwiał pozostawanie w zamkniętych pomieszczeniach. Korzystając z tego, Tomek z zaciekawieniem spoglądał na długą, wąską wstęgę wody, ciągnącą się między brzegami ujętymi w niskie, piaszczyste tamy.

Ucząc się geografii w szkole, zupełnie inaczej wyobrażał sobie ów słynny Kanał Sueski, który odegrał historyczną rolę skracając i czyniąc bardziej bezpieczną drogę z Europy do

Indii. Tyle nasłuchał się o trudnościach związanych z budową kanału, a tymczasem w rzeczywistości wyglądał on bardzo nieskomplikowanie. Odezwał się więc do ojca zawiedzionym tonem:

– Nie rozumiem, dlaczego przekopywanie tak wąskiego kanału musiało trwać aż tyle lat?

– Mówiąc ściśle, prace przy budowie kanału rozpoczęto w 1859 roku, a zakończono je dopiero w 1869. Trwały więc one dziesięć lat – wyjaśnił Wilmowski. – Budowa kanału stanowiła dla wykonawców niezwykle trudne zadanie. Obecna jego długość wynosi przecież około stu sześćdziesięciu kilometrów. Z tego sto dwadzieścia przypada na wykopane koryto, a reszta na jeziora i cieśniny łączące poszczególne odcinki kanału. Aby uzmysłwić sobie ogrom pracy, jaką należało wykonać, wystarczy powiedzieć, że trzydzieści tysięcy ludzi przez dziesięć lat pracowało w pocie czoła nad realizacją dzieła, które ponadto pochłonęło olbrzymią sumę pięciuset milionów franków.

– Nigdy nie przypuszczałem, że przekopanie tego kanału wymagało tylu trudów i pieniędzy – odparł Tomek. – Jak długo będziemy płynęli przez kanał?

– Około dwudziestu godzin, ponieważ zgodnie z obowiązującymi przepisami przy wymijaniu musimy dawać pierwszeństwo przejazdu statkom pocztowym.

– Wobec tego będę mógł jeszcze za dnia przyjrzeć się okolicy – ucieszył się Tomek.

W najlepszym humorze udał się na spoczynek. Czuł się zmęczony długim spacerem po Port Saidzie. Następnego ranka znalazł sobie świetny punkt obserwacyjny. Nie zauważony przez nikogo wspiął się do łodzi ratunkowej umocowanej na górnym pokładzie, skąd roztaczał się szeroki widok na obydwie brzegi kanału.

Jak okiem sięgnąć pokrywały je piaski i słone jeziora. Po prawej stronie, tuż przy brzegu, wzdłuż toru kolejowego prowadzącego z Port Saidu do Suez, ciągnęły się dwa rzędy drzew. Wśród nich głównie przeważały tamaryndowce^[13], to jest tropikalne drzewa owocowe o twardym, żółtawym pniu i jakby włochatych liściach. Od czasu do czasu z piasków pustyni wylaniały się wzorowe budynki mieszkalne lub stacyjne, a czasem statek mijał pociąg snujący za sobą smugę czarnego dymu. Początkowo Tomek chłonał wzrokiem wszystko dookoła, lecz wkrótce monotony widok wybrzeża zaczął go nużyć. Było bardzo gorąco... zrzucił więc koszulę, usiadł wygodnie na dnie łodzi, potem położył się, wsunął głowę pod ławkę i niebawem mocno zasnął ukołyszany miarowym pluskiem wody uderzającej o boki statku.

Minęło sporo czasu, zanim ojciec odnalazł go uśpionego w łodzi. Ciało Tomka przypominało swym kolorem raka wyjętego z wrzątku. Zniesiono go czym prędzej do kabiny, gdzie obłożony kompresami musiał pozostać nieomal do końca żeglugi po Morzu Czerwonym. Jedynie dzięki przypadkowi, że w czasie snu w łodzi głowa jego znajdowała się w cieniu rzucanym przez szeroką ławkę, uniknął poważniejszych następstw porażenia słonecznego. Za swą nieostrożność został ukarany przez ojca. Nie wolno mu było przyglądać się załadowywaniu wielbłądów w Port Sudan.

Nie narzekał zbyt na wyznaczoną mu karę. Przecież nawet pościel nieznośnie drażniła jego poparzone ciało i nie mógł włożyć na siebie ubrania. Zresztą w takim stanie wyjście na pokład skąpany w promieniach słonecznych było i tak zupełnie niemożliwe.

Urozmaicał sobie czas wyglądaniem przez okrągły iluminator kabiny. W ten sposób stwierdził, że wbrew jego mniemaniu woda w Morzu Czerwonym wcale nie jest czerwona. Od ojca dowiedział się, że nazwę swą zawdzięcza ono rosnącej w nim czerwonej morskiej trawie. Wieczorami obserwował błyski latarni morskich, wybudowanych na przylądkach lub pustych wysepkach, których światła ułatwiały żeglugę, niebezpieczną z powodu płytczn i raf podwodnych.

W czasie krótkiego postoju w Port Sudan Tomek wsłuchiwał się w skrzywienie bloków, za pomocą których przenoszono wielbłądy z wybrzeża na statek. Kwik zwierząt oraz obcojęzyczne nawoływania poganiaczy podniecały jego wyobraźnię, przypominając przeczytane dawniej opisy wypraw Livingstona i Stanleya[14] do Afryki. Obaj znani z odkrywczych wypraw w Afryce w drugiej połowie XIX wieku.

Następnego dnia po opuszczeniu Port Sudan nieoceniony bosman Nowicki rozpoczął dalszą naukę strzelania. Tomek trafiał już z łatwością w sam środek tarczy, wobec czego bosman zajął się sporządzaniem ruchomego celu. Mianowicie przymocował do drewnianego pułapu zaimprovizowanej strzelnicy drut i powiesił na nim blaszaną puszkę wypełnioną piaskiem. Za pomocą sznurka bosman wprawiał ją w ruch, a wtedy Tomek mierzył i strzelał.

W miarę jak nabywał wprawy, ruchy puszek stawały się szybsze i nieregularne. Tomek zachęcony pochwałami coraz więcej czasu spędzał w strzelnicy. Dopiero wiadomość, że zbliżają się do Adenu[15], najgorętszego punktu na kuli ziemskiej, wywabiła go na pokład.

Ujrzał wynurzający się z morza groźny skalny mur, który zdawał się zamykać dalszą drogę. Spiętrzony, poszarpany dziko łańcuch skał półwyspu otaczało szafirowe, wiecznie niespokojne morze. Nad skałami i wodą rozpościerało się bezkresne, prażące żarem słonecznym, bezchmurne niebo.

„Aligator” zarzucił kotwicę. Ciężkie krypy pełne węgla podpiły natychmiast do statku, zmagając się z niezmiernie przykrą, krótką falą. Wkrótce też, podobnie jak w Port Saidzie, pojawiły się małe łódeczki z nurkami niezawodnie wyławiającymi rzucane do morza monety.

Ze względu na krótki postój nikt z załogi „Aligatora” nie wysiadł na ląd. Tomek, słuchając wyjaśnień ojca, który znał Aden dość dobrze, spoglądał zaciekawiony na doskonale widoczny ze statku port Steamer-Point, obejmujący dzielnicę fortów, hoteli, konsulatów i domów Europejczyków. Właściwe jednak miasto, starożytna oaza arabska, zwana Shaikh Othman, znajdowało się o sześć kilometrów dalej w kraterze wygasłych wulkanów, wśród prawdziwie dzikich skał, otoczonych skąpaną w słońcu, martwą pustynią.

– Aden pod pewnym względem przypomina historię Kanału Sueskiego – mówił Wilmowski. – Aby umożliwić jego istnienie w tym najgorętszym punkcie ziemi, gdzie brak

jest cienia, wody i roślin, tysiące niewolników w krwawym pocie budowało olbrzymie cysterny. W nich podczas wiosennych burz gromadzi się zapasy wody. Szkoda, że nie będziesz mógł ich zobaczyć. Przedstawiają śliczny widok.

Tomek nie miał czasu na dalszą rozmowę. Podczas postoju na statku panował gorączkowy ruch, który wkrótce pochłonął jego uwagę. Marynarze krzatali się po pokładzie, umocowując linami wszystkie ruchome przedmioty. Kilku członków załogi, a wraz z nimi Wilmowski i Tomek, udali się pod pokład, do pomieszczeń wielbłądów. Ulokowano je parami w małych, oddzielonych od siebie zagrodach. Wilmowski sprawdzał, czy zwierzęta przywiązano należycie.

Przygotowania te były niezbędne, ponieważ „Aligator” miał teraz wpłynąć w strefę południowo-zachodniego monsunu[16] i należało liczyć się z możliwością złej, burzliwej pogody.

Przed zachodem słońca wyruszono w dalszą drogę. Tego jeszcze wieczoru Tomek spostrzegł, że warunki żeglugi stopniowo ulegają zmianie. Boczne, leniwe kołysanie statku było wprawdzie z początku znośne, lecz mimo to Tomek zaczął odczuwać niepokój. Pod naporem olbrzymich fal statek pochylał się na lewy bok. Wiązania jego niebezpiecznie trzeszczały, a od czasu do czasu gwałtowniejsze fale zalewały bryzgami piany pokład i cofały się zaraz, jakby zawstydzone swą śmiałością.

Następnego ranka kołysanie stało się jeszcze silniejsze. Spienione fale co chwila przelewały się przez pokład. Aby zapomnieć o złym samopoczuciu, Tomek zabrał sztucer i udał się do swej strzelnicy. Bosman Nowicki nie mógł mu towarzyszyć, ale Tomek raczej był z tego zadowolony: zawieszona u pułapu blaszana puszka, pod wpływem silnego kołysania statku, wykonywała samorzutnie najdziwniejsze skoki. Trafienie w tak ruchliwy cel nie było łatwe. Chwilami Tomek z trudem utrzymywał równowagę, lecz to właśnie sprawiało mu największą uciechę. Raz po razie strzelał to pudłując, to znów trafiając. Po dwóch godzinach piasek wysypał się przez przestrelone w blasze otwory.

Zaledwie odezwał się gong wzywający na obiad, Tomek wszedł rozradowany do jadalni i usiadł na swoim miejscu. W czasie pełnego emocji strzelania zapomniał o ogarniającej go przedtem słabości i poczuł głód.

Marynarze z uznaniem uśmiechali się do niego, a Smuga zawołał:

– Ho, ho! Więc przyszedłeś na obiad?

– A dlaczego miałbym nie przyjść? – odparł Tomek. – Jestem głodny jak wilk.

– No, jeśli kołysanie statku nie pozbawiło cię apetytu, to będziesz dobrym marynarzem. Czy wiesz, że trzej olbrzymi Sudańczycy, którzy eskortują wielbłądy, leżą jak kłody w swej kabinie – mówił Smuga ze śmiechem.

Tomek doskonale znosił kołysanie statku. Mimo to nie pozwolono mu przebywać na pokładzie w obawie, aby przewalające się fale nie zmyły go do morza. „Rozpruwał” więc w swej strzelnicy coraz to mniejsze blaszane puszki, trafiając już teraz za każdym razem.

Po kilku dniach morze stało się spokojniejsze. Nowicki, korzystając z wolnej chwili, udał się do strzelnicy. Tomek strzelał szybko i celnie. Bosman zdziwiony postępami powiedział z uznaniem:

– No, braciszku, widzę, że niewiele już skorzystasz ode mnie. Teraz chyba tylko Smuga mógłby nauczyć cię czegoś nowego.

– To pan Smuga tak dobrze strzela? – zdziwił się Tomek. – Myślałem, że nikt już lepiej nie potrafi jak pan.

– Ho, ho! Smuga to mistrz nad mistrzami! Nawet najmniejsze bydlę trafia między ślepia – odparł bosman pewnym tonem, chociaż wszystko, co wiedział o Smudze, pochodziło z opowiadań ojca Tomka.

Oczywiście Wilmowski nigdy nie mówił bosmanowi o „strzelaniu między ślepia”, lecz Nowickiemu zdawało się, że taka nieściskość nie sprawi chłopcu różnicy.

Tomek jednak już poprzednio postanowił we wszystkim wiernie naśladować wielkiego łowcę. Zamyślił się więc nad słowami bosmana. W wyniku rozmyślań wyszukiwał jak najmniejsze puszki, rysował na nich dwa kółka, które miały być „ślepiami zwierząt” i zaczął od nowa ćwiczenia. Robił to w najściślejszej tajemnicy nawet przed bosmanem. Dni szybko mijały. „Aligator” płynął coraz dalej na południowy wschód.

CEJLOŃSKI SŁOŃ I BENGALSKI TYGRYS

Tomek z niecierpliwością obserwował łód wylaniający się z rozkołysanego morza. Była to wyspa Cejlon[17] – kraina pereł, białych szafirów, pięknych palm i rzadkich roślin. „Aligator” wolno przepłynął przez szerokie wrota utworzone przez dwa potężne łamacze fal i znalazł się w wielkiej, przytulnej przystani, porcie Colombo będącym stolicą Cejlonu.

– Wybieram się z panem Smugą na wybrzeże. Jeżeli masz ochotę, możesz pójść z nami – oznajmił Tomkowi ojciec, gdy opuszczono pomost na molo. – Musimy załatwić formalności konieczne do przetransportowania zwierząt na statek.

– Czy to chodzi o słonia i tygrysa? – zapytał Tomek.

– Tak, stąd właśnie mamy przewieźć je do Australii – potwierdził Wilmowski.

– A to wspaniale! Jeszcze nie widziałem żywego słonia ani tygrysa. Czy ten słon jest oswojony?

– Należy się spodziewać, że przeszedł już odpowiednią tresurę. Zabiorę aparat fotograficzny, powinieneś posłać wujostwu Karskim fotografię z dalekiej podróży.

– Oczywiście. Ja bym tak chciał...

– Chciałbyś na słoniu?

– Tak!

– Zobaczymy – odparł Wilmowski – Przygotuj się szybko do wyjścia na ląd.

Po kilkunastu minutach Tomek powrócił na pokład, gdzie już oczekiwał na niego ojciec z dużym futerałem mieszczącym aparat fotograficzny. Po wąskim, chybotliwym pomoście zeszli na molo. Wkrótce znaleźli się na rozległym placu.

Tomek poprawił na głowie korkowy hełm, aby osłonić cieniem oczy i rozejrzał się wokoło. W pobliżu stało kilka dwukołowych wozów, których boki i półokrągłe budy obciążone matami. Pojazdy te zaprzężone były w azjatyckie rogate zebu, które jako bydło stepowe wywodzi się od tura[18]. Tomek dowiedział się od ojca, że podobne do zebu bydło stepowe jest także spotykane w Afryce wśród wielu szczepów murzyńskich. Tam też niektóre jego rasy, jak na przykład wahuma lub watussi, odznaczają się rogami imponującej wielkości, inne wyróżniają się mniej bądź bardziej wydatnym garbem utworzonym przez nagromadzony tłuszcz. Garb ten szczególnie silnie rozwinięty jest właśnie u azjatyckich zebu. Dziwna wydała się Tomkowi wiadomość, iż w Indiach czczą zebu jako święte zwierzę, które trzymane jest w świątyniach, a zabicie go ściąga na winowajcę karę śmierci. Tu na Cejlonie posługiwano się nimi jako zwierzętami pociągowymi. Stały teraz z największą obojętnością w lejącym się wprost z nieba żarze słonecznym. Dalej zauważył Tomek rząd ryksz z siedzeniami umieszczonymi między dwoma wysokimi kołami. Przy każdej z nich czuwał brązowy Syngalez[19]. Na widok białych przybyszów wychodzących z portu, trzech krajowców podbiegło ciągnąc jednoosobowe wózki. Podróżnicy wsiedli do ryksz. Powiozły ich one w głąb miasta prostymi, szerokimi ulicami.

W porcie oraz w dalszych dzielnicach Colombo panował ożywiony ruch. Środkiem ulic przebiegali, tupocząc bosymi stopami, usłużni kulisi i z niezwykle zwinnością lawirowali rykszami w barwnym tłumie przechodniów. Tomek spoglądał z podziwem na smukłych Syngalezów, którzy zamiast spodni nosili spódnice, a długie, czarne włosy spinali na tyle głowy sztykretowymi grzebieniami. Żółte, zielone i czerwone ich zapaski mieszały się z białymi i niebieskimi opończami Hindusów. Od czasu do czasu Tomek dostrzegał w barwnym tłumie kapłanów ubranych w powłóczyste, żółte szaty. Kobiety – Syngalezki i Tamilki – wyróżniały się błyszczącymi kolczykami i bransoletami. Wielu przechodniów osłaniało głowy kolorowymi parasolami. Po krótkiej, szybkiej jeździe ryksze wiozące naszych podróżników zatrzymały się przed murowanym budynkiem. Tutaj mieściły się biura przedsiębiorstwa transportowego. Okazało się, że słońa i tygrysa można w każdej chwili załadować na statek. Załatwiono więc formalności, po czym podróżnicy w towarzystwie przedstawiciela przedsiębiorstwa, wysokiego i chudego Anglika, udali się po zwierzęta.

Trzymano je w podmiejskiej posiadłości angielskiego kupca. Niski mur ogradzał rozległy park, w głębi którego stał obszerny dom. Nie zwalniając biegu kulisi zatoczyli półkole i przez otwartą, ozdobnie wykonaną, żelazną bramę wbiegli w szeroką aleję. Po jej obydwóch stronach wystrzelały w górę smukłe pnie wysokich palm. Zielone, długie pióropusze liści rzucały ożywczy cień. Dalej roztaczał się cały przepych tropikalnej zieleni. Wśród rozrzuconych rzadko drzew: chlebowych, cynamonowych, goździkowych, magnoliowych i wspaniałych hebanów, widniały niezliczone drzewka: oliwkowe, cytrynowe, pomarańczowe oraz krzewy bananowe o olbrzymich liściach, ukrywających kiście dojrzałych owoców.

Ryksze zatrzymały się przed jednopiętrowym, białym, murowanym domem z głęboką, dobrze ocienioną werandą. Anglik wysiadł pierwszy i zaprosił podróżników do siebie na krótki odpoczynek. Zaledwie usiedli w głębokich, bambusowych fotelach, młody Hindus postawił przed nimi olbrzymie tace pełne wschodnich doskonałych słodczy, owoców oraz zimnych, orzeźwiających napojów.

W czasie gdy jego towarzysze rozmawiali z Anglikiem, Tomek zjadł kilka soczystych owoców, coraz to spoglądając niecierpliwie w głąb parku. Tam zapewne musiał znajdować się słoń, którego mieli zabrać do Australii. Tomek nie widział dotąd egzotycznych zwierząt. Warszawa nie posiadała wówczas jeszcze ogrodu zoologicznego, w którym byłoby można oglądać najrozmaitsze okazy fauny świata. Nic więc dziwnego, że obok ciekawości nurtował go lekki niepokój. Prawdziwy, żywy słoń to zupełnie co innego niż malowany obrazek czy fotografia.

Po krótkiej rozmowie mężczyźni podnieśli się z foteli. Wraz z Tomkiem weszli do rozległego parku. Przy końcu wysypanej drobnym żwirem alei znajdował się starannie utrzymany trawnik. Tam w cieniu kilkusetletniego, olbrzymiego baobabu[20] stał słoń.

Wolno poruszał dużymi uszami, a długą trąbą zwijał w wiązki leżące przed nim siano i wkładał je do pyska.

Podeszli całkiem blisko. Teraz Tomek spostrzegł na tylnej nodze zwierzęcia szeroką,

metalową obręcz. Przymocowany był do niej łańcuch, uniemożliwiający słoniowi oddalenie się od baobabu. Na widok nadchodzących zza drzewa wyszedł Hindus. Zatrzymał się wyczekująco.

– To jest opiekun słonia – wyjaśnił Anglik wskazując Hindusa. Słoń powolnym ruchem zwrócił głowę w kierunku Tomka trzymającego w ręku apetyczny owoc. Wyciągnął trąbę, lecz Tomek, niepewny bezpieczeństwa, przezornie schował się za stojącego przy nim Smugę.

– Nie obawiaj się, on ma jedynie ochotę na coś słodkiego – uspokoił go Anglik.

– Czy jednak nie schwyci mnie za rękę? – nie dowierzał Tomek. Słoń, jakby zrozumiał jego obawę, jeszcze raz wyciągnął trąbę, rozwierając szeroko jej otwór. Trąba zawisła w bezruchu.

– Widzisz, nie ma zamiaru zrobić ci krzywdy – powiedział Anglik. Tomek ośmielony spokojnym zachowaniem się zwierzęcia podszedł do niego i włożył owoc w otwór trąby, która powolnym ruchem wsunęła smakołyk do pyska. Hindus zbliżył się do słonia i przyjaźnie pogłaskał go po trąbie.

– On bardzo lubi dzieci – wyjaśnił.

Wilmowski, pamiętając swą rozmowę z Tomkiem na statku, odezwał się:

– Mój syn chciałby wysłać krewnym pamiątkową fotografię z podróży. Wydaje mi się, że mamy w tej chwili doskonałą okazję do zrobienia zdjęcia.

– Posadź chłopca na słonia – zwrócił się Anglik do Hindusa. Tomek przemógł obawę. Zbliżył się do olbrzymiego zwierzęcia. Ręka jego mimo woli dotknęła długiej trąby. Hindus wypowiedział kilka słów w języku nie znanym Tomkowi; trąba delikatnym ruchem owinęła się wokół chłopca. Po chwili znalazł się w powietrzu tuż przy olbrzymiej głowie. Chwycił mocno za duże ucho i wdrapał się z łatwością na grzbiet słonia.

Wilmowski umocował aparat na statywie. Zrobił kilka zdjęć, po czym Tomek, stosownie do rady uprzejmego Anglika, zsunął się na ziemię po trąbie słonia.

– Czy jesteś zadowolony? – zapytał go ojciec.

– Oczywiście, tatusiu. To zdjęcie prześlę wszystkim moim znajomym w Warszawie – orzekł Tomek, żałując w duchu, że nie miał przy sobie wspaniałego sztucera.

Następnie Anglik zaproponował łowcom obejrzenie tygrysa. W cieniu stożkowatego dachu pokrytego matami i wspartego na grubych balach stała bambusowa klatka. Czaiło się w niej wielkie, nadzwyczaj ruchliwe, pręgowane cielsko. Na widok ludzi tygrys zbliżył głowę do bambusowych krat i zmrużył gniewnie ślepią. Mięśnie pyska zadrgały, złowrogo obnażając duże kły. Rozległy się krótkie, urywane pomruki. Tygrys, uderzając ogonem po cielsku, przywarł do podłogi klatki.

– Trzeba zachowywać przy nim jak największą ostrożność – uprzedził Anglik. – Zaledwie dwa miesiące temu został schwytany i bardzo źle znosi niewolę.

Żółte ślepia tygrysa błyskały gniewnie, szczerzył lśniące, białe kły i dzikim pomrukiem groził natrętom.

Tomek zbliżył się do Smugi, który przyglądał się tygrysowi okiem znawcy i zapytał:

– Proszę pana, czy to prawda, że tygrys zawsze przed atakiem przywiera do ziemi i uderza ogonem po bokach?

– To prawda, Tomku. Tygrysy mają już taki zwyczaj objawiania swych nieprzyjaznych uczuć. Nie moglibyśmy stać tutaj beztrosko, gdyby ruchów jego nie hamowały pręty klatki.

– Pan na pewno polował już na tygrysy? – zapytał dalej Tomek.

– Polowałem, w Indiach.

– W które miejsce należy mierzyć, aby natychmiast zabić tygrysa?

– Tygrysy wychodzą na łowy w nocy. W ciemności najdogodniejszy cel stanowią świecące oczy. Jeśli trafisz niezawodnie między parę błyszczących ślepiów, sprawa kończy się błyskawicznie.

– A jeśli się nie trafi?

– Wtedy budzi się człowiek na innym, lepszym świecie – odparł Smuga z uśmiechem.

„Ależ ten bosman Nowicki zna dobrze pana Smugę! – pomyślał Tomek, przypominając sobie wszystko, co żartobliwy marynarz opowiadał mu w przystępie dobrego humoru o zdolnościach strzeleckich wielkiego łowcy. – On naprawdę strzela tylko między oczy!”

Wolnym krokiem wracali do ryksz. Wilmowski uzgadniał z Anglikiem przetransportowanie zwierząt na „Aligatora”. Tomek idąc za nimi razem ze Smugą, znów zagadnął łowcę:

– Czy ten słoń i tygrys pochodzą z Cejlonu?

– Tygrys pochodzi z Bengalii, to jest z północno-wschodnich Indii, słoń natomiast jest mieszkańcem Cejlonu.

– Jakie jeszcze zwierzęta żyją na Cejlonie?

– Nawet najbardziej wybredny myśliwy znajdzie tutaj dla siebie wspaniałą zwierzynę. Żyją tu, poza słoniami, niedźwiedzie, lamparty, hieny, dzikie koty, bawoły, jelenie, dziki indyjskie, krokodyle, aligatory, olbrzymie okularniki, a ponadto różnorodne małpy i ptaki od najmniejszych do największych.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Kilka lat temu polowałem z przyjaciółmi na Cejlonie – wyjaśnił Smuga.

– W której części Indii był pan na polowaniu?

– W ojczyźnie naszego tygrysa, w Bengalii. Łowiliśmy tam dla Hagenbecka bengalskie tygrysy.

– Chciałbym mieć tyle wspomnień co pan.

– Nie zawsze wspomnienia są przyjemne – odparł Smuga. – Właśnie w Bengalii przeżyłem niezwykle przykrą przygodę.

– Bardzo proszę, niech mi pan ją opowie.

– To smutna historia, Tomku. W okolicy, w której polowaliśmy na tygrysy, jeden bardzo złośliwy okaz niepokoił krajowców. Noc w noc porywał im bydło z zagrody. Nie pomagało kopanie dołów z wbitymi w dno zaostrzonymi palami. Wszelkie próby zabicia drapieżnika kończyły się źle dla krajowców. Zwrócono się do mnie z prośbą, abym zabił tego tygrysa. Pewnej nocy urządziłem na niego zasadzkę w pobliżu zagrody.

– Dlaczego nikt więcej nie wziął udziału w tak niebezpiecznym polowaniu?

– Towarzyszył mi tylko Hindus-przewodnik. Tygrys był starym rozbójnikiem, a krajowcy nie posiadali dobrej broni. Podkraść się on do nas w największej ciszy. Gdyby nie zaniepokojenie bydła w zagrodzie, nawet byśmy go nie spostrzegli. Ujrzałem groźny błysk ślepiów nie dalej jak o pięć kroków ode mnie. Zaskoczony niespodziewanym pojawieniem się tygrysa, strzeliłem zbyt pośpiesznie. Po strzale zapanowała cisza. Przewodnik, znając moją celność, zaczął rozglądać się za zabitym zwierzęciem, chociaż ostrzegałem go, że nie jestem pewny strzału. On jednak twierdził, że gdybym chybił, tygrys już by się na nas rzucił. Cisza, według jego zdania, oznaczała natychmiastową śmierć. Rozumowanie było logiczne, lecz mnie jakoś nie trafiało do przekonania. Doradzałem cierpliwość. Niestety nie usłuchał i ruszył na poszukiwanie. Po chwili usłyszałem mrozący krew w żyłach ryk tygrysa i krzyk mego przewodnika. Rzuciłem się na pomoc z karabinem gotowym do strzału. Upłynęło zaledwie kilka sekund, lecz mimo to, gdy nadbiegłem, tygrys dosłownie miażdżył Hindusa. Ujrzałem błysk ślepiów bestii. Strzeliłem i chociaż tym razem byłem zupełnie pewny celności strzału, tygrys nie wypuścił z łap swej ofiary. Widząc, że pochyła się nad moim przewodnikiem szczerząc kły, wepchnąłem kolbę karabinu w rozwartą paszczę. Wtedy skoczył na mnie. Przewróciłem się pod naporem ciężkiego cielska. Były to już wszakże jego ostatnie chwile. Leżąc na mnie, drżał w agonii. W końcu znieruchomiał na zawsze.

– I nic się panu nie stało? – zapytał Tomek, spoglądając z podziwem na Smugę.

– Właściwie nic, porównując z tragicznym wypadkiem mego przyjaciela.

– Ha! Więc jednak nie wyszedł pan cało!

– Tygrys rozorał mi pazurami lewe ramię. Przeleżałem w gorączce prawie dwa miesiące, zagrożony zakażeniem. Spójrz!

Smuga odwinął krótki rękaw koszuli. Tomek ujrzał głęboką, nierówną bliznę od ramienia do łokcia.

– Ależ to straszne! – wyszeptał.

– Straszna była tylko śmierć mojego przewodnika. Niestety, nie zachował tak koniecznej ostrożności. Wiedzieliśmy, że bengalskie tygrysy są nadzwyczaj niebezpieczne. Okazało się, że moja pierwsza kula ugrzęzła mu w czaszce trochę powyżej oczu. Gdybyśmy

cierpliwie czekali do rana, zapewne obyłyby się bez wypadku.

Tomek westchnął ciężko. Pomyślał, że trzeba mieć wiele odwagi, aby polować na takie groźne bestie. Po chwili powiedział:

– Wydaje mi się, że w Australii nie ma tygrysów.

– Jedyńm spotykanym tam drapieżnikiem jest dziki pies dingo. Tylko dlatego ojciec zdecydował się zabrać ciebie na tę wyprawę. Nie martw się, Tomku! Będiesz miał wspaniałe wakacje.

– Tak bardzo się cieszę! – radośnie zawołał Tomek. – Cieszyłbym się jeszcze więcej, gdyby pan obiecał zabrać mnie kiedyś na polowanie na... tygrysy.

– Zabiorę cię na pewno, gdy podrośniesz.

– Czy naprawdę jest pan gotów przyrzec mi to?

Smuga pogłaskał go po głowie i potwierdził z całą powagą:

– Przyrzekam ci, Tomku!

Podróżnicy powrócili na „Aligatora”. Załadunek zwierząt odbył się bez jakichkolwiek przeszkód. Słonia przewiązano szerokimi pasami, a potem za pomocą dźwigu okrętowego przeniesiono na statek. Ulokowano go w boksie obok wielbłądów, natomiast klatkę z tygrysem wstawiono do oddzielnego pomieszczenia, aby swym niespokojnym zachowaniem nie drażnił innych zwierząt.

Uzupełnianie zapasów węgla ukończono tuż przed wieczorem. Dopiero przy srebrnym świetle księżyca „Aligator” opuścił bezpieczną przystań w porcie Colombo.

MIEDZY CYKLONEM A KLAMI TYGRYSA

Statek płynął całą parą na południe w kierunku równika[21]. Upał stawał się coraz bardziej dokuczliwy, w kabinach było niezmiernie duszno, toteż podróżnicy spędzali wieczory na pokładzie. Tomek uważnie obserwował konstelacje gwiazdne widoczne z południowej półkuli. Szczególną uwagę zwrócił na pięć jasno płonących gwiazd. Ojciec wyjaśnił mu, że jest to konstelacja zwana Krzyżem Południa, która na półkuli południowej spełnia taką samą funkcję drogowskazu jak Gwiazda Polarna znajdująca się w konstelacji Małego Wozu nad półkulą północną.

Trzeciego dnia po opuszczeniu Colombo piękna dotąd pogoda nagle zaczęła się zmieniać. Na horyzoncie pojawiła się mała, czarna jak smoła chmurka. W atmosferze zapanowała dziwna cisza, a spokojna dotąd powierzchnia morza zaczęła się marszczyć krótką, gniewną falą.

Kapitan Mac Dougal pierwszy wypatrzył szybko rosnącą chmurę. Natychmiast wydał odpowiednie rozkazy. Cała załoga stanęła w pogotowiu. Gwizdki oficerów i tupot nóg marynarzy biegnących na swe stanowiska wywabiły Tomka na pokład. Zbliżył się do ojca.

– Co się stało? Dlaczego wszyscy tak biegają? – zapytał zaniepokojony.

– Kapitan sygnalizuje nadciągającą burzę – odpowiedział Wilmowski. – Smuga poszedł sprawdzić zabezpieczenie zwierząt, możemy wobec tego zobaczyć, jak zacznie się taniec na morzu. Wydaje mi się, że nie unikniemy cyklonu.

– Co to jest cyklon? Jeśli dobrze pamiętam, to ma on coś wspólnego z ciśnieniem powietrza? – przypomniał sobie Tomek.

– Cyklonem zwiemy środek ogniska niskiego ciśnienia wytwarzanego przez gorące powietrze, do którego wiatry wieją ze wszystkich stron. Cyklony wieją z niezwykłą szybkością. W tych szerokościach geograficznych wywołują gwałtowne deszcze, a często nawet i burze – wyjaśnił Wilmowski.

Wkrótce całe niebo zasnuły czarne chmury. Pierwsze duże, ciepłe krople deszczu przemieniły się niebawem jakby w potoki wód spadające z nieba. Powiał gwałtowny wiatr i w mgnieniu oka zmałcił powierzchnię morza. Burza rozpełtała się na dobre. Lunał deszcz. Wilmowski schronił się z Tomkiem do palarni, aby przez okno obserwować walkę żywiołów. Morze szalało we wściekłym tańcu. Olbrzymie fale, rozbryzgujące się pod uderzeniami straszliwej wichury, miotały statkiem. Fale tylne, boczne i przednie mieszały się bezładnie, tworzyły koliska i spienione wiry.

„Aligator” uderzany wichrem, kąpany po czubki masztów bryzgami rozszalałych fal toczył uciążliwą walkę o swe istnienie. Całą siłą rozdygotanych śrub przecinał wyrastające przed nim olbrzymie fale, kładł się na boki, jakby dla wytchnienia, potem znów wspinał się mozolnie na zwały wodne, ciężko spadał w przepastne otchłanie, trzeszczał w wiązaniach, lecz nie ulegał straszliwym żywiołom.

Strumienie deszczu zdawały się łączyć całkowicie pokrywające niebo czarne chmury z

powierzchnią bryzgającego pianą morza. Pomimo pełni dnia zapanowała kompletna ciemność. Na statku rozblęły światła.

Tomek trzymał się kurczowo oparcia kanapy przytwierdzonej do ściany i ze zgrozą spoglądał przez iluminator na zalewany tonami wody pokład. Wilmowski otoczył syna ramieniem, statek bowiem jak piłka przetaczał się po morzu, przybierał najdziwniejsze, nieoczekiwane położenia, zagrożony straszliwą zagładą.

Wilmowski bacznie obserwował syna. Widział, że Tomek całą siłą woli opanowuje strach. Gwałtowne skoki oraz kołysanie statku przyprawiały go o zawrót głowy. Twarz jego pokryła się bladością.

– Tomku! – zawołał Wilmowski, starając się przekrzyczeć ryk burzy. – Musisz natychmiast położyć się do łóżka. Nie jesteś jeszcze przyzwyczajony do tak silnego kołysania. W kabinie na pewno poczujesz się znacznie lepiej.

– Dobrze, ale co się stanie ze mną, jeżeli zaczniemy tonąć? – odkrzyknął Tomek, czując, że ogarnia go coraz większa słabość.

– Nie ma o to obawy! Chociaż „Aligator” jest starym statkiem, taka burza niczym mu nie zagraża. Przeżywał on już cyklony, huragany i tajfuny, są to więc jego dawni znajomi. Możesz spokojnie spać, gdy na statku czuwa taki morski wyga jak kapitan Mac Dougal. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, a tylko zmęczysz się niepotrzebnie tym wariackim kołysaniem.

Z trudem przebrnęli krótki korytarz. Ostrożnie weszli po schodkach i w końcu znaleźli się w kabinie. Tutaj Wilmowski pomógł Tomkowi zdjąć ubranie, położył go do łóżka, nakrył kocem i zapiął pasy zabezpieczające.

Wkrótce Tomek odczuł znaczną ulgę. Bladość zaczęła powoli ustępować z jego twarzy.

– Czy już lepiej się czujesz? – zapytał ojciec, dostrzegając rumieńce na twarzy syna.

– Lepiej, znacznie lepiej – potwierdził Tomek.

– Postaraj się zasnąć. Gdy się przebudzisz, będzie już po burzy.

Zaledwie to wypowiedział, drzwi kabiny otworzyły się z trzaskiem. Bosman Nowicki wpadł jak wicher. Chciał coś powiedzieć, ale jedno spojrzenie na Tomka powstrzymało jego słowa. Dopiero po chwili namysłu krzyknął:

– Ależ to fajna huśtawka! Zupełnie jak na karuzeli na Bielanych!

– Cyklon! Straszliwy cyklon! – zawołał Tomek.

– Jaki tam znów cyklon – roześmiał się bosman. – Wielorybszczaki bujają się na sznurze opasującym dokoła ziemię dla oznaczenia równika i rozhuśtały całe morze, to wszystko.

Tomek zaraz poweselał. Od razu zrozumiał, że bosman żartuje. Przecież na równiku nie było sznura. Wiedział już, że marynarze mają zwyczaj urządzać różne zabawy lub płać figle w chwili przekraczania równika, toteż zapomniał natychmiast o cyklonie.

– Na pewno teraz mijamy równik! – powiedział, uradowany widokiem dowcipnego przyjaciela.

– Trzymaj się, bracie, mocno swojej koi, ino patrzeć, jak „Aligator” zaryje nosem w wodę, aby przemknąć pod sznurem. Wtedy jakiś rozbrykany wieloryb może przypadkiem machnąć nas ogonem i dopiero będzie heca! – odparł bosman.

– Wieloryb to po prostu zwykły kawał – roześmiał się Tomek.

– Takiś cwany? To wiedz, że taki jeden „zwykły kawał” waży około dwóch ton!

– Na pewno nie widział pan wielorybów na linie!

– Tylko dlatego, że na dworze zrobiło się czarno, jak u Murzyna... pod koszulą!

– Zaraz wiedziałem, że to kawał! – śmiał się Tomek.

– Śmieć się, niedowiarku, śmieć! A tymczasem przybiegłem po ciebie, Andrzeju, żebyś pomógł nam podnieść ten sznur, bo statek może zawadzić o niego masztami – zakończył bosman, grożąc chłopcu palcem.

– Spróbuj teraz usnąć, Tomku. Wrócę niedługo – rzekł Wilmowski i spokojnie opuścił kabinę.

Zaledwie jednak obydwaj mężczyźni znaleźli się na korytarzu, Wilmowski zaraz zapytał:

– Co się stało, bosmanie?

– Fale uszkodziły iluminator w pomieszczeniu tygrysa – zameldował. – Woda wali tam do wnętrza statku strumieniami. Tygrys rzuca się, jak opętany. Trzeba natychmiast przenieść go gdzie indziej.

Nie tracąc czasu na dalsze wyjaśnienia, pobiegli ku pomieszczeniom zwierząt, przeskakując po kilka stopni na raz. Sytuacja była dość groźna. W pomieszczeniu tygrysa było już sporo wody, która przy każdym przechyleniu statku oblewała zdenerwowane zwierzę. Dwóch ludzi usiłowało zapchać workami otwór iluminatora. Wilmowski, widząc bezskuteczność ich wysiłków, zarządził:

– Pozostawcie iluminator! Przesuńcie drągi przez klatkę. Najpierw przeniesiemy tygrysa, a potem naprawimy uszkodzenie.

Smugą wraz z dwoma marynarzami przesunęli przez klatkę grube bambusowe drągi, a Wilmowski przeciął nożem liny, którymi była przymocowana do uchwytów w podłodze. Woda ze zdwojoną siłą wtargnęła przez odsłonięty iluminator. Tygrys, pomrukując gniewnie, szarpał pazurami bambusowe pręty, aby wydostać się z zalewanej wodą klatki. Z wielkim wysiłkiem przenieśli go do innego pomieszczenia. Następnie zajęli się naprawą uszkodzonego okienka. Minęły co najmniej dwie godziny, zanim zmęczony Wilmowski powrócił do Tomka. Ku swemu zadowoleniu zastał go pogrążonego w głębokim śnie.

Wczesnym rankiem burza zaczęła ucichać. Wprawdzie fale przelewały się jeszcze przez statek i wiatr od czasu do czasu uderzał weń jak taranem, lecz niebezpieczeństwo minęło.

Teraz dopiero część załogi, a wraz z nią i Wilmowski, udali się na zasłużony odpoczynek.

Tomek przebudził się; ze zdziwieniem spostrzegł, że jest już dzień. Promienie słoneczne wdzierały się przez okno do kabiny. Znośne już teraz kołysanie statku było dowodem, że burza ustała jeszcze w ciągu nocy. Tomek odpiął pas ubezpieczający, po czym usiadł na łóżku.

„Burzy nie ma – stwierdził z zadowoleniem. – Najlepiej pójdę postrzelać trochę. Łatwiej zapomnę o bólu głowy”.

Mimo odczuwanej jeszcze ociężałości umył się starannie i ubrał. Do kieszeni spodni włożył dwie garście naboii. Ze sztucerem pod pachą wyszedł na korytarz. Ciszę na statku mącił jedynie dochodzący z kotłowni głuchy stukot maszyn. Tomek zorientował się, że musiała to być jeszcze bardzo wczesna pora.

„Tym lepiej – ucieszył się. – Nikt nie będzie mi przeszkadzał, a na śniadanie i tak nie mam teraz apetytu”.

Zszedł do niższych kondygnacji statku. W pobliżu pomieszczeń zwierząt wydało mu się, że gdzieś obok trzasnęły drzwi. Przystanął wyczekująco. Poza odgłosem pracy maszyn nic nie było słychać.

„Zdawało mi się zapewne” pomyślał i ruszył ku strzelnicy. Dotarł do poprzecznego korytarza.

Naraz ujrzał, że drzwi do pomieszczenia tygrysa były otwarte. Przy silniejszych uderzeniach statku uderzały o futrynę.

„Stąd zapewne pochodziło to trzaśnięcie drzwi” mruknął Tomek.

Z oburzeniem pomyślał o nieostrożności służby okrętowej. Jak można było nie dopilnować należytego zabezpieczenia pomieszczenia tygrysa.

„Muszę zamknąć drzwi lub powiadomić ojca albo pana Smugę” pomyślał.

Niezdecydowany przystanął na korytarzu. Obawiał się zajrzeć do bengalskiego tygrysa, mimo że zwierzę przebywało w klatce. Łatwo jednak mógł narazić się na posądzenie o tchórzostwo, oznajmiając ojcu o niedopatrzaniu służby, którego natychmiast sam nie naprawił.

„I tak źle, i tak niedobrze – zastanawiał się Tomek. – Ostatecznie nie muszę tam zaglądać. Kiedy drzwi przymkną się same, wystarczy przytrzymać je i zamknąć zasuwę. Potem dopiero powiem ojcu o wszystkim”.

Odetchnął z ulgą. To było właściwe wyjście z kłopotliwej sytuacji. Podeszedł do rozkołysanych drzwi, a gdy znalazły się przy futrynie, chwycił za skobel i zamknął zasuwę.

„Po kłopocie” powiedział do siebie uradowany. Wydało mu się teraz, że skoro niedopatrzanie zostało usunięte, to nie ma już potrzeby do natychmiastowego niepokojenia ojca. Powie mu o tym po powrocie ze strzelnicy.

Postanowił zabawić się w polowanie na tygrysy. Błyskawicznie ułożył plan zabawy:

Otóż jest sławnym łowcą Janem Smugą. Krajowcy bengalskiej wioski błagają go o zabicie prześladowającego ich tygrysa. Oczywiście nie pozwala nikomu towarzyszyć sobie, ponieważ wyprawa jest bardzo niebezpieczna. Zagroda odwiedzana przez przebiegłego drapieżnika znajduje się w strzelnicy, tygrysem będzie blaszana puszką zawieszona, jak zwykle, u sufitu; wymalowane na niej kółka zastąpią ślepią krwiożerczej bestii.

Tomek szybko nabił sztucer i podbiegł do drzwi. Otworzył je, jednym skokiem wpadł do pomieszczenia, zatrzasnął drzwi za sobą i oparł się o nie plecami. Spojrzał, chcąc złożyć się do wspaniałego strzału i nagle... zimny pot wystąpił mu na czoło. Szeroko otwartymi oczyma ogarnął mrozący krew w żyłach widok, nie mogąc z przerażenia wymówić ani słowa.

W przeciwległym rogu strzelnicy stał blady jak płótno Smuga, a o dwa lub trzy kroki przed nim czał się prawdziwy, olbrzymi bengalski tygrys, groźnie szczerząc białe kły.

Czarne pląty przesłoniły Tomkowi wzrok. Nogi ugięły się pod nim. Szybko zamknął oczy myśląc, że przyśnił mu się straszny sen. Dopiero po chwili, która wydała mu się bardzo długa, doszły go słowa wypowiedziane przez Smugę cichym, sugestywnym głosem:

– Spokojnie, tylko spokojnie, nie trzeba się denerwować...

W odpowiedzi rozległ się głuchy, złowrogi pomruk tygrysa.

Naraz myśl, jak błyskawica, olśniła Tomka. Przecież Smuga nie pozwoli uczynić mu krzywdy. Otworzył oczy... Tygrys zmienił położenie. Odwrócił się bokiem do Smugi, obrzucając teraz obydwóch intruzów gniewnym wzrokiem. Sierść zjeżyła się na grzbiecie rozgniewanego zwierzęcia. Marszcząc pysk, groźnie rozwierał paszczę.

Tomek zrozumiał, że musiało zdarzyć się coś nieoczekiwanego, skoro tygrys znajdował się w strzelnicy, a nie tam, gdzie umieszczono go w Colombo! Teraz dopiero spostrzegł w głębi pomieszczenia bambusową klatkę, lecz o dziwo! Drzwi klatki były zamknięte. W jaki wobec tego sposób tygrys wydostał się na wolność? Chciał zapytać Smugę, co to wszystko znaczy, nie mógł wszakże wydobyć z siebie głosu. Smuga spostrzegł, co się dzieje z Tomkiem i znów go ostrzegł:

– Gdyby chciał skoczyć na ciebie, strzelaj i natychmiast uskocz w bok. Potem biegnij do ojca po ratunek; tylko teraz spokojnie...

Do świadomości Tomka dojrzało znaczenie słowa „ratunek”. Wróciła mu natychmiast przytomność umysłu. Spojrzał na Smugę. Był bez broni. Dłonie Tomka silniej zacisnęły się na sztucerze.

Tygrys poruszył się niecierpliwie. Ogonem zaczął uderzać o podłogę. Pomruk stawał się gwałtowny i gniewny.

„To tylko puszką, blaszana, duża, bardzo duża puszką” wmawiał w siebie Tomek, pragnąc w tej dramatycznej chwili całkowicie opanować zdenerwowanie.

Smuga przywarł plecami do ściany. Nieznacznie przesuwając się w stronę chłopca, przemawiając bez przerwy spokojnym głosem. Postanowił ocalić go za wszelką cenę. Gdy

Tomek strzelił, skoczył między niego i tygrysa. Chociaż na krótką chwilę powstrzymał rozdrażnione zwierzę. Tym samym dał Tomkowi możliwość ucieczki.

Tygryś musiał zauważyć manewr Smugi. Cofnął się, jakby chciał zwiększyć pole rozprędu, potem przywarował do ziemi, kilkakrotnie uderzył o nią ogonem, po czym z wściekłym pomrukiem zaczął prężyć się do skoku.

Nawet niedoświadczony w takich sprawach Tomek nie miał ani cienia wątpliwości, że bestia przygotowuje się do ataku. W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa odzyskał zimną krew. Wiedział już, co powinien uczynić. Błyskawicznym ruchem przyłożył sztucer do ramienia. Zaledwie zdołał „muszką” odszukać miejsce między pałającymi gniewem ślepiami, nacisnął spust.

Huk strzału i łomot dwóch ciał walących się całym ciężarem na podłogę, zwały się niemal w jeden odgłos. Nieustraszony Smuga rzucił się bowiem na tygrysa, gdy Tomek strzelił. Teraz człowiek i zwierzę, złączeni w morderczym uścisku, przedstawiali straszliwy widok. Przez krótki moment przetaczali się w zawrotnym tempie; to brązowe, pręgowane cielsko przyciskało człowieka do ziemi, to znów na górze zabieliła się na krótką chwilę jasna koszula Smugi. Tomek odruchowo zarepetował broń. Ruchliwy jak błyskawica cel uniemożliwiał powtórny strzał, Tomek chciałby pomóc Smudze, lecz jakaś przemożna siła spętała mu nogi. Nie mógł wykonać żadnego ruchu. Szeroko otwartymi oczyma spoglądał na tę okropną walkę na śmierć i życie.

Naraz opętańczo wirujący po podłodze kłęb ciał znieruchomiał. Drgający konwulsyjnie tygryś przytłaczał Smugę, którego ramiona opasywały kark zwierzęcia tuż przy samym łbie. Rozległ się jeszcze chrapliwy pomruk, a potem zwierzę znieruchomiało. Smuga wciąż leżał na plecach przywalony cielskiem tygrysa. Podłoga wokół nich zaczerwieniła się krwią...

Tomek nie mógł wymówić słowa. Ogarnęła go dziwna słabość. Cała kabina zawirowała mu przed oczyma. Upadł zemdłony. Gdy odzyskał przytomność, ujrzał pochyloną nad sobą twarz Smugi, który siedząc przy nim na podłodze, trzymał jego głowę na własnych kolanach.

– Już wszystko w porządku, Tomku – usłyszał kojący głos łowcy. – Jak się czujesz?

Tomek spojrzał na olbrzymie cielsko tygrysa bezwładnie rozciągnięte na podłodze i... dostał torsji. Dopiero po dłuższej chwili poczuł się lepiej. Twarz jego powoli odzyskiwała normalną barwę. Siedzieli na podłodze oparci plecami o ścianę. Smuga otoczył Tomka mocnym ramieniem.

– Nigdy nie przypuszczałbym, że jesteś tak doskonałym strzelcem – odezwał się Smuga. – Kto nauczył cię tak niezawodnie mierzyć?

– Bosman Nowicki – odparł Tomek. – Tutaj właśnie urządziliśmy sobie strzelnicę.

– Słyszałem, że uczysz się strzelać, ale nigdy nie spodziewałbym się, że w tak krótkim czasie staniesz w rzędzie mistrzów! Ależ ojciec będzie z ciebie dumny!

– Nie jestem wcale tego pewny – odpowiedział Tomek. – Gdyby nie pan, umarłbym ze strachu. Skąd wziął się tutaj tygrys i dlaczego wypuścił go pan z klatki?

– Wichura uszkodziła iluminator w poprzednim pomieszczeniu tygrysa i woda wlewała się do wnętrza. Musieliśmy przenieść go stamtąd.

– Czy to było wtedy, gdy bosman Nowicki wczoraj przybiegł po mego ojca?

– Tak, posłałem go po niego, ponieważ nie mogłem sam opanować sytuacji.

– Bosman nawet nie wspomniał o tym – oburzył się Tomek. – Opowiadał natomiast dowcipy o równiku i wielorybach.

– Nie chciał cię zapewne przestraszyć. Jest twoim wielkim przyjacielem.

– No i co się stało dalej?

– Ulokowaliśmy tygrysa w innym pomieszczeniu, a potem naprawiliśmy iluminator. W czasie przenoszenia klatki ktoś, przez nieuwagę, musiał wyciągnąć zatyczkę rygla, czym spowodował całą tę przykrą historię. O świcie postanowiłem sprawdzić, czy tygrys się już uspokoił. Kiedy wszedłem do niego, drzwi klatki były zamknięte. Widocznie zatrzęsnęło je kołysanie statku. Dlatego dałem schwycić się w pułapkę. Znajdowałem się już blisko klatki. Wtem nieoczekiwanie ujrzałem skradającego się za mną tygrysa. Był bardzo zdenerwowany. Próbowałem uspokoić zwierzę, mówiąc do niego, jak to zwykle czynią treserzy. Jednocześnie przesuwałem się nieznacznie, aż dotarłem do kąta, w którym mnie zastałeś.

– Czy pan się nie bał?! – zapytał Tomek, spoglądając z podziwem na łowcę.

– Bałem się, Tomku. Pamiętasz, co opowiadałem ci o mojej przygodzie w Bengalii? Od tej pory dziwnie nie lubię tygrysów. On to widocznie wyczuwał, stawał się coraz bardziej natarczywy. Nagle ty wpadłeś tutaj jak wichur, i wtedy bardzo się przeraziłem. Byłem pewny, że zginiemy obydwaj. Spisałeś się naprawdę wspaniale. Ocaliłeś siebie i mnie!

– Dlaczego rzucił się pan po strzale na tygrysa?

– Nie wiedziałem, że jesteś tak niezawodnym strzelcem. Obawiałem się o ciebie. Było to niepotrzebne, trafiłeś bestię dokładnie między ślepia. Tygrys znajdował się już w agonii, gdy usiłowałem go powstrzymać.

– Wiec chciał mnie pan zasłonić! – szepnął Tomek głęboko wzruszony.

– Prawdę mówiąc, bardzo bałem się o ciebie. Czyż mogłem odgadnąć, że zachowasz się tak dzielnie?

– Zdobyłem się na to tylko dzięki panu. Umierałem wprost ze strachu – przyznał się Tomek cichym głosem.

– Mimo woli zapolowaliśmy wspólnie na tygrysa – powiedział Smuga, uśmiechając się do Tomka. – Ten zabawny staruszek z Port Saidu nie przypuszczał zapewne, że jego wróżba urzeczywistni się tak szybko. Chodźmy teraz powiadomić o wszystkim twego ojca i kapitana Mac Dougala.

DORADCA Z MELBOURNE

Zastrzelenie tygrysa wywołało wśród załogi duże poruszenie. Przecież tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności obyło się bez tragicznych następstw. Gdyby ktoś mniej od Smugi doświadczony w obcowaniu z dzikimi zwierzętami znalazł się nieoczekiwanie sam na sam z uwolnionym tygrysem, najprawdopodobniej nie uniknąłby śmierci. Wszyscy jednomyślnie stwierdzili, że zabicie bestii było jedynym wyjściem z sytuacji. Spisano szczegółowy protokół zajścia; zwierzęta przed załadowaniem na statek w Colombo zostały ubezpieczone od wypadku i należało poczynić starania o pokrycie poniesionej straty.

Tomek stał się bohaterem. Kapitan Mac Dougal osobiście powińszował mu celności strzału. Wilmowski był szczęśliwy i dumny z syna. Nie ulegało przecież wątpliwości, że Tomek uratował życie swoje i Smugi. Oczywiście wśród słów uznania dla chłopca, nie brakło i pochwał dla bosmana Nowickiego, który ćwiczył go w strzelaniu.

Dla upamiętnienia wspólnej niebezpiecznej przygody Smuga ofiarował Tomkowi upominek. Wręczył mu nowy rewolwer bębnekowy, systemu Colta, wraz z futerałem, pasem i nabojami.

Tymczasem statek zbliżał się do kontynentu australijskiego. Celem podróży był Port Augusta, leżący w głębi zatoki Spencera, w południowej części Australii. W porcie tym łowcy mieli spotkać się z zoologiem Karolem Bentleyem, zarządcą ogrodu zoologicznego w Melbourne. Stosownie do umowy z Hagenbeckiem miał on towarzyszyć wyprawie w głąb lądu w charakterze doradcy.

Tomek niecierpliwie oczekiwał dnia wylądowania w Australii. Ciekaw był ujrzeć ten tajemniczy najmniejszy i najpóźniej odkryty kontynent na kuli ziemskiej[22]. Doskonale pamiętał, z często przeglądanych atlasów geograficznych, prawie owalny kształt australijskiego lądu o słabo rozczłonkowanej linii wybrzeża oraz najdłuższą na ziemi – Wielką Rafę Koralową, zamykającą na przestrzeni dwóch tysięcy kilometrów dostęp do północno-wschodniego brzegu. W czasie podróży wertował uważnie szczegółową mapę Australii; wtedy dziwił się nieraz, ile to w niej znajduje się pustyń: Wielka Pustynia Piaszczysta, Pustynia Gibsona, Wielka Pustynia Wiktorii[23]... – odczytywał i w wyobraźni widział bezkresne obszary pokryte piachem bądź też inne części lądu porośnięte nieprzebytą gęstwiną poplątanych z sobą karłowatych akacji i eukaliptusów, tworzących tak zwany „scrub” lub też porośnięte bujnie krzewiącą się, ostrą jak nóż trawą, „spinifex”. Nieliczne najlepiej nadające się do zamieszkania dla człowieka tereny, okalał od wschodu długi łańcuch gór[24], a od zachodu budzące grozę pustkowia. Wprawdzie ojciec tłumaczył Tomkowi, iż europejscy osadnicy potrafili doskonale zadomowić się w na pozór niegościnnym kraju, lecz mimo to chłopiec zdawał się teraz lepiej rozumieć, dlaczego właśnie Australię najpierw wyznaczono na miejsce zesłań angielskich skazańców.

Tomek już znał w ogólnych zarysach historię piątego kontynentu. Holendrzy odkryli go dopiero w XVII wieku. Właściwi jednak okres wielkich badań w Australii rozpoczęli

Anglicy. Dotrzeć bowiem do jej wschodniego wybrzeża udało się, jako pierwszemu, Jamesowi Cookowi[25], który w 1770 roku odkrył Zatokę Botany[26] w pobliżu .dzisiejszego Sydney. W osiemnaście lat później kapitan Phillip[27] przybył tam z pierwszym transportem więźniów i założył angielską kolonię karną. Australia nie cieszyła się przez dłuższy czas zbyt dobrą opinią. Już sam ten fakt napawał Tomka pewnym niepokojem, a teraz przypomniał mu o konieczności zetknięcia się z krajowcami podczas łowów. Polowanie miało przecież odbywać się na terenach jeszcze nie skolonizowanych. Tomek dotychczas znał rdzennych Australijczyków jedynie z fotografii w książkach. Nie wyglądali oni na nich przyjaźnie. Byli to zawsze półnaczy, ciemnobrunatni mężczyźni o silnie spłaszczonych nozdrzach, szerokich ustach i bujnym, wełnistym, czarnym owłosieniu. Ciało ich pokrywały blizny po tatuażu i wymalowane białe pasy, w rękach dzierżyli dzidy bądź bumerangi. Szczególnie to ostatnie nie było zbyt zachęcające. Czyż nie mówiono powszechnie, że krajowcy australijscy należą do najbardziej dzikich i prymitywnych ludów świata?

„Ho, ho! Oni na pewno nie lubią białych ludzi – rozmyślał Tomek. – Cookowi nie udało się nawiązać z nimi kontaktu. Nie przyjęli nawet ofiarowanych im przez niego świecidełek, barwnego płótna i żywności! Czyż to nie Cook orzekł wtedy: niewątpliwie jedynym ich życzeniem było, abyśmy się czym prędzej wynieśli z ich ziemi”.

„Nawet nie dziwię się tym krajowcom! – monologował Tomek. – Któż mógłby życzyć sobie zawojowania własnego kraju przez najeźdźców?”

Tak rozumując, miał coraz więcej wątpliwości, w jaki sposób zostaną przyjęci przez tubylców. Skorzystał z pierwszej nadarzającej się ku temu okazji, by porozmawiać na ten temat z ojcem i Smugą.

– Mam pewne obawy, czy australijscy krajowcy zechcą nam pomagać w łowach – zagadnął. – Przecież oni prawdopodobnie nigdy nawet nie słyszeli o panu Hagenbecku, dla którego wyruszyliśmy na tę wyprawę po dzikie zwierzęta.

– Jestem tak samo pewny jak ty, że krajowcy australijscy nie znają Hagenbecka – odpowiedział Smuga – skoro jednak proponujemy im należyte wynagrodzenie, powinni zgodzić się na udział w polowaniu.

– Więc my ich po prostu wynajmiemy do pomocy w łowach? – zdumiał się Tomek.

– Tak właśnie mamy zamiar postąpić – wyjaśnił Smuga. – Niewątpliwie będzie to mniej kosztowne niż przewożenie odpowiedniej liczby ludzi z Europy. Podczas wszystkich naszych wypraw korzystamy z usług ludności miejscowej.

– Ciekaw jestem, czy Australijczycy dobrze odnoszą się do białych ludzi? – pytał Tomek, pragnąc do reszty rozwiać swe obawy.

– Nigdy nie słyszałem, aby prowadzili jakiegokolwiek poważniejsze walki z osadnikami – wtrącił Wilmowski. – Australijczycy są na ogół łagodni i bardzo gościnni, chociaż mieliby dość powodów do zniechęcenia kolonizatorów.

– A to dlaczego? – zdziwił się Tomek.

– Należy pamiętać, że w pierwszych latach osadnictwa doznali wielu krzywd. Tępiono ich bezlitośnie przy każdej okazji, racząc nawet zatrutą żywnością i wódką. Szczególnie okrutny los spotkał nieszczęsnych Tasmańczyków, których mordowano tak barbarzyńsko, że ostatnia Tasmanka zmarła już w 1876 roku.

– To naprawdę straszne – wyszeptał oburzony Tomek.

– Europejczycy nigdy nie przebierali w środkach zagarniając nowe kontynenty. Ludność miejscowa w każdym przypadku musiała ustępować im najlepsze ziemie i podporządkowywać się całkowicie ich woli lub ginąć. Krajowców, którzy mieli odwagę upominać się o swe słuszne prawa, mordowano bez litości, oskarżając o dzikość, wrogość i brak kultury. Tak się działo w Afryce, Ameryce oraz w Australii i Tasmanii.

– Jeszcze powiedz mi, tatusiu, ilu krajowców żyje obecnie w Australii? – dopytywał się chłopiec.

– Jest ich tam kilkadziesiąt tysięcy. Mieszkają przeważnie w głębi kontynentu oraz na terenach północno-zachodnich, najmniej nadających się do skolonizowania.

Tomek uspokojony, z tym większym zainteresowaniem spoglądał na zarysowujące się w dali urwiste brzegi Australii Południowej.

Pięćdziesiątego szóstego dnia od opuszczenia Triestu „Aligator” wpłynął do najgłębiej wdzierającej się w ląd australijski Zatoki Spencera. Natychmiast po zarzuceniu kotwicy w Port Augusta, Wilmowski przyprowadził na statek oczekującego już na nich zoologa Karola Bentleya. Sprawił on Polakom uczestniczącym w wyprawie miłą niespodziankę. Witając się z Tomkiem, zapytał po polsku:

– Czy i ty, młody kawalerze, bierzesz udział w wyprawie?

– Och, pan mówi po polsku! – zawołał Tomek uradowany.

– Tego się naprawdę nie spodziewaliśmy – dodał Wilmowski, nie mniej zdziwiony od syna.

– Nie tylko znam język polski, ale uważam się nawet w pewnej mierze za Polaka – wesoło odparł Bentley. – Zrozumiecie wszystko, gdy wyjaśnię, że mój ojciec jest Anglikiem, a matka Polką.

– Nic nam o tym nie wspomniano – zauważył Smuga. – Hagenbeck zarekomendował pana jako Anglika.

– Nie uważałem za konieczne wtajemniczać Hagenbecka w moje prywatne sprawy. Natychmiast jednak zwróciłem uwagę na wasze nazwiska wymienione w liście. Poprosiłem o bliższe informacje. Otrzymane wyjaśnienia nakłoniły mnie do przyjęcia propozycji. Z niecierpliwością też oczekiwałem na przybycie rodaków mojej matki. Musiałem jej obiecać, że po ukończeniu łowów przywiozę was do Melbourne.

– Niech mnie połknie wieloryb, jeżeli ta wyprawa do Australii nie pachnie coraz przyjemniej – mruknął bosman Nowicki.

– Teraz mogę spokojnie ponowić moje pytanie – powiedział Bentley. – Czy panowie mają zamiar zabrać na wyprawę tego młodego kawalera?

– Oczywiście! Dlaczego pan o to pyta? – zaniepokoił się Wilmowski.

– Oczekują nas znaczne trudy i być może niebezpieczeństwa. On jest przecież zbyt młody – odparł Bentley.

– Ten młody chłopiec zabił jednym strzałem ze sztucera pańskiego tygrysa i ocalił swoje oraz moje życie – wtrącił się Smuga do rozmowy.

– Poinformowano mnie już o konieczności zastrzelenia tygrysa w czasie transportu, lecz nie wiedziałem, że dokonał tego młody pan Wilmowski – zdziwił się Bentley, spoglądając na Tomka z uznaniem.- Jeśli sprawy się tak przedstawiają, cofam moje zastrzeżenia. Chodziło mi tylko o jego bezpieczeństwo.

– Panie szanowny, Polacy nie są tak bardzo wrażliwi na własne bezpieczeństwo – odezwał się bosman Nowicki. – Tomek to wprawdzie jeszcze pędrak, lecz może pan być o niego zupełnie spokojny. Dopóki ma przy sobie swoją pukawkę, nie stanie mu się krzywda.

Tomek spojrział z wdzięcznością na bosmana, gdyż po jego słowach Bentley uśmiechnął się życzliwie i nie stawiał dalszych zastrzeżeń.

– Przede wszystkim musimy omówić sposób przewiezienia słonia do Melbourne – zwrócił się Wilmowski do zoologa.

– Nie będzie z tym żadnego kłopotu – odparł Bentley. – Oczekuje już na niego specjalny wagon kolejowy oraz dwóch ludzi z obsługi ogrodu zoologicznego.

– Kiedy chce go pan zabrać ze statku? – pytał Wilmowski.

– Jutro rano, jeżeli termin ten będzie panom odpowiadał.

– Dobrze. Jutro rano wylądujemy również pięćdziesiąt wielbłądów, przywiezionych z Port Sudan dla tutejszej firmy spedycyjnej. W ten sposób od razu pozbędziemy się całego ładunku.

– Wobec tego możemy omówić plan działania na najbliższe dni. Zgodnie z umową poczyniłem już pewne przygotowania. Powinienem panów obecnie powiadomić o nich – oświadczył Bentley.

– Słuchamy – rzekł Wilmowski.

– Przede wszystkim należało wybrać tereny nadające się do przeprowadzenia zamierzonych łowów – zaczął Bentley. – Z otrzymanych informacji wiem, że macie zamiar łowić różne gatunki kangurów, to znaczy: rude, niebieskie, szare, skalne i wallabi. W nadesłanym spisie figurowały również strusie emu, dzikie psy dingo, niedźwiadki koala, kolczatki, latające lisy workowate, zwane tutaj kuzu, wombaty, poza tym lirogony, czarne łabędzie, zimorodki olbrzymie i ptaszki altanowe. Wydaje mi się, że powinniśmy rozpocząć polowanie od chwytania kangurów i emu, bowiem łowy na te szybko biegające

zwierzęta wymagają współdziałania większej liczby krajowców. Zorganizowanie naganiaczy pochłonie nam najwięcej czasu. Ułożyłem program łowów w ten sposób, że wyprawa, posuwając się z zachodu na wschód przez tereny Nowej Południowej Walii, będzie miała możliwość chwytania poszczególnych gatunków zwierząt. Jednocześnie wziąłem pod uwagę konieczność odsyłania złowionych okazów na statek. Dlatego też marszruta wyprawy co pewien czas przebiega w pobliżu linii kolejowych.

– Bardzo słusznie – pochwalił Smuga. – Częściowe odsyłanie zwierząt na statek ułatwi nam wykonanie zadania.

– O to mi głównie chodziło – ciągnął Bentley. – Z Port Augusta pojedziemy koleją do Wilcannii, miasteczka nad rzeką Darling. Stamtąd udamy się wozami na północny zachód do stacji hodowlanej Johna Clarka, byłego pracownika transkontynentalnego telegrafu[28]. W okolicy jego farmy zapolujemy na rude i niebieskie kangury oraz na emu i dingo. Tę część łowów musimy przeprowadzić jak najszybciej. Tegoroczna zima jest dość sucha, toteż z nastaniem lata zwierzęta rozpoczną dalekie wędrówki w poszukiwaniu wody. Z farmy Clarka powędrujemy w kierunku południowo-wschodnim, gdzie w lasach parkowych żyją szare kangury. Na zachodnich stokach Alp Australijskich znajdziemy wombaty, kuzu, niedźwiadki koala, zimorodki olbrzymie, czyli kookaburry, a w pobliskim Gippslandzie lirogony i czarne łabędzie. Wydaje mi się, że będziemy mogli zakończyć łowy u stóp Alp Australijskich. W naszym ogrodzie zoologicznym posiadamy tyle ptaków, że chętnie wymieniamy je na inne okazy.

– Czy pan Clark został uprzedzony o naszym przybyciu? – zapytał Wilmowski.

– Oczywiście, nawet omówiłem z nim całą sprawę. Ponadto przed dziesięcioma dniami wysłałem do niego doskonałego tropiciela zwierząt, krajowca Tony'ego. Do tej pory na pewno rozejrzał się już po okolicy.

– Czy znajdziemy tam pomoc konieczną do przeprowadzenia łowów? -dalej pytał Wilmowski.

– W pobliżu farmy Clarka zazwyczaj koczują dość liczne plemiona krajowców. Poleciałem Tony'emu, aby starał się namówić je do wzięcia udziału w polowaniu.

Tomek, słysząc te słowa, natychmiast zwrócił się do Bentleya:

– A co zrobimy, proszę pana, jeśli krajowcy odmówią nam swej pomocy?

– Wolalbym nie przewidywać tej ewentualności, ponieważ w takim przypadku cała nasza wyprawa mogłaby minąć się z celem.

– Czyżby to oznaczało, że bez współdziałania krajowców nie możemy łowić zwierząt? Czy oni naprawdę są aż tak doskonałymi łowcami? – niedowierzająco zapytał Tomek.

– Poruszyłeś od razu dwie sprawy – odparł Bentley przyjaźnie. – Po pierwsze, jak już zaznaczyłem na początku naszej rozmowy, łowienie większej liczby dzikich zwierząt najłatwiej odbywa się przy udziale dobrze zorganizowanej, dużej nagonki. Polowanie trwa wtedy znacznie krócej, a więc jest mniej męczące dla łowców i jednocześnie nie denerwuje

tak bardzo zwierząt, dla których gwałtowna zmiana warunków życia często oznacza zagładę.

W Australii trudno jest zdobyć robotników. Mało tu mamy białych ludzi i dlatego praca ich musi być drogo opłacana. W takiej sytuacji, jeśli w głębi lądu nie zdołamy namówić krajowców do udziału w łowach, to i nasza wyprawa może zakończyć się niepowodzeniem.

Zapytałeś również, czy rdzenni Australijczycy są doskonałymi łowcami. Otóż mogę cię zapewnić, iż tak jest w rzeczywistości. Ciężkie warunki egzystencji wpłynęły na niezwykle rozwój ich zmysłu odkrywania i tropienia śladów zwierzęcych. Ponadto mają olbrzymią wprawę w organizowaniu polowań z nagonką. Krajowcy są świetnymi znawcami tutejszej fauny i flory. Jeżeli oni nie będą mogli wytropić poszukiwanego przez ciebie zwierzęcia, to najlepiej zrobisz rezygnując z dalszych łowów. Teraz chyba zrozumiałeś, dlaczego tak wielką wagę przywiązuję do ich udziału w polowaniu?

– Tak, tak, proszę pana. Mam nadzieję, że uda się nakłonić krajowców do udzielenia nam pomocy. Pan Smuga wspominał mi już, że obiecamy im dobre wynagrodzenie za poniesione trudy – gorąco zapewnił Tomek.

Bentley skinął głową w kierunku chłopca i zaraz odezwał się do Wilmowskiego.

– Ilu własnych ludzi ma pan zamiar zabrać na tę wyprawę?

– Przede wszystkim idzie z nami pan Smuga. Jak zwykle będzie czuwał nad naszym bezpieczeństwem. Kapitan Mac Dougal zgodził się na udział w wyprawie czterech marynarzy z „Aligatora”. Nie będą mu oni potrzebni w czasie przybrzeżnej żeglugi. Wśród nich znajduje się bosman Nowicki. Poza tym mamy pięciu ludzi oddanych do naszej dyspozycji przez Hagenbecka, specjalnie przeszkolonych w obchodzeniu się ze zwierzętami. To już wszyscy.

– Zapomniał pan o kimś. Zabieramy przecież młodego pogromcę tygrysów – dodał Bentley.

– Tomek i ja stanowimy jedną osobę, o której w ogóle nie mówiłem.

– Wydaje mi się, że jest to wystarczająca liczba ludzi, chociaż oczekuje nas niemało pracy – powiedział Bentley. – Należy wziąć pod uwagę, że z każdą partią zwierząt odsyłanych na statek odjedzie ktoś obeznany z dozorem i hodowlą.

– Oczywiście, jest to konieczne, gdyż w innym przypadku kapitan Mac Dougal miałby zbyt wiele kłopotu. Musimy przecież dostarczać zwierzętom pomieszczonym na „Aligatorze” odpowiedniego pożywienia.

– Pierwsza partia schwytanych okazów nie będzie zbyt długo przebywała na statku – wyjaśnił Bentley. – Poleciałem zbudować w pobliżu Port Augusta prowizoryczne zagrody. Zabierzemy stamtąd zwierzęta dopiero przed samym odjazdem.

– Bardzo słusznie. Kiedy możemy wyruszyć w głąb lądu?

– Im wcześniej, tym lepiej. Jak już zaznaczyłem, obawiam się, że lato będzie upalne i suche. Wyschnięcie rzek utrudni nam łowy. Australia nie obfituje w nadmiar wody.

Tomek uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Spoglądał na mapę, na której Bentley wskazywał wymieniane miejscowości.

Zauważył, że stacja hodowlana Clarka znajdowała się na wschód od wielkich jezior.

– Czy nie moglibyśmy łowić zwierząt w okolicy tych jezior widocznych na mapie? – zapytał nieśmiało. – Tam mielibyśmy wody pod dostatkiem.

– Tak wydawałoby się patrząc na mapę – odparł wyrozumiale Bentley – lecz w okolicy tych właśnie wielkich jezior sławni odkrywcy i podróżnicy ginęli z pragnienia. Okazale wyglądające na mapie jeziora: Torrensa, Eyre[29], Gairdner, Amadeus i inne są w rzeczywistości szlamistymi bagnami lub słonymi błotami w znacznej części porośniętymi trzcina. W zimie nie nadają się do żeglugi, w lecie natomiast, pod wpływem silnego parowania, zmieniają się w niecki wypełnione słonąwą gliną. Również wielu rzek widniejących na mapie nie można znaleźć w terenie, nie tylko w czasie długotrwałej suszy, lecz nawet podczas gorącego lata. Wędrujesz wtedy boso środkiem koryta rzeki, a stopy nie odczuwają ani śladu wilgoci.

– Kiedy wyruszamy w drogę? – krótko zapytał Smuga.

– Pojutrze rano, jeżeli pan Bentley zgodzi się na to powiedział Wilmowski.

– Zgoda, bo, jak już zaznaczyłem, im wcześniej, tym lepiej dla nas potwierdził Bentley.

PIONIERZY AUSTRALIJCY

Do czasu opuszczenia statku Tomek nie mógł zbyt długo usiedzieć na jednym miejscu. Co chwila można go było dostrzec gdzie indziej. To przechylał się przez burtę „Aligatora”, by popatrzeć na ląd, to znowu schodził do pomieszczenia zwierząt żegnać się ze słoniem, któremu solennie obiecywał odwiedziny w ogrodzie zoologicznym w Melbourne, potem wpadał do kuchni, gdzie pałaszował smakołyki podsuwane mu przez kucharza, a stąd pędził z powrotem na pokład, by przyjrzeć się wyładunkowi wielbłądów. Przy każdej okazji zwracał się do Bentleya z prośbą o różne wyjaśnienia oraz wypytywał kapitana Mac Dougala, czy nie będzie mu smutno pozostać w porcie, podczas gdy inni wyruszą na emocjonujące łowy. Uspokoił się nieco dopiero, kiedy nadeszła pora opuszczenia statku. Jako ostatnie przeniesiono na wybrzeże paki ze sprzętem obozowym oraz żywnością i różnymi przedmiotami przeznaczonymi dla członków ekspedycji, które zaraz przetransportowano na dworzec kolejowy.

Tomek przybierał poważną minę, krocząc przez miasto obok ojca. Wydawało mu się, że nie wypada być w zbyt wesołym nastroju, przecież tak jak jego dorośli towarzysze szedł ze sztucercem na ramieniu, a na prawym boku czuł rozkoszny ciężar tkwiącego w pochwie colta. Z zadowoleniem zerkał na przechodniów, którzy zwracali uwagę głównie na niego. Zdobywał się więc na jak najbardziej obojętny wyraz twarzy, myśląc: „Jaka szkoda, że ciotka Janina, wuj Antoni i ich dzieciarnia nie mogą teraz mnie zobaczyć! Hm, a co powiedziałby na to Jurek Tymowski?!”

Ku jego zdziwieniu Port Augusta, chociaż znajdował się w tej dziwnej Australii, niczym niemal nie różnił się od widzianych uprzednio podczas podróży miast portowych. Nawet dworzec kolejowy bardzo przypominał swym wyglądem takie same spotykane w Europie. Przy wychodzeniu na peron nikt nie pytał o bilety. Bez jakiegokolwiek kontroli wsiadało się do wagonu pierwszej lub drugiej klasy, a wszystkie bagaże podróżni przekazywali konduktorowi. Tomek początkowo nie mógł się jakoś z tym pogodzić. Przecież w Warszawie każdy pasażer skwapliwie pilnował swej własności. Chwila roztargnienia mogła grozić utratą walizy czy kuferka. Jakże więc tu w tym „dzikim” kraju można by zapomnieć o elementarnej ostrożności? Obawy Tomka rozwiało dopiero zapewnienie Bentleya, że w Australii nikt nie przewozi bagaży w przedziałach osobowych. Codziennie praktykowanym zwyczajem konduktor zabiera je do wagonu towarowego, a potem zwraca każdemu podróżnemu jego własność przy wysiadaniu na właściwej stacji.

„Widocznie co kraj, to inny obyczaj” sentencjonalnie pomyślał Tomek, sadowiąc się wygodnie w wagonie naprzeciw Bentleya.

Niecierpliwie oczekiwał, kiedy kobieta naczelnik stacji da znak do odjazdu. W końcu nadeszła ta upragniona chwila. Rytmiczny stukot kół wolno jadącego pociągu przyprawił go o szybsze bicie serca. Oto rozpoczął nareszcie swoją wielką wyprawę w głąb tajemniczego kontynentu. Początkowo z zaciekawieniem obserwował przesuwający się za oknem krajobraz, wkrótce jednak, lekko zawiedziony zbyt „cywilizowanym” wyglądem Australii, odwrócił się do swych towarzyszy. Rozejrzał się po przedziale. Smuga spał w najlepsze od wyruszenia pociągu ze stacji w Port Augusta. Głowa olbrzymiego bosmana

Nowickiego kiwała się na wszystkie strony. Ojciec oraz inni uczestnicy wyprawy z powodzeniem udawali się w jego ślady. Tomek zaniepokojony zaczął wątpić w pomyślne odbycie łowów w towarzystwie tak ospałych towarzyszy i dopiero odetchnął lżej spojrzawszy na Bentleya. On jeden nie spał jeszcze, jakkolwiek widać było, że ogólna senność powoli zaczyna się udzielać i jemu.

„Jeżeli pan Bentley również zaśnie, to umrę z nudów” pomyślał Tomek. Aby też nie dopuścić do tej okropnej dla siebie ewentualności, zaczął wiercić się i chrząkać, a gdy tylko Bentley zwrócił na niego uwagę, zagadnął:

– Może się to wyda panu niemądre, ale zupełnie inaczej wyobrażałem sobie Australię.

– Czyżby zawiodła ona twoje oczekiwania? – zaciekawiał się Bentley.

– Przyznam się, że jak do tej pory, Australia bardzo przypomina mi rodzinne strony. Wszędzie widać pola uprawne, ogrody owocowe lub pastwiska. Tyle tylko, że więcej tutaj owiec niż u nas i pastuchy jeżdżą na koniach.

Bentley uśmiechnął się do chłopca, a potem odparł:

– Mówisz, mój drogi, że Australia za bardzo przypomina ci Europę? Jeżeli spodziewałeś się zastać tutaj więcej egzotyki, to mogę cię całkowicie uspokoić. Na razie znajdujemy się jeszcze w dobrze skolonizowanym pasie przybrzeżnym, lecz wkrótce zmieni się krajobraz. Jestem ciekaw, jak ty sobie wyobrażałeś ten kraj?

– Byłem przekonany, że powierzchnię Australii w większej części pokrywają bezkresne stepy i pustynie, w których czyhają na człowieka najrozmaitsze niebezpieczeństwa. Słyszałem nawet, że łatwo tu o złą przygodę z rozbójnikami!

– No, co do tych rozbójników, to już obecnie nic nam od nich nie grozi. Kilkanaście lat temu paru śmiałków istotnie dopuszczało się pewnych wybryków. Było to w okresie panującej tutaj gorączki złota. Natomiast nie myliłeś się, co do wyglądu krajobrazu większej części Australii. Poczekaj tylko, aż posuniemy się dalej na północ. Na tym olbrzymim kontynencie znajdują się jeszcze całe połacie ziemi nie tknięte stopą białego człowieka.

– Czy nie zechciałbyś mi powiedzieć, któż to naopowiadał ci o tych australijskich rozbójnikach?

– Dowiedziałem się o tym z książek polskich podróżników, którzy spędzili w Australii ładnych parę lat.

– To zaczyna być bardzo interesujące! Jakich podróżników masz na myśli?

– Byli to Sygurd Wiśniewski i Seweryn Korzeliński[30].

Bentley myślał chwilę, jakby szukał w pamięci wymienionych przez Tomka nazwisk, po czym odezwał się:

– Nie mogę sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek słyszał coś o tych polskich podróżnikach. Chyba nie należą oni do odkrywców na kontynencie australijskim?

– Pytałem już o to tatusia, który powiedział mi, że Wiśniewski nie był ani odkrywcą, ani uczonym badaczem. Wprawdzie brał on udział w jednej ekspedycji[31] w głąb Australii, ale szybko się z niej wycofał.

– Oto właśnie wytłumaczenie, dlaczego nic o nim nie słyszałem. Wiśniewski zasłużył się zapewne w historii podróżnictwa polskiego, chociaż nie dokonał przecież specjalnych osiągnięć na polu naukowych odkryć.

– To samo powiedział mój ojciec. Mimo to niech pan żałuje, że nie mógł pan przeczytać jego książki. Mam ją na statku, jeżeli tylko pan zechce, chętnie pożyczę.

– Dziękuję ci, Tomku, skorzystam z twojej propozycji w odpowiednim czasie. Czy to Wiśniewski w tak czarnych barwach przedstawił Australię?

– Wcale nie – zaoponował chłopiec. – Czyż mógłby przebywać tutaj aż dziesięć lat, gdyby mu się ten kraj nie podobał?

– No, ale jak wynikało z twoich słów, musiał opisać Australię jako kraj przepełniony rozbójnikami. Wprawdzie pierwszymi kolonistami byli deportowani więźniowie, lecz nigdy nie panowało tutaj bezprawie.

– Może się źle wyraziłem, proszę pana. Jak sobie przypominam, Wiśniowski pisał, że w stanie Wiktorii bezpieczeństwo życia i mienia było większe niż nawet w Anglii. Tym niemniej był on schwytany przez zbójców nad rzeką Murrumbidgee.

– To prawda, bandyci grasowali przez jakiś czas w Nowej Południowej Walii. W naszym stanie[32] nigdy nie pobłażano awanturnikom – rzekł Bentley zadowolony. – Czy pamiętasz, kim byli ci zbójnicy?

– Doskonale pamiętam! Wiśniowski został schwytany przez Gilberta i Ben Halla, którzy przedtem należeli do bandy Gardinera.

– Znam te nazwiska. Powiedz mi, proszę, w jakich okolicznościach ten polski podróżnik zetknął się z nimi?

– Było to w drodze do Bathurst[33]. Właśnie kilkanaście mil przed miastem dwóch jeźdźców zastąpiło mu drogę. Przedstawili się jako bandyci Gilbert i Ben Hall. Zagroziwszy bronią, zabrali Wiśniewskiego do obozu w lesie, gdzie czatowali na mający nadjechać dylizans pocztowy. W obozie tym znajdowało się już kilkanaście osób tak samo zatrzymanych i ograbionych jak nasz rodak.

– Hm, tak mogło być! Australijscy bandyci, którzy urządzali zasadzki na dylizanse wiozące złoto, mieli zwyczaj zatrzymywać wszystkich podróżnych, aby nie mogli ostrzec woźnicy przed napaścią – przywodził Bentley. – Co stało się dalej?

– Bandyci zabrali mu zegarek i kilka funtów[34], które miał przy sobie w kieszeni. Odnosili się nawet dość dobrze do swych brańców. Karmili ich, poili wódką, a niektórym to i ręk nie wiązali. W końcu doszło do napadu na dylizans. Wtedy bandyci zabili konwojentów, a wóz razem z pasażerami przywieźli do swego obozu. Ponieważ w dylizansie nie znaleźli dużo złota, ze zmartwienia wypili więcej wódki i posnęli. Wtedy to

właśnie Wiśniowski skorzystał z okazji. Przepalił więzy węgielkiem ognia, zabrał torbę, w której bandyci trzymali część łupu wraz z jego zegarkiem i pieniędzmi, po czym czmychnął z obozu. Mimo pościgu udało mu się dotrzeć do miasta, gdzie natychmiast zaalarmował policję. Z torby bandytów zabrał tylko swoją własność, a resztę złożył w depozycie policji.

– No, no! Widzę, że ten Wiśniowski był nie lada ryzykantem – wtrącił śmiejąc się Bentley. – Czy Korzeliński, którego książkę czytałeś, miał także podobne przygody w Australii?

– Korzeliński poszukiwał złota i chociaż niewiele go znalazł, przeżył tu niejedno! Widział nawet białych ludzi pozabijanych przez krajowców. Dlatego też spodziewałem się, że i my sami podczas naszej wyprawy będziemy narażeni na różne niebezpieczeństwa. Tymczasem...

Tomek urwał w połowie zdania, spojrział w okno i wymownie wzruszył ramionami widząc uprawne pola. Ubawiony tym Bentley śmiał się wesoło. Po chwili spoważniał i odezwał się:

– Nie martw się, Tomku! Zapewniam cię, że będziesz miał dość różnych wrażeń podczas łowów. Wprawdzie dzięki odważnym, niestrudzonym badaczom i podróżnikom dużo już dzisiaj wiemy o Australii, lecz mimo to zamieszkiwana ona jest jedynie w niektórych częściach przybrzeżnego pasa. Wkrótce ujrzysz prawdziwą, pierwotną Australię.

– Chciałbym, żeby tak było, jak pan mówi. Wydawało mi się teraz, że tutaj nie ma już prawdziwie dziko wyglądających okolic.

– To tylko złudzenie, mój drogi, ponieważ wygodnie jedziemy pociągiem i nie odczuwamy trudów podróży. Jeszcze nie tak dawno temu pierwsi odkrywcy tych ziem zmuszeni byli z narażeniem życia pokonywać przeszkody przerastające nieraz ludzką wytrzymałość. Wielu z nich śmiałość swą przyplaciło życiem.

– Czy znał pan może któregoś z tych podróżników? – zaciekawiał się Tomek.

– Czasy wielkich odkryć skończyły się już przed moim przyjściem na świat. Nie mogłem więc osobiście zetknąć się ze sławnymi podróżnikami australijskimi, lecz dziadek mój towarzyszył przez kilka miesięcy w wyprawie jednemu z bardzo zasłużonych odkrywców.

– Czy badał on te tereny, przez które teraz przejeżdżamy?

– Nie, mój chłopcze! Obecnie znajdujemy się na pograniczu Australii Centralnej. Tymczasem ów podróżnik i mój dziadek wędrowali po Nowej Południowej Walii i Wiktorii, położonych na południowym wschodzie. Do zbadania Australii Centralnej głównie przyczynili się Sturt i Stuart. Możesz mi wierzyć, że wyprawy ich obfitowały w niebezpieczeństwa nie spotykane na innych kontynentach.

– Pan zapewne zna historię ich wypraw? Jakże to były niebezpieczeństwa? Przepadam za takimi opowieściami!

Bentley skinął głową. Wydobył z kieszeni fajkę, nabił ją tytoniem, zapalił, po czym wydmuchnąwszy obłoczek błękitnego dymu, zaczął mówić:

– Wyprawy Sturta i Stuarta[35] miały miejsce w pierwszej połowie i na początku drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Sturt chciał sprawdzić słuszność przypuszczeń kilku podróżników, którzy mniemali, że w głębi australijskiego lądu znajduje się morze. Organizował więc wyprawy odkrywcze, ale straszliwe upały nie pozwalały mu dotrzeć w głąb lądu. W czasie pierwszej wyprawy promienie słoneczne wypaliły trawę na stepach, a woda powysychała w rzecznych korytach. Całe obszary pozbawione wilgoci stawały się dosłownie spaloną ziemią. Strusie emu z wyciągniętymi szyjami na próżno biegały, jak oszalałe, w poszukiwaniu wody. Nawet wytrzymałe na trudy dzikie psy dingo wychudły z braku pożywienia i wody. Sturt musiał zawrócić z drogi, ponieważ obawiał się zginąć z upału i pragnienia.

– Na pewno zrezygnował już z dalszych wypraw – wtrącił Tomek. – Śmierć z pragnienia musi być chyba straszna.

– Sturt nie należał do ludzi, którzy łatwo rezygnują z osiągnięcia celu – mówił Bentley. – Jeszcze w tym samym roku wyruszył na następną wyprawę. Tym razem płynąc na łodziach natknął się na kilkuset krajowców. Ciała ich pomalowane były w białe pasy, co oznaczało, że znajdują się w stanie wojny. Nie mógł ich wyminąć, gdyż zachowywali się wobec niego bardzo wrogo. Mimo liczebnej przewagi napastników Sturt zamierzał wydać rozkaz, aby użyto broni palnej. Wtedy właśnie nieoczekiwanie nadbiegło czterech krajowców. Jeden z nich chwycił za gardło agresywnego ziomka, do którego Sturt celował w tej chwili. Odepchnął go z całej siły i tłumacząc coś długo całej gromadzie zapobiegł rozpoczęciu walki.

Okazało się, że ci czterej krajowcy pochodzili z plemienia zaprzyjaźnionego uprzednio ze Sturtem. Dzięki ich pomocy mógł popłynąć dalej.

Wkrótce zapasy żywności zabrane na wyprawę zaczęły się wyczerpywać, wobec czego Sturt zdecydował powrót. Uczestnicy wyprawy żywili się już tylko czarnym chlebem i wodą lub upolowanymi od czasu do czasu dzikimi kaczkami. Napotykanie krajowcy stale ich niepokoiło. Jeden z podróżników z przemęczenia postradał zmysły i utracił zdolność mówienia, zanim udało im się dotrzeć do Sydney.

Wkrótce Sturt wyruszył na nową wyprawę razem z Jamesem Poole i Mac Douall Stuartem, aby dotrzeć do wnętrza kontynentu. Nadeszło nadzwyczaj upalne lato. Cierpiąc wskutek braku wody, wyprawa dotarła wreszcie do źródła w Rocky Glen i rozłożyła obóz, w którym przetrwała sześć ciężkich miesięcy. Temperatura w ciągu dnia dochodziła, nawet w cieniu, do czterdziestu pięciu stopni Celsjusza. Ziemia pękała z gorąca, roślinność zanikała zupełnie. Sturt wraz z towarzyszami wykopali jamy, w których chronili się przed morderczymi promieniami słonecznymi. Upał był tak olbrzymi, że pod jego działaniem pękały rogowe grzebienie. W tym czasie zmarł jeden uczestnik wyprawy, a drugi, Poole, zachorował na szkorbut. Usiłowano przenieść go do najbliższego osiedla. Mimo wysiłków towarzyszy, zmarł w drodze i został pochowany na pustyni. Ruszyli w dalszą drogę. Przebyli rzekę Strzeleckiego i znaleźli się nad jeziorem Blanche.

– Och, proszę pana! Wymienił pan nazwę rzeki, która przypomniała mi znanego polskiego podróżnika – zawołał Tomek. – Jak słyszałem, dokonał on ważnych odkryć w Australii. Czyżby Paweł Edmund Strzelecki również urządził wyprawę w głąb lądu?

– Widzę, że wszyscy sławni Polacy są bliscy twemu sercu – odparł Bentley. – Wiesz również niemało o ich działalności odkrywczej. Istotnie nazwa wspomnianej przeze mnie rzeki, znajdującej się w głębi Australii, wiąże się z imieniem Pawła Strzeleckiego. Musisz jednak pamiętać, że odkryć swych dokonywał on w południowo-wschodniej części lądu. Dla uczczenia zasług Strzeleckiego, między innymi, nazwano jego imieniem rzekę, o której wspomniałem przed chwilą. Mam nadzieję, że będę mógł ci w sposobnej chwili opowiedzieć wiele ciekawostek z przygód tego polskiego podróżnika. Teraz powróćmy do badaczy Centralnej Australii.

Bentley przerwał na chwilę opowiadanie. Wyjął z płaskiej skórzanej torby mapę i rozłożył ją przed Tomkiem na ławce.

– Przyjrzyj się dokładnie położeniu rzeki Strzeleckiego i jeziora Blanche. Widzisz, znajdują się one w pobliżu terenów, na których będziemy łowili zwierzęta. Łatwiej teraz zrozumiesz to, co ci mówiłem na statku o wartości jezior australijskich jako rezerwuarów wodnych. W tych właśnie okolicach Sturt cierpiał tak straszliwie z powodu pragnienia.

– Co się stało ze Sturtem i jego wyprawą? – niecierpliwie pytał Tomek, mocno zaintrygowany niezwykłą opowieścią.

– Wędrując dalej na północ dotarli do skalistych wzgórz. Na kamienistym gruncie nie było roślinności. Nawet kopyta końskie nie pozostawiały najmniejszego śladu. Konie padały z braku paszy i wody. Wyprawa znów znalazła się w obliczu grozy śmierci. Około dwustu kilometrów zaledwie dzieliło Sturta od osiągnięcia celu, lecz chcąc ratować życie własne i towarzyszy, musiał zawrócić.

To był już koniec jego badań. Dopiero w kilka lat później współuczestnik jego ostatniej wyprawy, Stuart, po sześciu nieudanych próbach, przeszedł przez całą Australię z południa na północ. Obecnie drogą tą przechodzi linia telegrafu łącząca Adelajdę z Port Darwin.

– Jakie były dalsze dzieje Stuarta? – dopytywał się Tomek; zaimponował mu odważny i uparty podróżnik.

– Trudy wypraw poważnie pogorszyły stan jego zdrowia. Groziła mu nawet utrata wzroku. Wyjechał do Anglii, gdzie umarł w kilka lat później – wyjaśnił Bentley.

– Miał chociaż szczęście, że nie zginął w tej okropnej pustyni – szepnął Tomek z uczuciem ulgi. – Przecież to straszne umierać samotnie w tak dzikim kraju!

– Nie wszyscy odkrywcy mieli tyle szczęścia, co on – dodał Bentley. – Wspomniałem już przecież, że wielu z nich przypłaciło życiem swoją odwagę.

– Którzy podróżnicy zginęli podczas wypraw? – zaraz zagadnął Tomek, zaintrygowany jego słowami.

– Na przykład Leichhard i Kennedy. Pierwszy z nich zaginął nawet w bardzo

tajemniczych okolicznościach.

– Bardzo proszę, niech mi pan jeszcze opowie o nich – zawołał Tomek.

– Ludwik Leichhardt[36] udał się wzdłuż wschodniego wybrzeża kontynentu w kierunku północnym. Podczas pierwszej wyprawy, po wielu trudach, dotarł do Zatoki Karpentaria. Tego dnia wieczorem krajowcy, mszcząc się za przejście przez ich tereny łowieckie, napadli na podróżników. Stoczono walkę, w wyniku której jeden z uczestników ekspedycji został zabity, a dwóch ciężko rannych. Leichhardt powrócił chory i zagłodzony, lecz już w 1848 roku zorganizował nową wyprawę, aby tym razem dotrzeć do leżącego na zachodzie miasta Perth. Zabrał wtedy z sobą pięćset domowych zwierząt dla wyżywienia wyprawy. Z niewiadomych przyczyn zbieżył z drogi i zamiast na zachód, poszedł znów w kierunku północnym. Na błotnistych terenach, w porze deszczowej, zwierzęta zabrane przez Leichhardta szybko wyginęły. Podróżnik, wraz z pięcioma Europejczykami i dwoma krajowcami, nie zrażając się przeciwnościami, skierował się na zachód i dotarł do rzeki Cogoon. Była to ostatnia o nim wiadomość. Z chwilą wkroczenia na tereny pokryte gąszczem nie otrzymano już od niego żadnego znaku życia. Podróżnicy, którzy później wyruszyli na poszukiwanie zaginionych, znaleźli jedynie wyryte na drzewach litery „L”, co mogło stanowić pierwszą literę nazwiska Leichhardta, i kilka końskich siodeł, które prawdopodobnie należały do wyprawy. Niczego więcej nie dowiedziano się o jej losach. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, podróżnicy zginęli z głodu i pragnienia bądź utonęli wędrując wyschniętym korytem rzeki, która nagle wezbrała, lub też zostali zamordowani przez krajowców.

– A jak to było z podróżnikiem Kennedym[37]? – zapytał Tomek.

– Zamierzał on zbadać półwysep York – wyjaśnił Bentley. – Wyprawa jego natrafiła na błotniste tereny, na których obojęcie straciła sześć tygodni. Kiedy znów wkroczyła w gąszcz splątanych drzew, musiała siekierami torować sobie drogę. Wrogo usposobione plemiona krajowców nie dawały podróżnikom spokoju. Kennedy polecił użyć broni palnej. W walce padło wprawdzie pięciu krajowców, lecz pozostali bez przerwy podążali za wyprawą, oczekując jedynie na odpowiednią chwilę do napaści. W trzęsawiskach wozy nie nadawały się do przewożenia ładunku, Kennedy porzucił je więc, zapasami objuczając konie. Z tego powodu ze znacznym opóźnieniem dotarli do Charlotte Bay, gdzie miał oczekiwać na nich żaglowiec. Tutaj stwierdzili, że statek odpłynął już przed ich przybyciem. Kennedy rozbił obóz. Pozostawiwszy w nim ludzi niezdolnych do dalszego marszu, wraz z czterema towarzyszami udał się w kierunku wyspy Albany, jako ostatecznego celu wyprawy. W dalszym ciągu prześladowały go niepowodzenia. Jeden z towarzyszy zabił się przypadkowo, drugi uległ kalectwu, co znów zmusiło trzeciego do pozostania, by się nim opiekować. Kennedy z wiernym mu krajowcem, Jackej-Jackeyem, szedł dalej. Przez cały czas nie odstępowali ich krajowcy szukający zemsty, aż w końcu w nierównej walce ciężko ranili Kennedy'ego. Umarł, nie osiągnąwszy celu wyprawy. Jackey-Jackey pochował go, zabrał pamiętnik i sam ruszył w kierunku wyspy Albany. Został spostrzeżony przez kapitana szkunera „Ariel”, przepływającego w pobliżu wybrzeża, który też zabrał go na statek. Zaraz pospieszono na ratunek chorym, pozostawionym przez

Kennedy'ego uczestnikom wyprawy. Niestety, pomoc przybyła zbyt późno, gdyż krajowcy zabili ich. Z dwunastu ludzi powróciło z wyprawy tylko dwóch.

OPÓR KRAJOWCÓW

Tomek niezwykle zainteresowany rozmową z Bentleyem i jego opowieściami o niebezpiecznych przygodach pierwszych australijskich odkrywców nie zwracał wcale uwagi na to, co się działo wokół niego. Tymczasem słońce chyliło się już ku zachodowi. Towarzysze podróży od dawna przestali drzemać i na równi z chłopcem przysłuchiwali się opowiadaniom Bentleya. Nic więc dziwnego, że Tomek ochłonął dopiero wtedy, gdy zoolog zmęczony długą, rozmową zajrzał do koszyczka z zapasem żywności.

Tomek także poczuł głód. Wydobył właśnie torbę z owocami, lecz gdy mimo woli spojrzął w okno wagonu, natychmiast zapomniał o jedzeniu. Szerokie doliny leżące między łagodnymi pagórkami porośnięte były australijskim skrobem[38], to jest wiecznie zielonymi krzewami skarłowaciałych akacji i eukaliptusów. Krajobraz był tak charakterystyczny oraz pełen dzikiego uroku, że Tomek krzyknął ze zdumienia.

– Co tam ujrzałeś ciekawego, Tomku? – zagadnął Wilmowski, podchodząc do wyglądającego przez okno syna.

– No, nareszcie krajobraz australijski wzbudził zainteresowanie naszego młodego towarzysza – zauważył Bentley. – Przed kilkoma zaledwie godzinami narzekał przecież, że Australia zbyt przypomina mu Europę!

– To na pewno jest ten słynny skrob! – entuzjasmował się chłopiec.

– Nie mylisz się, Tomku – potwierdził Bentley. – Ciekawsze i nie mniej charakterystyczne dla Australii okolice ujrzysz w czasie łowów.

– Tak właśnie wyobrażałem sobie skrob, ucząc się w szkole geografii – chwalił się Tomek.

Dopiero gdy zmrok wieczoru otulał step, Tomek zjadł z wielkim apetytem kolację, a potem zadowolony wcisnął się w kąć ławki i zasnął niemal natychmiast.

Następnego dnia prawie wcale nie odchodził od okna. Błyszczącymi z podniecenia oczyma wpatrywał się w szerokie pasy sawannów porośniętych niskimi drzewami, to znów zachwycał się budzącym uczucie strachu suchym, ciernistym skrobem, który przeważał w tej bezwodnej okolicy. Zdołał nawet wypatrzeć w pobliżu toru kolejowego sławne drzewo butelkowe, o pniu rozszerzonym w kształcie flaszki. Bentley nie omieszkał skorzystać z okazji, by wyjaśnić, że gromadząca się w otworach pnia i nie wysychająca nawet podczas długotrwałej suszy woda często ratowała życie podróżnikom zabłąkanym w suchym jak pieprz pustkowiu. Nie mniejsze zaciekawienie wzbudził w Tomku inny okaz flory australijskiej. Było to drzewo trawiaste o grubym i na kilka metrów wysokim pniu, z którego zwieszały się wąskie, długie, ostre jak noże liście. Spomiędzy nich wyrastał w górę podłużny człon spowity białym kwieciem o kształcie gwiazd. Drzewa trawiaste, jako nadzwyczaj odporne na suszę, krzewiły się nawet w skalisto-pustynnej głębi kontynentu.

Z każdą godziną pociąg coraz bardziej oddalał się na północ. Teraz od czasu do czasu ukazywały się na zachodnim horyzoncie sinawe pasma wzgórz. W niektórych miejscach

obszary skrobu urywały się na piaszczystych wydmach. Wszędzie panowały: martwota, cisza i spiekota... Tuż przed zmierzchem za oknami pociągu rozpostarł się szeroki step, pokryty wyblakłą od słońca trawą.

Był już gwiazdzisty wieczór. Bentley właśnie zaczął przygotowywać się do wysiadania. Tomek zaraz wychylił się przez okno. Wkrótce też zawołał:

– Widzę w dali jakieś światełka! To chyba nasza stacja?

– Dojeżdżamy do Wilcannii – potwierdził Bentley spoglądając na zegarek.

W wieczornej ciszy donośnie rozległ się gwizd lokomotywy. Pociąg, zgrzytając hamulcami, zatrzymał się w pobliżu zabudowań. Część uczestników wyprawy pobiegła dopilnować wyładowania bagaży z wagonu towarowego. Tomek tymczasem rozglądał się po małej, niemal pustej stacyjce. Na peronie znajdowało się zaledwie kilku chudych, mocno opalonych mężczyzn, ubranych w spodnie wpuszczone w długie buty, kolorowe koszule i miękkie, pilśniowe kapelusze z szerokimi kresami.

Niezbyt wysoki, szczupły mężczyzna zbliżył się do Bentleya. Jego małą głowę pokrywały połyskliwe, czarne włosy. Niskie czoło, szeroko rozstawione, ciemne oczy, spłaszczony nos o mocno rozdętych nozdrzach, wydatne kości policzkowe, a nade wszystko błysk mocnych białych zębów w rozchylnych grubych wargach nadawały jego twarzy wyraz dzikości, mimo europejskiego ubrania, które miał na sobie.

– Oto jest i Tony! – zawołał Bentley na widok nadchodzącego krajowca. – Panie Wilmowski, to jest Tony, przewodnik oraz doskonały tropiciel, o którym opowiadałem w Port Augusta.

Tony przywitał się kolejno ze wszystkimi.

– Gdzie pozostawiłeś wozy? – zapytał Bentley.

– Czekają przed stacją – odparł Tony łamaną angielszczyzną. – Czy możemy zaraz odjechać?

– Załadujemy bagaże na wozy i natychmiast wyruszamy do farmy pana Clarka. Chcemy jak najprędzej stanąć na miejscu – potwierdził Bentley.

Wyszli przed dworzec. W mdłym świetle ręcznych latarni ujrzał Tomek dwa wozy na wysoko osadzonych osiach, o dużych tylnych i mniejszych przednich kołach. Do każdego pojazdu zaprzęgnięte były po trzy pary jednogarbnych wielbłądów. Jak się później Tomek dowiedział, zaprzęg z ośmiu wielbłądów mógł ciągnąć bez zbyteńnego wysiłku wóz z ładunkiem trzech ton, nawet przez piaszczystą pustynię.

Czterech niskich krajowców o ziemistym kolorze skóry i głowach pokrytych wełnistymi włosami szybko załadowało bagaże. Łowcy wsiedli na drugi wóz. Ruszyli w drogę. Nieliczne zabudowania osiedla szybko zniknęły z pola widzenia. Jechali przez step porosły wysoką trawą. Tomek na próżno wypatrywał drogi. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób można tu utrzymać właściwy kierunek? Ciemność wieczoru uniemożliwiała rozglądanie się po okolicy. Wielbłądy, kierowane wprawnymi rękami krajowców,

posuwały się szybko naprzód, a łowcy urozmaicali sobie czas rozmową. Wilmowski wypytywał Bentleya o właściciela farmy, u którego mieli zatrzymać się w czasie pierwszych łowów.

– Wspomniał pan, że Clark zatrudniony był przez pewien czas na stacji transkontynentalnego telegrafu. Dlaczego porzucił tę pracę? – zagadnął Wilmowski.

– Po prostu sprzykrzył mu się samotniczy i monotony tryb życia, jaki zmuszona jest prowadzić załoga stacji telegrafu – odparł Bentley. – Poszczególne posterunki oddalone są od siebie przeciętnie o dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Jeżeli weźmie się pod uwagę, że linia telegrafu przebiega przez pustynny, bezludny obszar Australii Centralnej, łatwo zrozumieć, dlaczego załogi nie mogą się odwiedzać.

– Z ilu ludzi zazwyczaj składa się załoga takiej stacji? – pytał Wilmowski.

– Przeważnie stanowi ją dwóch telegrafistów i czterech mechaników. W przypadku stwierdzenia uszkodzeń z obydwóch posterunków, między którymi nastąpiło przerwanie linii, wyruszają natychmiast mechanicy z instrumentami i materiałem koniecznym do naprawy. Sprawdzają linię tak długo, aż jedna z ekip odnajdzie i usunie uszkodzenie. Wiadomość o naprawieniu linii telegrafu podawana jest drugiej ekipie, po czym powracają one natychmiast do swoich posterunków nawet się nie spotykając.

– Skąd pan wie to wszystko tak dokładnie? – zdziwił się Tomek.

– Clark jest moim przyjacielem – odpowiedział Bentley. – Kiedy był jeszcze pracownikiem służby telegraficznej, zaprosił mnie do siebie z wizytą. Cały miesiąc spędziłem z nim w Peak Overland Telegraph Station[39], znajdującej się trochę na zachód od jeziora Eyre. Miałem wtedy okazję przyjrzeć się Martwemu Sercu Australii, jak to niektórzy nazywają środkową część tego kontynentu.

– Dlaczego wewnątrz kontynentu nazywane jest Martwym Sercem Australii? – zaciekał się Tomek.

– Obdarza się je często tą nazwą, ponieważ Centralną Australię pokrywa bezwodna, niegościnna dla ludzi i zwierząt pustynia. W okolicy jeziora Eyre nawet ptaki pojawiają się bardzo rzadko. Opowiadałem ci przecież, o olbrzymich trudnościach, jakie napotykali podczas swych wypraw badawczych Sturt i Stuart.

– Wspominał pan uprzednio o konieczności częstego naprawiania uszkodzeń linii telegraficznej – wtrącił się do rozmowy Smuga. – Jakie są przyczyny powstawania szkód?

– Najwięcej ich wynika z dzikiego charakteru kraju. Z tego powodu budowa linii telegraficznej była niezmiernie utrudniona i bardzo mozolna. Drzewo, drut, izolatory, a nawet żywność i wodę dla budowniczych musiano przywozić na jucznych zwierzętach. Przez dwa lata karawany wędrowały po pustyni. Niebawem też stwierdzono, że przy budowie nie można posługiwać się drewnianymi słupami, ponieważ w krótkim czasie niszczyły je żarłoczne termyty. Gdyby w porę nie zastosowano stalowych słupów, cały trud poszedłby na marne. Poza tym proszę wziąć pod uwagę często nawiedzające te okolice burze piaskowe.

– Przypominam sobie, że rozpoczęta w 1878 roku, a więc już w sześć lat po założeniu telegrafu, budowa linii kolejowej, która również miała przeciąć kontynent z południa na północ, zetknęła się z tymi samymi trudnościami – dodał Wilmowski.

– I do dzisiejszego dnia nie ukończono całkowicie jej budowy, bowiem tor wiodący z południa urywa się w Alice Springs, a na północy kończy się w Daly Waters. Obydwie te stacje oddziela pas pustyni długości ośmiuset kilometrów – dokończył Bentley. – Taniej nawet kosztuje położenie nowego toru niż odkopanie starego, zasypanego przez piach niesiony przez burze.

– Niełatwe tu macie życie. Myślałem, że to krajowcy przerywają linię telegrafu – zauważył Smuga.

– Nie, oni nie niszczyli linii – zaprzeczył Bentley. – Jeszcze w czasie budowy pomyślano o niezbyt przyjemnej dla krajowców lekcji. Namawiano ich do dotykania przewodów i w ten sposób „obdarzano” hojnie bezpłatnymi wstrząsami elektrycznymi. Robiły one na Australijczykach niesamowite wrażenie, tak że później ostrzegali swych ziomków. Od tej pory nazywają telegraf „diabłem białych ludzi”. Chociaż zdarzały się niekiedy przypadki atakowania, a czasem nawet zabijania obsługi, to jednak przewody zawsze pozostawały nietknięte.

– Czy krajowcy jeszcze teraz niepokoją pracowników telegrafu? – dopytywał się Smuga.

– Mówiono swego czasu o napadzie na stację w Barow Creek. Krajowcy zaatakowali jej pracowników, którzy szli wykopać się w Strumieniu. Pod gradem włóczni musieli wycofywać się do budynku. Telegrafista Stapleton i jeden mechanik zostali zabici, a dwóch innych dotkliwie poraniono.

– Nie słyszałem, aby krajowcy australijscy byli kiedykolwiek zbyt agresywni – powiedział Smuga. – Przecież nie było tu większych walk między nimi a kolonistami?

– W zasadzie są to spokojni ludzie, lecz pamiętają krzywdy wyrządzone im przez osadników – przyznał Bentley.

– To prawda! Najlepiej świadczy o tym liczba pozostałych przy życiu krajowców oraz nędza, na jaką ich skazano – dodał Wilmowski.

– Smutne to, lecz prawdziwe – odparł Bentley i zmienił nieprzyjemny dla niego temat rozmowy.

Nocna jazda po stepie szybko znużyła Tomka. Zasnął oparty o ramie, ojca. Zbudził się dopiero o świcie, gdy przystanęli, aby dać wytchnienie zmęczonym wielbłodom. Wokół rozpościerał się step porośnięty wysoką, pożółkłą od słońca trawą. Pod podmuchem wiatru falowała ona jak powierzchnia olbrzymiego oceanu. Tylko gdzieniegdzie wystrzelały w górę kępki drzew. Daleko na zachodzie rysowały się łagodne pagórki.

Krajowcy wyprzęgli wielbłądy, a łowcy rozłożyli namiot i sporządzili naprędce śniadanie. Po krótkim wypoczynku ruszyli w dalszą drogę. Niemal przed zachodem słońca

ujrzeli zabudowania. Niskie ogrodzenie otaczało parterowy domek z ocienioną werandą oraz resztę budynków gospodarskich. Tuż za farmą rosły gęste kępy krzewów, dochodzące szerokim pasem do linii pagórków.

– Jesteśmy na miejscu – poinformował Bentley, kiedy wozy zbliżyły się do małego osiedla.

Na werandzie domku ukazał się wysoki mężczyzna. Ujrzał nadjeżdżające wozy i wybiegł na spotkanie gości.

– Oto pan Clark we własnej osobie! – zawołał Bentley na jego widok. – Jak się masz Johnny[40]?

– Oczekuję was co najmniej od trzech godzin – odpowiedział Clark. – Obawiałem się, że przygotowana na wasze przyjęcie zupa z ogona kangura wygotuje się całkowicie. Schodźcie z wozu i rozgośćcie się jak u siebie w domu.

Łowcy otrzymali do swej dyspozycji trzy największe izby. Zaledwie zdążyli rozpakować się, Clark poprosił ich do stołu. Gospodarstwo domowe prowadził Chińczyk Watsung. Według opinii Clarka miał być doskonałym kucharzem, lecz zachwalana przez niego zupa z ogona kangura wcale Tomkowi nie smakowała. Obiad jednak był obfity i urozmaicony. Szybko zaspokoili pierwszy głód. Mężczyźni zapalili fajki.

– Muszę was niestety powiadomić o sytuacji, jaka od kilku dni wytworzyła się w naszym osiedlu – zagadnął Clark. – Otóż wśród krajowców koczujących w okolicy rozeszła się wieść o zamierzonych wielkich łowach. Dowiedzieli się o tym od Tony'ego, który proponował im wzięcie udziału w obławie. Wiadomość o łowach wywołała wśród krajowców nieoczekiwane wzburzenie. Odmawiają podobno swej pomocy. Ze względu na to, że przebywają w okolicy w znacznej liczbie, powinniśmy zachować pewną ostrożność. Nie radzę wychodzić pojedynczo z osiedla. Oczywiście należy również pamiętać o zabieraniu z sobą broni.

– Tony, czy słyszałeś, co mówił pan Clark? – zwrócił się Bentley do tropiciela.

– Słyszałem! Pan Clark dobrze mówi – odparł Tony.

– O co im chodzi? – pytał Bentley.

– Nie chcą wielkiego polowania białych ludzi w tych okolicach.

– Dlaczego? Przecież zapłacimy za pomoc!

– Oni boją się, że po tych łowach zniknie cała zwierzyna.

– Czy wyjaśniłeś, że mamy zamiar schwytać tytko kilkanaście sztuk żywych zwierząt?

– Właśnie to im się nie podoba – odpowiedział Tony. – Mówią, że chwywanie żywych zwierząt jest jakimś nowym podstępem białych ludzi. Nie godzą się na to. Oni mówią tak: „najpierw biali zabiorą zwierzynę, a potem zagarną całą ziemię i wybudują miasto”. Mówią, że biali zawsze tak postępują.

– Tony, przecież już brałeś udział w tylu wyprawach i wiesz najlepiej, o co nam chodzi

– zafrasował się Bentley.

– Wiem, ale oni mi nie wierzą, bo jestem z wami.

– Co pan powie na to? – rzekł Bentley spoglądając na Wilmowskiego.

– W czasie wypraw niejednokrotnie spotykałem się z nieprzyjaznym przyjęciem przez krajowców – spokojnie odpowiedział Wilmowski. – Postaramy się przekonać ich, że są w błędzie.

– W każdym razie należy zachować konieczne środki ostrożności – doradzał Clark. – O wypadek nietrudno.

– Zgadzam się z panem całkowicie – potwierdził Wilmowski, a zwracając się do Smugi, dodał: – Słuchaj, Janku, ty odpowiadasz za nasze bezpieczeństwo. Musisz wydać odpowiednie zarządzenia, Ja natomiast postaram się jakoś ułożyć z krajowcami.

Smuga natychmiast zwołał wszystkich uczestników wyprawy i powiadomił ich o konieczności zachowania daleko posuniętej ostrożności. Na zakończenie powiedział:

– Od tej chwili nikomu nie wolno wychodzić z domu bez broni ani też wydalać się poza obręb stacji bez mego pozwolenia. Jeżeli zajdzie potrzeba, będziemy wystawiali przed domem warty. Przede wszystkim jednak uprzedzam, że broni należy użyć jedynie w razie napaści grożącej utratą życia. Jestem pewny, że Wilmowski, jak zwykle, opanuje sytuację i przekona krajowców o bezpodstawności plotek.

Wkrótce wszyscy udali się na spoczynek. Cisza zapanowała w małym osiedlu.

Wilmowski długo nie mógł zasnąć. Jako kierownik wyprawy odpowiedzialny był za pomyślne przeprowadzenie łowów. Plotka krążąca wśród krajowców mogła spowodować wiele kłopotu. Jeśli odmówią udziału w łowach, sytuacja stanie się naprawdę ciężka. Nie będzie można urządzić obławy na szybkonogie kangury i strusie emu. W pewnej chwili jego rozmyślenia przerwał szept Tomka:

– Nie śpisz jeszcze, tatusiu?

– Nie śpię – cicho odparł Wilmowski. – Widzę, że i ty nie możesz usnąć. Późno już...

– Myślę o tym, co powiedział pan Clark. Dlaczego krajowcy nie wierzą Tony'emu?

– Nie wierzą mu, ponieważ przebywa wśród białych ludzi. Mają mu to za złe.

– Przecież on nie robi nic złego – zdziwił się Tomek.

– To nie jest takie proste, Tomku. Oni uważają, że Tony pracuje dla nas na ich niekorzyść.

– W jaki sposób przekonamy krajowców o naszych dobrych zamiarach?

– Muszę im to jakoś po przyjacielsku wytłumaczyć, by przełamać nieufność, a teraz śpij, jest już bardzo późno.

– Dobrze, postaram się usnąć. Dobranoc, tatusiu!

Tomek odwrócił się do ściany.

Wilmowski wkrótce zasnął, nie powziąwszy jakiegokolwiek postanowienia. Był to bardzo niespokojny sen. Przyśniła mu się afrykańska wyprawa, w czasie której przeżył wiele kłopotów z krajowcami. Niepokojące obrazy pojawiały się w jego podświadomości. Słyszał ostrzegawcze bębnienie tam-tamów, a z gąszczu dżungli co chwila wychylali się uzbrojeni Murzyni. Naraz kroczący obok niego Smuga szybko podniósł karabin do ramienia.

„Nie strzelaj” krzyknął Wilmowski, lecz Smuga nie słyszał wołania i naciskał spust raz za razem. Krajowcy grozili włóczyniami. Teraz dopiero Wilmowski spostrzegł, że to nie Smuga, lecz Tomek strzelał do kryjących się za drzewami Murzynów. Wilmowski nagle zbudził się pod wpływem silnego wzruszenia. Uspokoił się; w izbie było już zupełnie jasno. Uzmysłował sobie, że to wszystko było jedynie przykrym snem. Wtem usłyszał wyraźnie suche trzaski strzałów karabinowych.

„Raz, dwa, trzy” liczył cicho zastanawiając się, co ma oznaczać ta kanonada. Powoli ogarniał go coraz większy niepokój. Odruchowo spojrział w kierunku posłania Tomka. Było puste. Nie ujrzał również ułożonych wieczorem przez syna przy posłaniu sztucera i rewolweru. W dali wciąż rozlegały się strzały. Zimny pot pokrył czoło Wilmowskiego. Zerwał się na równe nogi, chwycił spod poduszki rewolwer i krzyknął:

– Alarm!

Łowcy porwali się z posłań, chwytając za broń. Wilmowski przerażony zawołał:

– Tomek wyszedł z domu! To odgłos strzałów jego sztucera!

Mężczyźni, tak jak zerwali się ze snu, wybiegli z domu z bronią w rękach.

Rzucili się w kierunku, z którego dochodziły odgłosy strzałów. Zanim wyminieli domek zamieszkiwany przez Watsunga, wyszedł ku nim Clark całkowicie ubrany.

– Stójcie, do wszystkich diabłów! – powiedział stanowczo. Chwycił Wilmowskiego za ramię i zatrzymał na miejscu.

– Tomek wyszedł z domu! – wyrzucił z siebie Wilmowski jednym tchem. – To on strzela!

– Wiem o tym – odparł Clark – ale niech się pan uspokoi, z Watsungiem obserwujemy go przez lornetkę. Nic mu nie grozi.

Wilmowski wolno opanował wzburzenie. Otarł ręką pot spływający z czoła.

– Zapomnieliśmy o nim wczoraj – westchnął ciężko, spoglądając na Smugę. – Należy mu się lanie za samowolę.

– Może lanie należałoby się komu innemu... to jeszcze rzecz do dyskusji – mruknął Clark. – Wejdźcie do domu. Zobaczycie coś ciekawego.

Po chwili znaleźli się w małej izbie. Przy oknie ujrzeli Watsunga spoglądającego w dal przez lornetkę. Obok niego stał karabin oparty o ścianę.

– No i co? – krótko zapytał Clark.

– Bez zmiany – padła odpowiedź.

Clark podał lornetkę Wilmowskiemu mówiąc:

– Niech pan sam zobaczy, co porabia pański syn.

Wilmowski spojrział przez lornetkę i zdumiał się. Ujrzał Tomka popisującego się celnością strzałów przed grupką zaintrygowanych Australijczyków.

– Zwariował chłopak! – orzekł gniewnie.

– Co on robi? – zaciekawił się Smuga.

– Urządził popis strzelecki dla młodych krajowców – wyjaśnił Clark. – Przedtem zaś zjadł śniadanie w towarzystwie nowych znajomych.

– Co pan mówi? – nie dowierzał Wilmowski.

– To, co pan słyszy. Od kilku dni, na skutek wzburzenia krajowców, zachowujemy dużą ostrożność. Czuwamy na zmianę. O świcie nadeszła moja kolej. Spostrzegłem zaraz tych młodych Australijczyków. Są oni na pewno wywiadowcami koczujących w okolicy plemion. Kiedy zobaczyłem Tomka idącego do nich z torbą konserw i sztucerem na ramieniu, omal nie uczyniłem tego, co i wy w pierwszej chwili chcieliście zrobić. Już miałem wybiec, by zatrzymać go, gdy przyszła mi pewna myśl do głowy.

– Już wiem – domyślił się Wilmowski. – Był pan ciekaw, czy uda mu się zaprzyjaźnić z krajowcami.

– O to mi właśnie chodziło! Zawołałem Watsunga, po czym, trzymając broń w pogotowiu, obserwowaliśmy go nie widziani przez nikogo. Jakoś musiał dogadać się z Australijczykami, wkrótce bowiem wspólnie zjedli śniadanie. Potem Tomek rozpoczął popisy, strzelając do pustych blaszanek i bawi w ten sposób krajowców do tej pory.

– Czy to na pewno są zwiadowcy? – zapytał Smuga.

– Z całą pewnością! – potwierdził Clark. – Przypuszczaliśmy, że usłyszycie strzały. Byłem gotów pójść powiadomić was o wszystkim, ale tymczasem sami już wybiegliście z domu.

– Ciekawe, co z tego wyniknie? – zastanowił się Smuga.

– Jedno jest pewne – odezwał się milczący dotąd Bentley – jeżeli Tomek nic pomoże nam w tej głupiej sytuacji, to na pewno nie przyniesie szkody. Trzeba, mimo wszystko, zwracać na niego baczniejszą uwagę.

Wilmowski powtórzył im teraz nocną rozmowę z synem.

– Nigdy nie przypuszczałem, że taki będzie jej skutek – zakończył. – Co wypada nam uczynić w tej chwili?

– Obserwujmy Tomka i czekajmy cierpliwie – zaproponował Clark. – Wydaje mi się, że zabawa dobiega końca. Australijczycy wygaszają ogień.

Po chwili odłożył lornetkę.

– Tomek powraca do domu. Zrobimy mu małą niespodziankę – oznajmił.

Tomek szedł wolnym krokiem, a grupa krajowców oddalała się ku skalistym wzgórzom. Kiedy chłopiec przechodził obok domku, Clark wychylił się oknem.

– Dzień dobry! Widzę, że lubisz poranne spacerunki! – powitał Tomka.

– Dzień dobry panu! Owszem, lubię. Nie byłem jednak na spacerze – odparł Tomek.

– Może wstąpisz na śniadanie – zaproponował Clark.

– Muszę pójść do domu. Ojciec na pewno zbudzi się zaraz i będzie o mnie niespokojny.

– Wstąp chociaż na chwilę. Powiesz mi przy okazji, o czym rozmawiałeś tak długo z tymi młodymi Australijczykami – nalegał Clark, tłumiąc ogarniającą go wesołość.

– Jeśli chodzi tylko o to, wstąpię na chwilę – zgodził się Tomek. Wszedł do mieszkania; zaraz też stanął zdumiony nieoczekiwanym widokiem. Ubrani całkowicie Clark i Watsung otoczeni byli gromadą półnagich mężczyzn. Tomek powiódł wzrokiem po ich bosych stopach oraz owłosionych łydkach, spojrzał na dłonie zaciśnięte na karabinach i rewolwerach. Poważny, skupiony wyraz twarzy stojących w milczeniu mężczyzn stanowił tak wielki kontrast z ich „ubiołem”, że Tomek po prostu nie wytrzymał i parsknął głośnym śmiechem.

Dopiero teraz łowcy zaczęli przyglądać się sobie wzajemnie. Zrozumieli komizm niecodziennej sceny. Pierwszy roześmiał się bosman Nowicki, po nim Bentley, Smuga, a w końcu wszystkich ogarnęła wielka wesołość.

Wilmowski nie uległ ogólnemu nastrojowi. Rozgniewany był na syna za lekkomyślne oddalenie się z farmy. Poprosił więc wszystkich o spokój, a potem zwrócił się do chłopca:

– Co ty wyprawiasz, do licha? Wytlumacz się, i to natychmiast!

Tomek zdziwiony spojrzał na ojca, po czym odparł urażonym głosem:

– Co ja wyprawiam? Nic! Jeśli chcieliście mnie przestraszyć przebierając się za krajowców, to nie udało się wam! To są naprawdę bardzo mili ludzie, a poza tym zapomnieliście pomalować się na czarno! – zakończył triumfująco.

Wilmowski spojrzał bezradnie na resztę towarzyszy z trudem tłumiących wesołość. Znowu przybrał surowy wyraz twarzy i powiedział ostrym tonem:

– Dlaczego wyszedłeś poza obręb farmy bez pozwolenia pana Smugi? Słyszałeś chyba wyraźnie wydany wczoraj rozkaz?

Dopiero teraz Tomek zorientował się w sytuacji. Spoważniał natychmiast i odparł:

– Rozkaz słyszałem, ale...

– Ale uważałeś, że on ciebie nie dotyczy? – przerwał mu Wilmowski.

– Wcale tak nie uważałem!

– Wy tłumacz się ze swego postępowania – gniewnie polecił ojciec.

– Musiałem wyjść na chwilę – zaczął Tomek niepewnym głosem. – Ubrałem się więc i wyszedłem. Wracając do domu, spostrzegłem w pobliżu grupkę chłopców. Byli to krajowcy. Spoglądali na mnie z zaciekawieniem. Wtedy właśnie przysła mi do głowy wspaniała myśl, żeby z nimi porozmawiać i wytłumaczyć, po co tu przyjechaliśmy. Wróciłem do domu, aby poprosić pana Smugę o pozwolenie, ale wszyscy jeszcze mocno spali. Zabrałem trochę konserw i sucharów. Wydawało mi się, że o tak wczesnej porze ci chłopcy mogą być głodni. Nie zapomniałem również o koniecznej ostrożności. Zabrałem sztucer i dopiero wtedy udałem się w kierunku Australijczyków. Nie chciałem oddalać się zbyt od domu. Usiadłem więc na ziemi, otworzyłem puszkę z konserwami. Zacząłem jeść. Wtedy oni powoli zbliżyli się do mnie i obstąpili kołem. Poprosiłem, aby zjedli ze mną śniadanie. Niektórzy z nich znali sporo słów angielskich, więc wkrótce wywiązała się między nami pogawędka.

– O czym rozmawialiście? – zapytał Bentley, gdy Tomek przerwał sprawozdanie dla nabrania tchu.

– Zapytałem ich najpierw, czy widzieli słonia? – odparł Tomek. – Bo tak naprawdę to nie wiedziałem, co mam mówić, żeby ich nie obrazić. Okazało się, że oni nie widzieli, co to jest słoń. Pokazałem im moją fotografię na słoniu: oni bardzo się dziwili. Ponieważ wydało mi się, że to ich ciekawi, pokazałem im również zdjęcie zastrzelonego tygrysa. Zapytali mnie, gdzie można obejrzeć takie dziwne zwierzęta. Wyjaśniłem, że słonia przywieźliśmy do ogrodu zoologicznego w Melbourne. Potem opowiedziałem także o zastrzeleniu tygrysa. To im się bardzo podobało. Zapytali mnie, dlaczego chcemy jedne zwierzęta zabierać, a inne przywozimy. Wtedy odrzekłem, że ludzie w Europie lubią oglądać różne zwierzęta w specjalnych ogrodach i płacą nawet za to pieniądze. Wydawało im się to bardzo dziwne. Mówili, że tacy ludzie mogą przecież tu przyjechać i bez opłaty przyglądać się kangurom. Wytłumaczyłem wtedy, że wielu Europejczyków nie może pozwolić sobie na podróż do Australii, tak jak większość Australijczyków nie może pojechać do Europy. Dlatego też przywieźliśmy słonia, którego każdy może obejrzeć w Melbourne, a stąd chcemy zabrać kilka żywych kangurów i emu, które potem będziemy pokazywali u nas w ogrodzie zoologicznym.

– Jak krajowcy na to zareagowali? – żywo zapytał Clark.

– Najpierw bardzo się z tego śmiali – odpowiedział Tomek. – Potem orzekli, że jest to bardzo zabawny sposób zdobywania pieniędzy; nawet o wiele lepszy, niż ciężka praca wykonywana w miastach przez białych ludzi. Wyjaśniłem im wówczas, że mogą również otrzymać pieniądze, jeśli pomogą nam schwytać parę kangurów i emu. Nie rozumiałem, co oni mówili między sobą, ale potem jeden z nich oznajmił, że przed zachodem słońca powiadomią nas, czy wezmą udział w chwytaniu zwierząt. W końcu zapytali mnie, czy zawsze trafiam do celu z mego sztucera? Zrobiliśmy próbę. Podrzucali w górę puste blaszanki, a ja, ku ich wielkiej uciechu, trafiałem za każdym strzałem. To już było wszystko. Pożegnaliśmy się i wróciłem do domu.

– Czy jesteś pewny, że obiecali powiadomić nas, co postanowią w sprawie polowania?

– indagował Clark.

– Na pewno tak powiedzieli – potwierdził Tomek.

– To dobrze – ucieszył się Clark, – A teraz moi panowie przestańmy męczyć naszego młodego łowcę i czekajmy cierpliwie do zachodu słońca. Kto wie, czy przypadkiem nie oddał nam wszystkim dużej przysługi?

– Co myślisz o tym Tony? – zwrócił się Bentley do tropiciela.

– Myślę, że Mała Głowa jest bardzo mądra! – mruknął Tony z uznaniem.

– Wobec tego zapraszamy teraz pana Clarka i Watsunga na śniadanie – zaproponował Wilmowski – a Mała Głowa niech więcej nie robi takich niespodzianek.

Jeszcze raz wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Przez cały dzień łowcy oczekiwali na odpowiedź krajowców. Dopiero tuż przed zachodem słońca do farmy przybyło kilku Australijczyków. W imieniu trzech plemion wyrazili zgodę na udział w polowaniu. Obdarzeni różnymi podarunkami odeszli zadowoleni.

– Więc dobrze postąpiłem nie przeszkadzając Tomkowi w zetknięciu się z krajowcami – powiedział Clark po ich odejściu. – Jestem przekonany, że pomysł przywożenia jednych zwierząt, a wywożenia innych wydał im się bardzo zabawny i przekonał zarazem o braku ukrytych zamiarów z naszej strony.

– Muszę przyznać, że tym razem Tomek naprawdę spisał się dobrze – orzekł Wilmowski. – Obawiałem się tych pertraktacji z krajowcami.

– Jedno nieostrożne słowo może popsuć wszystko. Tomek na pewno zasłużył na pochwałę – przyznał Clark.

WIELKIE ŁOWY NA KANGURY

Wieczorem tego dnia dwaj pracownicy Clarka powrócili z dłuższego objazdu pastwisk. Sama hodowla owiec, z wyjątkiem okresu postrzyżyn, nie wymagała zbyt wielkiego nakładu pracy. Clark bowiem nie szczędził znacznych wydatków pieniężnych na ogrodzenie płotem z drucianej siatki najlepszych obszarów, aby w ten sposób zabezpieczyć owce przed napaściami dzikich psów dingo i jednocześnie zapobiec inwazji króliczej. Drapieżne dingo łatwiej było utrzymać w ryzach, urządzając na nie od czasu do czasu polowania. Gorszym natomiast wrogiem od nich oraz częstej posuchy były małe króliki, które z pięciu sztuk przywiezionych po raz pierwszy do Australii w 1788 roku, rozmnożyły się w milionowe stada i wyjadały najlepszą trawę. Oczywiście Clark ze swymi pracownikami kontrolowali systematycznie stan ogrodzenia, by natychmiast naprawić spostrzeżone szkody. Ponadto pomysły hodowca skupował od krajowców koczujących wokół farmy skórki królicze, które potem, z pewnym nawet zyskiem, odsprzedawał handlarzom. Dzięki temu dość skutecznie zapobiegał rozprzestrzenianiu się plagi szkodliwych małych gryzoni. Urządziwszy się praktycznie, nie musiał poświęcać hodowli wiele czasu. Obecnie powrót pracowników z objazdu z pomyślnymi wieściami umożliwił mu wzięcie udziału w przygotowaniach do wielkich łowów, które dla niego stanowiły przyjemną rozrywkę.

Przede wszystkim opracowano plan działania. Wilmowski zakupił od Clarka kilka koni do jazdy wierzchem oraz inne do ciągnięcia wozów podróżnych. Tomek otrzymał australijskiego kuca, zwanego tutaj „pony”. Według zapewnień Clarka, był to mądry i wytrzymały wierzchowiec. W myśl ułożonego planu łowcy postanowili jak najszybciej rozejrzeć się w okolicy, wybranej przez tropiciela na teren polowania.

Nazajutrz o wschodzie słońca Wilmowski, Smuga, Bentley i Tomek gotowi byli do wyruszenia na wycieczkę rozpoznawczą. Właśnie kończyli śniadanie, gdy usłyszeli tętent i parskanie koni. Tomek natychmiast podbiegł do okna. Przed domem Tony przywiązywał wierzchowce do drewnianej poprzeczki umocowanej na dwóch słupkach.

– Tony już przywiódł nasze konie! Możemy wyruszyć na wywiad – radośnie poinformował towarzyszy.

– Wobec tego nie traćmy czasu, panowie. Potem słońce więcej da się nam we znaki – powiedział Wilmowski, powstając od stołu.

Szybko objuczono jednego konia sprzętem obozowym oraz zapasem żywności, po czym łowcy dosiedli wierzchowców. Tomek we wszystkim starał się naśladować dorosłych mężczyzn. Nie okazywał więc swego niezwykłego podniecenia. Z jak największą powagą przytroczył do łęku siodła sztucer, a następnie wskoczył na pony.

Sztuczna powaga Tomka bawiła łowców. Wilmowski i Smuga wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, obserwując jego zachowanie. W tej chwili bosman Nowicki wyszedł przed dom. Zaledwie ujrzał nienaturalną minę młodego przyjaciela, zaraz schwycił kuca za uzdę. Prawdopodobnie nie dostrzegł ostrzegawczych znaków Wilmowskiego, który od razu wyczuł, co żartobliwy marynarz ma zamiar uczynić, gdyż

odezwał się, udając wielką powagę:

– Słuchaj no, brachu, chyba nie od parady zabierasz na tę wycieczkę. swoją pukawkę? Mój bosmański żołądek dopomina się gwałtownie o pieczeń z młodego kangura. Wprawdzie Watsung gada, że suche i łykowate mięso torbiastych skoczków jest do niczego, ale myślę, iż będzie ono lepsze od tych chińskich przysmaków, którymi wziął się nas karmić. Pokaż teraz. co potrafisz!

– Postaram się, panie bosmanie – odparł Tomek pewnym tonem.

– Mógłbyś sam zamienić się w kangura, ty... morska foko – mruknął Wilmowski. Nie był bowiem zadowolony z podsuwania Tomkowi pomysłów mogących grozić mu jakimś niebezpieczeństwem.

Ruszyli w bezdrożny step. Wypoczęte konie rwały rączo, toteż wkrótce zabudowania farmy zniknęły za zakrętem. W dali przed nimi, na zachodzie, widniał rozległy łańcuch niezbyt wysokich wzgórz, poprzerrywanych dolinami; w kierunku wschodnim rozciągał się szeroki, suchy step, porośły żółkniejącą trawą. Co pewien czas Tomek unosił się w strzemionach, aby ujrzeć kraniec olbrzymiej równiny, lecz chociaż jechali już około trzech godzin, step nadal sięgał linii horyzontu. Gdzieniegdzie napotymano rosnące samotnie, skąpo ulistnione, pokryte żółtym kwieciem drzewa akacjowe lub eukaliptusy o skórzastych liściach, nie dające niemal zupełnie cienia.

Słońce przygrzewało dość mocno. Jechali teraz stępa, aby niepotrzebnie nie forsować koni. Tomek nie zwracał uwagi na rozmowę swych towarzyszy. Pilnie rozglądał się po stepie. W pewnej chwili wydało mu się, że wśród zielonożółtej trawy spostrzega jakieś nieforemne, czerwone kształty.

– Uwaga, panowie! Widzę dzikie zwierzęta! Patrzcie, patrzcie tam! – krzyknął stając w strzemionach.

Jeźdźcy spojrzeli we wskazanym kierunku. W odległości około dwustu metrów ujrzeli żółtoczerwone sylwetki zwierząt, których powolny chód sprawiał wrażenie ciężkiego, niezdarnego utykania. Dziwne stwory jeszcze nie zwietrzyły zbliżających się pod wiatr ludzi.

Bentley ruchem ręki nakazał towarzyszom milczenie. Za jego przykładem przynaglili konie: ruszyli galopem. Wkrótce znacznie przybliżyli się do żerującego stada. Widać już było wyraźnie charakterystyczną budowę zwierząt, których tułowia stawały się od przodu ku tyłowi coraz grubsze. Od razu też spostrzegało się silny rozwój tylnych nóg, w porównaniu z piersiami i szczupłą głową.

Naraz jedno zwierzę stanęło „słupka” na tylnych nogach. Odwróciło swój łebek, przypominający nieco głowę jelenia, a jednocześnie głowę zająca, w kierunku jeźdźców po czym błyskawicznie zaczęło uciekać dużymi skokami. Na to jakby hasło wszystkie zwierzęta pomknęły w step. Teraz uwidoczniły dalsze charakterystyczne cechy swej budowy i oryginalnego poruszania się. Gdy żerowały, opierały się na „dłoniach” przednich kończyn, a następnie podciągały ku przodowi tylną część ciała jakby podskokiem, przy

czym nogi tylne wyrzucały przed przednie, omijając je. W biegu natomiast ich słabe przednie kończyny przestawały odgrywać jakąkolwiek rolę; posługując się jedynie potężnie zbudowanymi tylnymi nogami oraz długim, mocnym ogonem skakały opisując w powietrzu wielkie łuki i umykały z dużą szybkością.

Tomek nie miał już żadnych wątpliwości. Zbyt wiele słyszał przecież o tych zwierzętach, aby nie poznać ich teraz po tak znamiennej cechach.

– Kangury! To są kangury! – zawołał podniecony. – Pędźmy!

– Niepotrzebnie straszylibyśmy je tylko, ponieważ nie jesteśmy w tej chwili przygotowani do łowów – zaoponował Bentley.

Łowcy zwolnili bieg wierzchowców. Tomek posmutniał. Bentley zaraz go pocieszył:

– Nie żałuj, mój drogi, zmarnowanej okazji. Będiesz miał możliwość przyjrzeć się dokładnie podczas łowów różnym gatunkom kangurów.

Tomek zaraz ożywił się i odparł:

– Słyszałem od pana już na statku, że mamy chwytać kangury czerwone, szare i skalne. Czyżby jeszcze istniały i inne gatunki?

Bentley zawsze chętnie gawędził z roztropnym Tomkiem, a poza tym zoologia była jego ulubionym tematem rozmów, więc też skwapliwie wyjaśnił:

– Oczywiście, mój chłopcze! Przecież rodzina zwierząt workowatych skaczących obejmuje szereg podrodzin. Pierwsza z nich stanowi przejście od torbaczy łązących po drzewach do skaczących. Reprezentantami jej są: najlepiej znany kangur pizmowy o długości do czterdziestu paru centymetrów, żyjący w Queenslandzie, szczur kangurowy, zasiedziały w Nowej Południowej Walii, Wiktorii, Australii Południowej i Tasmanii oraz szczur oposumowaty spotykany na całym naszym, kontynencie z wyjątkiem jego części północnej. Podrodzina kangurów właściwych liczy wiele gatunków dość różniących się pod względem wielkości. Obok olbrzymów świata torbaczy spotkasz gatunki zaledwie wielkości królika. To zapewne wiesz, że ojczyzną kangurów jest Australia i sąsiednie wyspy, a ulubionym ich środowiskiem – obszerne stepy trawiaste. Niektóre gatunki żyją w lasach obfitujących w duże polany, inne na krzaczastych równinach, a jeszcze inne w największych gąszczach leśnych. Są też gatunki skalne, a nawet gnieźdzące się na drzewach.

Gatunkiem najbliższym szczirom kangurowym jest kangur pręgowany i spokrewniony z nim kangur zajęcowaty. W grupie kangurów skalnych, na które będziemy polowali, mamy kangura żółtonogiego i południowoaustralijskiego kangura skalnego. Z kolei kangury drzewne różnią się od swej podrodziny tak sposobem poruszania się, jak i trybem życia.

Kangury naziemne są najbardziej znaną grupą całej podrodziny. Żyją głównie w Australii, a tylko mniejsze gatunki spotykamy we wschodniej części Nowej Gwinei i na sąsiednich wyspach. Do kangurów naziemnych zaliczamy: kangura olbrzymiego

czerwonego – stadko ich przed chwilą napotkaliśmy – kangura olbrzymiego szarego, kangura czarnogłowego, kangura wesołego i kangura Benneta. Ten ostatni gatunek jest szczególnie poszukiwany przez myśliwych ze względu na cenne futro.

Czas szybko upływał na ciekawej dla wszystkich rozmowie. Ani spostrzegli, jak zbliżyli się do skalistego pogórza, rozciętego na wprost nich szerokim wąwozem. Tony tam właśnie skierował swego wierzchowca. Łowcy udali się za nim. Musieli przyznać, że krajowiec wywiązał się doskonale z powierzonego mu zadania. Szeroka u wylotu na step gardziel wąwozu zwązła się w głębi, a w końcu wychodziła na dość obszerną kotlinę otoczoną ze wszystkich stron stromymi skalnymi ścianami. Wystarczyło tam zagnać zwierzęta, aby znalazły się w naturalnej pułapce.

– To jest naprawdę świetne miejsce na pułapkę – z uznaniem odezwał się Wilmowski. – Zbudowanie ogrodzenia zamykającego dokładnie wylot wąwozu nie sprawi nam zbyt wiele kłopotu.

– Tony jest mistrzem, jeżeli chodzi o wybór miejsca na łowy – dodał Bentley. – Parę mocnych słupów i kilkanaście metrów drucianej siatki wystarczy do uwięzienia kangurów w kotlinie.

Zsiedli z koni zmęczonych kilkugodzinną jazdą. Smuga i Tony zajęli się natychmiast przyrządzeniem posiłku. Wkrótce zapachniała gotowana kawa. Wszyscy zjedli z apetytem drugie śniadanie, po czym mężczyźni zapalili fajki. Tony, zanim zapalił swoją, wygasił starannie ognisko, aby nie spowodować w suchym stepie pożaru.

– Kiedy rozpoczniemy łowy? – niecierpliwie zapytał Tomek, ogarnięty żądzą czynu od chwili spotkania stada śmigłych kangurów.

– Nie prędzej niż za dwa lub trzy dni – odparł Wilmowski.

– Nie rozumiem, dlaczego zwlekamy z rozpoczęciem polowania, skoro mamy już wspaniałe miejsce, do którego możemy wagnać kangury – zżymał się chłopiec.

– Łowca musi być cierpliwy i przewidujący – tłumaczył mu ojciec. – Bądź pewny, że nie tracimy czasu na próżno. Podczas gdy my będziemy organizowali nagonkę, nasi towarzysze pozostawieni w farmie sporządzą skrzynie do przewozu zwierząt i zmontują wozy przywiezione w częściach na statku. Musimy przygotować się odpowiednio. Transport zwierząt na „Aligatora” sprawi nam najwięcej trudności.

– Zapomniałem o tym wszystkim – rzekł udobruchany Tomek, siadając na trawie przy ojcu.

Z kolei Wilmowski zwrócił się do tropiciela:

– Tony, teraz musimy udać się do obozowiska krajowców, którzy wyrazili zgodę na wzięcie udziału w polowaniu.

– Za trzy godziny możemy znaleźć się w obozie plemienia „człowieka-kangura” – odpowiedział Tony.

– Och Tony, Tony! – zawołał Tomek ze zgorzeleniem. – Tyle to już nawet ja wiem, że w

Australii nie ma żadnych ludzi-kangurów!

– A co się z nimi stało? – zdziwił się Tony. – Przecież byli na farmie pana Clarka i mówili z nami?

Rozmowa Tomka z krajowcem rozweseliła Bentleya. Roześmiał się ubawiony, po czym wyjaśnił:

– Plemiona australijskie dzielą cię na klany, a każdy-z nich przybiera nazwę od rodzaju swego zajęcia. Na przykład krajowcy trudniący się polowaniem na kangury przybierają nazwę ludzi-kangurów, łowcy emu nazywani są ludźmi emu, inni znów znani są jako ludzie-woda. W tych przypadkach kangur, emu czy też woda stają się ich symbolami i totemami. Krajowcy należący do danej grupy totemicznej starają się o powiększenie, trwałość i używanie rzeczy bądź też zwierzęcia, którego imię noszą. Tak więc plemię „człowieka-kangura” zaopatruje w kangurze mięso i skóry plemiona „człowieka-emu”, „człowieka-wody” i inne, a w zamian otrzymuje od nich jaja emu, wodę itd.

– Teraz zrozumiałem, co Tony miał na myśli – orzekł Tomek. – Musimy zwrócić się o pomoc do plemienia krajowców, którzy za swój totem obrali kangura.

– O to właśnie chodziło Tony'emu, gdy użył wyrażenia plemię „człowieka-kangura” – potwierdził Bentley.

– Pan Bentley dobrze mówi – przytaknął Tony. – Mała Głowa już teraz wie, co to jest człowiek-kangur.

– Ponieważ wszystko zostało wyjaśnione, możemy ruszyć na poszukiwanie plemienia „człowieka-kangura” – zakończył rozmowę Wilmowski.

Dosiedli koni i wyjechali z wąwozu. Posuwali się w kierunku pomocnym wzdłuż niskiego pasma skalistych wzgórz. Upał stawał się coraz większy, trzeba więc było zwolnić tempo jazdy. Dopiero po dwóch godzinach Tony zboczył w jar głęboko wcięty w pasmo. Wierzchowce nie przynaglone ruszyły kłusem.

– Już niedaleko. Konie poczuły wodę – poinformował Tony. Wkrótce u wylotu jaru ukazała się obszerna polana. Wśród krzewów akacjowych widniały prymitywne szałas krajowców, czyli pojedyncze ścianki zbudowane z kory i gałęzi, oparte na żerdziach od strony nawietrznej. Skromne obozowisko rozłożono obok małego zagłębienia wypełnionego mętną wodą. Z koliska szałasów unosiła się smużka dymu z płonącego ogniska. Szczekanie psów powitało nadjeżdżających łowców.

Tony zatrzymał się o kilkanaście metrów od obozu i zeskoczył z konia. Spętał go zaraz i poleciał swym towarzyszom, aby uczynili to samo. Konie wyciągały głowy w kierunku wody, lecz Tony nie pozwolił ich napić. Za przykładem przewodnika łowcy usiedli na trawie.

– Dlaczego czekamy tutaj zamiast wejść do obozowiska? – niecierpliwił się Tomek.

– Taki jest już zwyczaj wśród australijskich plemion – wyjaśnił Bentley. – W Europie, jeśli chcesz złożyć komuś wizytę, pukasz do drzwi jego mieszkania. Tutaj siadasz w

poblizu obozowiska i cierpliwie czekasz na zaproszenie.

– Dziwny to zwyczaj, lecz zupełnie już nie rozumiem, dlaczego Tony nie pozwala napoić naszych koni? – odparł Tomek, spoglądając na wierzchowce wyciągające głowy w kierunku wody.

– Plemię krajowców obozuje nad dołem wypełnionym wodą. Tym samym, według tutejszych obyczajów, stanowi ona w pewnym sensie jego własność. Woda konieczna jest krajowcom do utrzymania się przy życiu, dlatego wypada poczekać, aż uzyskamy pozwolenie na ugaszenie własnego pragnienia i napojenie naszych koni. Jeżeli chcemy naprawdę żyć w zgodzie z krajowcami, musimy zawsze przestrzegać ich zwyczajów – odpowiedział Bentley.

Łowcy, w milczeniu przysłuchiwali się tym wyjaśnieniom, przecież powodzenie polowania w dużym stopniu zależało od pomyślnego ułożenia się stosunków z krajowcami. Tomek krytycznym wzrokiem obserwował obozowisko, po czym znów się odezwał:

– Ci Australijczycy są bardzo prymitywnymi ludźmi, skoro nie potrafią nawet zbudować odpowiednich szałasów! Przecież te ich niby-domki mają tylko jedną ściankę, przypominającą pochyły płotek.

– Ależ Tomku! Nigdy nie należy wydawać sądu o pierwotnych mieszkańcach jakiegokolwiek kraju bez zastanowienia się nad warunkami, w jakich oni zmuszeni są przebywać – oburzył się Bentley. – Czy ty na przykład włożyłbyś w lecie futro?

– A po cóż miałbym wkładać w lecie futro? – mruknął Tomek wzruszając ramionami.

– A więc widzisz, w lecie nikt z nas nie wkłada futra. Australia jest gorącym i bardzo suchym krajem. Dlatego pierwotni jej mieszkańcy chodzą niemal nago, nie muszą jak my budować domów, które by chroniły ich od zimna bądź niepogody. Ponadto należą oni do ludów zbieracko-łowieckich, to znaczy żywią się wygrzebanymi z ziemi korzonkami roślin i upolowaną zwierzyną. Jeżeli w danej okolicy nie mogą już znaleźć pożywienia, przenoszą się w inne, bardziej obfite w pokarm miejsce. Po cóż więc mieliby budować trwałe domostwa, skoro ani klimat, ani warunki bytowania nie zmuszają ich do tego?

– Wszystko to, co pan powiedział, wydaje mi się słuszne, mogliby wszakże budować sobie wygodniejsze szałaszy.

Rozmowa urwała się na chwilę. Z obrębu obozu wyszedł stary Australijczyk o pomarszczonej twarzy. Tony powstał z ziemi, a następnie bez pośpiechu ruszył ku posłańcowi. Spotkali się mniej więcej w połowie drogi, usiedli na ziemi i rozpoczęli rozmowę.

– O czym oni mówią tak długo? – ciekawił się Tomek.

– Plemię „człowieka-kangura” przez posłańców wyraziło zgodę na wzięcie udziału w polowaniu, lecz grzeczność wymaga teraz oficjalnego poinformowania starszego rodu o celu naszego przybycia. Zaraz zobaczysz skutek tej rozmowy – poinformował Bentley.

Wkrótce krajowiec oddalił się w kierunku obozowiska, a Tony powrócił do swych towarzyszy. Oznajmił, że starsi plemienia przyjdą na naradę.

W tej chwili niemłoda kobieta pojawiła się nad dołem z wodą. Postawiła obok niego blaszankę, robiąc wymowny ruch ręką. Teraz Tony napił kolejno konie, a gdy ugasiły pragnienie, powrócił do łowców spoglądając wyczekująco w kierunku szałasów. Niebawem kilku krajowców zbliżyło się do białych myśliwych.

Omówienie wynagrodzenia dla krajowców za udział w łowach nie zajęło wiele czasu. Wilmowski zobowiązał się dać im pewną ilość zapasów żywności, a ponadto kilka siekier, noży i innych przedmiotów codziennego użytku. Odmówił jedynie dostarczenia alkoholu, ofiarowując w zamian żywe kangury, które pozostaną w kotlinie po dokonaniu selekcji.

Ostatecznie krajowcy zgodzili się na tę propozycję. Obiecali, że sześćdziesięciu mężczyzn i chłopców weźmie udział w nagonce. Jednocześnie zobowiązali się natychmiast wysłać tropicieli w poszukiwaniu większego stada kangurów. Ustalono, że polowanie rozpocznie się za dwa dni.

Po powrocie do farmy łowcy zastali już zmontowane dwa długie, lekkie wozy przywiezione w częściach ze statku. Były one kryte brezentem, obciążonym na bambusowych pałkach. Zaprzęg każdego z nich miały stanowić cztery konie. Jeszcze przed nadejściem wieczoru załadowano przewiewne skrzynie-klatki, przeznaczone do przewozu kangurów oraz odpowiednią ilość żywności i sprzętu obozowego.

Przed rozpoczęciem łowów należało wąwóz wskazany przez tropiciela przemienić w pułapkę, w którą powinny wpaść kangury. Następnego dnia po powrocie z wywiadu karawana wozów i jeźdźców opuściła farmę Clarka późnym popołudniem, aby najcięższy odcinek drogi przez step odbyć po zachodzie słońca. Dzięki temu, zaledwie po jednym krótkim odpoczynku, łowcy znaleźli się o świcie w okolicy wąwozu. Wybranie miejsca na obóz nie zabrało wiele czasu. W półkolu utworzonym przez wozy rozstawiono namioty, a konie po spętaniu puszczono na trawę.

Niebawem łowcy rozpoczęli prace przygotowawcze w wąwozie. W najważniejszym miejscu, to jest u jego wylotu w kotlinę, wkopali mocne słupy z odpowiednimi zaczepami na drucianą siatkę. Po kilku próbach zamykania gardzieli wąwozu, słupy zamaskowano zielenią. Było to wskazane ze względu na płochliwość kangurów, aby zbyt wcześnie nie spostrzegły niebezpieczeństwa. Wkrótce wszystkie przygotowania zostały ukończone. Teraz należało jedynie oczekiwać na krajowców biorących udział w polowaniu. Nie sprawili zawodu. Przybyli całą gromadą i rozłożyli się obozem w pobliżu wąwozu.

Tomek przyłączył się do swych towarzyszy idących powitać Australijczyków w ich obozowisku. Pragnął bliżej przyjrzeć się wspaniałym australijskim myśliwym, przed których wzrokiem, według powszechnie panującej opinii, żadne nawet najmniejsze stworzenie żyjące w pustynnych stepach nie potrafiło ukryć swoich śladów.

W pierwszej chwili wszyscy krajowcy wydali się Tomkowi podobni do siebie jak dwie krople wody. Ich ziemistoczarne ciała pokrywały szerokie blizny pochodzące z prymitywnego tatuażu. Pomalowani byli w białe pasy na znak gotowości do walki i łowów.

Najwięcej upodabniały ich lekko wydłużone głowy pokryte czarnymi, połyskliwymi, gęstymi włosami, nosy wąskie u nasady, a szerokie w nozdrzach oraz małe oczy i grube wargi.

Ubranie krajowców stanowiły wiązki traw przymocowane do sznurków opasujących biodra. Myśliwi uzbrojeni byli w długie dzidy, bumerangi oraz tarcze. Wyglądali wojowniczo i dziko, czego nie łagodziły nawet przyjazne uśmiechy, pojawiające się na ich twarzach na widok białych.

Myśliwi przyprowadzili z sobą kilka starszych kobiet. Te, zgodnie z przyjętym wśród tubylców obyczajem, zajęły się urządzeniem obozowiska oraz przygotowaniem posiłku.

Wilmowski, chcąc dobrze usposobić krajowców do polowania, ofiarował im dwa barany, znaczną ilość puszek z konserwami i suchary. Okazało się, że Australijczycy doskonale potrafią dawać sobie radę w tak nieprzystępnym dla człowieka terenie. Znanym tylko im sposobem szybko wyszukali odpowiednie miejsce, po czym wykopali niezbyt głęboki dół, w którym pojawiła się woda[41].

Wódz plemienia poinformował białych łowców, iż rozesłał już w okolicę tropicieli na poszukiwanie większego stada kangurów. Spodziewał się ich powrotu z odpowiednimi meldunkami jeszcze przed zachodem słońca.

Przez resztę dnia Tomek przebywał wśród Australijczyków. Niektórzy z nich już wiedzieli o nim z opowiadań zwiadowców, wysłanych uprzednio do farmy Clarka. Łatwo więc nawiązywał nowe znajomości. Podczas uczty czarownicy odtworzyli taniec przedstawiający polowanie na kangury. Według ich wierzeń, miało to zaskarbić myśliwym przychyłność „ducha”, ten bowiem cieszył się widząc zwinność człowieka i nasyłał mu potem stado tłustych zwierząt. Oczywiście nie obyło się bez popisów sprawności myśliwskiej. Tomek strzelał do celu ze sztucera, a Australijczycy rzucali bumerangami i dzidami. Tomek zdziwił się niezmiernie, widząc niezwykłą siłę i zręczność tych na pozór wątło zbudowanych mężczyzn. Ich cienkie ręce z niezawodną celnością rzucały na dużą odległość ciężkie dzidy i bumerangi; na swych nogach, pozbawionych niemal łydek, potrafili biegać z wiatrem w zawody. Na jedzeniu oraz wspólnych popisach czas upłynął do wieczora. Zgodnie z przewidywaniem wodza krajowców, zwiadowcy zjawili się w obozie jeszcze przed zachodem słońca. Według ich relacji, w odległości około pół dnia drogi na północny wschód od obozu, popasało duże stado kangurów w pobliżu małego źródła, nie należało się więc obawiać, aby zbyt szybko zmieniło miejsce żerowania.

Po otrzymaniu tej wiadomości Wilmowski natychmiast zwołał naradę w celu omówienia planu łowów. Wąwóz pułapka, do którego zamierzali zagnać kangury, leżał w łańcuchu skalistych wzgórz, ciągnącym się z północy na południe. Na zachód od niego znajdowała się martwa i bezwodna pustynia. Tam kangury nie mogły szukać schronienia przed obławą, należało je wobec tego osaczyć tylko z trzech stron: z południa, wschodu i północy, a potem gnać w kierunku wąwozu.

W myśl rady Bentleya jedna grupa krajowców, pod wodzą Wilmowskiego, miała pieszo rozciągnąć się długim szeregiem na południe od wąwozu pułapki. Zadaniem jej było

zastąpić z tej strony drogę uciekającym kangurom. Resztę pieszych krajowców i jeźdźców podzielono na dwa oddziały. Jeden z nich, dowodzony przez Bentleya, miał zatoczyć szeroki łuk ze wschodu na północ, by spłoszyć kangury w kierunku południowym, podczas gdy drugi oddział, ze Smugą na czele, otrzymał polecenie zamknięcia kotła nagonki od wschodu. W ten sposób łowcy, zwązając coraz bardziej pierścień obławy, powinni zmusić kangury do schronienia się w wąwozie.

Tomek, ku swemu zadowoleniu, został przydzielony do grupy Bentleya. Miała ona najdłuższą drogę do przebycia i pierwsza rozpoczynała łowy. Wyruszyła też w drogę zaraz po północy, aby o świcie znaleźć się już na wyznaczonym miejscu. Grupa ta składała się z dwunastu jeźdźców i kilkunastu pieszych krajowców.

Na czele oddziału jechało dwóch tropicieli, zaraz za nimi podążali Bentley i Tomek. Noc była bardzo jasna. Na czystym niebie usianym gwiazdami wyraziście płonął Krzyż Południa. Olbrzymi księżyc zalewał cały step srebrzystą poświatą.

– Czy nie jedziemy zbyt wolno? – zagadnął Tomek, który pragnął jak najszybciej znaleźć się na wyznaczonym miejscu.

– Musimy jechać powoli, aby przedwcześnie nie zmęczyć koni – odparł Bentley. – Mamy przecież spory szmat drogi do przebycia. Z chwilą rozpoczęcia nagonki wierzchowce nasze powinny być w jak najlepszej formie.

– Proszę pana, czy kangury mogą przerwać łańcuch obławy?

– Wszystko zależy od naszej sprawności oraz szybkiej orientacji. W niebezpieczeństwie kangury pędzą jak wichry. W normalnych warunkach skoki ich wynoszą około trzech metrów, lecz gdy są przerażone, przebywają za jednym skokiem nawet ponad dziesięć metrów.

– Co będziemy robili w czasie nagonki?

– To, co się robi zawsze w takim przypadku – wyjaśnił Bentley. – Jak najwięcej hałasu...

Po kilkugodzinnej jeździe ujrzeni pasmo wzgórz, zarysowujące się w dali na tle jasnego nieba. Wkrótce przewodnicy jadący na przedzie zatrzymali konie. Oznajmili, że według ich obliczeń powinni już byli wyminąć wytropione stado kangurów. Wobec tego Bentley zarządził wypoczynek. Konie uwiązane na arkanach puszczone na trawę. Łowcy usiedli na ziemi, aby posilić się i odpocząć przed polowaniem.

Tomek nie mógł wprost doczekać się końca nocy. Bentley zachęcał go do drzemki, lecz mimo kilkakrotnych usiłowań nie zdołał zasnąć. Po raz pierwszy miał wziąć udział w wielkich łowach na dzikiego zwierza. Nie mógł opanować podniecenia, a na domiar złego denerwowało go zachowanie się Bentleya. Przykucnął on na ziemi i paląc sobie najspokojniej w świecie fajkę, rozmawiał z krajowcami o jakiejś uroczystości, którą nazywał „korro-bori”.

Jak wynikało z rozmowy, podczas takich uroczystości krajowcy przyjmowali chłopców

do grona mężczyzn. Połączone to było z wieloma tajemniczymi ceremoniami, w czasie których wybijano młodzieńcowi ząb, lewy górny siekacz, na znak uznania go za dorosłego. Cała uroczystość przeplatana była zabawą, tańcami i ucztą, a brali w niej udział sami mężczyźni.

„Ależ ten Bentley to dziwny człowiek – myślał Tomek ze złością. – Akurat teraz, przed rozpoczęciem polowania zachciało mu się rozmawiać o tańcach i śpiewach!”

Odwrócił się plecami do Bentleya i niecierpliwie spoglądał w niebo. Nie mógł wypatrzyć najmniejszych oznak nadchodzącego dnia. Zapomniał nawet o tym, że na tej szerokości geograficznej przed wschodem słońca panuje taka sama ciemność jak w pełni nocy. Dlatego też ogarnęła go nieopisana radość, gdy nie poprzedzone świtem olbrzymie słońce pokazało się na niebie. Wśród łowców zapanowało ożywienie. Bentley zaraz wyprawił trzech tropicieli na zwiady. Lekkim krokiem szybko oddalili się w step i w krótkim czasie zniknęli zupełnie wśród wysokiej trawy. Bentley wydobyl z torby podróżnej dymną raketę, za pomocą której miał powiadomić myśliwych z grupy „południowej” i „wschodniej” o rozpoczęciu nagonki. Niebawem cały oddział ruszył w trop za zwiadowcami.

Około trzech godzin wolno posuwali się po stepie. Zwiadowcy nie dawali znaku życia. Tomka ogarniał już niepokój, czy przypadkiem nie rozminęli się z nimi, gdy naraz jeden z nich wychynął z zieleni.

– Znaleźliście kangury? – zapytał Bentley, podjeżdżając do niego.

– Tak, znaleźliśmy. W nocy odeszły od wody więcej na północ – powiedział krajowiec łamaną angielszczyzną. – Są teraz tam!

Miejsce popasu kangurów znajdowało się na wprost skalistych wzgórz.

– To niedobrze – zauważył Bentley. – Obawiam się, że w takiej sytuacji grupa, która miała osaczyć je od wschodu, znajduje się za daleko od nas.

– Niech pan nie dopuści do tego, aby kangury nam uciekły! – zawołał Tomek.

– Postaramy się zaradzić złemu, lecz przede wszystkim należy zachować spokój – stanowczo odparł Bentley.

Pomyślał chwilę, po czym rzekł:

– Zbyt mało mamy ludzi, aby rozdzielać się teraz na dwie grupy. Jeżeli natychmiast nie zaczniemy nagonki, to kangury mogą oddalić się jeszcze bardziej na północ. Wobec tego trzech z nas musi wyruszyć na południe, aby zawrócić stado, gdyby usiłowało przemknąć się między nami a grupą dążącą ze wschodu.

Zastanawiał się chwilę nad doborem tej trzyosobowej osłony, mającej zająć stanowisko na południu. Niełatwo mu jakoś było powziąć decyzję. W końcu swój badawczy wzrok zatrzymał na chłopcu.

– Tomku, weźmiesz dwóch krajowców i jadąc jak najwolniej, ruszysz w kierunku południowym – postanowił. – Kiedy ujrzysz wypuszczoną przeze mnie dymną raketę,

gnaj naprzód, jakby gonilo cię sto bengalskich tygrysów. Trzymaj się kierunku równoległego do wzgórz dopóty, dopóki nie napotkasz grupy nadciągającej ze wschodu. Wówczas dopiero połączysz się z nią i razem zamkniecie łańcuch obławy.

– Och, proszę pana, czy nie może kto inny pojechać zamiast mnie? – żałośnie poprosił Tomek.

– Czy obawiasz się, że z tego powodu ominie cię polowanie? – zapytał Bentley. – Ależ chłopcze, przecież będziesz trzymał główną nić łowów w swoim ręku. Czy wiesz, dlaczego wybrałem ciebie?

– Właśnie, że nie wiem, ale myślę...

– Widzę już po twojej minie, że nie odgadłeś. Zaraz ci to wyjaśnię. Otóż gdyby kangury usiłowały prześliznąć się między nami a grupą nadciągającą ze wschodu, należy je zawrócić za wszelką cenę. Jeśli raz przerwą łańcuch obławy, rozwieją się po stepie jak wiatr. Czy wiesz, co może zmusić kangury do zmiany kierunku ucieczki?

– Nie wiem, proszę pana!

– W razie konieczności trzeba zabić przewodnika prowadzącego stado. Dlatego też mój wybór padł na ciebie. Z tego wszystkiego, co opowiadano o tobie, uważam cię za najlepszego strzelca w naszej grupie. Gdyby z nami był tutaj pan Smuga lub bosman Nowicki, posłałbym jednego z nich.

Tomek poczerwieniał z radości i dumy. Przez dłuższą chwilę nie odzywał się, aby nie pokazać wielkiego wzruszenia. W końcu powiedział niby to zupełnie obojętnym tonem:

– Ha, jeśli tak przedstawia się cała sprawa, to ruszę na południe. Krajowcy muszą mi, o ile zajdzie potrzeba, wskazać przewodnika stada, żebym się nie pomylił.

Bentley z niepokojem spojrział na chłopca.

„Ileż to zarozumiałości w tym pędraku – pomyślał. – On gotów jest zepsuć nam całe łowy!”

Nie było wszakże czasu na dłuższe rozważania. Bentley wybrał dwóch krajowców i wytłumaczył im krótko, na czym polegało ich zadanie. Tomek na swoim pony ruszył na południe, tymczasem Bentley z resztą grupy oddalił się w kierunku zachodnim.

Zaledwie Tomek pozostał sam z krajowcami, jego pewność rozwiała się jak dym gasnącego ogniska. Co będzie, jeśli zmyli kierunek? Czy w razie konieczności naprawdę potrafi zawrócić kangury? Z ukosa spojrział na jadących obok niego Australijczyków. Zaniepokoił się, ujrawszy dwie pary żółto nakrapianych oczu badawczo wpatrzonych w niego.

– Czy dobrze jedziemy? – zagadnął dla dodania sobie odwagi.

– Dobrze jechać, tylko wolniej – potwierdził krajowiec. Powściągnął pony cugłami. Jechali noga za nogą. Tomkowi czas zaczął się dłużyć niezmiernie. Coraz częściej spoglądał na wschód, czy też przypadkiem nie ujrzy nadciągającej drugiej grupy jeźdźców.

Nie było ich jednak widać.

„A to wpadłem! – pomyślał. – Zostałem dowódcą grupy krajowców i licho chyba wie, co mam dalej z nimi robić? Na pewno ojciec ani pan Smuga nie postąpiliby ze mną w ten sposób! A jeśli ci Australijczycy są zdrajcami i uprowadzą mnie w step?”

W tej chwili brunatna ręka chwyciła pony za uzdę i osadziła go w miejscu.

Tomek szybko zamknął oczy, oczekując na zdradziecki cios, lecz zamiast uderzenia usłyszał wysoki głos krajowca:

– Patrzyć, prędko patrzyć! Znak widać!

Otworzył oczy. Australijczycy wskazywali rękoma na zachód. W dali wzbijała się rakietą, snując za sobą ciemny ogon dymu. Nagonka ruszyła! Tomek natychmiast zapomniał o swych obawach. W myśli powtórzył polecenie Bentleya:- „Kiedy ujrzysz wypuszczoną przeze mnie dymną raketę, ruszaj naprzód jakby goniło cię sto bengalskich tygrysów”.

– Jedziemy, ile tylko koniom sił starczy – krzyknął do krajowców. Uderzyli wierzchowce piętami. Z miejsca ruszyli galopem. Trawa zaczęła umykać spod końskich kopyt. Daleko na zachodzie rozległy się gęste strzały i przeciągły krzyk nagonki.

Tomek chwycił rękoma za wysoki łęk siodła, ponaglił pony do szybszego biegu. Wyprzedził krajowców o kilka metrów, gdyż nie byli oni zbyt dobrymi jeźdźcami. Zapomniał niemal o nich. Gnał, nie oglądając się za siebie. W pewnej chwili usłyszał krzyki:

– Strzelba! Strzelba! Strzelba!

„Czego oni chcą ode mnie?” pomyślał i obejrzał się.

– Strzelba! Strzelba! – w dalszym ciągu wołali krajowcy.

Teraz dopiero Tomek uzmysłowił sobie, że odgłosy obławy przybliżyły się znacznie. Spojrzał w prawo. Ogarnęło go ogromne podniecenie. Ukosem przez step mknęły kangury olbrzymimi susami, oddalając się coraz bardziej na wschód od skalnego łańcucha. Duże stado rozciągnęło się szerokim łukiem. Silniejsze sztuki wysforowały się mocno do przodu. Dopiero w odległości kilkuset metrów za pierwszymi kangurami galopowali jeźdźcy, krzycząc jak opętani.

– Strzelba! Strzelba! – wołali krajowcy, wskazując na szybko zbliżające się kangury.

Tomek zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od nadbiegających kangurów. Były one znacznie szybsze od pony. Według obliczeń Tomka, zbliżając się ukosem mogły wyminąć go o jakieś trzysta metrów.

„Nie trafię na taką odległość” pomyślał. Uderzeniem pięt ponaglił pony do biegu.

Wytrzymały, silny kuc wyciągnął krótką szyję i ruszył naprzód ze zdwojoną energią. Trzymając się mocno jedną ręką grzywy konia, Tomek ostrożnie przygotowywał sztucer. Pony zdobywał się na największy wysiłek. W końcu zbliżył się znacznie do pierwszych

umykających kangurów. Krajowcy zrównali się z Tomkiem. Jeden z nich mijając go zawołał:

– My krzyczeć, a ty strzelać! Tylko prędko, prędko!

Wyprzedzili Tomka, który szarpnął cuglami i zatrzymał pony. Uniósł się w strzemionach, ściskając w rękach sztucer. Kangury znajdowały się już bardzo blisko. Pierwszy gnał olbrzymi samiec, wykonując znacznie dłuższe skoki niż pozostałe zwierzęta. Przycisnął do piersi przednie krótkie łapy, wyciągnął do tyłu ogon i całą siłą potężnych mięśni ud uderzał o ziemię długimi, smukłymi, sprężystymi tylnymi kończynami, odbijał się do góry, śmigając wśród trawy brunatnym cielskiem.

„To jest na pewno przewodnik stada” pomyślał Tomek.

Zaczął mierzyć, lecz nawet na najkrótszą chwilę nie mógł naprowadzić muszki sztucera na poruszające się błyskawicznie cielsko zwierzęcia

„Nic z tego” skonstatował zasmucony, opuszczając broń.

Krajowcy już go wyprzedzili o kilkadziesiąt metrów. Zwrócili teraz konie wprost na kangury, wydając jednocześnie przeraźliwy okrzyk. Przewodnik stada przystanął na sekundę, prostując się na tylnych łapach na całą wysokość ciała. To go zgubiło. Tomek szybko podniósł sztucer i mierząc krótko, nacisnął spust. Huk strzału rozpłynął się po stepie. Kucyk przysiadł niemal na zadzie. Niewiele brakowało, aby Tomek znalazł się na ziemi. Odzyskując utraconą na chwilę równowagę, ujrzał olbrzymiego kangura walącego się ciężko w trawę.

– Hurra! – wrzasnął Tomek; przerzuciwszy sztucer przez ramię, wydobył colta.

Strzelał w górę wrzeszcząc z krajowcami, ile tylko miał sił. Przerazone śmiercią swego przewodnika kangury zawróciły na południe. Zupełnie nieoczekiwanie Tomek ujrzał wyłaniającą się z wysokiej trawy długą linię jeźdźców. Huknęły nowe strzały i ozwał się wrzask kilkunastu gardzieli. To Smuga nadciągał ze swoją grupą, by zamknąć łańcuch obławy od wschodu.

– Hurra! – krzyknął Tomek po raz drugi, po czym pognał za uciekającymi kangurami.

Pędzone z dwóch stron stado pomykało na południe. Wkrótce drogę zagroził mu łańcuch pieszych krajowców. Zwierzęta rzuciły się z powrotem na wschód, lecz rozgrzana łowami grupa Smugi powstrzymała je krzykiem i strzałami. Bieg stada na północ znów uniemożliwił oddział Bentleya. W ten sposób przerażone, zdezorientowane już zupełnie kangury pomknęły na zachód w kierunku skalnego łańcucha wzgórz. Oczekiwał tam na nie cichy w tej chwili wąwóz pułapka.

Bez większych trudności oraz niespodzianek zagnano kangury do wąwozu, którego gardziel zamknięto natychmiast drucianą siatką.

Wilmowski, zabezpieczywszy zwierzęta w Wąwozie, zaczął się rozglądać za Tomkiem. Nigdzie nie mógł go dojrzeć.

Zapytany o chłopca Bentley odparł z miłym uśmiechem:

– Niech pan przestanie niepokoić się o niego. To naprawdę zuch. Dzięki niemu kangury nie zdołały wymknąć się z pierścienia obławy. W nocy odeszły dalej na północ, zachodziła więc obawa, że powstanie duża luka między moimi ludźmi a grupą Smugi. Wobec tego postanowiłem wybrać najlepszego spośród nas strzelca, aby w razie konieczności zastrzelił przewodnika stada i zawrócił je na południe. Wybrałem Tomka, ponieważ według mego zdania, chłopak ma specjalne zdolności do posługiwania się bronią. Przyjął moją propozycję. W najkrytyczniejszym momencie obławy spisał się znakomicie. Pojechał teraz z krajowcami po zabitego przez siebie kangura.

– Żałuj, że nie widziałeś Tomka składającego się do strzału – wtrącił Smuga. – Byłem o jakieś sto metrów od niego. Jednym strzałem powalił przewodnika stada. Będzie znakomitym strzelcem.

– Opinia pana Smugi, znanego z celności strzału, jest najbardziej miarodajna – dodał Bentley – bo ja... przyznam się... nigdy nie zabiłem żadnego zwierzęcia. Lubię chwycić żywe okazy, lecz nie potrafiłbym pozbawiać ich życia.

– Bezmyślne zabijanie dzikich zwierząt jest zwykłym barbarzyństwem – orzekł Smuga. – Wielka to jednak zaleta, jeśli łowca posiada celne oko.

– Oczywiście, ma pan rację! Tomek zasłużył na szczególną pochwałę za wykazanie w czasie łowów wiele rozsądku. Wykonał najściślej moje polecenie – przyznał Bentley.

Wilmowski z dużym zadowoleniem przysłuchiwał się tej rozmowie. Z niecierpliwością oczekiwał powrotu syna. W ciągu niecałej godziny Tomek zjawił się w obozie. Zaledwie zdążył uściskać ojca, natychmiast zapytał o bosmana Nowickiego. Wilmowski poinformował go, że marynarz rozdziela żywność krajowcom.

– Wobec tego muszę odszukać bosmana, aby wręczyć mu przyobiecane kangura – powiedział Tomek i otoczony gromadką krajowców ruszył w głąb obozu, prowadząc konia objuczonego olbrzymim zwierzęciem.

WYPRAWA NADZIKIE DINGO

Przez kilka dni cała gromada zajęta była wylawianiem z wąwozu kangurów przeznaczonych do przetransportowania na statek. W tym czasie zdarzył się Tomkowi zabawny przypadek. Mianowicie postanowił on przyjrzeć się bliżej olbrzymiej samicy, która w worku swym na brzuchu nosiła młodego kangura wychylającego co pewien czas małą, śmieszoną główkę z dużymi uszami. Tomek wiedział już, że długość dopiero co urodzonego zwierzątka nie przekracza trzynastu centymetrów. Przychodzi ono na świat niezupełnie jeszcze ukształtowane, zaledwie z zaczątkami kończyn. Dalszy ich rozwój następuje w worku matki. Natychmiast po urodzeniu potomstwa kangurzyca umieszcza je w worku na swoim brzuchu, gdzie maleństwo przysysa się ściśle domykającymi się, a nawet zrastającymi po brzegach wargami do sutek gruczołów mlecznych matki i przez dłuższy czas jakby wisi na nich. Dopiero po ośmiu miesiącach ukształtowany już kangurek opuszcza bezpieczne schronienie, jakie stanowi dla niego matczyzna torba.

Łowcy nie chcieli, aby kangurzyca zbyt długo przebywała w ciasnej klatce, odłączyli ją przeto od stada i trzymali w oddzielnej zagrodzie. Dopiero przed samym odjazdem z farmy miano zamknąć kangurzycę w dużej skrzyni.

Mały kangurek interesował się już światem zewnętrznym. Wychylał łebek, poruszał zabawnie mordką i uszami, a kiedy Tomek machał do niego ręką, zniknął natychmiast, wystraszony, w worku matki.

Pewnego dnia Tomek wszedł do zagrody. Kangurzyca stanęła w rogu wyprostowana, opierając się na dwóch tylnych łapach i grubym ogonie. Przekrzywiając głowę, świdrującymi oczkami spoglądała na chłopca. Zachowywała się bardzo spokojnie, więc bez obawy podszedł do niej. Wkrótce też całkowitą uwagę zwrócił na małego kangurka, który wychyliwszy z worka matki łebek przyglądał się mu ciekawie. Tomek wyciągnął rękę, by pogłaskać go po główce. Nagle poczuł silne uderzenie w kark. Wyprostował się natychmiast, lecz kangurzyca, jak wytrawny bokser, zaczęła uderzać go przednimi krótszymi łapami w piersi i głowę. Początkowo Tomek był zaskoczony tą napaścią, ale gdy wokół rozległy się śmiechy łowców, zacisnął dłonie do obrony. Po chwili w zagrodzie rozgorzał mecz bokserski. Rozgniewana kangurzyca zadawała krótkie ciosy, chwyciła Tomka łapą za kark, bijąc równocześnie drugą aż w końcu tylną nogą kopnęła go w kolano. W tej chwili do zagrody wkroczył olbrzymi bosman Nowicki.

– Nie tak ostro, siostrzyczko! – krzyknął do kangurzycy i zasłonił Tomka.

Krótką przednią łapą wylądowała na jego karku, a jednocześnie otrzymał solidnego kopniaka w kolano. Zaklął po marynarsku. Wokół rozbrzmiewała już burza śmiechu. Bosman z Tomkiem szybko wycofali się z zagrody.

– Dwa zero dla kangurzycy – ze śmiechem wolał Bentley.

– Szanowny pan nie byłby tak wesoły, gdyby poczęstowała go tęgim kopniakiem jak mnie – odparł bosman z kwaśną miną. – Widziałem wprawdzie w Hamburgu tresowane do boksu kangury, ale kto tutaj tę diabolicę tego nauczył, to już naprawdę nie wiem.

– Kangurów nie trzeba uczyć bokswania, to jest ich normalny sposób walki – wyjaśnił Bentley. – Tak właśnie walczą między sobą i podobnie bronią się przed ludźmi.

– Więc uważasz pan, że i te, które widziałem boksujące się w Hamburga, nie były specjalnie tresowane? – zdziwił się bosman.

– Jestem tego pewny – potaknął Bentley. – Cała sztuka polega jedynie na oswojeniu ich z widokiem ludzi i światła.

Zawstydzeni zabawną przygodą bosman i Tomek przestali interesować się kangurami zamkniętymi w wąwozie. Dla odmiany rozpoczęli natomiast poszukiwania za strusiami. Raz nawet zapuścili się z Bentleyem i Tonym daleko w step.

Było wczesne, gorące przedpołudnie. Grupka łowców wolno posuwała się po wyboistym płaskowyzu porośłym dość wysoką trawą. Tony pierwszy wypatrzył stadko żerujących ptaków.

– Emu, tam, z prawej strony pagórka! Szybko zsiadać z koni i nic nie mówić – ostrzegł półgłosem.

Pierwszy zsunął się z wierzchowca. Reszta łowców natychmiast uczyniła to samo. Tony poprowadził ich w kierunku pagórka o kopulastym wierzchołku. U stóp wzniesienia szybko wbili w ziemię paliki, do których przywiązali konie, po czym, zachowując ostrożność, wczołgali się na pagórek. Bentley wydobył połowę lornetkę. Wysunąwszy głowę z trawy, zaczął rozglądać się za emu. Wkrótce wskazał ręką kierunek.

Bosman i Tomek kolejno przyglądali się przez lornetkę oryginalnym ptakom. Stadko składało się z pięciu dorosłych okazów i czterech młodych. Wysokość jedyne w stadku samca wynosiła około stu siedemdziesięciu centymetrów, natomiast samice były nieco niższe. Posiadały matowobrunatne i żółtawe upierzenie.

Tomek uważnie przyjrzał się emu. Miały szyję krótszą niż bardziej znane mu z ilustracji strusie afrykańskie i krótsze, opierzone od stawu skokowo-goleniowego nogi. Bardzo małe skrzydła przylegające do tułowia, były zupełnie niewidoczne. Boki głowy oraz gardziel ptaków nie miały upierzenia. Do tych spostrzeżeń Tomka, Bentley jako zoolog, dodał, że nogi emu zakończone są trzema palcami, z których najkrótszy jest zewnętrzny, a wszystkie kończą się silnymi pazurami.

Najwięcej zaciekawienia wzbudziły w Tomku młode pisklęta. Musiały być bardzo żarłoczne, ponieważ bez przerwy buszowały wśród trawy za pożywieniem. Upierzenie ich było oryginalniejsze niż dorosłych okazów. Pokrywała je bowiem jeszcze pierwsza puchowa szata,znaczona sześcioma szerokimi, podłużnymi pasami.

Niestety łowcy niezbyt długo mogli obserwować australijskie emu. Bosman, którego również niezmiernie zainteresowały pstrokate pisklęta, nieopatrznie podniósł się na nogi, aby lepiej widzieć, wtedy czujny samiec wypatrzył go i wszystkie strusie szybko umknęły w step. Łowcy pobiegli wprawdzie do koni i przez jakiś czas ścigali emu, lecz, mimo iż ptaki uciekały wolniej z powodu piskląt, pogoń okazała się bezskuteczna, wierzchowce bowiem obawiały się dziwnego dźwięku wydawanego przez pióra pierzchających emu.

– Ale też z pana niezdara – oburzył się Tomek na bosmana. – Gdyby przez nieostrożność nie spłoszył pan emu, może udałoby się nam podkraść do nich i chociaż pisklęta schwytać.

Bosman zmarkotniał, bo i jemu wydawało się, że okazja naprawdę była ku temu doskonała, lecz Bentley wyprowadził z błędu obydwóch przyjaciół wyjaśniając:

– Nie martwcie się, moi drodzy. Nie jesteśmy przygotowani do łowów, a emu, chociaż nie są specjalnie bojaźliwe, poznały już, że ich największym wrogiem jest człowiek. Nie tak łatwo je podejść. Poza tym emu jednym uderzeniem swej potężnej nogi może złamać człowiekowi kość biodrową lub też zabić atakującego psa.

– No, no, kto by się spodziewał takiej siły po ptaszysku – zdziwił się bosman. – Ciekawe, czy ich jaja i mięso dobre są do jedzenia? Bo przyznam się, że nawet apetycznie wyglądały te pisklaki.

– Pan tylko o jedzeniu mówi – mruknął jeszcze nachmurzony Tomek.

– Mężczyzna słusznego wzrostu, to nie małeletni pędrak, co byle czym się zaspokoi – odparował bosman. – Powiedz pan, panie Bentley, czy nadają się one do jedzenia?

– Mięso młodych jest nawet bardzo smaczne – potwierdził zoolog. – Z tłuszczu zaś starych okazów przygotowuje się olej, skuteczny podobno na rozmaite dolegliwości.

– Nie przekonasz mnie pan, że prawdziwy rum jamajka nie jest najlepszy na wszelkie choróbska i zmartwienia – zaoponował bosman. – Sprawdziłem to przecież na sobie nie raz!

– Znów pan zaczyna po swojemu – wtrącił Tomek. – Proszę pana, ile małych wysiaduje emu?

Bentley, jak zwykle to czynił w takich razach, obszernie wyjaśnił:

– Samiec emu wykopuje niewielkie wgłębienie w ziemi, które wyściela trawą i chwastami. Samica zazwyczaj składa tam około siedmiu lub ośmiu jaj. Jeżeli większa ilość jaj jest w gnieździe, to możesz być pewny, iż zniosło je tam kilka samic. Wysiadywanie trwa sześćdziesiąt dni, przy czym wysiaduje tylko samiec, który również z wielką pieczołowitością opiekuje się potomstwem. Dla informacji pana bosmana dodam, że jaja emu są jadalne, a pojemność jednego z nich wynosi około pół litra masy. Starczyłoby takie jedno jajeczko dla pana na śniadanko, co?

– Nie mów pan teraz o tym z łaski swojej, bo ciut głodny jestem – żałośnie odparł bosman ku uciesze Tomka.

– Jeżeli ma pan ochotę na jajecznicę, to mógłbym panu polecić jajo strusia madagaskarskiego – ciągnął dalej równie rozbawiony Bentley. – Jego „jajeczko” bowiem jest znacznie większe od jaja emu.

– To już chyba niemożliwe – zaprzeczył bosman, oblizując się na samą myśl o smacznej jajecznicy.

– Zapewniam pana, że zostało to naukowo stwierdzone, chociaż strusie madagaskarskie dawno już wymarły. Pojemność jednego ich jaja wynosiła prawie dziewięć litrów, co równało się sześciu jajom strusia afrykańskiego, siedemnastu jajom emu lub stu czterdziestu ośmiu kurzym.

– Toż to zwykle draństwo pozwolić wymrzeć tak pożytecznym ptakom! – zawołał marynarz, poruszony do głębi słowami zoologa.

Bentley i Tomek wybuchnęli śmiechem. Bosman wcale się tym nie przejął. Jak zwykle praktyczny, postanowił zasięgnąć jeszcze więcej informacji o tak pożytecznych dla człowieka ptakach.

– Ciekawe rzeczy pan opowiada – zaczął rozmowę. – Ja myślałem, że na świecie są tylko strusie afrykańskie i emu, a tu tymczasem słyszę o innych gatunkach. Kto wie, gdzie jeszcze mogą rzucić mnie losy, skoro związałem się przyjaźnią z takimi wiercipiętami? Warto więc wiedzieć, jakie ptaszyska znoszące jaja dobre do jedzenia żyją na różnych kontynentach. Powiedz pan z łaski swojej, jak to jest z tymi strusiami? Widać istnieje jeszcze wiele dziwadeł, o których nie słyszałem!

– Chętnie to panu wyjaśnię – odpowiedział Bentley. – Zdolność latania jest tak charakterystyczną cechą ptaków, że gatunki pozbawione jej wydają się nam zawsze jakimś osobliwym tworem. Takimi dziwnymi stworami wydawały się ludziom bezgrzebieniowce. Przedstawiciele ich należą do największych ze wszystkich znanych ptaków, a niektóre gatunki są prawdziwymi olbrzymami świata pierzastego. Do bezgrzebieniowców[42] należą cztery rzędy żyjące i dwa już wymarłe. Są to bez wyjątku ptaki lądowe. Tułów ich osiąga u wszystkich gatunków znaczną wielkość, głowę natomiast mają bardzo małą, szyję niezwykle długą, a nogi nadzwyczaj silnie rozwinięte. Uwstecznione skrzydła pokryte są u nich miękkimi, zupełnie nieprzydatnymi do lotu piórami, w zamian za to wszystkie gatunki odznaczają się doskonałością biegu. Ich pożywienie składa się przede wszystkim z drobnych zwierząt oraz roślin. Mają świetny wzrok oraz lepszy niż inne ptaki słuch i węch.

– Bardzo proszę, niech pan wyliczy wszystkie rodzaje strusi – wtrącił Tomek, pilnie przysłuchujący się słowom Bentleya.

– Są to więc: strusie właściwe[43], czyli dwupalczaste, obejmujące tylko jedną rodzinę. Szereg jej gatunków różni się głównie ubarwieniem nagich części ciała. Strus zwyczajny zamieszkuje Afrykę Północną, południową Palestynę i Arabię aż po Eufrat. Inne gatunki gnieźdzą się wyłącznie w Afryce.

Drugi z kolei rząd bezgrzebieniowców tworzą amerykańskie nandu[44] zwane inaczej „strusiami pampasów”. Ten trzypalczasty ptak przebywa na trawiastych przestrzeniach, położonych między Oceanem Atlantyckim i górami Andami, począwszy od puszczy Brazylii, Boliwii i Paragwaju aż po Patagonię. Nazwa nadana temu ptakowi przez Indian, jest naśladowaniem donośnego okrzyku samca nandu, wydawanego w czasie tokowania.

Trzeci, najbogatszy w gatunki rząd, stanowią kazuary. Wszystkie one należą do jednej rodziny. Z czternastu nam znanych – trzy tworzą rodzaj emu[45], a jedenaście zaliczamy do kazuarów właściwych[46]. Ojczyzną wszystkich kazuarów są wyspy Oceanu

Spokojnego, począwszy od Ceram i Amboiny poprzez Nową Gwineę po Nową Brytanię oraz Australię.

Warto tu wyjaśnić, że australijskie emu mają szyję i nogi znacznie krótsze od strusia afrykańskiego. Podczas gdy emu trzyma się trawiasto-pustynnych stepów, kazuary właściwe, o wykształconym wydatnie na szczycie dzioba oraz wierzchu głowy hełmie, zbudowanym z tkanki łącznej, zamieszkują gęstwiny lasów, gdzie prowadzą skryty i tajemniczy tryb życia. W przeciwieństwie do emu nie biegają kłusem, lecz poruszają się drobnym truchcikiem. Jako łowców powinno was zaciekawić, że prócz soczystych owoców pożerają one ryby, jaszczurki i żaby. W ogrodach zoologicznych żywią się przeważnie chlebem, ziarnem oraz drobno pokrajanymi jabłkami.

Oddzielny rząd stanowią wymarłe już nowozelandzkie moa[47]. Wiele opowiadali o nich Maorysi zamieszkujący Nową Zelandię. My, niestety, znamy je tylko ze znalezionych szkieletów i jaj, których rozmiary tak przypadły do gustu panu bosmanowi.

Jeszcze bardziej skąpe wiadomości zebrano o wymarłych czteropalczystych strusiach madagaskarskich. Ostatnie z bezgrzebieniowców są kiwi[48] żyjące wyłącznie w Nowej Zelandii.

– Trzeba przyznać, że pamięć szanowny pan ma doskonałą – pochwalił bosman. – Proszę, jak to czas szybko schodzi na słuchaniu ciekawych rzeczy o świecie! Oto już zbliżamy się do obozowiska. Tylko patrzeć, jak Watsung uraczy nas swoimi chińskimi specjałami!

Tym razem już nikt nie żartował na wspomnienie obiadu. Wszyscy porządnie wygłodnieli podczas jazdy przez step, toteż popędzili konie arkanami i wkrótce znaleźli się w kręgu wozów okalających obóz.

Przez następnych kilka dni Tomek z bosmanem samotnie wypuszczali się na poszukiwanie emu. Wyprawy ich jednak nie zostały uwieńczone sukcesem. Wilmowski, Smuga i Bentley zajęli się przetransportowaniem kilkunastu kangurów do farmy. Mimo zakończenia łowów na kangury nie zlikwidowali obozowiska w pobliżu wąwozu pułapki, ponieważ mieli zamiar wykorzystać je w czasie późniejszych polowań.

Właśnie Tomek, bosman i Tony powrócili z codziennej, porannej przejażdżki. Zaledwie zsiadli z wierzchowców, wybiegł ku nim Watsung i podał im list od Wilmowskiego, przyniesiony z farmy przez posłańca.

Bosman otworzył kopertę i przeczytał na głos:

„Zdołaliśmy już urządzić jakoś nasze kangury. Uprosilśmy również pana Clarka, aby wraz ze swymi pracownikami wziął udział w łowach na emu. Poluje on na nie od czasu do czasu ze względu na ich cenne skórki, z tego też względu posiada konie oswojone z dźwiękiem, jaki powodują pióra uciekającego ptaka. Odkładamy chwilowo łowy na emu, ponieważ nadarza się okazja schwytania dingo. Od kilku dni nachodzą one pastwisko, na którym pan Clark trzyma swoje owce. Jeśli chcecie wziąć udział w zasadzce na dzikie psy przyjeżdżajcie natychmiast”.

– Co ty na to, braciszku? – zapytał bosman po przeczytaniu listu.

– Jedźmy jak najprędzej – z entuzjazmem odparł Tomek. – Nie mogę przecież pominąć polowania na dingo.

– Wobec tego zbieramy swoje manatki zaraz po obiedzie i jedziemy – zdecydował bosman.

– Dingo wyruszają na łowy w nocy – zauważył Tony uspokajająco. Przybyli na farmę w chwili, gdy Clark przygotowywał już konie do drogi, Wilmowski, Smuga, Bentley i dwaj pracownicy Clarka od samego rana urządzali pułapki na dingo. Owce pasły się na kilkukilometrowym pastwisku, ogrodzonym dla bezpieczeństwa drucianą siatką. Tego właśnie dnia wykryto w niej trzy uszkodzenia, w pobliżu których znaleziono na ziemi świeże ślady dzikich psów. W tych właśnie miejscach łowcy zastawili na nie pułapki.

Tomek i bosman razem z Clarkiem wyruszyli ku rozległemu pastwisku. Było jeszcze dość czasu do zachodu słońca, więc wolno jechali gawędząc.

– Słyszałem, że uprawiasz pan polowania na emu – zagadnął bosman.

– Owszem, jeżeli tylko czas mi na to pozwala – odparł Clark. – Polowanie jest tutaj dla nas jedyną rozrywką.

– Powiedz pan, w jaki sposób trzeba je łapać? – zaciekawiał się bosman, pamiętając własne niepowodzenia. – Uganialiśmy się z Tomkiem za strusiami przez parę godzin i tyle było z tego pożytku, że przyjrzeliliśmy się tylko ich ogonom. Konie nasze bały się dźwięku, jaki wydają pióra tych dziwnych ptaków.

– Najważniejszą rolę w polowaniu na emu odgrywa koń – wyjaśnił Clark. – Musi być równie śmigły jak ptaki i przyzwyczajony do tego piekielnego szelestu. Mam kilka koni ujeżdżonych do tego rodzaju polowania. Skóry emu są bardzo poszukiwane na rynku, toteż polujemy na nie przy każdej okazji.

– Jeśli panu chodzi jedynie o zdobycie skórek, to może pan przecież strzelać do emu z pewnej odległości – odezwał się Tomek.

– Skóra porozrywana kulą straciłaby swoją wartość – odpowiedział Clark, – Poza tym emu posiada niezwykłą wprost żywotność. Jeżeli nie padnie natychmiast, ugodzony kulą, to mimo rany i tak zdoła uciec.

– No dobrze, ale przecież ostatecznie musi pan zabić strusia – dodał Tomek.

– Masz słuszność, ale potrzebny mi jest do tego jedynie dobry koń i bat – roześmiał się Clark.

– Nie rozumiem pana!

– Otóż wystarczy jechać za strusiem i tłuc go batem, aż padnie martwy ze zmęczenia. To najlepszy sposób.

Tomek spojrział z oburzeniem. Clark, nie spostrzegając, jego miny, mówił dalej:

– Emu szybko opada z sił i w końcu biegnie ciężko, niezgrabnie, niemal jak kaczką. Mimo to ucieka dopóty, dopóki nie padnie martwy.

Bosman Nowicki wyduł usta pogardliwie i rzekł:

– No, łaskawy panie, taka zabawa nie dla mnie. Niech te ptaszyska biegają sobie ze swymi skórkami.

– Ja również nie wezmę udziału w takim polowaniu – dodał Tomek. – Biedne emu...

Rozmowa urwała się i w milczeniu dojechali do pastwiska. Nastrój Tomka poprawił się natychmiast na widok ojca oraz pana Smugi, którzy przywitani ich serdecznie.

– Oto jest i Mała Głowa – zawołał Smuga na widok chłopca. – Byłem pewny, że nie opuścisz polowania na dingo.

– Dlaczego był pan pewny, że nie opuszczę polowania?

– Odziedziczyłeś po ojcu żyłkę do włóczęgi i przygód. Wystarczy choćby szepnąć „polowanie”, a pójdiesz nawet w największym skwarze, aby wziąć w nim udział.

– Czy pan naprawdę jest pewny, że ja mam taką „żyłkę”? – zapytał Tomek podnieconym głosem.

– Z każdym dniem coraz więcej jestem o tym przekonany.

– Więc mógłbym zostać tak wielkim łowcą jak pan?! – zawołał uradowany Tomek.

– Jak ja? – zdziwił się Smuga, spoglądając z zaciekawieniem na chłopca.

– Tak, tak! Muszę z czasem zostać takim łowcą jak pan.

– A któż to naopowiadał ci, że jestem takim wielkim łowcą? – indagował Smuga, ubawiony słowami Tomka.

– A któż by mógł mi to powiedzieć, jak nie bosman Nowicki? On zna chyba pana najlepiej! – mówił Tomek z entuzjazmem. – To bosman właśnie poinformował mnie, że w całym naszym gronie jest pan jedynym mężczyzną, który ma wrodzoną żyłkę do łowienia zwierząt. Jakże chciałbym być również takim odważnym łowcą!

– Nic o tym nie wiedziałem – powiedział Smuga serdecznym tonem. – Chciałbym mieć takiego syna, jak ty. Zobowiązałeś mnie bardzo swoimi słowami. Myślę, że tak jak tu jesteśmy, będziemy stanowili czwórkę wypróbowanych przyjaciół.

– Tak jak trzej muszkietierowie, o których czytałem w powieści Dumasa – zawołał Tomek z radością.

– Coś w tym rodzaju – potwierdził Smuga.

– A to naprawdę wspaniała myśl! – ucieszył się Tomek i kolejno uścisnął wzruszonych towarzyszy.

– Co tu się dzieje? – zaciekawił się Clark, który podczas tej rozmowy rozkulbaczał konie.

– Mała uroczystość rodzinna... tylko dla wtajemniczonych – mruknął niechętnie bosman Nowicki. – No, a teraz, co tam słyhać z naszymi dingo?

– Chodźcie, pokażemy wam przygotowane pułapki – odparł Wilmowski i ująwszy Tomka za rękę, ruszył pierwszy w głąb pastwiska.

Tomek nie mógł powstrzymać okrzyku podziwu, ujrzawszy niezmiernie mrowie australijskich merynosów. Sprawiały one wrażenie wielkich kłębków wełny toczących się wśród trawy. Nawet zakrzywione rogi baranów niemal kryły się w gęstej, puszystej, jakby fryzowanej wełnie.

– Ależ tu muszą być ich tysiące! – zawołał.

– Kilkadziesiąt tysięcy – poprawił go Clark. – Jeżeli przez najbliższe dwa lub trzy lata nie nawiedzi tych okolic długotrwała susza, będę posiadał kilkadziesiąt tysięcy owiec.

– Co by się stało, gdyby zapanowała długotrwała susza? – zapytał Smuga.

– Wówczas zamiast kilkadziesiąt tysięcy merynosów miałbym kilkadziesiąt tysięcy szkieletów bielejących na spalonej piekielnym żarem ziemi – odparł Clark. – Aby uniknąć tego nieszczęścia, muszę zdobyć się na wybudowanie studni artezyjskich. Na razie zadowolam się tym, że w okolicy pastwisk znajduje się kilka niecek, w których nad ranem zawsze można znaleźć trochę wody.

– Czy ma pan jakieś dane, że tutaj teren nadaje się na budowę studni artezyjskich? – wtrącił się do rozmowy Wilmowski.

– Krajowcy są tego pewni, a oni jakimś, po prostu nie znanym nam, zmysłem wyczuwają obecność wód artezyjskich.

– Ojczy, co to są wody artezyjskie? Wiem z geografii, iż w Australii osadnicy budują studnie artezyjskie, ale nie słyzałem o takich „wodach” – zagadnął Tomek.

– Widzisz, mój kochany, woda przesiąka przez przepuszczalne warstwy ziemi. Jeżeli w głąbi natrafi na warstwy nieprzepuszczalne, spływa po nich i gromadzi się w pewnych miejscach. Zdarza się, iż woda trafia między dwie warstwy nieprzepuszczalne. Łatwo wtedy odgadnąć, że znajduje się pod ciśnieniem powstałym z różnicy poziomu dna i powierzchni warstwy przepuszczalnej. Wystarczy przewiercić otwór przez nieprzepuszczalny strop, aby woda sama wypłynęła, a czasem nawet wytrysnęła na powierzchnię.

– U nas woda jest prawie tak cenna jak złoto – dodał Clark. – Kiedy w 1879 roku hodowca bydła w Nowej Południowej Walii, kopiąc zwykłą studnię, przypadkowo natrafił na podskórną wodę w wielkiej obfitości, zdarzenie to poruszyło umysły wszystkich Australijczyków.

– W jaki sposób dokonuje pan postrzyżyn? Jak zaobserwowałem, na farmie znajduje się razem z panem i kucharzem zaledwie czterech ludzi – Wilmowski poruszył nowy temat.

– Oczywiście, że sami nie dalibyśmy rady – wyjaśnił Clark. – W Wilcannii

organizowane są specjalne grupy postrzygaczy. Wyruszają one w określonym czasie do poszczególnych farm i wykonują całą pracę. U nas robotnik jest drogi i trudny do zdobycia.

Tak rozmawiając, zbliżyli się do drucianej siatki odgradzającej pastwisko od stepu. Wilmowski oznajmił, że tutaj właśnie założyli pierwszą pułapkę. Zatrzymali się przed kępą zarośli. Na próżno Tomek wypatrywał śladów zamaskowania zapaści na dzikie psy. Wśród kęp krzewów nic nie było widać prócz trawy.

– Nie rozumiem, w jaki sposób mamy tutaj schwytać dingo? – odezwał się zawiedzionym głosem.

Wilmowski ostrożnie rozgarnął trawę. Tomek ujrzał rusztowanie misternie uplecione z cienkich gałęzi, a pod nim wykopany głęboki dół o prostopadłych ścianach.

– Już wiem teraz! – zawołał uradowany. – Przy siatce znajduje się zamaskowany dół.

– Tak, powiększyliśmy otwór w uszkodzonym przez dingo ogrodzeniu i wykopaliśmy dużą jamę po wewnętrznej stronie siatki: Dingo wpadnie w pułapkę, jeśli będzie chciał przedostać się na pastwisko – dodał Wilmowski.

– Czy nie lepiej było wykopać dół po drugiej stronie ogrodzenia? – zatroszczył się bosman Nowicki.

– Nie, ponieważ wtedy pozostawilibyśmy po sobie zbyt wiele śladów, co mogłoby wzmóc ostrożność nawet głodnych dingo – odparł Wilmowski.

– W jaki sposób wydostaniemy psy z pułapki? – dopytywał się Tomek.

– Na dnie dołu rozłożyliśmy siatkę, którą następnie przysypaliśmy lekko ziemią. Do krańców sieci przywiązaliśmy grube sznury. Wydobędziemy dingo spowite jak niemowlę w pieluchy – odpowiedział Wilmowski.

– Pomyślane pierwszorzędnie – pochwalił bosman.

– Przed zapadnięciem nocy położymy w tych zaroślach kawał surowego, świeżego mięsa – wtrącił Clark. – Dla głodnych dingo będzie to najlepsza zachęta do zaniechania ostrożności. Chodźmy dalej!

Przy trzeciej pułapce zastali Bentleya i Lorenca, pracownika Clarka. Bentley kończył maskowanie dołu kępkami trawy, a Lorenc obdzierał ze skóry świeżo zabite jagnię.

– Halo! Jeśli dingo będą tak głodne jak ja, to o świcie zastaniemy nasze doły przeładowane nimi – z humorem powitał ich Bentley.

– Zaraz zjemy kolację – pocieszył go Smuga. – Widzę, że pomyślał pan już o przyjęciu dla nieproszonych gości.

– Tak, pan Lorenc przygotowuje smakowite kąski. Zapach krwi podrażni apetyt dingo i przytępi ich czujność – odparł Bentley.

Lorenc poćwiartował jagnię. Podał ociekający krwią kawał mięsa Bentleyowi, który położył go na rusztowaniu maskującym pułapkę. To samo uczynił przy dwóch pozostałych

dołach, po czym łowcy udali się do zbudowanego w pobliżu szałas.

Na kolację Tony przygotował prawdziwą ucztę. Nie zabrakło na niej nawet dwóch butelek dobrego wina. W jak najlepszych humorach łowcy rozłożyli się na trawie i paląc fajki, oczekiwali nadejścia nocy.

OPOWIEŚĆ O PAWLE STRZELECKIM

Tomek położył się na wygodnym pościeliu w cieniu przewiewnego szałas. Długo błędził wzrokiem po bezchmurnym niebie, rozmyślając jednocześnie o zadzierzgniętej w tym dniu przyjaźni z tak niezwykle towarzyszami wyprawy. Puszył się nawet nieco, monologując po cichu:

„Nikt z moich kolegów w Warszawie nie może nawet poszczycić się znajomością z prawdziwym podróżnikiem. A tymczasem taki wytrawny łowca dzikich zwierząt jak pan Smuga, sam zaproponował mi swoją przyjaźń! Poza tym pan bosman Nowicki również nie jest pierwszym lepszym marynarzem. A jaki mir ma u załogi Aligatora! Na wszystkie jego polecenia majtkowie służbiście odpowiadają: »Ay, ay sir«^[49] A! i spełniają je bez szemrania. Takich to ja mam przyjaciół! Ponadto przecież jestem synem dowódcy łowieckiej ekspedycji...”

Przyjemne rozmyślenia sprawiły, iż w końcu zmorzony sennością zasnął z błogim uśmiechem na ustach. Spał kilka godzin. Gdy się przebudził, było już ciemno, na niebie migotały gwiazdy. Jednocześnie dobiegały go głosy towarzyszy gwarzących przy ognisku. Zaniepokojony natychmiast podniósł się i szybko podszedł do nich.

– Dlaczego nie zbudziliście mnie? – zagadnął z wyrzutem. – Niewiele brakowało, a przespałbym całe polowanie!

Mężczyźni uśmiechnęli się do niego. Ojciec, robiąc mu miejsce obok siebie, uspokoił go:

– Nie obawiaj się! Mamy jeszcze czas. Dopiero co zapadł wieczór. Dingo zwykle wychodzą na łowy koło północy.

Tomek przysiadł przy ojcu.

– Piękne są tutaj noce na stepie, tylko mogłoby być trochę chłodniej – zagaił Smuga przerwana rozmowę.

– Zgadza się z panem, ale jednocześnie zapewniam, że i inne okolice Australii mają wiele swoistego uroku – gorąco stwierdził Bentley. – Gdybyście, panowie, znali ten kraj tak jak ja, może pozostalibyście u nas na zawsze.

– Bajki pan opowiadasz, za przeproszeniem! – nieoczekiwanie wybuchnął bosman Nowicki. – Nie mówiłbyś pan takich bzdur, gdybyś chociaż raz w życiu ujrzął naszą rodzinną ziemię! Jakie to cudne u nas pola, lasy! A nad naszą rzeką Wisłą, ile to pięknych miast! Kochana Warszawa, gród krakowski, ho, ho! aż żal serce ścisnąć, że ich widzieć nie można. Co mi tam przy naszej Polsce wasza Australia z jej piekielnym upałem, suszami, powodziami, stadami owiec i Bóg tam jeszcze wie z czym! Przemierzyłem już prawie cały świat, ale wierz mi pan, że kości moje chciałbym złożyć tylko w polskiej ziemi...

Bentley umilkł zaskoczony gwałtownością słów bosmana. Dopiero po dłuższej chwili znów się odezwał:

– Nie chciałem urazić niczyich uczuć. Powiedziałem jedynie, że pokochałem Australię.

Jak słyszałem, nie możecie powrócić teraz do własnego kraju. Po co tułać się po świecie? Może tutaj moglibyście znaleźć schronienie aż do lepszych dla was czasów?

– Nie ma mowy o jakiejś tam obrazie, proszę szanownego pana – pospiesznie zapewnił wzruszony marynarz. – Wybacz mi pan może zbyt szorstkie słowa. Ot, prostak jestem, to i pewno źle się wyraziłem, a pan przecież nigdy nie był w Polsce. Ach, szanowny panie, co za widok przedstawiają warszawskie ulice, czy też krakowski rynek, na przykład w Noc Wigilijną! Białe płatki śniegu padają na dworze, a w oknach domów jarzą się świece na choinkach... Połowę życia oddałbym, żeby móc to teraz ujrzeć...

Tomek westchnął i przysunął się do wzruszonego marynarza.

– Poczciwy bosman uwielbia naszą Warszawę – cicho powiedział Wilmowski. – Prawdę mówiąc, to i ja również odczuwam tęsknotę za rodzinnym miastem...

– Musi pan koniecznie odwiedzić Polskę – porywczo rzekł Tomek. – Zaprowadzę pana w Warszawie do parku w Łazienkach i pokażę pałac, w którym dawniej mieszkali polscy królowie. Tuż przy nim pływają w stawie piękne, białe łabędzie. Ile to naobrywałem kar od cici Janiny za włóczenie się po Łazienkach.

– Skorzystam z twego zaproszenia, gdy Polska odzyska swą niepodległość – zapewnił Bentley. – Warszawa musi być naprawdę piękna, skoro ją tak bardzo kochacie.

– Tak, tak, przyjedzie pan do Warszawy i zorganizuje nam wspaniały ogród zoologiczny – fantazjował Tomek. – My zaś urządzimy specjalną wyprawę łowiecką, by złowić jak najwięcej ciekawych zwierząt do naszego ogrodu. Prawda, tatusiu?

– Prawda, kochany zapaleńcze! – przytaknął Wilmowski śmiejąc się. – Skoro przygotowałeś posadę dla pana Bentleya, to musimy postarać się o zwierzęta.

– Uczyniłbym to z wielką przyjemnością – przyznał Bentley. – Powinniście jednak i wy zwiedzić najpiękniejsze okolice Australii. Będziemy przecież polowali w pobliżu Alp Australijskich, warto by więc obejrzeć Górę Kościuszki.

– Górę Kościuszki? – przerwał mu bosman Nowicki. – Czy to ta największa góra w Australii odkryta przez polskiego podróżnika?

– Nie myli się pan. Polak, Paweł Strzelecki[50], między innymi odkrył na tym kontynencie Alpy Australijskie i najwyższy ich szczyt nazwał Górą Kościuszki.

– Widzisz pan sam, kto więcej wart! – triumfował marynarz. – Polak musiał wam nawet odkryć największą górę! Tacy my już jesteśmy: do tańca i do różańca!

– Nigdy nie odważyłbym się ujmować zasług Strzeleckiemu, który dokonał tutaj więcej niż niejeden jego rodak – wyjaśnił Bentley, uśmiechając się do przekornego marynarza.

– Czyżby pan specjalnie interesował się działalnością Strzeleckiego? – zapytał Wilmowski, zaintrygowany słowami zoologa.

– Od najmłodszych lat nasłuchiwałem się o nim niezwykłych historii. W domu moich rodziców wiele mówiono o Strzeleckim. Muszę zaznaczyć, że mój dziadek, jako Polak po

upadku powstania listopadowego opuścił Polskę i przywędrował do Nowej Południowej Walii. Tutaj zetknął się ze Strzeleckim. Towarzyszył mu nawet w jednej z niebezpiecznych wypraw. Matka moja przypuszcza, że Strzelecki powiedział dziadkowi o znalezieniu złota. Prawdopodobnie wydobywali je razem przez krótki czas. Strzelecki musiał zapewne zobowiązać dziadka do zachowania tego w tajemnicy, gdyż ten nigdy nie chciał rozmawiać na temat pochodzenia naszego majątku.

– Ależ to prawdziwie romantyczna historia! – zawołał ze zdziwieniem Wilmowski. – Jeszcze jest dość wcześnie, a w stepie cicho, jakby kto makiem zasiał. Możliwe, iż przebiegłe dingo zwęszyły naszą obecność. Wobec tego bardzo prosimy o opowieść o tej wspólnej wyprawie pańskiego dziadka ze Strzeleckim. Niezwykle nas to ciekawi, prosimy!

– Prosimy, bardzo prosimy, niech pan opowie – dołączył się Tomek. – Obiecał mi pan nawet jeszcze w pociągu, że opowie o Strzeleckim!

– Mów pan, szanowny panie, to coś naprawdę dla nas – dodał bosman.

Bentley nie dał się dłużej prosić. Zapalił fajkę, po czym rozpoczął:

– Po odkryciu Alp Australijskich i Góry Kościuszki Strzelecki ruszył na południowy wschód. W wyprawie tej, oprócz mego dziadka, towarzyszył mu również Mac Arthur, jeden z pionierów Nowej Południowej Walii. Między barierą Alp Australijskich a Morzem Tasmańskim ujrzeli żyzną i bogatą krainę pokrytą licznymi rzekami i jeziorami.

Strzelecki cieszył się pięknem i bogactwem nowo odkrytej ziemi. Na cześć gubernatora Australii nazwał ją Gippslandem. Przekonany był, że stanie się ona w przyszłości najbogatszą częścią kontynentu. Nie pomylił się w swoich przewidywaniach. Naszkicował dokładną mapę Gippslandu, sporządził plan przyszłych robót melioracyjnych, po czym wędrując w górę rzeki La Trobe, dotarł do jej źródeł leżących w górach.

Pewnego dnia Mac Arthur sprawujący funkcję administratora obozowego oznajmił, że kończą się zapasy żywności i wobec tego należy pomyśleć o odwrocie. Strzelecki nie chciał o tym nawet słyszeć. Postanowił iść na południowy zachód w kierunku założonego niedawno Port Phillip, aby wytyczyć kolonistom drogę do Gippslandu.

Bez dalszej zwłoki przekroczyli pokryty lasami łańcuch górski i znaleźli się w stepie parkowym. Z głębi łądu wiał gorący wiatr wysuszający ziemię. Około stu kilometrów dzieliło wyprawę Strzeleckiego od Port Phillip, lecz z każdym dniem marszu okolica stawała się coraz dziksza, trudniejsza do przebycia. Z powodu olbrzymich upałów powysychały okresowe rzeczki i strumyki. Podróżnicy nie mogli więc uzupełniać zapasów wody.

Rzadki las parkowy zaczął ustępować coraz częściej napotykanym przez wyprawę terenom pokrytym skrobem. W końcu doszło do tego, że Strzelecki wraz z towarzyszami musiał przedzierać się przez, gąszcz, utworzony przez skarłate akacje i eukaliptusy oraz wysoką, trawę zwaną spinifex. Całkowity brak jakichkolwiek czworonogów i ptaków najlepiej świadczył o dzikości okolicy.

Jeszcze około sześćdziesięciu kilometrów dzieliło wędrowców od celu wyprawy, gdy

dalszą drogę zagroził im naturalny żywopłot z krzewów. Mac Arthur doradzał zawrócić, lecz Strzelecki nie chciał zgodzić się na to ze względu na brak zapasów żywności i wody. Według niego, jedynie nieustanny marsz na południe mógł uratować ich od zagłady w morderczym skrobie. Dziad mój poparł zdanie Strzeleckiego, ponieważ wierzył w jego, nieomylny dotychczas, instykt podróżniczy. Brak paszy oraz wody zmusił ich do zabicia koni i porzucenia tym samym cennych zbiorów kompletowanych przez polskiego podróżnika podczas długiej wędrówki.

Bez dalszej zwłoki szli na południe. Niemal pełne trzy tygodnie przedzierali się przez, twarde, suchy skrob, kłujący jak kolce cierni. Oprócz głodu i pragnienia zaczęła dręczyć ich niepewność, czy obrany przez nich kierunek, jest właściwy. Mimo największego wysiłku, na jaki zdobywali się w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, posuwali się zaledwie od trzech do pięciu kilometrów na dobę, poświęcając na odpoczynek jedynie kilka godzin w czasie upalnego dnia. Konieczność wyrąbywania drogi przez gąszcz wyczerpywała już i tak bardzo nadwątlone siły podróżników. Kolczaste krzewy boleśnie raniły ciała, niszczyły odzież. Rany nie chciały się goić, z ubrań pozostały tylko strzępy.

Dwudziestego czwartego dnia marszu z trudem już mogli torować sobie drogę. Niskie krzewy nie dawały cienia, a spieczona przez słońce, spękana ziemia tworzyła niezliczoną ilość pułapek dla utrudzonych nóg wędrowców. Członkowie wyprawy byli tak osłabieni, że niektórzy z nich prosili, aby pozostawiono ich własnemu losowi. Strzelecki zmuszał wszystkich do największego wysiłku, twierdząc, że skrob skończy się wkrótce.

Rankiem dwudziestego szóstego dnia marszu jeden z krajowców zatrzymał się nagle. Wyciągnął swą wychudzoną szyję, otwartymi szeroko ustami zaczął wdychać suche, palące powietrze. Strzelecki chwycił go pod ramiona. Wydawało mu się, że krajowiec jest już w agonii, lecz wtedy usłyszał szept:

„Wdychaj, mocno wdychaj...”

Ku swej wielkiej radości Strzelecki stwierdził, że gorący i suchy dotąd wiatr zawiera teraz więcej wilgoci. Zbliżali się do wybrzeża. Zabójczy skrob kończył się. Natychmiast poinformował o tym towarzyszy. Pokrzepieni nadzieją znów ruszyli na południe.

Skrob stawał się rzadszy, lecz byli zbyt wyczerpani, aby przyspieszyć kroku. Gdy nadeszła noc, położyli się na spieczonej żarem ziemi. Głód i pragnienie nie pozwoliły im zasnąć. Leżeli obok siebie w grobowej ciszy pustkowia, wpatrując się zamglonym wzrokiem w gwiazdy błyszczące na niebie. Wówczas, po raz pierwszy od kilku tygodni, usłyszeli wycie dingo...

Bentley przerwał opowiadanie. W tej chwili na stepie, w pobliżu ogrodzenia pastwiska, rozległ się dziwny głos, który brzmiał jak skarga upiora. Niskie początkowo tony stawały się coraz wyższe, aż w końcu przeszły w przeraźliwe skowyczenie. Łowcy drgnęli mimo woli, a Tomek przestraszony chwycił Bentleya za ramię.

– Co to? – wyszeptał. – Co to może być?

– Dingo nadchodzą – cicho odparł Tony.

– Tak, to głos dingo – potwierdził Clark.

– Ależ to realistyczne zakończenie wspaniałej opowieści! – szepnęła Smuga.

– Niech pan powie jeszcze, co się stało z wyprawą Strzeleckiego – poprosił Wilmowski.

Bentley półgłosem kończył opowiadanie:

– Dzikie psy przebywają tam, gdzie można, znaleźć coś do zjedzenia. Głos dingo oznajmił więc podróżnikom, że zbliżają się do krańca morderczego skrobu. Tak też było w rzeczywistości. Wkrótce dotarli szczęśliwie, jakkolwiek bardzo wyczerpani, do Port Phillip.

– Setny chłop był z tego Strzeleckiego. Z takim można by nawet pójść do piekła – z uznaniem powiedział bosman Nowicki. – Gdy usłyszałem nieoczekiwane to piekielne wycie, mrowie przeszło po moim grzbiecie. Do licha z takim krajem, w którym dzikie psy wyją po nocach jak upiory!

Przeciągły skowyt rozległ się znacznie bliżej. Jak echo odpowiedziały mu dalsze głosy.

Na pastwisku zapanował ożywiony ruch. Owce zaczęły się zbijać w zwarte gromady. Tupot racic mieszał się z bekiem przestraszonych zwierząt. Krótki, urywany skowyt rozbrzmiewał tuż przy ogrodzeniu.

– Rozzuchwaliły się bestie – mruknął Clark. – Od dawna należy się im solidna porcja ołowiu...

– Chyba jest ich więcej niż jeden – szepnęła Tomek.

– Wydaje mi się, że trzy lub cztery dingo przebywają w tej chwili w pobliżu pastwiska – odparł Smuga, wsłuchując się w skupieniu w głosy rozbrzmiewające na stepie.

Przerwali rozmowę. Rozległ się trzask łamanych gałęzi. Pobliska kępa krzewów zapadła się w dół. Niemal jednocześnie rozległo się skowyczenie dingo wewnątrz ogrodzenia. O kilkadziesiąt metrów od łowców zakotłowało się na pastwisku. Ciemna masa owiec zafalowała w ucieczce.

– Przeklęte dingo! Przedarły się do stada! – zawołał Clark. – Pan Wilmowski i Tomek niech pozostaną tutaj, a my biegnijmy na odsiecz!

Clark, Lorenc, Smuga i Tony chwycili broń. Pobiegli wzdłuż ogrodzenia, aby odciąć odwrót grasującemu na pastwisku dingo.

– Tomku, na wszelki wypadek przygotuj sztucer – polecił Wilmowski repetując karabin. – Dzikie psy przedostały się na pastwisko.

– Wydaje mi się, że do naszego dołu również wpadł jakiś dingo – dodał Tomek.

– Prawdopodobnie, chociaż zachowuje się zupełnie cicho – potaknął Wilmowski.

W odległości kilkudziesięciu metrów huknęły strzały. Powstało nieopisane zamieszanie. Owce rozbiegły się we wszystkich kierunkach, uciekając jak najdalej od ogrodzenia, a łowcy strzelali bez przerwy.

– Uważaj! – krzyknął Wilmowski.

Zanim Tomek zorientował się w sytuacji, jego ojciec strzelił trzykrotnie w kierunku cienia pomykającego tuż przy ogrodzeniu. Inny ciemny kształt przemknął o kilka metrów od nich. Wilmowski strzelił jeszcze raz.

– Trafiony! – cieszył się Tomek.

– Na pewno mylisz się, lecz dingo chyba wpadł do pułapki – stwierdził Wilmowski.

– Zabiłeś go? – pytał Smuga, nadbiegając na czele grupki mężczyzn.

– Wcale nie miałem tego zamiaru – odrzekł Wilmowski. – Dingo wystraszony biegł tuż przy ogrodzeniu prosto na naszą pułapkę. Strzelałem jedynie na postrach, aby go zdezorientować. Jeżeli się nie mylę, wpadł do dołu.

– Zaraz sprawdzimy – powiedział Lorenc.

Pobiegł do szałas. Wrócił po chwili z ręczną latarnią. Zapalił ją; wszyscy zbliżyli się do zapadni trzymając broń w pogotowiu. Lorenc wysunął rękę z latarnią poza krawędź dołu. Wśród połamanych gałęzi resztek rusztowania błyszcząły dwie pary ślepi.

– Są! Są, aż dwa na raz! – zawołał Tomek.

Chwyci! ojca za rękę i pochylony nad pułapką ciekawie przyglądał się dzikim psom. Dingo oślepione światłem latarni wcisnęły się pod gałęzie leżące na dnie dołu. Po chwili duży, płowy łeb wychynął z zieleni. Para żółtych ślepi błysnęła złowrogo. W nocnej ciszy rozbrzmiało przeciągłe wycie... Tomek mimo woli cofnął się za ojca.

„Brr! Nie chciałbym spotkać się z nim w stepie” pomyślał.

Noc minęła już bez dalszych niespodzianek. Z nastaniem dnia sprawdzono resztę zapadni. Na jednej z nich znaleziono zniszczone częściowo rusztowanie, lecz dół był pusty. Łowcy starannie zbadali ślady pozostawione wokół i stwierdzili, że przebiegły drapieżnik zdołał ominąć zamaskowaną zapadnię i przedostał się na pastwisko, a potem dopiero, zupełnie przypadkowo, wpadł w inną pułapkę, w której już siedział uprzednio złowiony dingo.

Rano łowcy przywieźli z farmy skrzynie, aby uwięzić w nich schwyte psy. Na widok ludzi dingo rzuciły się gniewnie i jeszcze bardziej plątały sieć.

Tomek nie mógł nadziwić się, że cała praca poszła tak sprawnie. Najpierw wydobyli sieć z omotanymi nią drapieżnikami. Potem Wilmowski ostrożnie rozchylił rzemienie, wtedy Smuga błyskawicznie opasał arkanem pysk szczerzący kły. Pętla zacisnęła się na grubej szyi psa. Mimo gwałtownego oporu wpakowano go do klatki. Potem wystarczyło zluźnić sznur, aby oszołomione zwierzę strząsnęło go z siebie. Taki sam los spotkał jego towarzysza niedoli.

Także przez następne dwie noce ponawiano łowy na dzikie psy. Schwymano tylko jeszcze jednego dingo. Większa ich liczba krążyła ostrożnie poza ogrodzeniem, niepokojąc owce. Na prośbę Clarka postanowili urządzić obławę. Według jego zdania pojawienie się tylu dingo w pobliżu pastwiska oznaczało, że okres dużej posuchy zbliżał się wielkimi krokami.

Kangury odbiegały w okolice lepiej nawodnione, zgłodniałe psy poszukiwały łatwego żeru na pastwiskach owiec. Clark radził jak najszybciej urządzić łowy na strusie emu, zanim i one oddalą się na inne tereny.

Wilmowski pragnął odwdzińczyć się Clarkowi za gościnne przyjęcie. Ściągnął więc na pastwisko na polowanie większość swych ludzi. W ciągu jednej nocy, łowcy przyczajeni na stepie zabili cztery dzikie psy. Następnego dnia rozpoczęli gorączkowe przygotowania do polowania na emu.

W BURZY PIASKOWEJ

Bosman Nowicki wyszedł przed dom i zaczął rozglądać się po obejściu farmy. Po pewnej chwili spostrzegł Tomka przypatrującego się umieszczonym w klatkach dingo. Szybko podszedł do chłopca i powiedział:

– Słuchaj no, brachu! Nasze całe towarzystwo przygotowuje się do łowów na emu. Niezbyt mi pachnie to polowanie, ponieważ Clark będzie tam grał pierwsze skrzypce. Ciebie też chyba nie zabiorą. Clark ma tylko pięć szkap wytresowanych do tego rodzaju łowów. Przeznaczają je na pewno dla Clarka i jego dwóch pracowników oraz, twego ojca i Smugi. Co będziemy robili wobec tego?

– Możemy spróbować oswoić dingo. Bardzo chciałbym mieć takiego psa – zaproponował Tomek.

– Cała gra niewarta świeczki – odparł bosman niechętnie. – Słyszałem, jak Bentley mówił, że krajowcy oswajają tylko szczeniaki, które i tak są potem do niczego. Podobno trzeba je krzyżować z domowymi psami, aby mieć pociechę z ich potomstwa.

– Hm, szkoda! Cóż więc będziemy teraz robili?

– A co rzekłbyś, brachu, na to, gdybyśmy tak na własną rękę wybrali się na emu?

– Czy tylko my dwaj? – zapytał Tomek zaintrygowany propozycją.

– Dwóch, a dobrych, bracie, starczy czasem za setkę. Zmajstrujemy sobie lassa kubek w kubek podobne do tych, jakie zrobił Bentley i jeszcze raz spróbujemy szczęścia.

– Jak sporządza się takie lasso?

– Jest to zwykły długi drąg ze sznurową pętlą na końcu, którą zarzuca się emu na szyję. No, co myślisz o tym?

– Świetna myśl! Zrobimy wszystkim nie lada niespodziankę, jeśli szczęście nam dopisze.

Zaraz też, nie mówiąc o tym nikomu, zrobili sobie dwa lassa i przygotowali mały zapas żywności. Po wyjeździe wyznaczonej grupy na łowy natychmiast osiodłali swoje konie. Nim słońce zaszło, byli już daleko na stepie.

W doskonałym nastroju jechali niemal całą noc, aby jak najbardziej oddalić się od obozu, gdzie obecnie przebywali ich towarzysze. Tomek nie powiadomił ojca o zamierzonej wyprawie. Uważał to za zbyt bezpieczne, przecież przed odjazdem z farmy ojciec polecił go opiece bosmana.

W miarę jak upływał czas na bezskutecznych poszukiwaniach emu, humory obydwóch przyjaciół zaczęły się pogarszać.

– Jakże mocno grzeje słońce – zagadnął Tomek, rozglądając się po stepie. – Nawet kangury nie pokazują się w taki upał.

– Tak, tak brachu! Tylko taka zasuszona mumia jak ten Bentley może zachwycać się

Australia – utyskiwał bosman. – Spękana z gorąca ziemia, pożółkła trawa, a drzewa nie umywają się nawet do naszych krzaków...

– Albo ta zupa z ogona kangura... – dodał Tomek wykrzywiając twarz. – Na pewno pan Bentley nie jadł nigdy bigosu z kapusty.

– Ani chybi zdziczał tutaj – mruknął bosman. – Co też się dzieje z ludźmi w dalekich krajach!

– Strasznie tu nudno! Siodło mnie już parzy z gorąca – narzekał Tomek.

– Zwińmy lepiej żagle i wróćmy do obozu – zaproponował bosman. – Emu mają za wiele oleju w łepetynach, aby włóczyć się po tym suchym jak pieprz stepie.

– To już nie będziemy łowili emu? – zmartwił się Tomek. – Warto by jednak wypróbować nasze lassa.

– Ha, ostatecznie możemy tu przenocować, ale jeżeli rano nie zobaczymy strusich ogonów, to „para w tył” i wracamy do obozu – po dłuższej chwili oświadczył marynarz.

Na nocleg zatrzymali się przy małej kępie akacjowych drzew. Naścinali suchej trawy, aby urządzić sobie miękkie posłania. Zjedli puszkę konserw i kilka sucharów, popijając herbatą, której zabrali po dwie pełne manierki dla każdego. Wierzchowcom wydzielili skąpe porcje wody ze skórzanego wora, po czym przywiązali je na noc do drzewka, wokół którego mogły skubać trawę.

Rankiem następnego dnia zaledwie siedli na konie, bosman Nowicki zawołał wesoło:

– Jestem wielorybem, jeśli to nie szanowne emu paradują przed nami. Spójrz tylko!

– Emu, to naprawdę są emu! – ucieszył się Tomek. – Widzę dwie pary!

– Najmądrzej byłoby pognać je na południe do naszego wąwozu pułapki – powiedział bosman.

– One zupełnie nie zwracają na nas uwagi – stwierdził Tomek obserwując strusie.

– Spróbujmy je okrążyć – zaproponował marynarz. – Nigdy nie można przewidzieć, co zrobi takie głupie ptaszysko.

Pognali konie.

– Słyszałem, że w obliczu niebezpieczeństwa strusie zazwyczaj chowają głowę w piasek. Może i te tak uczynią. A w jaki sposób wówczas zarzucimy im pętlę na szyję? – kłopotał się Tomek.

– Zapomniałeś braciszku, że tu nie ma piachu – pocieszył go bosman.

– To prawda, ale mogą pochować głowy w trawę, co na jedno wychodzi.

Przez jakiś czas jechali galopem. Wysokie około dwóch metrów ptaki wyciągały swe długie szyje i wystawiwszy małe, upierzone na czubku głowy, spoglądały na zbliżających się jeźdźców. Obydwaj łowcy przygotowali lassa. Zaledwie jednak przybliżyli się do strusi na kilkadziesiąt metrów, ptaki z pośpiechem ruszyły na północ.

– Szkoda, że nie zabraliśmy soli! – zawołał bosman.

– Do czego przydałaby się nam sól? – mruknął Tomek pochylając się na szyję pony.

– Moglibyśmy posypać ją emu na ogony! – roześmiał się marynarz. – Popatrz, jak uciekają!

Strusie z wyciągniętymi szyjami biegły w kierunku północnym. Odległość między nimi a łowcami zwiększała się z każdą chwilą.

– Jedźmy jeszcze za nimi, może się w końcu zmęczą – zachęcał Tomek. – Przecież pan Clark mówił, że emu umykają szybko jedynie na początku pościgu.

– Tak, tak, a potem biegną niezgrabnie i ociężale jak kaczki. Wystarczy bat i dobry koń – ironizował bosman. – Nie dogonimy ich na tych szkapach!

– Mamy przecież dużo czasu, warto więc próbować, może uda nam się je doścignąć – prosił Tomek.

Około dwóch godzin pędzili za emu, które oglądając się na łowców, umykały na północ.

– Chyba zawrócimy – odezwał się Tomek zniechęconym głosem. Zmęczony jestem. Robi się coraz goręcej.

– Grzeje jak w parówce – przyznał bosman – ale i ptaszyskom musiały już spocić się grzbiety? Widzisz? Jeden z nich pozostaje nieco w tyle.

– Nareszcie, nareszcie! – triumfował Tomek. – To na pewno samiec. Pan Bentley mówił mi, że samce są mniej wytrzymałe. Jedźmy szybciej!

Uderzył pony piętami po bokach, lecz kuc wstrząsnął tylko gniewnie grzywą. Bosman śmignął arkanem, zmusił swego konia do przyspieszenia biegu. Pony podążył za nim. Udało im się nieco przybliżyć do emu. Ptaki spostrzegły, że prześladowcy są już blisko, w panice znów pognały przed siebie.

– Głupie ptaszyska! Wolą uganiać się po stepie, dopóki Clark nie zatłucze ich batem, niż dać złapać się przyzwoitym warszawiakom – rozgniewał się bosman. – Skoro jednak my, jadąc na koniach, odczuwamy tak wielkie zmęczenie, to i z nimi nie musi być najlepiej.

Emu usiłowały zboczyć na wschód. Jeźdźcy z łatwością zagrodzili im drogę, pobiegły więc dalej na północ.

– Uf, jak gorąco! – sapał Tomek.

– Bo też grzeje coraz lepiej! – dodał bosman.

– Hm, nie jest to zbyt dziwne. Przecież zbliżamy się do równika.

– Co też ty pleciesz, brachu? – zniecierpliwił się bosman. – Ten gorący wiatr wali na nas z zachodu.

– To znaczy, że wieje z wnętrza kontynentu.

– Teraz trafieś w sedno rzeczy – pochwalił marynarz. – Żar bucha, jakby z rozpalonego pieca. Nawet koniom się to nie podoba. Już niemal ustają.

– Emu zatrzymały się! – krzyknął Tomek. – Teraz schwytamy je na pewno!

– Coś mi to wszystko kiepsko pachnie – zafrasował się bosman. – Patrz, brachu, powietrze drga z gorąca!

– Tak jakoś dziwnie się zrobiło. Spróbujemy jeszcze zbliżyć się do emu. One nie mogą już chyba uciekać zbyt długo.

Konie przynaglone ruszyły szybciej, lecz w tej chwili gorący wiatr przybrał na sile. Na zachodnim widnokregu ukazał się czerwony obłok. Odległość między jeźdźcami i strusiami zmniejszyła się do kilkunastu metrów.

– Złapiemy je! – cieszył się Tomek.

Emu, jakby wstąpiły w nie nowe siły, ruszyły nagle w kierunku bliskich już wzgórz. Po kilku minutach pozostawiły zdumionych łowców daleko za sobą.

– Wystrychnęły nas na dudków – powiedział gniewnie bosman. – Nigdy ich nie złapiemy. Czy wiesz, co to wszystko znaczy? Te, niby głupie, ptaszyska uciekają po prostu przed nadciągającą burzą piaskową.

Bosman nie mylił się. Od zachodu nadchodziła gęsta mgła. Olbrzymim półksiężycem szybko zbliżała się do jeźdźców. To gorący wiatr gnał z głębi lądu całe chmury drobniutkiego, czerwonego pyłu. Zaledwie burza piaskowa dopadła obojwóch niefortunnych łowców, natychmiast pojęli grozę swego położenia. Drobny pył oślepił wierzchowce, zasypywał jeźdźcom oczy, wdzierał się do nosów, uszu, przenikał przez ubranie do ciała. Konie zaczęły chrapać z przerażenia i wysiłku. Czerwone chmury pyłu zasnuły całe niebo. Mrok spowił step, stało się naraz bardzo duszno. Teraz gwałtowny wichur uderzył w konie i jeźdźców.

– Uciekajmy za emu, jeśli mamy wyjść stąd cało! – krzyknął bosman i pochylając się na szyję konia, uderzył go mocno arkanem.

Było to wszakże niepotrzebne. Konie, jakby zrozumiały ogrom niebezpieczeństwa, rzuciły się pędem w kierunku wzgórz, wśród których zniknęły szybkonogie emu.

Bosmana ogarnął straszny niepokój. Na morzu czuł się, jak u siebie w domu. Wiedział, co należy czynić w czasie sztormu, potrafił walczyć z cyklonami i tajfunami, lecz nie orientował się zupełnie, w jaki sposób uchronić siebie i chłopca przed straszliwym pyłem niesionym przez wiatr z Centralnej Australii.

Tymczasem konie z wielkim trudem zbliżały się do wzgórz. Gryzący pył wirował w powietrzu, zmuszał ludzi i zwierzęta do zamykania powiek, toteż wierzchowce potykały się co chwila na twardej, popękanej z gorąca ziemi. W końcu jednak bieg koni stał się równiejszy i szybszy. Bosman otworzył oczy. Ku swej radości stwierdził, że znajduje się już w małym parowie, który osłaniał ich trochę przed natarczywym pyłem niesionym przez wiatr. Zaraz pocieszył swego towarzysza:

– No, brachu, głowa do góry! Chyba przycupniemy tu gdzieś pod skałą i przeczekamy burzę. Że też nie ma z nami twego ojca lub choćby Bentleya. Oni wiedzieliby przynajmniej, jak trzeba zachować się w takiej sytuacji.

– A pan Smuga? – zapytał Tomek drżącym głosem, dotykając dłonią obolałych oczu.

– A co chcesz od pana Smugi? – zniecierpliwił się bosman.

– Chciałem jedynie zapytać, czy pan Smuga również wiedziałby, co należy teraz uczynić.

– Och, ten na pewno zwąchałby od razu, co w trawie piszczy – odparł bosman markotnym tonem.

– A pan nie wiedział?

– Ano, bracie, co tu wiele gadać! Nie wiedziałem! Najlepiej chyba zrobimy, jeśli przeczekamy burzę w tym parowie.

– Oczywiście, że musimy przeczekać tutaj burzę – przytaknął Tomek. – Słyszałem, że na Saharze burze piaskowe zasypują niekiedy całe karawany. Najlepiej byłoby znaleźć jakąś pieczarę. Mam wszędzie pełno pyłu. Tak gorąco i duszno. To prawdopodobnie tutaj Sturt ginął z pragnienia i upału.

Bosman przerwał wycieranie oczu chusteczką i zapytał z niepokojem:

– Co to był za jegomość ten Sturt?

– To jeden z odkrywców australijskich. Opowiedział mi o nim pan Bentley. Sturt nie mógł się nawet uczesać, gdyż rogowe grzebienie popekały z gorąca. Na szczęście ja mam blaszany grzebyk!

– A co się stało z tym podróżnikiem?

– Groziła mu ślepotą i umarł później wskutek dużego wyczerpania – wyjaśnił Tomek.

– Tfu, do licha! Ładna mi pociecha!

– Szkoda, że nasz sławny podróżnik już nie żyje – ciągnął chłopiec. – Ten na pewno potrafiłby doprowadzić nas bezpiecznie do obozu.

– Kogo znów tam wymyśliłeś?

– Mówię o Pawle Strzeleckim.

– Nie wspominaj teraz wszystkich umarłaków – rozgniewał się trochę przesądny marynarz. – Możesz tym ściągnąć na nas nieszczęście.

– Nie ma obawy, nic się nam nie stanie!

– Takiś tego pewny?

– Czy zapomniał pan o tym wróżbicie z Port Saidu? Nie ostrzegał mnie przed burzą piaskową, więc nic nam się nie stanie. Jestem tylko ciekaw, co miał na myśli mówiąc, że znajdę to, czego inni będą szukali bezskutecznie?

– Trochę sprawdziła się ta wróżba – wtrącił bosman z uśmiechem. – Prorokował ci jednego przyjaciela, a masz już aż trzech.

– To prawda! Widzę, że pan pamięta wróżbę. Według niej, ten przyjaciel miał nigdy nie wypowiedzieć ani słowa. Gdyby pan teraz wskutek burzy piaskowej stracił głos, wróżba sprawdziłaby się całkowicie.

– Sen mara, Bóg wiara, brachu. Pamiętam tylko dobre wróżby, a w złe nie wierzę – odparł bosman siląc się na wesołość, jakkolwiek zupełnie nie był zachwycony pomysłem swego towarzysza.

Rozmawiając rozglądał się po wąskim parowie w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. Dojrzał wreszcie głęboką wnękę w stromej ścianie.

– Tutaj zarzucimy kotwicę i przeczekamy burzę piaskową – powiedział, zatrzymując zdrożonego konia.

Szybko rozkulbaczyli wierzchowce i przywiązali je arkanami do rosnących tu krzewów. Po chwili, rozebrani niemal do naga, siedzieli na gorącej ziemi, przytulając się do skały, która chroniła znośnie od gorącego wichru i gryzącego pyłu. Olbrzymi upał oraz zmęczenie gonitwą za emu sprawiły, że Tomek usnął wkrótce z głową opartą na siodle. Teraz przynajmniej pocziwy bosman Nowicki nie musiał ukrywać swego niepokoju. Wytarł starannie chustką obolałe oczy, po czym owinął koszulą własny karabin i broń Tomka, aby zabezpieczyć je w ten sposób przed wszędzie wdzierającym się czerwonym płynem. Po dokonaniu tego legł na rozgrzanej ziemi. Zaczął rozmyślać o nieprzyjemnej sytuacji, w jakiej znalazł się razem z chłopcem, powierzonym jego opiece.

Czas mijał. Chmury pyłu niesione przez gorący wiatr rozsnuwały nad stepem szarość, która powoli przeszła w zupełną ciemność. Ledwo widoczne gwiazdy wydawały się mdłymi ognikami.

Następny dzień nie przyniósł zmiany. Bosman rozdzielił resztkę wody między spragnione wierzchowce. Uspokoilo je to na pewien czas. Ułożyły się na ziemi przy ścianie parowu, chroniąc głowy przed natarczywym pyłem. Łowców również dręczyło pragnienie.

Manierki Tomka były już dawno opróżnione, a bosman miał w swojej zaledwie szklanekę herbaty z rumem. Od czasu do czasu nakłaniał chłopca do wypicia kilku kropel, lecz sam nie zaglądał do niej już od wielu godzin.

Tomek okazał się dobrym towarzyszem w złej przygodzie. Sam rozdzielał resztki prowiantów, nie narzekał na, głód ani pragnienie i nie zgadzał się, aby opiekun odstępował mu własne mikroskopijne racje.

– Zawarliśmy przyjaźń i nie zgodzę się na to, aby pan cierpiał głód oraz pragnienie przeze mnie – mówił z powagą. – Ja nawet mogę jeść mniej niż pan, gdyż jestem o wiele mniejszy.

Znów nastąpiła męcząca, parna noc. Obydwaj przyjaciele długo nie mogli zasnąć. Konie coraz więcej dręczone pragnieniem zachowywały się bardzo niespokojnie. Leżeli więc,

rozmyślając, ile to zamieszania musiała spowodować ich niefortunna wycieczka. Obydwaj byli przekonani, że burza piaskowa zmusiła również i Wilmowskiego do przerywania polowania. Do tej pory z pewnością powiadomiono go już o ich nieobecności na farmie. Nie ulegało wątpliwości, że natychmiast zarządził poszukiwania. Przygnębieni smutnymi myślami zapadli w końcu w niespokojną drzemkę.

Kwik koni i tupot kopyt wyrwały ich ze snu. W tej chwili rozległo się przeciągłe skowyczenie. Łowcy natychmiast porwali się z ziemi.

– Dingo! Przekłete dingo! – krzyknął bosman chwytając za karabin. Zanim zdążyli odwinąć zabezpieczoną przez bosmana broń, w parowie rozegrała się krótka, gwałtowna walka. Konie przerażone napaścią zgłodniałego dingo wyrwały z ziemi krzewy, do których przywiązano je arkanami. W chwili gdy bosman i Tomek podbiegli do nich, zaczęły uciekać w panice. Naraz silna błyskawica rozdarła czarne sklepienie nieba. Bosman ujrzał długi cień sunący za końmi. Szybko przyłożył karabin do ramienia i strzelił. Przeciągłe skowyczenie odbiło się echem o skalne ściany.

– Trafiony! Trafiony! – krzyknął Tomek.

Pobiegli w kierunku wyjącego dingo. Bosman natychmiast dobił go następnym strzałem. Udali się zaraz na poszukiwanie koni. Po półgodzinie uciążliwej wędrówki znaleźli się u wylotu parowu na step. Gorący wiatr ze zdwojoną siłą sypnął im w twarz pyłem. Nawet w świetle błyskawic nigdzie nie mogli dostrzec wierzchowców.

– Wracajmy do parowu – odezwał się bosman chrapliwym głosem. – Nic tu po nas, szkap i tak teraz nie znajdziemy, a te błyskawice nie pachną niczym dobrym.

W milczeniu powrócili do parowu. Strata koni bardzo przygnębiła bosmana. Około dwóch dni jazdy dzieliło ich od obozu. W jaki sposób zdołają powrócić tam bez koni, pożywienia i wody? Co się stanie z chłopcem? Przecież jego siły zostały nadwątlone ostatnimi przeżyciami. Obydwaj nie wytrzymają pragnienia, nawet gdyby burza piaskowa wkrótce ustała. Zmartwił się więc bosman niezmiernie, nie wiedząc, w jaki sposób mógłby pocieszyć swego młodego towarzysza.

Tomek wszakże nie oczekiwał pocieszenia. W czasie, gdy bosman zastanawiał się nad możliwością podtrzymania go na duchu, sam postanowił dodać odwagi swemu opiekunowi. Wkrótce też pierwszy przerwał milczenie mówiąc:

– Mam doskonały pomysł. Zamiast martwić się ucieczką koni, bawmy się w Strzeleckiego.

– A tobie, co się stało, braciszku? – zaniepokoił się bosman, ponieważ pomyślał, że chłopiec bredzi w gorączce.

– Nic mi się nie stało – odparł Tomek. – Jeżeli zajmiemy się czymkolwiek, to przestaniemy myśleć o naszym położeniu.

– Jak tu o tym nie myśleć! – westchnął bosman.

– Można, można, tylko trzeba chcieć – stanowczo powiedział Tomek. – Bawmy się w

Strzeleckiego!

– Co to ma być za zabawa? – zapytał bosman, aby w tej ciężkiej chwili nie pozbawiać chłopca przyjemności.

– Ja będę Strzeleckim, a pan dziadkiem pana Bentleya. Jesteśmy teraz w gęstym skrobie, jak to opowiadał pan Bentley. Zabiliśmy konie, aby nie męczyły się z powodu pragnienia.

– Dobra, mój panie Strzelecki. Szkapy już zarżnięte i co dalej?

– Przeczekamy burzę, a potem ruszymy na południe do Port Phillip. Obóz będzie naszym Port Phillip.

– A czy dojdziemy tam bez wody i na głodnego? – smutno zapytał bosman.

– Bardzo dobrze, że nie mamy wody. Musimy męczyć się z pragnienia i głodu. Inaczej cała zabawa na nic. Wyrzucę nawet zaraz ostatnią, małą puszkę konserw, żebyśmy nie mieli żadnej pokusy. Jak głód, to głód!

– Nie tak ostro, brachu! – energicznie zaproponował bosman. – Bawmy się, ale bez tego wyrzucania puszek!

– Ostatecznie niech puszka zostanie. Teraz kładźmy się spać. Może prędzej doczekamy się końca burzy piaskowej – zaproponował Tomek.

– Dobra nasza! Kto śpi, ten nie myśli i sił nabiera – pochwalił bosman, uradowany dobrym samopoczuciem chłopca.

Ułożyli głowy na siodłach. Przymknęli obolałe oczy. Marynarz cieszył się, że jego młody przyjaciel nie zdaje sobie sprawy z grozy położenia, a tymczasem Tomek, kryjąc twarz przed przyjacielem, w milczeniu połykał łzy. Bał się okropnej śmierci z pragnienia i głodu. Rozmyślał ze smutkiem o ojcu, który na pewno wyruszył już na poszukiwania mimo burzy piaskowej.

„Gdy tylko ustanie ten gorący wiatr, pieszo pójdziemy do obozu – postanowił w myśli. – Och, żeby tutaj znajdował się ojciec lub pan Smuga!”

W końcu zmęczenie wzięło w nim górę nad smutnymi myślami. Sen skleił mu powieki, ale nawet wtedy nie zaznał spokoju. Przyśniła mu się straszna burza na morzu. Oślepiające błyskawice rozdzierały niebo, biły pioruny... „Aligator” zniknął co chwila pod olbrzymimi falami przelewającymi się przez pokład. Tomek stał na pomoście. Wydawał rozkazy przerażonej załodze. W pewnej chwili potężna fala przewaliła się przez pokład i pograżyła go w odmętach morskich. Chciał wołać o ratunek, lecz woda zalewała mu usta...

Zbudziło go silne szarpnięcie za ramię. Straszny sen pierzchnął natychmiast. Szum fal nie ustawał. Nawet siodło zastępujące poduszkę było mokre, a po twarzy Tomka spływała woda.

„Boże, oszalałem z pragnienia!” pomyślał przerażony.

Naraz usłyszał podniesiony głos bosmana:

– Wstawaj, brachu! To przeklęty kraj! Dopiero co języki zasychały z pragnienia, a teraz grozi nam utonięcie. Jesteśmy w korycie jakiejś wyschniętej rzeki. Wiejmy stąd, jeśli nie chcemy utopić się jak szczury!

Tomek otrząsnął się z resztek snu. Więc to woda szumiała naprawdę! Mają nawet całą rzekę wody. Nie było czasu na zbędne słowa; bosman wcisnął mu w rękę sztucer i swój karabin.

– Zabieraj pukawki! Ja wezmę siodła! – krzyknął. – Wiejmy stąd czym prędzej! Słyszysz, jak woda wali parowem?

Tomek porwał swe ubranie. Natychmiast ruszył za obładowanym siodłami bosmanem.

Woda chlupotała pod ich stopami. Strumienie deszczu przyjemnie oblewały rozpalone ciała. Niebezpieczeństwo powiększało się z każdą chwilą, ponieważ stan wody wzrastał z zastraszającą szybkością.

– A niech to...! – zaklął bosman przekrzykując szum wody. – Nie zdążymy wydostać się z parowu!

– Spróbujmy może wspiąć się na wzgórze – doradził Tomek.

Ściany parowu były bardzo strome, a ciemność nie pozwalała na wyszukanie odpowiedniego miejsca. Woda sięgała już Tomkowi do pasa. W końcu bosman znalazł łagodniejszy stok. Najpierw pomógł Tomkowi wspiąć się na bezpieczne miejsce, a potem pomyślał o sobie. Teraz rzucił siodła na ziemię. Usiadłszy przy Tomku, zapytał:

– No i co, panie Strzelecki? Rozsycharaliśmy się bez wody, jak stare beczki, a teraz omal nie utonęliśmy w rzece.

– To prawda, w Australii nie można nawet bawić się bez przeszkód. Wszystko dzieje się na odwrót. Kto to mówił, że tutaj nie ma wody pod dostatkiem? – mruknął Tomek. – Dziwny to kraj... Na wszelki wypadek niech pan lepiej nie nazywa mnie więcej imieniem zmarłego podróżnika.

Przesądny bosman umilkł natychmiast. Grozę położenia pogłębiały błyskawice rozdierające czarne chmury. Głuche grzmoty przetaczały się po stepie. Deszcz lat bez przerwy strumieniami. Gorący północno-zachodni wiatr zmagął się z nawałnicą nadciągającą z południa.

Niefortunni łowcy byli początkowo uradowani ulewą. Strugi deszczu przynosiły ochłodę, pozwalały ugasić pragnienie. Wkrótce jednak bryzgający potokami wody, silny wiatr stawał się trudny do wytrzymania. Należało poszukać odpowiedniejszego schronienia.

Po omacku ruszyli przed siebie, ślizgali się po nagle rozmięklej ziemi, przewracali, aż w końcu przycupnęli za dużym głazem, który chociaż trochę osłaniał od bezpośrednich uderzeń nawałnicy. Burza z błyskawicami i grzmotami trwała aż do rana. Tuż przed wschodem słońca zapanowała chwila ciszy. Tomek i bosman z uczuciem ulgi powitali olbrzymie, palące słońce, które wyłoniło się z horyzontu.

IDŹCIE STAŁ PRECZ NATYCHMIAST

Po pełnej niespodzianek nocy nastął gorący, słoneczny dzień. Obydwaj wyczerpani z sił łowcy odbyli walną naradę. Przede wszystkim postanowili zaniechać wszelkich poszukiwań zbiegłych wierzchowców. Nie mogli przecież przewidzieć, co się z nimi stało. Może pożarły je na stepie żarłoczne dzikie dingo, a może też konie same powróciły do obozu? W ostatnim przypadku mogliby spodziewać się pomocy od przyjaciół, którzy na pewno natychmiast rozpoczęliby poszukiwania zaginionych towarzyszy.

– Tak czy inaczej, na razie musimy liczyć tylko na siebie – mówił bosman. – Najlepiej zjedzmy teraz tę ostatnią puszkę konserw, a potem, przed wyruszeniem w drogę, kimnijmy się nieco, by mieć siły do dalszego marszu.

– Myślę, że musimy tak uczynić, jak pan mówi – zgodził się Tomek. – Rozłóżmy ubrania na słońcu, aby wyschły podczas naszego odpoczynku. Strasznie jestem śpiący i zmęczony...

Ułożyli się do snu w cieniu skalnego załomu. Zbudzili się jeszcze przed południem. Chociaż słońce prażyło niemiłosiernie, zaraz przygotowali się do drogi. Bosman związał obydwa siodła arkanem i zarzucił je sobie na plecy, Tomek natomiast podjął się nieść broń. Tak obładowani wyszli z parowu na step. Bez chwili wahania udali się wzdłuż łańcucha pagórków na południe.

Wędrowali kilka godzin niemal nie odpoczywając. Nie napotkali śladu swych koni ani też jakichkolwiek dzikich zwierząt. Jak okiem sięgnąć, leżał przed nimi pożółkły step, a na niebie przesunęło się coraz bardziej ku zachodowi palące słońce. Zgłodniali Tomek i bosman odczuwali zmęczenie. Z trudem powłóczyli nogami, potykali się o kępy trawy bądź zapadali w wykroty, aż w końcu bosman rzucił siodła na ziemię i przysiadłszy na nich wysapał:

– Musimy odpocząć! Spocilem się drałując w tym upale.

– Chyba nie zaczęli jeszcze nas szukać – markotnie powiedział Tomek, siadając obok niego. – Nogi mam pokaleczone przez ostrą trawę, a tu nic nie widać tylko step i step.

– Kiszki marsza grają z głodu, to i sił nie ma – odparł bosman – Poza tym kochane słońeczko znów bawi się w parówkę.

– Czy daleko jeszcze musimy wędrować?

– Według mojej kalkulacji, około półtora dnia marszu dzieli nas obecnie od obozu. Na głodnego jednak nie dojdziemy tak szybko.

– Gdzie też mogą znajdować się nasze konie? .

– Kto je tam wie! Ulewa zmyła wszelkie ślady. Cóż nam pomoże biadolenie? Odpoczniemy do zachodu słońca, a na noc ruszymy w dalszą drogę. Krzyż Południa będzie naszym drogowskazem.

– Jak to dobrze, że pan zna astronomię – pocieszył się Tomek. – Przynajmniej nie

grozi nam zabląkanie. Sam nie mógłbym odnaleźć drogi do obozu.

Bosman zaczął wyjaśniać mu zasady ustalania w nocy kierunku na podstawie obserwacji gwiazd oraz słońca w czasie dnia. Dopiero przed zmrokiem wyruszyli w drogę.

Pocziwy bosman z ciężkim westchnieniem zarzucił siodła na plecy. Z niepokojeni obserwował zmęczenie malujące się na twarzy chłopca. Wiele kilometrów dzieliło ich jeszcze od obozu. Czy zdołają przebyć tę drogę, zanim Tomek zupełnie opadnie z sił?

Znów szli na południe wzdłuż skalistego pasma wzgórz. Od czasu do czasu bosman wspinał się na wyższe wzniesienia w nadziei, że ujrzy blask ognia płonącego w jakimś obozowisku krajowców. Były to wszakże próżne wysiłki. Ciemność nocy rozjaśniały jedynie gwiazdy błyszczące na niebie. Dwukrotnie rozlegały się w pobliżu wycia dingo, lecz teraz bosman i Tomek witali je z uczuciem ulgi. Świadomość, że na tym pustkowiu znajdują się jakieś żywe istoty dodawała im odwagi.

– Jeśli dingo nie zdychają tu z głodu, to i my na pewno znajdziemy coś do jedzenia – mówił bosman. – Trzeba tylko będzie za dnia wspiąć się na jakiś wyższy pagórek i rozejrzeć po tych wertepach. Może uda się nam upolować kangura? Nawet łykowata, jak postronek, pieczeń jest lepsza niż nic.

– Taka pieczeń jest bardzo dobra, gdyż... nie można jej zjeść od razu – dodał Tomek.

Tocząc podobne rozmowy, wędrowali przez całą noc. Rankiem bosman stwierdził, że Tomek jest już u kresu sił. Był najwyższy czas, aby zdobyć pożywienie. Zaraz też zaczął rozglądać się w poszukiwaniu najdogodniejszego punktu obserwacyjnego. Wkrótce spostrzegł dość wysoki pagórek. Natychmiast ruszyli ku niemu. Zaledwie znaleźli się na szczycie, Tomek wydał okrzyk radości.

– Jesteśmy uratowani! Oto wioska krajowców! – zawołał.

– Ano, dobiliśmy jakoś do portu – ucieszył się bosman. – Na pewno najemy się tu i wypoczniemy. Rozwińmy teraz żagle na całego.

Nadzieja na szybkie zaspokojenie głodu dodawała im sił. Rażnym krokiem schodzili z pagórka do małej kotlinki, w której znajdowało się kilkanaście szałasów. Wewnątrz koliska utworzonego przez nie tliło się ognisko. Byli już w pobliżu obozowiska, gdy naraz Tomek zatrzymał się mówiąc:

– Omal nie zrobiliśmy głupstwa!

– A to niby dlaczego? – zdziwił się bosman.

– Zaraz panu wszystko wyjaśnię. Nie wolno nam wejść bezpośrednio do obozu Australijczyków, jeżeli nie chcemy ich obrazić.

– Więc co mamy zrobić? – zapytał bosman, spoglądając na Tomka.

– Wiedziałby pan, gdyby pan był z nami z wizytą u plemienia „człowieka-kangura”. Pan Bentley wyjaśniał wtedy zwyczaje tubylców. Otóż należy zatrzymać się przed obozem i oczekiwać zaproszenia.

– Słuchaj brachu, czy jesteś tego pewny?

– Tak, tak! Pamiętam wszystko dokładnie.

– Czy Bentley robił to samo? – upewniał się bosman, znając bowiem wesołe usposobienie Tomka, podejrzewał, że nawet teraz chce mu spłatać figla.

– Oczywiście! Powiedział wówczas, że nie wolno łamać zwyczajów krajowców, jeśli chce się zyskać ich przyjaźń.

To ostatecznie przekonało bosmana. Przypomniał sobie, że to Tomek przecież przełamał nieufność krajowców, którzy z początku odmówili swego udziału w polowaniu na kangury. Ponieważ sam nie miał zdolności dyplomatycznych, postanowił powierzyć Tomkowi załatwienie formalności.

– Gadaj z nimi, brachu, a ja będę miał na nich. oko, żeby nam jakiego kawału nie urządzili – zdecydował.

– Dobrze, ale co mam im powiedzieć?

– Mów, że konie nam uciekły. Poproś o jedzenie i powiedz, że chcemy odpocząć w obozie.

– Tutaj usiadzimy i zaczekamy, aż ktoś do nas wyjdzie – zaproponował Tomek, siadając na ziemi w nieznacznej odległości od obozu.

Upłynęło kilka minut. Bosman Nowicki położył niedbale karabin na kolanach. Z ukosa spojrział w kierunku szałasów. Przekonał się zaraz, że wiele par oczu uporczywie wpatruje się w nich. Wkrótce z obozu wyszła kobieta niosąca płonąca gałąź. Rzuciła ją w pobliżu łowców i powróciła do swoich.

– Co to ma znaczyć, brachu? – zapytał bosman.

– Nie wiem, pan Bentley nic nie mówił o płonących gałęziach.

– Hm! Może to znak, żebyśmy rozpalili ogień? – zastanowił się marynarz. – Spróbujmy! Weź tę australijską zapałkę, a ja zbiorę trochę chrustu.

Nie wypuszczając z rąk karabinu ułamał parę gałęzi. Po chwili siedzieli przy płonącym ognisku. Teraz kobieta ofiarowała im blaszaną bańkę z wodą, którą postawiła w połowie drogi między obozowiskiem a łowcami. Tomek przyniósł ją natychmiast. Bosman ulokował bańkę przed sobą mówiąc:

– Ha, ogień i wodę już mamy. Ciekaw jestem, czym oni nas poczęstują? Kobieta ponownie wyszła z kręgu szałasów. Tym razem dała podróżnikom na dużym liściu dwa okrągłe przedmioty. Były to wielkie jaja, na obu końcach prawie jednakowo zaokrąglone, o szorstkiej, ziarnistej, białawożółtej skorupie.

– Mógłbym założyć się o butelkę rumu, że są to jaja strusia emu – domyślił się bosman. – Bentley mówił, że nadają się do jedzenia. Chyba ugotujemy je na twardo?

– Tak, możemy ugotować je w bańce – przytaknął Tomek.

Bosman odlał część wody do manierek. Potem włożył jaja do bańki i umieścił ją na kamieniu położonym w ognisku. Tymczasem kobieta znów przyniosła dwa liście, a na nich, jak na talerzach, leżały paski suszonego kangurzego mięsa oraz jadalne korzenie roślin.

Obydwaj przyjaciele podzielili się jednym jajem emu, zjedli trochę suszonego, twardego mięsa, na deser zaś zabrali się do żucia korzonków. Kiedy zaspokoili głód, zbliżył się do nich stary Australijczyk. Tomek rozpoczął rozmowę, lecz porozumieć się z krajowcem było nadzwyczaj trudno. Znał on bardzo mało słów angielskich, z tego powodu rozmowa, uzupełniana gestami trwała długo, zanim błysk zrozumienia pojawił się w jego oczach. Z zaciekawieniem obejrzał zdjęcie zabitego tygrysa i Tomka na słoni, z uwagą przysłuchiwał się opowiadaniu o ucieczce koni w czasie burzy. Na zakończenie rozmowy Tomek poprosił o zapas żywności oraz o pozwolenie na odpoczynek w obozie.

Krajowiec odszedł do grupki mężczyzn uzbrojonych w dzidy, bumerangi oraz grube maczugi. Wrzaskliwym głosem powtórzył im słowa Tomka, po czym zapanowała głęboka cisza. Po dłuższej chwili starzec powrócił do łowców. Zatrzymał się przed nimi i rzekł:

– Biali są źli ludzie. Nawet konie wołały iść z dingo niż z wami i uciekły. My również nie chcemy was tutaj widzieć. Idźcie stąd precz, natychmiast!

To powiedziawszy wycofał się zaraz do obozu.

– I co teraz zrobimy? – zafrasował się Tomek. – On na pewno mnie nie zrozumiał.

– Zrozumiał, czy nie zrozumiał, to jedno licho – odparł bosman. – Nie spodobaliśmy się im, więc nie chcą się z nami zadawać.

– Zupełnie niepotrzebnie wygadałem się o ucieczce naszych koni – powiedział Tomek rozżalonym głosem. – Przecież gdyby nie napad dingo, konie nie uciekłyby od nas. Widocznie źle poprowadziłem rozmowę.

– Nie przejmuj się, brachu! I tak nic na to nie poradzisz. Oni po prostu nie lubią białych, ludzi.

– Co teraz zrobimy?

Bosman nieznacznie spojrzał w kierunku obozowiska krajowców. Kilkunastu krajowców z bronią w rękach przyglądało się im wyczekująco. Złowróżbne milczenie było bardzo wymowne.

– Co zrobimy? – powtórzył bosman. – Zwijamy manatki i ruszamy w dalszą drogę. „Gdzie cię nie proszą, tam kijem wynoszą”. Zerknij tylko, jak oni nam się przyglądają. Ale to nie są źli ludzie. Nakarmili nas, a dopiero potem kazali odejść. Pakuj resztkę śniadania do torby, ja natomiast wygaszę ogień. Im szybciej wyniesiemy się stąd, tym lepiej!

Bosman, nie odkładając karabinu, starannie zdeptał ognisko, po czym zaczął przeszukiwać swe kieszenie. W końcu wydobył składany scyzoryk. Trzymając go przed sobą kilkakrotnie otwierał i zamykał ostrza. Ruchy jego były powolne i wykonywane w ten sposób, aby widziano je dokładnie w obozie.

– Co pan wyrabia? – zapytał Tomek zdziwiony jego zachowaniem.

– Trzeba im zostawić coś na pamiątkę – wyjaśnił bosman, – Niech przynajmniej wiedzą, jak się z tym obchodzić.

Bosman owinał scyzoryk w liść i włożył go do stojącego na ziemi blaszanego kociołka. Bez dalszej zwłoki zarzucił na plecy siodła i wraz z Tomkiem oddalił się od obozu. Wkrótce znaleźli się na stepie.

Po zaspokojeniu głodu wędrówka stała się trochę mniej uciążliwa. Na skutek nocnej ulewy ziemia rozmiękła, spalona przez słońce trawa niemal w oczach nabierała żywej, zielonej barwy. Bosman Nowicki zatrzymywał się co pewien czas. Uważnym wzrokiem spoglądał na przebytą już drogę. Wydawało mu się, że w pewnej odległości dostrzega kilka czarnych postaci postępujących za nimi. Przyśpieszył więc kroku, z niepokojem rozmyślając o nadchodzącej nocy.

W godzinach popołudniowych zarządził krótki wypoczynek na małym pagórku, skąd wygodniej było rozejrzeć się po okolicy. Bosman miał doskonały wzrok. Toteż szybko wypatrzył wśród wysokiej trawy kilka przyczajonych postaci. Nie chcąc niepokoić chłopca, nie powiedział mu do tej pory o śledzących ich krajowcach. Teraz doszedł do wniosku, że należy przygotować Tomka na ewentualne niebezpieczeństwo.

– Słuchaj brachu, лихо wie, co to ma znaczyć, ale wydaje mi się, że kilku krajowców podąża za nami – powiedział.

– Czy jest pan tego pewny? – zaniepokoił się Tomek.

– Jak tego, że ciebie widzę. Specjalnie przystanąłem na tym pagórku, aby dokładnie rozglądnąć się po stepie.

– Co zrobimy, jeśli napadną na nas?

– W dzień nic nam nie grozi. Mamy karabiny, więc damy sobie radę. Gorzej natomiast będzie w nocy. Trzeba pokombinować, co należy zrobić.

Tomek poczuł dreszcz przebiegający po plecach. Przyszły mu na myśl opowiadania Bentleya o napadach urządzanych przez krajowców na wyprawę Sturta i pracowników służby telegrafu. Przypomniał je też zaraz bosmanowi.

– Stare to bajki, brachu – odparł marynarz z pozornym spokojem. – Nic im złego nie zrobiliśmy, więc nie mogą mieć do nas żalu.

– Wobec tego, dlaczego niepokoją pana? – zapytał Tomek.

Bosman zapalił fajkę, by zyskać na czasie. Wcale nie był pewny, czy krajowcy ich nie napadną. Obawiał się takiej chwili ze względu na Tomka. Chłopiec spoglądał na niego zaniepokojonym wzrokiem.

– Hm, braciszku! Lepiej mieć zawsze oczy otwarte na wszystko – mruknął wreszcie.

– Ja również tak uważam, lecz nie mogę zrozumieć, o co panu chodzi? Najpierw mówi pan, że krajowcy postępują za nami i należy zastanowić się, co mamy zrobić w nocy,

potem znów twierdzi pan, iż nie napadną na nas.

– Widzisz brachu, bo też i nie wiem, czego oni chcą od nas? Może idą tylko z ciekawości?.

– Mam doskonały pomysł! – zawołał Tomek z ożywieniem.

– Cóżże wymyślił?

– Niech pan strzeli z karabinu na postrach.

– Dobra rada złota warta – pochwalił bosman.

Niewiele myśląc, przyłożył karabin do ramienia i strzelił. Czarne postacie błyskawicznie skryły się w trawie.

– Strzelajmy razem – zaproponował Tomek.

Zaledwie huk rozbrzmiał szeroko po stepie w dali, jak echo, odezwały się odgłosy palby.

– Panie bosmanie, czy słyszy pan? Może to nasi dają znaki? Biegnijmy w tamtym kierunku! – zawołał Tomek.

– Czekaj brachu, zaraz się przekonamy – szybko odparł bosman. – Strzelmy obydwaj jeszcze raz!

W dali znów odpowiedział im huk strzałów.

– To nasi! To nasi! – krzyknął uradowany Tomek.

– Koło ratunkowe za burta! Głowy do góry! Dalej w drogę! Ruszajmy im naprzeciw!

– Będziemy strzelali co pewien czas, aby wskazać naszym właściwy kierunek! – dodał Tomek.

Zapomnieli o zmęczeniu. Rażnym krokiem ruszyli na południe. Od czasu do czasu odzywały się ich karabiny, którym odpowiadały coraz bliższe wystrzały. Niebawem ujrzeli galopujących jeźdźców. Pierwszy z nich znacznie wyprzedził całą grupę i gnał jak wichur.

– Cóż to za wspaniały jeździec pędzi tak do nas? – zdumiał się Tomek.

– A któż by to mógł być, jak nie twój ojciec albo Smuga? – odparł bosman.

Był to Smuga. Ostro osadził okrytego pianą konia, zeskakując na ziemię zawołał:

– Dokąd to panowie się wybrali?

Bosman rzucił siodła na ziemię, usiadł na nich i nie odzywając się ni słowem, zaczął nabijać fajkę tytoniem. Tomek widząc jego zmieszanie odpowiedział:

– Chcieliśmy urządzać samodzielne małe polowanie na emu.

– Och, teraz wszystko rozumiem – zaczął Smuga wesoło. – W tym zapewne celu zastosowaliście stary łowiecki fortel Indian północnoamerykańskich.

– O jakim to fortelu pan mówi? – zapytał Tomek niepewnie.

– Indianie podchodzą bizona ubrani w skóry zwierząt, aby uspić ich czujność. Wy, jak widzę, postanowiliście tropić emu, udając konie. Prawdopodobnie z tego względu pan bosman Nowicki nosi siodła na plecach. No, jak udały się łowy?

– Burza przeszkodziła nam w schwytaniu czterech emu – markotnie odpowiedział Tomek. – Szkoda, że nie wiedzieliśmy o tym indiańskim fortelu! Bosman niósł siodła, ponieważ dingo spłoszyły nasze konie. Pan Nowicki zaraz zabił jednego.

– Kogo zabił, konia? – zdziwił się Smuga.

– Nie konia, tylko dzikiego dingo, który biegł za końmi – wyjaśnił Tomek. – Potem zaczął lać ogromny deszcz i omal nie utopiliśmy się w parowie.

W tej chwili nadjechała reszta towarzyszy Smugi. Byli to marynarze z „Aligatora”. Radosnymi okrzykami przywitali Tomka i bosmana. Gdy zsiadli z koni. Smuga zapytał chłopca:

– No i co było dalej?

– Szliśmy przez step, bardzo głodni i zmęczeni. Napotkaliśmy obozowisko krajowców, którzy dali nam trochę jedzenia, nie zgodzili się jednak, abyśmy u nich odpoczęli. Później tropili nas. Obawialiśmy się ich i zaczęliśmy strzelać na postrach. Wtedy usłyszeliśmy wasze strzały.

– Spisaliście się pięknie, nie ma co – zganiał Smuga. – Przejrzyjcie się w lusterku! Wygląd wasz na pewno zdziwił krajowców, szli więc za wami prawdopodobnie powodowani ciekawością.

Obydwaj niefortunni łowcy przejrżeli się w podanym przez Smugę lusterku. Wybuchnęli śmiechem. Umazani byli zaschląym błotem, a twarz bosmana ponadto pokrywał trzydniowy zarost.

– Gdzie jest Wilmowski? – zagadnął bosman niezbyt pewnym tonem.

– Wilmowski i Bentley przetrzасają wschodnią połąć stepu w poszukiwaniu was – uspokoił go Smuga i zaraz polecił jednemu z marynarzy wystrzelić kilka dymnych rakiet. Niebawem w dali ukazała się ciemna smużka dymu.

– Spostrzegli nasz sygnał! – odrzekł Smuga. – Możemy wracać do obozu. Nasi towarzysze przybędą tam za nami.

Bosman i Tomek dosiedli koni, które zabrano w rezerwie. Ruszyli natychmiast w drogę.

– Skąd wiedzieliście, że postradaliśmy konie? – zapytał Tomek, podjeżdżając do Smugi. .

– Dzisiejszej nocy wasze wierzchowce powróciły bardzo zmęczone do obozu. Rozpoznaliśmy twego pony. Natychmiast posłaliśmy gońca do Watsunga, aby sprawdzić, co oznacza wałęsanie się kuca po stepie. Wówczas dopiero dowiedzieliśmy się, że cztery

dni temu wyruszyliście na polowanie. Watsung nie niepokoił się o was, gdyż był przekonany, że przebywacie z nami. Obawialiśmy się, czy przypadkiem nie spotkała was jakaś przygoda podczas burzy piaskowej, która nas zmusiła do przerwania łowów. Podzieliliśmy się na dwie grupy i rozpoczęliśmy poszukiwania.

– Czy ojciec jest bardzo zagniewany na mnie? – dopytywał się Tomek niespokojnym głosem.

– Nie, przecież wiedzieliśmy, że jesteś razem z bosmanem Nowickim. Po prostu obawialiśmy się, czy przypadkiem nie spotkało was coś złego. Australijskie burze piaskowe powodują wiele szkód i nieraz stwarzają niebezpieczne sytuacje. Na szczęście gorący wiatr, który niósł z wnętrza kontynentu chmury pyłu, natrafił na prądy powietrzne napływające z południa. Spowodowało to gwałtowną ulewę i burzę.

– Dzięki niej przepłukiwaliśmy nasze gardła, które były suche jak wióry – wtrącił bosman. – Tak, tak, niech mi nikt nie gada, że tutaj brak urozmaicenia oraz różnych niespodzianek.

– Mieliście dużo szczęścia – dodał Smuga. – Burza piaskowa trwa niekiedy kilka dni i dość rzadko kończy się w taki sposób, jak ta ostatnia.

POLOWANIE W POBLIŻU FARMY ALLANA

Konie szły rażno po stepie. Obydwaj niefortunni łowcy emu skwapliwie korzystali w czasie jazdy z zapasów zabranych z obozu przez ich towarzyszy. W miarę jak zaspokajali pierwszy głód, nabierali lepszego humoru. Wiedzieli już przecież od Smugi, że Wilmowski nie miał im za złe samodzielnej wyprawy. Wesoło pokpiwali z siebie, wspominając niepokój, który ogarnął ich na widok podążających za nimi krajowców.

– Ho, ho, pan bosman ledwo już powłóczył nogami, ale gdy tylko spostrzegł tropiących nas krajowców, to maszerował tak szybko, że nie mogłem za nim nadążyć – dogadywał Tomek marynarzowi.

– Dobrze pamiętasz! Tak było naprawdę, obawiałem się, żebyś przypadkiem nie popsuł panu Clarkowi interesu – mruknął bosman, zerkając na chłopca.

– Co też pan opowiada? Teraz próbuje się pan wykręcić sianem – oburzył się Tomek, nie podejrzewając podstępny.

– Niech się zmienię w wieloryba, jeśli kłamię! Przypomniałem sobie historię pięciu królików przywiezionych przez pierwszych osadników do Australii.

– A co króliki mają wspólnego z tym wszystkim?

– Właśnie, że mają! Bo wbrew intencjom kolonistów tak się rozmnożyły, iż zaczęły wyjadać trawę konieczną dla hodowli owiec. Jakbyś teraz ty, brachu, ze strachu zgubił na stepie trochę „cykorii”, to znów mogłoby się stać nowe nieszczęście. Czy wyobrażasz sobie, co by nastąpiło, gdyby twoja cykoria rozpleniała się tutaj i wyparła, trawę? Przecież owce pozdychałyby z głodu...

– Jak pan może tak mówić? – oburzył się Tomek. – A kogo to musiałem pocieszać tam w parowie podczas burzy piaskowej?

– A to wykrętne chłopaczysko! – śmiał się bosman. – No, pal cię licho! Kręcisz językiem jak kołowrotkiem. Ale my tu gadu gadu, a nie zapytaliśmy nawet, jak też udały się naszym kumplom łowy na emu?

– Uwaga panowie! Nasi przyjaciele zabierają się obecnie do nas – zawołał Smuga. – Jeżeli jesteście bardzo ciekawi wyników naszego polowania, to mogę was pocieszyć, że i nam z początku szczęście nie dopisywało. Mieliśmy za mało wierzchowców nadających się do pościgu za emu. Większość jeźdźców mogła uczestniczyć jedynie w nagonce. Czarownicy australijscy robili, co mogli, aby nam pomóc. Pamiętacie chyba ich tańce przed łowami na kangury, którymi pragnęli zapewnić sobie przychylność duchów? Otóż podczas polowania na emu najstarszy czarownik codziennie przed wschodem słońca rysował na piasku australijskiego strusia. Dopiero trzeciego dnia pierwszy błysk słońca musnął wcale udany rysunek, co miało oznaczać, że duch łaskawie sprzyjał naszym zamierzeniom. Krajowcy zaledwie to usłyszeli, zaraz wpadli w doskonały nastrój. Z wielką werwą zabrali się do łowów, wskutek czego jeszcze tego samego dnia schwytaliśmy jedną parę ptaków. W pościgu za nimi znacznie oddaliliśmy się na północ. Załadowywaliśmy już

emu na wóz, gdy Tony uprzedził nas o nadciągającej burzy piaskowej. Natychmiast ruszyliśmy w powrotną drogę, lecz mimo to nawałnica przychwyciła nas w stepie. Jechaliśmy wzdłuż skalistego pasma wzgórz, które osłaniało trochę przed uderzeniami gorącego wichru. Wtedy właśnie, zupełnie nieoczekiwanie, z bocznego wąwozu wybiegły prosto na nas cztery strusie. Musiały uciekać z daleka, ponieważ osaczyliśmy je bez większych trudności. W ten sposób zakończyliśmy łowy schwyтaniem sześciu emu. Obecnie znajdują się one w naszym obozie.

– Założyłbym się o butelczynę rumu, że były to te strusie, które skryły się przed nami w pagórkach imitujących góry – wtrącił bosman.

– A to wspaniały zbieg okoliczności – przytaknął Tomek. – W ten sposób mimo woli przyczyniliśmy się do pomyślnego zakończenia polowania.

– Jak z tego wynika, nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre – sentencjonalnie dodał bosman.

– Może i tak było. Według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowaliśmy się w pobliżu wąwozu, który posłużył wam za schronienie przed burzą piaskową – potwierdził Smuga.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – rezonował bosman. – Pognajmy szkapy, wkrótce będzie wieczór.

Po zapadnięciu zmierzchu wierzchowce zwolniły tempo biegu. Szły teraz stępa. Tomek, kołysząc się w siodle, był coraz bardziej senny. Zaczął pochylać się w kierunku szyi konia, jakby bił pokłony przed wschodzącym księżycem.

Do obozu dotarli późną nocą. Tomek, pokrzepiony drzemką w czasie jazdy na koniu, postanowił nie kłaść się spać przed powrotem ojca. Nie musiał długo czekać. W niecałą godzinę później wrócił do obozu Wilmowski wraz z Bentleyem. Wilmowski cieszył się szczęśliwym zakończeniem niebezpiecznej przygody syna. Wszyscy zasiedli wokół ogniska do wieczery. Tomek jeszcze raz opowiedział przebieg niefortunnego polowania na emu. Rozweselili się, słuchając zabawnych komentarzy Smugi, toteż nic dziwnego, że niemal o świcie udali się na zasłużony odpoczynek.

Tomek przebudził się dopiero około południa. Usłyszał ożywione głosy w obozie. Wyrzwał z namiotu. Towarzysze jego załadowywali skrzynie z emu na wozy. Natychmiast zapomniał o zmęczeniu. Pobiegł przyjrzeć się strusiom. Zajrzał do jednej z klatek. Olbrzymie ptaszysko spojrzało na niego wielkimi, wyłupiastymi oczami, przebierając jednocześnie nogami jak baletnica.

Za chwilę wozy wyruszyły w drogę do farmy. Tomek oczywiście pocieszył się myślą, że na statku będzie jeszcze miał okazję obserwować emu. Z zapałem zaczął pomagać w zwijaniu obozu.

Jeszcze tego samego dnia wszyscy uczestnicy wyprawy powrócili do farmy Clarka. Nie tracąc czasu, rozpoczęli przygotowania do przetransportowania schwyтanych zwierząt na „Aligatora”. Do stacji kolejowej w Wilcannii kangury, emu i dingo miano przewieźć na

wozach, a stamtąd kolejną bezpośrednio do Port Augusta.

Od powrotu do farmy Tomek niecierpliwie oczekiwał odjazdu. Tęsknił za zmianą i nowymi przygodami. Z entuzjazmem przyjął rozkaz wyruszenia w drogę. Chcąc jak najwięcej dowiedzieć się o okolicach, do których zdążali, podjechał na swym pony do Bentleya.

– Na jakie zwierzęta będziemy teraz polowali? – zagadnął.

– Postaramy się wytropić szare kangury, które są bardziej wojownicze od dotychczas schwytych czerwono-brunatnych. Żyją one w lesistych okolicach, w pobliżu strumieni. Znajdziemy tam również niedźwiadki koala, lisy workowate, kolczatki, jadowite węże, tygrysy oraz jaszczurki molochy, których ciała okryte są wyrostkami skóry sterczącymi na głowie jak rogi. W górach ciągnących się wzdłuż całego wschodniego wybrzeża zakończymy łowy polowaniem na skalne kangury – odparł Bentley.

– Jak z tego wynika, pożegnaliśmy się już ze stepem – stwierdził Tomek nie bez pewnej satysfakcji.

– W każdym razie pas stepu oddzielający Wilcannię od terenów zalesionych przebedziemy pociągami. W ten sposób unikniemy długiej, męczącej jazdy końmi. Dopiero przez stepy parkowe i rozległe przestrzenie buszu ruszymy dalej wozami.

– Co to jest busz? – zaciekał się Tomek.

– Jest to swoisty rodzaj lasu, bardzo charakterystyczny dla Australii. Nie ma on nic wspólnego z lasami całej kuli ziemskiej. Wśród wysokich drzew rośnie niezmiernie bogactwo wiecznie zielonych, małych drzewek i krzewów. Do buszu przylegają zazwyczaj obszary pokryte skrobem, który, jak już wiesz, stanowią skarłowaciałe eukaliptusy i akacje. Ciszę panującą w buszu przerywa jedynie krzyk papug lub szelest pełzających gadów.

– Taki las na pewno nie będzie mi się podobał – orzekł Tomek.

– Nie bądź tego zbyt pewny. Zwłaszcza noce są tam pełne niezwykłego czaru. Niektórzy ludzie z własnej woli spędzają w buszu większą część swego życia. Zwiemy ich tutaj buszmanami. Znajdziesz wśród nich zawiedzionych w swych nadziejach poszukiwaczy złota oraz ludzi, którzy co pewien czas wyjeżdżają z miast w poszukiwaniu przygód na łonie natury.

– Czym oni znów tak zachwycają się w tym lesie? – zapytał Tomek.

– Nie jest to łatwe do wytłumaczenia. Początkowo trudno przyzwyczaić się do buszu. Przerażają w nim niezmiernie przestrzenie, brak ludzi, trudności i niebezpieczeństwa życia na pustkowiu. Po pewnym jednak czasie ten właśnie bezkresny gąszcz zaczyna przyciągać człowieka do tego stopnia, że trudno mu żyć bez niego i pragnie stale w nim przebywać. Jest to jakby zew buszu.

– Wydaje mi się to bardzo dziwne – powątpiewająco odezwał się Tomek.

– Już pierwotni mieszkańcy Australii ulegali czarowi buszu. W związku z tym powstała

wśród nich pewna legenda. Otóż według podań krajowców, w obłokach żyje czarodziejka, która niekiedy przybywa na ziemię, niesiona na liściach przez powiew wiatru. Czarodziejka ta nad obszarami, buszu zwołuje naradę duchów. W tym czasie, snując niewidzialną nić, przywiązuje ją do siebie coraz więcej ludzi. Gdy człowiek omotany przędziwem opuści busz, odczuwa nieukojoną tęsknotę, dopóki doń nie powróci. Musisz uważać Tomku, aby i ciebie nie spotkała podobna przygoda. Nie chciałbyś już wtedy opuścić Australii.

Tomek spojrzał na Bentleya poważnym wzrokiem i odezwał się cicho:

– Kto wie, może takie czarodziejki istnieją naprawdę. I to nie tylko w Australii. W każdym razie bosmanowi Nowickiemu, mojemu ojcu i mnie nic tu od nich nie grozi. Czarodziejka unosząca się nad Warszawą dawno już omotała nas swoją nicią.

Bentley zadumał się.

– Jestem ciekaw, czy spotkamy buszmanów? – przerwał Tomek milczenie.

– Będziemy wędrowali w pobliżu złotodajnych terenów – odparł Bentley. – Wielu niefortunnych poszukiwaczy złotego runa przedzierzgnęło się w buszmanów. Jest więc możliwe, że zetkniemy się z nimi.

– Chciałbym tak jak Strzelecki znaleźć w Australii złoto – szepnął Tomek.

– A co byś z nim zrobił? – zapytał Bentley z uśmiechem.

– Zaraz założyłbym w Warszawie piękny ogród zoologiczny – powiedział Tomek bez namysłu.

Na podobnych rozmowach szybko schodził im czas. Zanim Tomek zdążył znudzić się jazdą przez step, ujrzał domy Wilcannii.

W ciągu dwóch następnych dni zwierzęta wraz ze swoją eskortą odjechały do Port Augusta. Pozostali łowcy wsiedli do pociągu odchodzącego na południowy wschód.

Tomek mógł do woli przyglądać się krajobrazowi, którego malowniczość wciąż zmieniała się, im dalej jechali na południe. Rzadko rozsiane kępy drzew i krzewów pokrywały rozległy step, roślinność była tutaj jednak bujniejsza i bardziej różnorodna. Częściej też można było zaobserwować wielkie stada owiec i rogatego bydła pasące się spokojnie na równinie.

Po trzydziestosześciodzinnej jeździe łowcy wysiedli z pociągu na stacyjce w Forbes, małej górniczej miejscinie, położonej jakby na linii stanowiącej podstawę trójkąta, utworzonego przez rzekę Murrumbidgee i jej dopływ Lachlan. Na wschód od miasteczka, u stóp wysokich pagórków porośniętych lasem, rozciągały się zielone pola; w kierunku zachodnim leżała kraina mirażu[51] i wielkiej posuchy, a zarazem bezmiernych pastwisk, których wartość zależała od obfitości kapryśnych deszczów. Na tych właśnie pastwiskach australijscy hodowcy wypasali swe stada, bogacąc się w ciągu kilku lat, jeżeli deszcze nie skąpiły wody, lub też tracąc wszystko w przypadku posuchy.

Łowcy bez zwłoki ruszyli na południowy zachód od Forbes. Wkrótce zagłębili się w

step przerywany od czasu do czasu skrobem lub buszem. W pobliżu małego strumyka Tony wypatrzył ślady leśnych, szarych kangurów. Wobec tego Wilmowski polecił rozbić obóz nad strumyczkiem płynącym wśród rozległego buszu, który w tej okolicy częściowo zmieniał się w niski skrob. Przed rozłożeniem namiotów łowcy uważnie przeszukali okoliczne krzewy, aby uchronić się od jadowitych węzów, mających tam często swoje legowiska.

Tego jeszcze dnia Tony ustalił miejsce wodopoju szarych kangurów. Tomek z zadowoleniem przyglądał się przygotowaniom do polowania. Ze względu na to, że kangury żerują w nocy, miało ono rozpocząć się o świcie. Było jeszcze ciemno, a tymczasem w obozie już siodłano konie. Przy świetle księżycy Wilmowski podzielił jeźdźców na dwie grupy. Jedna z nich, jadąc skrajem buszu, miała dotrzeć do wodopoju, druga otrzymała polecenie przeprawienia się na sąsiedni brzeg strumyka, by po zatoczeniu koła, osaczyć kangury i uniemożliwić im ewentualną ucieczkę.

Tomek, wraz z ojcem, należał do drugiej grupy. Zaledwie znaleźli się na przeciwległym brzegu pognali galopem, chcąc równocześnie z pierwszą grupą dotrzeć na wyznaczone stanowisko. Wkrótce Tony jadący na czele zatrzymał konia.

– Wodopój jest już blisko – oznajmił. – Pójdę pieszo sprawdzić, czy są teraz przy nim kangury.

Dopiero po godzinie bezszelestnie wynurzył się z krzewów i oznajmił, że kilka szarych kangurów żeruje na brzegu strumyka.

– Musimy poczekać do wschodu słońca, ponieważ przy zwodniczym świetle księżycy nie można liczyć na powodzenie – powiedział Wilmowski, a po chwili dodał z niepokojem: – Czy kangury nie oddalają się przed świtem od wodopoju?

– Nie będzie tak źle. Zaraz dzień – odparł Tony.

Zsiedli z koni. Wokoło panowała bezmierna cisza. Wydawało się, iż cała natura pogrążona była w głębokim śnie. Naraz rozległo się ciche uderzenie dzwonka.

– Bydło pasie się w pobliżu – szepnął Tony. – Przodownik stada zawsze ma dzwonek na szyi.

– Dziwne, że kangury przebywają w pobliżu domowego stada – zauważył Wilmowski. – Czy widziałeś je na pewno?

– Kangury lubią dobrą, słoną trawę – upewniał Tony. – Bydło ich nie płoszy.

W pobliskich krzewach rozbrzmiał przeraźliwy krzyk, jakby ginącego zwierzęcia. Tomek odruchowo przytulił się do kolby swego wierzchowca.

– To pelikan – wyjaśnił Tony. – Zaraz będzie dzień.

Do wschodu słońca żaden głos już więcej nie zakłócił martwej ciszy. Wkrótce świt zaróżowił niebo na horyzoncie. Zaledwie błysk dnia rozproszył mrok nocy, jakby na dane hasło papugi wszczęły w pobliżu buszu oszałamiający wrzask.

– Teraz prędko na konie! – zawołał Tony.

Dosiedli wierzchowców. Z miejsca ruszyli z kopyta w kierunku wodopoju. W przeciągu kilku minut byli już przy strumyku, na którego przeciwległym brzegu pasły się trzy duże kangury. W porównaniu z uprzednio schwytanymi mogły uchodzić za olbrzymy. Zaskoczone widokiem jeźdźców stanęły na tylnych łapach w niemym zdziwieniu. Wilmowski wystrzałem w górę dał hasło do rozpoczęcia polowania. Od strony buszu rozległ się donośny krzyk. To druga grupa jeźdźców ruszyła w kierunku kangurów, które w tej chwili zaczęły panicznie uciekać. Biegły ociężałe po nocnej, obfitej uczcie, podczas gdy wypoczęte konie mknęły jak strzały wypuszczone z łuku. Łowcy szybko zbliżyli się do kangurów, osaczając je półkolem. Wilmowski, Smuga oraz pracownicy przysłani przez Hagenbecka, umieli posługiwać się lassem, toteż trzymali w rękach przygotowane do rzutu arkany. Smuga wysforował się na czoło pościgu. Szybko zbliżył się na kilkanaście metrów do jednego z kangurów, podniósł do góry prawą rękę z lassem i zataczając nim nad głową koła, nabierał rozmachu. Arkan śmignął w powietrzu. Pętla opasała zwierzę. Silne szarpnięcie omal nie przewróciło konia i jeźdźca. Trzech najbliższych łowców pospieszyło Smudze z pomocą, a reszta pomknęła za uciekającymi kangurami.

Dwa olbrzymie szare kangury w obliczu groźnego niebezpieczeństwa wykazały wiele odwagi. Kiedy ujrzały klęskę swego towarzysza, pierzchły w przeciwne strony, zmuszając tym samym pościg do rozdzielenia się również na dwie grupy. Bentley, Wilmowski i Tomek pognali razem za wspaniałym kangurem. Pierwsi dwaj zaczęli osaczać go z boków, podczas gdy Tomek pędził tuż za nim. W końcu kangur zorientował się, że nie zdoła umknąć prześladowcom. Wilmowski z rozmachem rzucił lasso. Czujne zwierzę pochyliło się w tej chwili w olbrzymim skoku, zdradziecka pętla prześliznęła się tylko po jego grzbiecie. Teraz kangur śmignął przed koniem Wilmowskiego i pobiegł w kierunku pobliskiego lasu. Przystanął przy dużym drzewie gumowym, którego pień w dolnej części wypalony był niemal do połowy przez dawny pożar buszu.

Łowcy zatrzymali konie tuż przed zwierzęciem. Z podziwem spoglądali na wspaniałego kangura, który mimo beznadziejnej sytuacji nie rezygnował z walki. Wyprostowany na tylnych łapach, oparł się plecami o pień gumowca, obrzucając przeciwników czujnym wzrokiem. Jego przednie, krótsze łapy drgały nerwowo, gotowe do odparcia lub zadania ciosu.

Tomkowi zaimponowała odwaga oryginalnego wojownika. Gdyby to od niego zależało, pozwoliby mu w nagrodę za męstwo skryć się w pobliskim gąszczu. Doświadczony w takich sytuacjach Bentley nie poddał się nastrojowi swych towarzyszy. Zeskoczył z konia z arkanem w rękę i przywołał Wilmowskiego do pomocy. Podał mu jeden koniec sznura, a następnie sam obiegał drzewo dookoła, opasując w ten sposób zwierzę, daremnie usiłujące zrzucić więzy. Po kilku minutach kangur stał przywiązany do drzewa.

– Dobrze się złożyło, że w pobliżu nie ma jeziora lub większego bajora wypełnionego wodą. W czasie pościgu szare kangury potrafią chronić się w wodzie, wynurzając na powierzchnię jedynie głowę i przednie łapy. Wtedy nawet psy używane do polowania są wobec nich bezsilne. Kangur, dzięki swemu potężnemu wzrostowi, na znacznej

głębokości przystaje na tylnych łapach i uderzeniami przednich łap skutecznie broni się przed kilkoma pływającymi wokół niego psami – wyjaśniał uradowany Bentley.

W tej chwili nieznany jeździec zbliżył się do łowców. Był to wysoki mężczyzna, ubrany jak większość australijskich osadników. Uchylił kapelusza o szerokich kresach i odezwał się uprzejmie:

– Witam panów i winszuję zręczności. Radzę zaoszczędzić sobie wszelkiego trudu i po prostu zastrzelić tego szkodnika.

– Nie mamy zamiaru zabijać tak wspaniałego zwierzęcia – oburzył się Wilmowski. – Zabierzemy je z sobą do Europy.

– Czyżby panowie trudnili się łowieniem zwierząt? – zdziwił się nieznajomy.

– Odgadł pan – potwierdził Wilmowski. – Łowimy zwierzęta do ogrodów zoologicznych. Mój towarzysz, pan Bentley, jest dyrektorem ogrodu zoologicznego w Melbourne.

– Bardzo mi przyjemnie poznać panów – odparł nieznajomy. – Jestem Allan. Moja farma hodowlana znajduje się nie opodal. Zrobią nam panowie wielką przyjemność, odwiedzając nas na tym pustkowiu. Żona moja ucieszy się wizytą panów.

Łowcy przywitali się z Allanem, a Tomek nie omieszkał zaraz zadać mu pytania:

– Dlaczego nazwał pan tak odważne zwierzę szkodnikiem?

– Nie przeczę, że szare kangury są bardzo wojownicze i odważne, lecz tym niemniej mnożą się tutaj zbyt szybko. One zjadają moim stadom doskonałą trawę. Od kiedy krajowcy i dingo wynieśli się dalej na zachód, kangury pojawiają się jak grzyby po deszczu. Toteż między osadnikami a kangurami toczy się stale zażarta walka. Jeżeli my ich nie wytępimy, to one wygnają nas stąd w krótkim czasie – wytłumaczył Allan.

– No, ten schwytyany przez nas kangur nie będzie panu więcej szkodził – wtrącił Wilmowski.

– Wydaje mi się, że nadjeżdżają towarzysze panów – zauważył Allan. Był to bosman Nowicki i Smuga. Zeskoczyli z koni. Wilmowski przedstawił ich Allanowi, który zaraz ponowił zaproszenie.

– Teraz musimy zająć się złowionymi kangurami – poinformował go Wilmowski. – Nasi towarzysze również schwytali jedno zwierzę. Należy przetransportować je do obozu znajdującego się w pobliżu. Nazajutrz jednak odwiedzimy pana z prawdziwą przyjemnością.

– Oczekujemy panów. Moja farma leży w dole strumienia, tuż na skraju zarośli – dodał Allan, po czym odjechał w kierunku domu.

Niebawem przybył wóz z dużymi klatkami. Kangur bronił się z uporem przed zamknięciem, lecz łowcy wspólnymi siłami umieścili go w skrzyni i załadowali na wóz. Taki sam los spotkał kangura schwytanego przez Smugę. Łowcy powrócili do obozu.

Resztę dnia spędzili na omawianiu planu na najbliższe dni.

Wieczorem, wkrótce po ułożeniu się do snu, usłyszeli tętent konia. Wszelkie odwiedziny na australijskich bezdrożach należą do rzadkości, toteż zaintrygowani zerwali się z posłań. Dorzucili chrustu do gasnącego ogniska. Jeździec ostro osadził konia tuż przy namiotach. Był to Allan. Wzburzenie malujące się na jego twarzy uprzedziło łowców, że przybył z jakąś nieprzyjemną wiadomością.

– Przeszkodziłem panom w odpoczynku, lecz niestety jestem zmuszony prosić o pomoc – powiedział Allan jednym tchem. – Moja dwunastoletnia córeczka, Sally[52], jeszcze przed południem wyszła z domu i nie powróciła do tej pory. Bawiła się w pobliżu zarośli. Zapewne zabłądziła w skrobie. Musimy przetrząsnąć rozległy teren, by ją odnaleźć.

Łowcy, nie czekając dalszych wyjaśnień, zaczęli szybko ubierać się; Allan powstrzymał ich mówiąc:

– Poszukiwania rozpoczniemy dopiero o świcie. W tej chwili moi pracownicy powiadamią najbliższych sąsiadów o wypadku. Dopiero nad ranem zbierze się tylu mężczyzn, aby można było skutecznie przeszukać okoliczny skrob. Po ciemku nie zdołalibyśmy odnaleźć dziecka. Proszę panów o przybycie do farmy przed samym świtem.

– Tony orientuje się w tej okolicy dość dobrze, pomogę razem z nim w powiadamianiu osadników – zaproponował Smuga.

– Jeżeli jest pan pewny, że nie zabłądzicie, to mogliby panowie udać się do farmy państwa Brown, którzy mieszkają w odległości piętnastu kilometrów od mego domostwa – odparł Allan. – Większość drogi do nich ciągnie się wzdłuż skrobu. Wyjaśnię to panom w czasie jazdy do mojej farmy. Resztę panów proszę o przybycie przed świtem.

Tony i Smuga ubrali się szybko, dosiedli koni. Odjechali razem z Allanem. Bosman Nowicki zdziwiony postępowaniem farmera zapytał:

– Czy on ma dobrze poustawiane w łepetynie wszystkie klepki? Jak można odkładać poszukiwanie zaginionego dziecka do rana?!

– Postępowanie Allana nie jest pozbawione słuszności – zaproponował Bentley. – Zaginięcia dzieci zamieszkałych w pobliżu buszu lub skrobu zdarzają się u nas dość często. Z tego powodu osadnicy mają doświadczenie w prowadzeniu poszukiwań. Może pan być pewny, że Allan sam przetrząsnął już położone najbliżej farmy zarośla, zanim zwrócił się o pomoc. W tym czasie wiadomość o zaginięciu podawana jest z osiedla do osiedla. Wszyscy mężczyźni natychmiast przerywają wszelkie zajęcia, by wziąć udział w poszukiwaniach. Żaden mieszkaniec Australii nie uchyliłby się od udzielenia pomocy sąsiadowi w takiej sytuacji. Do świtu ściągają licznie farmerzy i wspólnymi siłami przeszukają zarośla. W nocy na pewno nie udałoby się odnaleźć dziewczynki. Co najwyżej jeszcze kilka osób mogłoby zabłądzić w gęstwinie.

– Przecież ta Sally musi być bardzo przerażona swoim położeniem – denerwował się Tomek.

– Oczywiście, że nie jest to dla niej przyjemne – przyznał Bentley. – Mimo to należy wziąć pod uwagę, że dzieci zamieszkałe od urodzenia w pobliżu buszu przyzwyczajają się do niego. Noce w lesie nie są znów tak straszne, od chwili gdy dingo wyniosły się z tych okolic.

– Co ona uczyni, jeśli wąż podpełźnie do niej? – zapytał Tomek, który sam obawiał się węzów.

– To prawda, że jest ich tutaj bez liku – odparł Bentley. – Na szczęście wypadki ukąszeń nie zdarzają się zbyt często. Nawet dzieci osadników wiedzą, że jedynym ratunkiem po ukąszeniu jest wycięcie nożem miejsca zakażonego jadem.

– No, szanowny panie! Możliwe, że australijskie pędraki nie przestraszą się w lesie byle krzaka – ostro powiedział bosman Nowicki. – Ale nie gadaj pan takich głupstw, za przeproszeniem. Nigdy nie uwierzę, aby dwunastoletnia dziewczynka wyrznęła sobie sama kawałek ciała. Jeśli natomiast teraz nie możemy w niczym pomóc tej bieduli, to kimnijmy się trochę.

– Bosman ma słuszość, gadaniną nic nie zwojujemy – poparł go Wilmowski. – Lepiej nabierzmy sił przed poszukiwaniami.

Po raz drugi tego wieczora łowcy udali się do namiotów. Tomek długo nie mógł zasnąć. Rozmyślał o zaginionej Sally. Przypomniała mu się opowieść Bentleya o sławnym podróżniku Strzeleckim, który omal sam nie zaginął w morderczym skrobie. Zaraz też poczuł zimne mrowie wędrujące po plecach na samą myśl o strasliwym losie biednej dziewczynki.

Usnął bardzo późno, lecz zerwał się z posłania przed świtem razem z towarzyszami. Natychmiast zaczął siodłać swego pony.

– Tomku, lepiej pozostań w obozie – zwrócił się do syna ojciec, widząc jego podniecenie.

– Jestem tego samego zdania – poparł go Bentley. – Nie znasz okolicy, Tomku łatwo możesz stracić orientację w rozległym skrobie.

Po nie przespanej nocy Tomek nie miał zbyt wielkiej ochoty do włóczęgi w gęstwinie, ale uwagi opiekunów podrażniły jego dumę. Odparł więc zaraz:

– Ostatecznie mogę z wami nie wchodzić w skrob. Przydam się chyba jednak na farmie, skoro wszyscy dorośli wyruszają na poszukiwania.

– Może masz i słuszość – przyznał Wilmowski. – Musisz mi przyrzec, że nie zrobisz żadnego głupstwa. Dość już będzie kłopotu z odszukaniem małej Sally.

– Och, z całą pewnością nie zrobię głupstwa – mruknął Tomek niechętnie, ponieważ nie lubił, gdy żądano od niego podobnych przyrzeczeń.

Wilmowski wyznaczył dwóch marynarzy do pilnowania obozu, po czym reszta członków wyprawy dosiadła koni i pognęła do farmy Allanów. Zastali tam już Smugę i Tony'ego oraz około dwudziestu mężczyzn zamieszkałych w okolicy. Natychmiast omówili

wspólnie plan poszukiwań. O świcie obława ruszyła w gęstwą skrobu rozciągając się w długi łańcuch.

ZAGUBIENI W SKROBIE

Tomek pozostał w domu z matką nieszczęsnej dziewczynki. Pani Allan krzątała się w kuchni przygotowując obiad dla uczynnych sąsiadów. Była przemęczona, podenerwowana i prawie zrozpaczona zaginięciem córeczki. Tomek zachowywał się cichutko, wreszcie wyszedł przed dom. Usiadł na ławce stojącej pod rozłożystym drzewem.

Nawoływania mężczyzn biorących udział w poszukiwaniach dawno już ucichły w gęstwinie.

Tomkowi czas wolno płynął na rozmyślaniach. Oczywiście początkowo przedmiotem tych rozmyślań była zaginiona Sally. Wkrótce jednak uwagę jego zwróciły papugi napełniające wrzaskiem pobliskie zarośla. Fruwały swawolnie z gałęzi na gałąź, błyskając pomiędzy listowiem różnokolorowymi piórkami. Tomek przyglądał się barwnym krzykaczom fruwającym wśród krzewów. Z zalem powracał myślą do przyrzeczenia danego ojcu. Małe i duże papugi były takie wesołe, wyglądały tak ślicznie, że zaczął się zastanawiać, w jaki sposób mógłby obejrzeć je z bliska, nie łamiąc danego słowa. Rozglądając się dokoła, zupełnie nieoczekiwanie ujrzął opodal zabudowań farmy psią budę, a przed nią leżącego młodego psa patrzącego w jego kierunku.

„Wygląda zupełnie jak schwytyany przez nas dingo” mruknął Tomek.

Przez dłuższą chwilę chłopiec i zwierzę przyglądali się sobie wzajemnie. Nagle pies powstał na cztery łapy, machając przyjaźnie ogonem. To właśnie podsunęło Tomkowi pewną myśl. Przecież mógłby z nim pospacerować obok zarośli. Wtedy przyjrzałby się śmiesznym papużkom, a jednocześnie byłby bezpieczny mając przy sobie takiego opiekuna. Pobiegł do domu, aby uzyskać zgodę pani Allan. Zatrzymał się w progu niezdecydowany, albowiem zatroskana i zmęczona po nocnym czuwaniu kobieta usnęła siedząc w fotelu.

„Nie mogę przecież budzić jej teraz – pomyślał Tomek. – Wygląda na bardzo wyczerpaną. Nic się nie stanie złego, jeśli pospaceruję z psem w pobliżu domu. Wystarczy mi kilkanaście minut na przyjrzenie się papużkom”.

Nie namyślał się dłużej. Zabrał swój sztucer z werandy, po czym wybiegł na podwórze. Pies powitał go machnięciem ogona, jak dobrego znajomego. Tomek odwiązał smycz. Obydwaj pobiegli ochoczo w kierunku zarośli.

Zaledwie znaleźli się na skraju buszu, Tomek zaraz przestał rozmyślać o danym ojcu przyrzeczeniu. Pstrokate, zabawne ptaki pochłonęły go całkowicie.

W pierwszej chwili uwagę jego przyciągnęły papużki faliste[53], których parę już widział w Warszawie u Jurka Tymowskiego. Musiał przyznać, że na swobodzie miały one jeszcze więcej swoistego wdzięku niż tamte w niewoli. Stado składało się z kilkudziesięciu sztuk. Papużki nie wykazywały obawy na widok chłopca. Przekrzywiały siarkowożółte łebki, przyglądały mu się wypukłymi ślepkami, trzepotały zielono-niebieskimi skrzydłami i z dumą puszyły swe zielonożółte piórka, okrywające je jak płaszcze. Tomek wyciągał do nich dłonie, wtedy ptaszki przeskakiwały na sąsiednią

gałązkę wdzięcząc się przymilnie. Jakże Tomek żałował, że nie miał przy sobie trochę prosa, konopi lub cukru, które tak chętnie jadły Jurka ulubienice!

„Gdybym zabrał przynętę, pewno schwyciłbym teraz jedną lub może nawet i dwie papużki – frasował się Tomek. – Miałbym piękną pamiątkę z wyprawy. Mógłbym potem ofiarować je do ogrodu zoologicznego w Warszawie, gdy go tam założy pan Bentley.”

Piękne papużki wciąż wdzięczyły się do niego. Raz udało mu się musnąć dłonią jedną z nich po miękkich, piórkach. Wprawdzie ptak zręcznie mu się wymknął, lecz Tomek nabrał nadziei, że nie wróci do domu z próżnymi rękami. Z coraz większą pasją uganiał za ptaszkami. Podczas gonitwy zagłębił się nieco w gąszcz. Niebawem spostrzegł inne odmiany papug. Na gumowym drzewie wysysała z kwiatów sok papuga wielkości gołębia. Była to lora[54]. Jej zielone i czerwone pióra mieniły się w słońcu, gdy zręcznie łąziła po gałęzi od kwiatu do kwiatu. Lotem szybkim jak strzała przelatywała na inne drzewa obsypane co piękniejszym kwieciem. Uganiając się za nią, Tomek zauważył kilka lor modrogłowych[55] o liliowoniebieskich głowach i kryzach, ciemnozielonym grzbiecie, oraz cynobrowoczerwonych piersiach. Skrzeczały do niego, jakby wyśmiewały się z jego próżnego wysiłku.

– Och, głupi, myślałeś, że złapiesz papugę – rzekł głośno sam do siebie, zły, że mu się te szczególne łowy nie udają.

„Och głupi, myślałeś, że złapiesz papugę!” ozwał się za nim czyjś głos.

Tomek zaczerwienił się jak sztubak schwytany na niemądrej psocie. Więc ktoś podpatrywał jego pogoń za papugami i teraz wyśmiewał się z niego. Zawstydzony obejrzał się, nie dostrzegł nikogo. Zdziwiony zaczął przeszukiwać rzadkie w tym miejscu krzewy, zaglądał za drzewa, lecz nie znalazł żartownisia. Poza tym pies, którego opodal przywiązał do krzewu, by mieć wolne ręce, stał spokojnie spoglądając w jego kierunku.

– Chyba się przesłyszałem – mruknął niechętnie. Nagle tuż nad jego głową znów odezwał się głos: „Och, głupi, myślałeś, że złapiesz papugę!”

Tomek natychmiast spojrział w górę. O metr nad nim na gałęzi siedziała wspaniała kakadu[56]. Przekrzywiła łebek, zabawnie opuszczając i podnosząc na przemian duży czub na głowie.

– A to znów co za licho? – krzyknął zdumiony Tomek.

„Och, głupi, myślałeś, że złapiesz papugę!” odkrzyknęła kakadu i zaraz dodała: „A to znów co za licho?”

Tomek zachwycony swym odkryciem, aż przysiadł na ziemi. Spoglądał na czerwonoczubą kakadu, która przekornie patrzyła na niego. Kakadu wstrząsnęła czubem i zawołała:

„A to znów co za licho?”

– Jakaś ty śliczna i mądra! – odezwał się Tomek, nie wierząc, że naprawdę widzi rozmawiającego ptaka.

„Jakaś ty śliczna i mądra” powtórzyła papuga.

Od tej chwili Tomek zapomniał o wszystkim. Miał tylko jedno, jedyne pragnienie: musi schwytać gadającego ptaka! Ostrożnie wspiął się na drzewko, ale kakadu w ostatniej chwili przefrunęła na sąsiednie, przemawiając złośliwie:

„Och, głupi, myślałeś, że złapiesz papugę!”

Tomek gonił za nią od drzewa do drzewa. Przypomnił sobie słowa pana Tymowskiego, który wyjaśniał mu, iż niektóre papugi z łatwością uczą się gwizdać pewne melodie, podczas gdy inne gatunki posiadają zdolność naśladowania mowy ludzkiej. Nawet bosman Nowicki wspominał o jednym marynarzu, który miał rozmawiającą papugę. Tomek nie skąpił trudu, by złapać gadającą kakadu. Cóż by to była za wspaniała pamiątka z wyprawy!

„Przecież papugi należą do długowiecznych ptaków – monologował. – Słyszałem, że nawet w niewoli mogą żyć po sto lat i więcej... Nigdy nie myślałem, że w Australii znajduje się tyle gatunków tych ptaków[57].

Tak rozmyślając, biegł za kakadu od drzewa do drzewa, prowadząc psa na smyczy. Tymczasem nie mniej rozbawiona papuga odfruwiała coraz głębiej w busz. Po wielu próbach udało mu się schwycić pięknego gadającego ptaka za ogon, lecz mocno uderzony dziobem w rękę, puścił go zaskoczony. W tej chwili smycz wyniknęła mu się z dłoni.

Pies, jakby pragnąc pomścić niepowodzenie swego towarzysza, natychmiast rozpoczął szaleńczy pościg za ptakiem.

„A to znów co za licho?” wrzeszczała papuga, zręcznie unikając pogoni.

Tomek pobiegł za psem. Papuga odlatywała coraz dalej w gąszcz, aż w końcu Tomek doszedł do wniosku, że jej nie schwyta. Zły na siebie i zmęczony zaprzestał bezskutecznego pościgu. Zaczął teraz przywoływać psa, lecz ten ani myślał wracać. Wprawdzie i on poniechał polowania na kakadu, ale dla odmiany biegł coraz dalej w krzewy, węsząc nosem przy ziemi.

– Chodź tu zaraz, niesforny psiaku! – wołał Tomek, z niepokojem j rozglądając się po gęstwinie.

Nie wiedział już, w którym kierunku znajdowała się farma. Jedyne pies mógłby go chyba do niej doprowadzić. Przestraszył się nie na żarty i zdwoił wysiłki, aby schwytać uciekiniera. Ten zaś, jakby na przekór, biegł wciąż naprzód z nosem przy ziemi. Kiedy Tomek zatrzymywał się zmęczony, pies również przystawał i spoglądał niecierpliwie. Wtedy zdawało się chłopcu, że wreszcie go schwyta. Ruszał zaraz z wyciągniętymi rękoma, lecz pies natychmiast znów biegł dalej.

„On oszalał, a ja... zrobiłem głupstwo nie dotrzymując przyrzeczenia – pomyślał Tomek z rozpaczą. – Nie trafię z powrotem do farmy i zginę w skrobie jak... ta Sally”.

Wystraszony, zmęczony gonitwą usiadł na ziemi i zapłakał. Naraz poczuł, że coś ciepłego, wilgotnego dotyka jego twarzy. Odsłonił oczy. Tuż przy nim siedział na dwóch łapach pies i wilgotnym jęzorem lizał go po policzku. Odetchnął z ulgą.

– Więc jednak nie opuściłeś mnie? – rozczulił się chłopiec. Pies przekrzywił głowę, spoglądając mu w oczy.

– Tak, ale teraz nie wiem zupełnie, w którym kierunku należy pójść do domu – poskarżył się Tomek drżącym głosem.

Różowy język znów dotknął jego policzka. Tomek wyciągnął rękę i pogłaskał psotnika po głowie. Zwierzę poderwało się natychmiast na cztery łapy, odbiegło kilka kroków, po czym przystanęło oglądając się wyczekująco.

„Mazgaj ze mnie – pomyślał Tomek. – Pies na pewno nie złądzi, a poza tym mam przecież sztucer. Nic mi się nie stanie!”

Powstał szybko, przerzucił sztucer przez ramię, a pies, jakby tylko na to oczekiwał, ruszył przed siebie węsząc przy ziemi. Było już późne popołudnie. Pies nie przystawał ani na chwilę; kluczył w gąszczu, ale w zachowaniu jego nie było widać niepewności. Gdy Tomek przywoływał go do siebie, przybiegał na chwilę, poszczekiwał radośnie, lecz zaraz ruszał dalej, węsząc bez przerwy. Tomek już nie miał wątpliwości, że był on na czymś tropie i zachęcał do poszukiwań.

„Kogo on szuka? – zastanawiał się. – Możliwe, że trafił na ślady jeźdźców przetrząsających skrob w poszukiwaniu dziewczynki, a może też...”

Serce zaczęło bić żywiej w jego piersi. Przecież pies mógł natrafić na ślad zaginionej Sally.

– Szukaj piesku, szukaj – zawołał zachęcająco.

Pies machnął ogonem. Pobiegł pewnie przed siebie. Tomek zapomniał o strachu. Jeżeli mężczyźni biorący udział w poszukiwaniach nie znaleźli Sally do tej pory, to na pewno będą przetrząsali gąszcz w dalszym ciągu. Wcześniej czy później powinien natknąć się na nich. Wobec tego postanowił sprawdzić, czym śladem dążył pies. Biegł szybko za pewnym siebie zwierzęciem. Naraz krzyknął radośnie. Skrob stawał się rzadszy. Między drzewkami prześwitywała wolna przestrzeń.

Tomek zatrzymał się na skraju polany. Nie opodal płynął strumyk, na brzegu którego schwymano w dniu poprzednim dwa szare kangury. Lecz co to? Pies podbiegł do sporej kępy zarośli. Poszczekując cicho, spoglądał na Tomka.

„Czego on tam szuka?” głowił się chłopiec.

Zbliżył się ostrożnie do krzewów. Pies dał nura w gęstwą zieleni.

„Oho, nie ma głupich! – pomyślał Tomek. – Nie mam zamiaru znów zablądzić, wolę pozostać na polanie”.

Przystanął przed zaroślami. Po dłuższej chwili pies wybiegł z gęstwiny. Skomląc żałośnie, otarł się o nogi chłopca, kilka razy to zbliżał się do krzaków, to zawracał, jakby zapraszał go w ten niezbyt zachęcający gąszcz.

Tomek zamyślił się. Przecież Sally z pewnością nie mogła znajdować się w tych

krzewach, ponieważ z tego miejsca łatwo było trafić do farmy.

Nagle przyszło mu do głowy straszliwe podejrzenie. Może jadowity wąż ukąsił Sally i teraz biedna dziewczynka leży martwa w tym pustkowiu?

„Najlepiej zrobię uciekając stąd czym prędzej – pomyślał. – Jeśli ukąsił ją wąż, to i mnie może spotkać ten sam los.”

Zaraz zawstydził się własnego tchórzostwa. Co powiedziałby o takim zachowaniu bosman Nowicki? Czy mógłby spojrzeć w oczy Smudze lub ojcu? Żaden z nich na pewno nie zawahałby się w takiej sytuacji.

„Ha, choćby ze względu na nich muszę zaryzykować! Sprawdzę, co znajduje się w tych krzakach” postanowił odważnie.

Nachylił się i powiedział kategorycznie do swego czworonogiego towarzysza:

– Dobrze, pójdę za tobą, ale daję ci słowo, że więcej niż dwadzieścia kroków nie zagłębię się w te krzewy.

Pies pobiegł w zarośla. Tomek ruszył za nim trzymając w rękach odbezpieczony sztucer. Ostrożnie idąc w gęstwinie, liczył kroki. Naraz pies znikł za rozłożystym krzewem. Tomek pochylił się i podążył za nim licząc dalej.

„Siedemnaście, osiemnaś...” urwał w połowie słowa. Ziemia osunęła mu się pod stopami i runął w dół, upuszczając broń. Wywinął kozła, po czym twarzą upadł w trawę. Oszołomiony trochę uniósł głowę i spojrzał. Tuż przed nim leżała na ziemi drobna skulona postać. Długie włosy opadały w nieładzie na jej ramiona.

„Czarodziejka zwabiła mnie do buszu. A to wpadłem! Zaraz owinie mnie swoją nicią...” przemknęło mu przez myśl.

Leżał bez ruchu, oczekując na spełnienie się losu, gdy naraz poczuł ciepłe, szorstkie liźnięcie na policzku.

„Czarodziejka, czy też... pies?” pomyślał, ostrożnie unosząc głowę. Odetchnął z ulgą. Był to pies. Przywarował przy nim, a gdy Tomek spojrzał na niego zaskomlał żałośnie. Teraz dopiero chłopiec obrzucił wzrokiem nieruchomo leżącą na ziemi postać.

„To... jest prawdopodobnie zaginiona Sally. Dlaczego leży tak cicho i bez ruchu? Boże, ona na pewno już nie żyje!”

Zimny pot wystąpił mu na czoło, ogarnął go lęk, lecz czas mijał, a nie działo się nic nadzwyczajnego. Ośmieliło go to trochę. Podniósł się i spojrzał z bliska na dziewczynkę. Spostrzegł teraz, że pierś jej nieznacznie unosiła się w oddechu.

„Sally, to jest na pewno Sally – szepnął. – Dlaczego śpi tutaj, zamiast pójść do domu?”

Przyklęknął przy jej głowie. Pies przysiadł przy nim na dwóch łapach. Przekrzywiając łeb spoglądał na uśpioną. Tomek dotknął jej ramienia zrazu ostrożnie, a potem potrząsnął już nim zdecydowanie i mocno. Dziewczynka otworzyła oczy. Westchnienie pełne bólu wyrwało się z jej piersi.

– Kto ty jesteś? – zapytała cichutko. Pies zaszczekał radośnie.

– Och, i Dingo jest tutaj! – dodała.

– To jest pies, który przyprowadził mnie do ciebie, a nie dingo – sprostował Tomek.

– Tak, ale on wabi się Dingo. To jest mój pies – odparła dziewczynka, usiłując usiąść.

Opadła jednak z jękiem na ziemię.

– Więc ty jesteś Sally, ta zaginiona dziewczynka, której wszyscy szukają od wczoraj? – niedowierzająco rzekł Tomek.

– Jestem Sally Allan – odparła. – Czy naprawdę wszyscy mnie szukają? Bo ja myślałam, że zapomnieli o mnie.

– Oni szukają ciebie w skrobie, a tymczasem ty znajdujesz się w kępie zarośli w pobliżu strumienia – wyjaśnił Tomek. – Dlaczego nie wróciłaś do domu? Przecież stąd bardzo łatwo trafić do farmy.

– Nie mogę wydostać się z tego okropnego dołu. Noga, moja noga, spójrz tylko na nią! – odpowiedziała i łzy ukazały się w jej dużych oczach. – Och, jak boli!

Tomek spojrzał na jej lewą nogę. Była mocno spuchnięta w kostce ponad stopą.

– Może wąż cię ukąsił? – powiedział zaniepokojony.

– Nie, to nie wąż. Wpadłam niespodziewanie do tego dołu i wtedy coś strasznego zrobiło się z moją nogą. Nie mogę oprzeć się na niej, nie mogę w ogóle wyjść stąd. Gdyby nie ty, umarłabym tu chyba z bólu i... głodu.

Tomek poczerwieniał z przejęcia.

– Już nie masz się czego obawiać. Mam tu sztucer, tylko... upuściłem go staczając się w tę jamę.

– To ty już umiesz strzelać? – zaciekawiała się ocierając ręką łzy. Tomek podał jej własną chusteczkę.

– Zabiłem nawet tygrysa, który wydostał się z klatki na statku – odparł Tomek niby to obojętnie.

– Naprawdę?

– Mam jego fotografię. Zastrzeliłem również dużego kangura! Łowię z moim ojcem dzikie zwierzęta.

– Jesteś bardzo odważny – przyznała Sally. – Tatuś mój opowiadał mi o was. Postanowiłam pójść do waszego obozu. Wyobraź sobie, że do tej pory nie widziałam łowców zwierząt. Wymknęłam się z domu i przybiegłam na polanę. Gdy przechodziłam w pobliżu tych krzewów, ujrzałam małe wallabi[58]. Chciałam schwytać je dla was na pamiątkę. Wtedy właśnie wpadłam do tego okropnego dołu. Krzyczałam z bólu, płakałam, ale nikt nie przychodził na pomoc. Czekałam całą noc, a potem usnęłam i ty przyszedłeś. Nie zostawisz mnie na pewno tutaj samej?

- Nie obawiaj się o to – upewnił ją Tomek.
- Jak ci na imię? – rezolutnie zagadnęła panienka.
- Tomek. Jestem Tomasz Wilmowski.
- Bardzo ładne imię. Będę mówiła na ciebie Tommy.
- Dobrze. Teraz obwiążę twoją nogę.

Zdjął własną koszulę, pociął ją nożem na szerokie pasy i zaczął bandażować nogę Sally.

– Och, jak strasznie boli – wołała płacząc, lecz gdy Tomek skończył zakładanie opatrunku, poczuła się znacznie lepiej.

– Teraz musimy wydostać się jakoś z tego dołu zanim nastanie noc – orzekł Tomek.

Zaraz rozpoczął przygotowania do wyprowadzenia Sally z głębokiej jamy. Przede wszystkim wspiął się na górę i odnalazł sztucer. Potem rozrywał ziemię nożem i spychał ją w dół. Po godzinie ciężkiej pracy wyłobił kilka stopni, które powinny ułatwić Sally wydostanie się z jamy. Nie mogła powstać o własnych siłach, więc wziął ją na ręce. Zaczął wspinać się po zaimprovizowanych schodkach. Dingo poszczekiwał radośnie, idąc za nimi. Sally popłakiwała z bólu. Na szczęście dziewczynka była szczupła i tak lekka, że Tomek wyniósł ją na gładką łąkę, a potem wziął „na barana”. W ten sposób dobrnęli aż na brzeg strumienia.

– Daj mi trochę pic – prosiła Sally. – Zaraz nabiorę sił.

Tomek wyjął z kieszeni składany kubek. Obydwoje zaspokoili pragnienie, po czym Sally zanurzyła spuchniętą nogę w strumyku.

– Naprawdę czuję się lepiej – rzekła.

– Pobiegnę do domu po pomoc – zaproponował Tomek.

– Och, tylko nie to! Zaraz będzie wieczór. Nie zostawiaj mnie samej – powiedziała prędko i chwyciła go kurczowo za rękę. – Zrozum, że nie mogę zostać sama. Czuję się tak jakoś dziwnie.

– Wobec tego poniosę cię na plecach.

– Naprawdę zrobisz to? – ucieszyła się Sally.

– Zrobię, muszę to nawet zrobić. Nie możemy przecież pozostawiać twoich rodziców tak długo w niepewności.

– Tommy, jesteś... bardzo dobry!

– No tak, takimi muszą być łowcy.

– Gdybym była chłopcem, również zostałabym łowcą, tak jak ty – odpowiedziała Sally.

– Wobec tego teraz siadaj na moje plecy i jakoś to będzie.

Z początku wszystko szło jak najlepiej. Wkrótce jednak Sally „zaczęła stawać się” coraz

cięższa. Tomek musiał urządzić częstsze odpoczynki. Nastąpiła noc. Tomek wydobywał już z siebie resztki sił, gdy na szczęście ujrzeli ognisko płonące przy farmie.

– Spójrz! Na pewno zebrało się wielu sąsiadów! Wszyscy czuwają przy ognisku – zawołała Sally.

– Doszlibyśmy wcześniej do domu, tylko stałaś się dziwnie ciężka. Zapewne napiłaś się za dużo wody – zrzędził Tomek.

– Wcale nie piłam dużo wody – oburzyła się. – To noga puchnie coraz więcej i przez to staję się cięższa.

– Może masz słuszość. Nie pomyślałem o tym.

Dźwigając Sally, zbliżał się do ogniska, przy którym siedziała gromada mężczyzn. Dingo siedł obok dzieci strzygąc uszami.

– Tatusiu! Mamo! – krzyknęła Sally. Mężczyźni przy ognisku znieruchomieli, nasłuchiwali.

– Na litość boską, to głos Sally! – krzyknął Allan, zrywając się na równe nogi.

– Sally, najdroższa Sally, gdzie jesteś? – wołała matka.

W krąg światła rzucanego przez ognisko wszedł półnagi Tomek, uginając się pod ciężarem siedzącej mu na plecach dziewczynki. Wszyscy oniemieli na ten widok. Nie byli pewni, czy nie ulegają złudzeniu. Chłopiec opadł na kolana. Zsadził Sally na ziemię. Potem powiódł wzrokiem po zaskoczonych farmerach.

– Ja... znalazłem... Sally... – powiedział rwącym się z wyczerpania głosem.

Trudno byłoby opisać wszystko, co nastąpiło później. Mężczyźni na czele z panią Allan podbiegli do dzieci. Pani Allan omal nie udusiła Tomka tuląc go mocno do piersi, a pan Allan bardzo wzruszony uściskał serdecznie jego dłoń.

Tomek z trudem panował nad własnym podnieceniem. Ogromna radość i duma rozpierały mu piersi. Młodzi i starzy farmerzy podchodzili doń kolejno i z powagą wieszowali sukcesu. Dziękowali, jakby uratował ich własne dziecko. Na samym końcu zbliżyli się przyjaciele. Smuga pierwszy wyciągnął prawicę mówiąc:

– Niewielu młodych ludzi w twoim wieku może pochwalić się zabiciem tygrysa; Wszakże dzisiaj dokonałeś znacznie większego czynu. Dla uczczenia tego dnia zapraszam cię na następną wyprawę do Afryki.

Drugim z kolei był Bentley. Trzymając w mocnym uścisku małą dłoń Tomka, powiedział:

– Wśród krajowców australijskich istnieje zwyczaj urządzania uroczystości, w czasie których młodzi chłopcy uznawani są za dorosłych. Otóż podczas wtajemniczenia w obrzędy religijne i sprawy plemienia, każdemu wstępującemu w grono starszych wybija się jeden z przednich zębów na znak, że stał się już mężczyzną. My nie uznajemy podobnych zwyczajów. Uważamy, że przeradzanie się chłopca w dżentelmena zostaje

udowodnione jego czynami. Dzisiaj pokazałeś, że jesteś prawdziwym mężczyzną.

Bosman Nowicki nie wygłosił okolicznościowego przemówienia. Uścisnął Tomka z taką siłą, że aż zatrzeszczały mu kości i mruknął: „Warszawiaka poznasz nawet w Australii.” W końcu ojciec przytulił syna do swej piersi mówiąc:

– Nie mogę teraz przypominać ci o niedotrzymanym słowie, ale nie pozostawiaj mnie więcej w tak wielkiej niepewności i... obawie. Czy wiesz, co działo się ze mną, gdy nie zastaliśmy ciebie ani tutaj, ani w obozie?

– Naprawdę nie chciałem zrobić głupstwa. To tak jakoś samo wyszło, a potem – znalazłem Sally – cicho usprawiedliwiał się Tomek.

– Nie ulega wątpliwości, że zachowałeś się po męsku – przyznał ojciec. – Musisz opowiedzieć nam jak to się wszystko stało.

– Czy nie mógłbym najpierw dostać czegoś do zjedzenia? Jestem bardzo głodny – poprosił Tomek.

Podczas gdy łowcy wraz z farmerami myli, ubierali i karmili Tomka, Allanowie troskliwie zajęli się małą Sally. Okazało się, że miała zwichniętą nogę. Praktyczni osadnicy potrafili radzić sobie w podobnych wypadkach. Wkrótce dziewczynka leżała już w swoim pokoiku z usztywnioną nogą. Zaledwie wypila pożywny bulion, natychmiast zasnęła.

Allanowie przyłączyli się do swych uczynnych gości, którzy w skupieniu słuchali opowiadania Tomka. Należy przyznać, że nie zataił on zasług Dingo w odnalezieniu Sally. Wychwalał jego niezwykłą mądrość, a tymczasem pies nie odstępował go ani na chwilę. Położył się przy nim na ziemi i wywiesiwszy różowy ozór, spoglądał na niego.

– Zrobiliśmy głupstwo nie zabierając Dingo na poszukiwanie Sally – odezwał się Allan, gdy Tomek zakończył opowiadanie. – Kupiłem go dla Sally zaledwie tydzień temu. Przypuszczałem, że musi minąć pewien czas zanim przyzwyczai się do nas. Dlatego też trzymałem go na uwięzi.

– Jakiej rasy jest ten pies? – zapytał Smuga. – Wydaje mi się, że wyglądem przypomina australijskiego dzikiego psa.

– Nie myli się pan – odparł Allan. – Pochodzi on ze skrzyżowania psa domowego z czystej krwi dingo.

Wkrótce farmerzy zaczęli żegnać Allanów. Na każdego z nich czekały w domach zaniepokojone rodziny i pilne prace. Łowcy również musieli powrócić do obozu. Przed odjazdem obiecali Allanom, że odwiedzą ich następnego dnia.

NIEMY PRZYJACIEL

Całodzienne błądzenie po skrobie oraz niezwykle przeżycia zmęczyły Tomka tak bardzo, że po przybyciu do obozu, zaledwie przyłożył głowę do poduszki, zasnął natychmiast twardym snem. Następnego dnia, dopiero około południa, obudziło go lekkie łaskotanie po twarzy. Nie otwierając oczu machnął ręką, aby opędzić się, jak przypuszczał, od jakiegoś natrętnego owada. Po chwili znów poczuł łaskotanie. Naciągnął koc na głowę i usiłował spać dalej. Mimo to nie zaznał spokoju. Oto jakaś dziwna istota wtargnęła pod przykrycie. Tego było już Tomkowi za wiele. Rozgniewany, energicznie odrzucił koc, siadając jednocześnie na posłaniu.

– A skąd ty się tutaj wziąłeś? – zawołał zdumiony, ujrawszy, kto był sprawcą wytrącenia go z błogiego snu.

Dingo, pupil Sally, przywarował obok niego. Zawzięcie machał puszystym ogonem, a w psich mądrych ślepiach czaiły się błyski wesołości, jakby wiedział, że splątał chłopcu figla.

– Skąd się tu wziąłeś? – Tomek powtórzył pytanie.

Dingo dźwignął się. Otarł łeb o piersi chłopca, liznął go szorstkim jęzorem po brodzie, po czym pobiegł do otworu w namiocie. Teraz odwrócił się i spoglądał wyczekująco.

– Aha, chcesz zapewne, abym wyszedł z tobą? – domyślił się Tomek. Pies odpowiedział szczekaniem. Głos jego brzmiał inaczej niż zwykłych psów. Chrapliwe szczęknięcia przemieniały się w cichy, urywany skowyt.

– Co tu się dzieje, Tomku – zapytał Wilmowski, zaglądając do namiotu.

– Spójrz tatusiu! Dingo przybiegł za nami z farmy do obozu. Łaskotał mnie po twarzy. Jakie to miłe psisko!

– Chodź do mnie, Dingo! – zachęcał Wilmowski, wyciągając rękę. Pies najwidoczniej nie miał ochoty do zawierania dalszych znajomości. Położył się na ziemi, zjeżył na karku sierść i w milczeniu szczyrzył kły.

– Ho, ho! Widzę, że on tylko ciebie uznał za swego przyjaciela – zauważył Wilmowski.

– Dingo, tak nie można, to przecież jest mój ojciec – skarcił Tomek psa.

Podbiegł do ojca i zarzucił mu ręce na szyję. Dingo ciekawie przyglądał się tej scenie. Tomek przywołał go, a kiedy podszedł do nich, powiedział:

– Dingo! Taki mądry piesek jak ty na pewno przywita się z moim ojcem!

Pies machnął ogonem. Otarł się o nogi Wilmowskiego, spoglądając przyjaźnie.

– Widzisz teraz sam, ojcze, jaki on jest rozsądny – puszył się Tomek.- Bez jego pomocy na pewno nie znalazłbym Sally. Może nawet sam zaginałbym w skrobie?

– Wygląda na roztropne stworzenie – przyznał ojciec.

– Bardzo chciałbym mieć takiego psa. Mógłbym wszędzie z nim chodzić i nie zabłądziłbym nawet w nieznannej okolicy.

– Jeśli tylko nadarzy się ku temu okazja, kupię ci psa – pocieszył syna Wilmowski. – Ubierz się teraz szybko, ponieważ wypada złożyć wizytę państwu Allan. Musimy zapytać o zdrowie małej Sally. Przy sposobności odprowadzimy Dingo.

Wkrótce gromadka łowców dosiadła wierzchowców, Dingo pobiegł przy pony, na którym jechał Tomek. Allanowie przywitali gości z wielką radością. Zaraz zaprowadzili ich do pokoiku Sally. Dziewczynka czuła się znacznie lepiej. Na widok łowców klasnęła w dłonie i zawołała:

– Och, jak to dobrze, że przyjechaliście do nas! Obawiałam się, że Tommy po powrocie do obozu zaraz o mnie zapomni. On na pewno woli zabijać tygrysy i kangury, niż rozmawiać ze mną.

Tomek zarumienił się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ojciec wybawił go z kłopotu zwracając się do Sally:

– Widzisz sama teraz, że obawy twoje były zupełnie niepotrzebne. Tomek odłożył wszystkie swe zajęcia, aby upewnić się, czy wracasz do zdrowia.

– Tommy! Naprawdę chciałeś wiedzieć, czy już się dobrze czuję? – nie dowierzała Sally.

Tomek spojrzał niepewnie na ojca, po czym odparł:

– Hm, oczywiście! Nie mogło być inaczej, skoro tak tatuś mówi.

– Czy nie przyniosłeś przypadkiem fotografii zastrzelonego przez ciebie tygrysa? – ciekawiła się dziewczynka.

Gdy Sally zapytała o jego ulubioną fotografię, Tomek natychmiast poczuł się o wiele pewniej. Teraz przynajmniej miał o czym mówić. Odparł też szybko:

– Tak, mam ją właśnie przy sobie. Przyniosłem również dla ciebie moje zdjęcie na słoniu cejlońskim, którego przywieźliśmy z Colombo do ogrodu zoologicznego w Melbourne.

– Tommy, nie mogę wprost uwierzyć, że chcesz ofiarować mi tak śliczną pamiątkę?!

– Taki mam zamiar, jeżeli ci oczywiście na tym zależy – odpowiedział

Tomek niby to obojętnym głosem, lecz w rzeczywistości czuł się bardzo dumny, że Sally poprosiła go o fotografię, którą uważał za nadzwyczaj interesującą.

Nie tylko mała Sally była zachwycona darem Tomka. Matka jej bowiem przez cały czas spoglądała wzruszona na dzielnego chłopca, teraz zaś wtrąciła się do rozmowy:

– Jak się cieszę, że będziemy mieli twoją fotografię, Tommy. Naprawdę sprawiłeś nam wielką przyjemność. Bardzo ci dziękujemy! Sally, kochanie! Ty również powinnaś ofiarować coś Tommy'emu dla upamiętnienia tak cennej dla nas znajomości. Przecież Tommy oddał nam wielką przysługę!

– Masz rację, mamusiu! Muszę dać coś Tommy'emu na pamiątkę. Nie wiem tylko, co

– zafrasowała się Sally.

– Najlepiej zapytaj, co sprawiłoby Tommy'emu największą przyjemność – doradziła matka.

– Powiedz zaraz, co chcesz mieć ode mnie na pamiątkę? – zwróciła się Sally do Tomka.
– Niestety nie mam tak pięknej fotografii jak ty!

Tomek coraz bardziej zakłopotany milczał uparcie. W ogóle nie był pewny, czy wypada prosić o jakąkolwiek pamiątkę. Wprawdzie chciał zaimponować dziewczynce ofiarowując jej fotografię, na której tak wspaniale wyglądał na prawdziwym słoniu, lecz nie przewidział, że taki w rzeczywistości drobiazg sprawi mu tyle kłopotu. Cóż miał teraz odpowiedzieć? Zafrasowany spojrzał prosząco na ojca, lecz ten, rozweselony zmieszaniem zawsze rezolutnego syna, wcale nie miał zamiaru przyjść mu z pomocą. Wszyscy tłumili śmiech patrząc na niego.

„A to wpadłem straszliwie – pomyślał Tomek. – Już chyba nikomu nie podaruję w przyszłości swojej fotografii.”

Stał zaczerwieniony, nic nie mówiąc. Natomiast mała Sally nie czuła onieśmienia. Zupełnie widocznie, na równi ze starszymi, bawiła się zmieszaniem chłopca, a poza tym naprawdę chciała ofiarować mu jakąś pamiątkę. Przecież to był łowca dzikich zwierząt, który sam zabił tygrysa i kangura! Żadna z jej przyjaciółek nie mogła pochwalić się taką znajomością. Gdyby tylko zechciał pisywać do niej listy...

Podniecona nadzieją usiadła na łóżku i odezwała się stanowczo: – Tommy, musisz natychmiast powiedzieć, co chciałbyś otrzymać ode mnie!

Tomek westchnął cichutko. Z niezmiernym żalem pomyślał, dlaczego to w Australii nie ma na przykład trzęsienia ziemi? Gdyby w tej chwili dom zadrżał w posadach, Sally i wszyscy inni na pewno zapomnieliby o upominku. Dom jednak nie miał zamiaru zapadać się w ziemię, natomiast uparta Sally wpatrywała się w niego błyszczącymi z podniecenia oczyma.

Naraz coś wilgotnego dotknęło dłoni Tomka. Machnął niecierpliwie ręką, lecz w tej chwili doznał jakby nagłego olśnienia. Spojrzał, by się upewnić. Tak, to Dingo stał przy nim i patrząc na niego machał ogonem.

– Sally, czy ty naprawdę chcesz mi dać jakąś pamiątkę? – zapytał Tomek, zapominając o przyjaciółkach i państwu Allan.

– Oczywiście Tommy! Czekam przecież na twoją odpowiedź, co mam ci ofiarować – potwierdziła Sally.

– I... naprawdę nie będziesz później żałowała? – upewnił się jeszcze. Sally roześmiała się donośnie, klaszcząc z uciechy w dłonie.

– Och, Tommy, Tommy! Jesteś zupełnie taki sam, jak mój kochany tatuś, który zawsze myśli, że mamusia nie wie, czego on chce.

Pan Allan chrząknął zakłopotany słowami córki, a reszta towarzystwa wybuchnęła

głośnym śmiechem. Tomek, zbity już zupełnie z tropu, przezornie zaczął wycofywać się ku drzwiom, lecz Sally zawołała:

– Tommy! Nie musisz już nic mówić! Naprawdę nie będę nigdy żałowała i... bierz go sobie na pamiątkę ode mnie. ON JEST TWÓJ!

– Kto niby jest mój? – wybąkał zaskoczony Tomek.

– Dingo! Przecież to o niego właśnie miałaś zamiar mnie prosić – odrzekła Sally tłumiąc śmiech.

– To prawda, chciałem, ale skąd ty o tym mogłaś wiedzieć? – zapytał ogromnie uradowany takim obrotem sprawy.

– Tylko chłopcy są tak niedomyślni. Każda dziewczynka patrząc na ciebie wiedziałaby od razu, o czym myślisz – triumfowała Sally.

– Bardzo ci dziękuję, Sally – powiedział Tomek z poważną miną, ponieważ wcale nie był zachwycony jej opinią o chłopcach. – Dziewczynkom zawsze wydaje się, że wszystko lepiej wiedzą. Irka jest taka sama, jak ty.

– Kto to jest ta Irka? – zaraz zagadnęła Sally.

– To moja cioteczna siostra w Warszawie – wyjaśnił Tomek.

– Chodź tu bliżej do mnie. Musisz opowiedzieć mi o niej wszystko – poprosiła Sally. – Ciekawa jestem również w jaki sposób zabiłeś tego tygrysa.

Tomek natychmiast odzyskał humor. Teraz okaże się, kto naprawdę jest ważniejszy. Trzymając Dingo za obrozę, zbliżył się do Sally. Sznurkiem wydobytym z kieszeni przywiązał psa do nogi krzesła, na którym usiadł obok łóżka dziewczynki.

– O czym mam najpierw opowiedzieć: O Irce, czy też o tygrysie? – zwrócił się do Sally.

Sally naprawdę była roztropną dziewczynką. W oczach Tomka odczytywała z łatwością jego najskrytsze myśli, odpowiedziała więc bez chwili wahania:

– Przede wszystkim chciałabym usłyszeć o tygrysie.

Tomek chrząknął i zaczął mówić:

– W porcie Colombo na Cejlonie załadowaliśmy na statek...

– Zostawmy ich teraz samych – zaproponowała pani Allan. – Na pewno nie będą się nudzili. Proszę panów na obiad. Dla Tommy'ego i Sally przyniosę jedzenie tutaj, do pokoju.

– Kobiety zawsze wiedzą, co myślą mężczyźni – dodał pan Allan, naśladując głos Sally. – Domyśliły się więc, że jesteśmy głodni. Prosimy panów do stołu.

Tomek z najdrobniejszymi szczegółami opowiadał Sally przygodę z tygrysem, później szeroko mówił o Warszawie, o Irce i braciach ciotecznych, a skończył na śmiesznych kawałach, jakie płatał w szkole razem z kolegami. Dziewczynka słuchała z wielkim zaciekawieniem, wypytywała o szczegóły. – W końcu oświadczyła, że zaraz po wakacjach

podrzuci chrząszcza nie lubianej i zarozumiałej koleżance.

– Wkrótce tatuś odwiezie mnie do Bathurst do prywatnej szkoły pani Wilson – mówiła Sally. – Wyobrażam sobie, jak będą mi zazdrościły koleżanki, gdy pokażę im twoją fotografię na słoniu. Żadna z nich nie widziała jeszcze prawdziwego łowcy dzikich zwierząt

– Jeżeli naprawdę lubisz takie fotografie, to poproszę ojca przy okazji o inne zdjęcia ze zwierzętami i przyślę ci je w liście – zaproponował Tomek, któremu pochlebiało uznanie Sally.

– Czy możesz mi przyrzec, Tommy, że będziesz pisał do mnie listy? – dopytywała się uradowana propozycją.

– Muszę nawet pisywać do ciebie, bo na pewno będziesz ciekawa, co się dzieje z Dingo.

– Och tak, tak! Będę bardzo ciekawa! Wiesz, Tommy, naprawdę cieszę się, że podarowałam go tobie. Muszę przyznać się, że to ja namówiłam dzisiaj Dingo, aby poszedł do ciebie do obozu. Obawiałam się, że zapomnisz przyjechać do nas. A chciałam ci podziękować!

– Niemożliwe, żeby pies zrozumiał twoje „namawianie”. Dziwne to, bo on naprawdę przyszedł do mnie.

– Nie mów tak o Dingo – oburzyła się; – On wszystko rozumie, co się do niego mówi. Powiem mu zaraz, że ma być twoim wiernym przyjacielem.

Rozpoczęła długą przemowę do psa; Tomek tymczasem rozmyślał o dziwnym zbiegu okoliczności. Wróżbita z Port Saldu powiedział mu przecież, że znajdzie przyjaciela, który nigdy nie przemówi słowa. Czyżby miał na myśli właśnie Dingo? Zaraz też podzielił się swymi przypuszczeniami z Sally. Dziewczynka wysłuchiwała go uważnie, a gdy skończył, powiedziała:

– Pani Wilson często stawia sobie kabałę. Ona mówiła nam, że wróżby niekiedy spełniają się, jeżeli człowiek im trochę pomaga.

– Nie rozumiem, jak można pomagać w spełnianiu się wróżb? – powątpiewał Tomek.

– Czyni się to w bardzo prosty sposób. Mianowicie należy tak postępować, żeby się spełniły – wyjaśniła Sally. – Jeśli ci ktoś wywróży, że dostaniesz w szkole dwóję, to po prostu wystarczy nie nauczyć się lekcji i już wróżba się spełnia.

– To rzeczywiście bardzo prosty sposób – przyznał ze śmiechem Tomek.

– Szkoda tylko, że nie będziesz mógł go wypróbować. Taki łowca nie musi chyba chodzić do szkoły?

– Nie martw się, Sally, wypróbuję go na pewno – uspokoił ją. – Niestety, nawet i łowcy muszą się uczyć. Po zakończeniu łowów w Australii ojciec odwiezie mnie do szkoły w Anglii. Tylko wakacje będę mógł poświęcać na wyprawy.

– Myślałam, że masz już wszystkie kłopoty szkolne poza sobą...

– Właśnie łowca powinien mieć dużo wiadomości i to z wielu dziedzin. Nie można przecież wędrować po różnych krajach nie znając geografii, ani chwycić zwierząt nie umiejąc odróżnić słonia od małpy.

– To prawda, śmieszna jestem, że tak niekiedy rozumiem – roześmiała się Sally. – Dokąd wybierasz się w czasie następnych wakacji?

– Pan Smuga zaprosił mnie na wyprawę do Afryki. Nie wiem tylko, czy będzie ją można zorganizować już w przyszłym roku.

– A zabierzesz ze sobą Dingo?

– Tak, przecież nie mógłbym rozstać się z przyjacielem.

– To doskonale! Wobec tego będziesz musiał pisywać do mnie z Afryki.

– Na pewno będę pisał – przyrzekł Tomek.

W tej chwili do pokoju wszedł pan Allan, niosąc tacę zastawioną naczyńiami z dymiącymi potrawami.

– Jak to dobrze, kochany tatusiu, że pomyśleliście o nas – powitała go Sally okrzykiem radości. – Tommy na pewno jest głodny, a ja mogłabym zjeść całego kangura! Co przyniosłeś dobrego?

– Samie przysmaki, droga córeczko: rosół z mięsa młodych papużek, baraninę w sosie z ziemniakami, pudding[59] i kompot z brzoskwiń – odparł Allan, stawiając tacę na stoliku przy łóżku.

– Ho, ho, to prawdziwa uczta! – zawołał Tomek, ochoczo przysuwając się do stołu. – Odwykłem już w obozie od domowych obiadów. Jestem ciekaw, jak też smakuje rosół z papug? Nie wiedziałem, że te ptaki są jadalne.

– Mięso papug raczej rzadko się je, natomiast rosół z niego jest doskonały i pożywny – odparł Allan. – Osobiście zrezygnowałbym ze smakowitej potrawy, byle tylko wstrętne ptaszyska wyniosły się stąd raz na zawsze!

– Jak też pan może nazywać „wstrętnymi ptaszyskami” te śliczne i mądre papugi? – oburzył się Tomek, przypominając sobie barwną, rozmawiającą kakadu.

– Pomieszkaj tylko tak jak my, w ich pobliżu, a przestanieś się nimi zachwycać. Żaden plon nie ostoi się w polu przed ich żarłocznością. Podobnie jak małpy, więcej zawsze zniszczą, niż zjedzą. Ponadto niektóre gatunki, na przykład kakadu, mają jakieś przedziwne zamiłowanie do niszczenia wszelkich przedmiotów. Czy wiesz, że przegryzają one grube deski, cienką blachę, tłuką szkło i próbują nawet drążyć dziury w murze?

– Nigdy bym tego nie przypuszczał – zdumiał się Tomek. – No, proszę! A ja miałem zamiar schwytać sobie gadającą kakadu!

– Muszę przyznać, że w niewoli kakadu są tak łagodne, jak żadne inne papugi. Oswajają się łatwo i szybko przywiązują się do swych opiekunów. Są też bardzo pojętne. Z dużą łatwością uczą się mówić, a nawet wykonywać pewne sztuczki, ale spróbuj tylko

puścić kakadu swobodnie w mieszkaniu, a zobaczysz, jak cię urządzi!

– To zapewne dlatego nie spostrzegłem wokół farmy uprawnych pól – domyślił się Tomek. – Skąd wobec tego macie państwo jarzyny?

– Hodowcom owiec nie opłaca się tutaj uprawa jarzyn – odpowiedział Allan. – Łatwiej jest sprowadzać jarzyny z odległych okolic, niż utrzymywać drogiego robotnika.

– Przypominam sobie teraz, że pan Bentley wspomniał nam już o tym. Jeśli papugi są tak żarłoczne, jak pan mówi, to należy dziękować naturze, iż żywią się wyłącznie owocami i roślinami. Cóż bowiem stałoby się w innym przypadku z pana owcami?

– Rozumowanie twoje jest tylko w części słuszne – powiedział Allan. – Wprawdzie pożywienie papug składa się przede wszystkim z nasion oraz owoców, lecz niektóre gatunki, właściwe tylko Nowej Zelandii, to jest tak zwana przez Maorysów[60] zielono-brunatna kaha[61] i oliwkowozielona kea[62], są wszystkożerne. Uderzają nawet na duże zwierzęta, a w potrzebie jedzą także padlinę. Szczególnie złą sławą cieszy się kea. Zauważono mianowicie, że owce na pastwiskach górskich, w nieznanach okolicznościach, ktoś ciężko ranił na grzbiecie. Z powodu ran, wielkości ludzkiej dłoni, nierzadko następowała śmierć zwierzęcia. Wyobraź sobie, jak wielkie było zdziwienie hodowców, gdy bliższe obserwacje przeprowadzone przez pastuchów wykazały, iż rany te zadawały owcom papugi kea. Jest to dowodem łatwości przystosowania się papug do nowych warunków życia. Kea była dawniej roślinożerna i na ssaki nigdy nie napadała, choćby dlatego, że tych zwierząt w Nowej Zelandii nie było. Po sprowadzeniu owiec na wyspy kea stała się typowym ptakiem drapieżnym, jedzącym mięso.

Allan byłby się rozgadał jeszcze bardziej, lecz wywołała go żona:

– Mój drogi, pan bosman Nowicki wzniosł toast za zdrowie gospodarzy, a ty rozprawiasz tutaj o papugach – powiedziała mrugając nieznacznie okiem do córki, która także знаła niechęć ojca do .pstrych, ptasich mieszkańców Australii.

Sally zachichotała wesoło i również mrugając okiem do matki, zawołała:

– Tommy nie wie jeszcze, że kangury i papugi straszą naszego tatusia nawet w nocy podczas snu! Idź już, idź, tatusiu, do naszych gości. Opowiem Tommy'emu, jak to krajowcy zręcznie polują na papugi za pomocą bumerangów.

Allan z żoną odeszli do jadalni. Dzieci znów rozpoczęły ciekawą dla nich rozmowę. Czas szybko schodził. Dopiero późnym wieczorem łowcy powrócili do swego obozu.

W ciągu następnych dwóch dni Tomek jeszcze dwukrotnie odwiedził Sally, która tak go polubiła, że gdy nadeszła w końcu chwila pożegnania, rozplakała się serdecznie. Oczywiście Tomek wzruszył się również, ale będąc dzielnym chłopcem, potrafił zapanować nad sobą. Pocieszył nawet Sally, solennie obiecał bowiem pisać do niej listy z podróży.

Po zakończeniu łowów na szare kangury Bentley powiódł ekspedycję w kierunku południowo-wschodnim ku łańcuchowi gór, u podnóża których rozciągał się szerokim pasem australijski busz. Niebawem łowcy zagłębili się w gąszcz zieleni. Był to las nie spotykany w innych częściach świata. Z przyziemnych krzewów wysoko w niebo wystrzelały słupowate eukaliptusy[64], które podobnie jak amerykańskie sekwoje w Kalifornii, osiągały tutaj olbrzymie rozmiary[65]. Do ich szarych, surowych pni tuliły się kilkumetrowej wysokości drzewa paproci, smukłe araukarie i palmy, mimozy o kwieciu wydającym drażniącą woń, dzikie oliwki oraz bukszpany. Gdzieś widać było wspaniałe cedry i sosny, a w ich sąsiedztwie drzewa trawowe, najrozmaitsze odmiany akacji i kazuaryny o długich splotach gałązek. Uciążliwa dla karawany wędrówka przez busz przeciągała się z dnia na dzień.

Tomek poczuł się jakoś nieswojo w tym dziwnym dla Europejczyka lesie. Tak jak pierwsi odkrywcy spoglądał zdumiony na potężne eukaliptusy prawie wcale nie dające cienia. Teraz zrozumiał, dlaczego tak się działo. W pełnym blasku gorących promieni słonecznych liście eukaliptusów odwracały swe blaszki brzegami do słońca, chroniąc się w ten sposób przed nadmiernym parowaniem. Drzewa te nie zrzucały ha zimę swych liści, natomiast corocznie odpadała z nich martwa kora, która zwisała z pni długimi, jasnymi płatami; poruszana podmuchami wiatru wydawała niepokojący szelest. Tomek poweselał nieco, gdy wśród nie znanych mu roślin uśmiechnęła się do niego czerwienią zwykła leśna poziomka.

W końcu łowcy zboczyli w płytki parów, ukosem wiodący do zalesionych stoków górskich. Po kilkugodzinnej jeździe znaleźli się na skraju dużej polany. Z bujnej trawy wychylały się różnokolorowe kwiaty, a wśród nich królował waratak, narodowy kwiat Nowej Południowej Walii. Polana owa wydawała się idealnym miejscem na rozłożenie obozowiska. Z jednej strony otaczał ją gęsty busz, z drugiej piętrzyły się góry o stokach porośniętych niebotycznymi eukaliptusami i drzewami gumowymi. Mały strumyk wijący się wśród zieleni zapewniał dostatek wody. Bentley musiał zapewne już znać tę okolicę, gdyż zaledwie ujrzał uroczą polanę, zaraz zatrzymał ekspedycję i oznajmił:

– W tych stronach będziemy mogli znaleźć bardzo ciekawe okazy fauny australijskiej. Tutaj rozbijemy obóz.

Przez najbliższe dni łowcy starannie przygotowali się do polowania na małego zwierza. Podczas gdy inni budowali odpowiednie klatki i sporządzali sprzęt łowiecki, Tony rozpoznawał w najbliższej okolicy obozu tropy różnych czworonogów. Australijczyk przedzierzgnął się w prawdziwe dziecko natury: zrzucił europejskie ubranie, które, jak twierdził, przeszkadzało mu w swobodnych ruchach i przez całe dni myszkował po buszu; czytał w nim jak w otwartej księdze. Tak jak wszyscy australijscy krajowcy Tony potrafił doskonale radzić sobie w surowych warunkach tamtejszej przyrody. W pierwszym rzędzie wykazał w pełni swe niezwykle zdolności łowieckie. Z łatwością odnajdywał niewidoczne dla innych tropy zwierząt, wskazywał ścieżki, którymi zazwyczaj chodziły. Przed jego bystrym wzrokiem nie mogły ukryć się nawet ślady pozostawione na korze drzewnej przez

małą pałankę australijską[66]. Ponadto Tony'ego cechowała niezwykła wprost cierpliwość, dzięki której nie zniechęcał się żadnymi przeszkodami. Swą zręcznością zaimponował wszystkim uczestnikom wyprawy. Skakał jak kangur bądź pęzał jak wąż. Za pomocą sznura oraz siekierki mógł piąć się na pnie wysokich eukaliptusów, a palcami nóg z największą łatwością podnosił z ziemi wszelkie przedmioty.

Tony doskonale znał zwyczaje różnych zwierząt. Wiedział również, w jaki sposób należy urządzać na nie pułapki. Chętnie wtajemniczał towarzyszy w arkana łowieckie.

Wilmowski przysłuchiwał się uważnie jego relacjom, potem notował wszystko, co dotyczyło zwierząt, które miały być zabrane do Europy. Tomek zaciekawił się, w jakim celu ojciec zbiera te wiadomości. Poprosił o wyjaśnienie. Wtedy dowiedział się, że poznanie zwyczajów oraz sposobu życia różnych zwierząt konieczne jest dla stworzenia im w ogrodzie zoologicznym warunków najbardziej zbliżonych do naturalnych. Od tej pory wędrował za Tonym jak cień. Chodził za nim na długie wycieczki rozpoznawcze, uczył się trudnej sztuki tropienia zwierząt i przy każdej okazji zasypywał go pytaniami. Tony polubił polskich łowców, ponieważ traktowali oni australijskich krajowców na równi z białymi ludźmi. Szczególną sympatią otaczał Tomka, od chwili gdy ten zdołał przełamać nieufność plemienia „człowieka-kangura”. Nie skąpił mu również wszelkich wyjaśnień, dzięki czemu chłopiec wiele się nauczył. Po kilkunastu wypadach, w czasie których wynajdywali legowiska zwierząt, Tomek umiał już obrać właściwy kierunek orientując się po układzie liści drzew i rozróżniał nawet ślady niektórych zwierząt. Z każdym dniem coraz bardziej przywykał do buszu, śmiejąc się z swych uprzednich obaw przed zabłądzeniem. W miarę możliwości naśladował we wszystkim Tony'ego, sprawiając tym krajowcowi wiele zadowolenia. Żywili się też obydwaj coraz bardziej.

Łowy na małego zwierza nie wymagały jednorazowego udziału większej liczby myśliwych. Za radą Bentleya utworzono cztery grupy łowieckie, dla których Tony układał oddzielne plany polowań. Poszczególne wyprawy wyruszały na łowy tak w dzień jak i w nocy, ponieważ niektóre zwierzęta wychodziły na żer dopiero po zapadnięciu zmroku. Dzięki starannym, drobiazgowym przygotowaniom niemal każdy wypad kończył się pomyślnie. Zbudowane zawczasu klatki zapełniały się stopniowo różnymi okazami fauny australijskiej.

Były to dla Tomka wymarzone łowy. Nie spotykane na innych kontynentach czworonogi przeważnie nie stanowiły dla człowieka większego niebezpieczeństwa. Tomek mógł polować na nie nawet w pojedynkę, co sprawiało mu największą przyjemność.

Wilmowski z zadowoleniem obserwował, jak Tomek mężnie z dnia na dzień, nabiera doświadczenia i rozwagi. Niemal nie ograniczał teraz jego swobody. Pozwalał mu już na samodzielne decydowanie, co do udziału w łowach, a trzeba przyznać, że Tomek prawie zawsze wybierał najbardziej interesujące wyprawy.

Pewnego dnia po południu Tomek obserwował zamknięte w klatkach trzy kolczatki[67], które zostały schwytane ostatniej nocy. Te zagadkowe, pierwotne ssaki tworzyły razem z dziobakami[68] rząd stekowców.

Kolczatki, typowe naziemne stworzonka,[69] szeroko rozpowszechniły się w Australii, Nowej Gwinei[70] i Tasmanii, gdzie z wyjątkiem obszarów pustynnych, wszędzie można było je spotkać. Wówczas jednak były mało znane, gdyż nie udawało się przeprowadzić obserwacji trybu ich życia.

W przeciwieństwie do kolczatek dziobaki przystosowane do życia podwodnego i naziemnego były znacznie mniej liczne i żyły jedynie na błotnistych brzegach spokojnych i czystych rzek w południowo-wschodniej Australii i Tasmanii. Schwymane do niewoli ginęły po kilkunastu dniach.

Już sam wygląd kolczatek budził ciekawość Tomka. Były one nadzwyczaj niezdarne. Miały stosunkowo długi, wąski, rurkowaty dziób, utworzony ze zrogowaciałej skóry. Pysk oraz okolice uszu pokrywała gładka szczecina, podczas gdy cały grzbiet był porośnięty sztywnymi i mocnymi kolcami, dochodzącymi do sześciu centymetrów długości. Kolce u nasady były koloru bladożółtego, pośrodku pomarańczowe, a na końcach czarne. Słupowate nogi oraz cały brzuch i podbrzusze pokrywało ciemnobrunatne futerko, gęsto usiane gładką szczeciną. Długość zwierzątka wynosiła około czterdziestu centymetrów wraz z centymetrowym ogonkiem.

Polowanie na kolczatki odbyło się w nocy, kiedy swoim zwyczajem wyszły z nor na poszukiwanie żeru. Zasadzkę na oryginalne zwierzątka urządzono przy odnalezionych przez Tony'ego mrowiskach oraz przy kopcu termitów. Mrówki, termity oraz poczwarki tych owadów są prawdziwym przysmakiem dla kolczatek, które wyciągają je z labiryntu mrowiska swoim długim językiem, pokrytym lepłą śliną.

Tomek z zapalem brał udział w polowaniu na kolczatki. Przekonał się przy tej okazji, że nie są one zupełnie bezbronne. W chwili niebezpieczeństwa zwijały się w kłębek jak nasze jeże, wystawiając jednocześnie sterczące pośród sierści długie, grube kolce. Jeśli tylko starczyło im czasu, potrafiły silnymi nogami, zakończonymi dużymi, mocnymi pazurami, szybko wykopać dół, by skryć się pod ziemią. Dłonie Tomka, a także i pysk jego ulubieńca, Dingo, nosiły ślady ukłuc ostrych kolców. Mimo to wypad łowiecki zakończył się pomyślnie.

Kolczatki były bardzo poszukiwane, tak przez ogrody zoologiczne, jak i przez europejskich zoologów, ze względu na to, że wykluwały się ze składanych przez samice jaj, a karmiły się mlekiem, wypływającym na powierzchnię brzucha matki dwoma otworami. Samica składała jedno jajo, które umieszczała w podobnej do worka fałdzie, utworzonej przez skórę na brzuchu. Młoda kolczatka rosła w tej fałdzie i wychodziła z niej wówczas, gdy w jej sierści zaczynały się pojawiać ostre kolce.

Wśród schwytych trzech kolczatek znajdowała się, jedna samiczka. Tomek właśnie rozważał, w jaki sposób mógłby przekonać się, czy w jej fałdzie na brzuchu nie przebywa przypadkiem młody potomek, gdy naraz obok niego przystanął Tony, który w tej chwili powrócił z buszu. Tomek spojrzał na tropiciela. Krajowiec mrugnął okiem i dał mu znak głową, aby oddalił się z nim poza obóz. Tomek natychmiast zapomniał o kolczatkach. Zachowanie się przyjaciela wskazywało, że musiał odkryć coś ciekawego, co pragnie zataić przed innymi.

Zaledwie znaleźli się poza obozem, Tomek zaraz zapytał:

– Czyje ślady wytropiłeś. Tony?

– Widziałem dwa koala[71] – poinformował krajowiec szeptem.

– Czy mówiłeś już komu o tym? – gorączkowo indagował Tomek.

– Nie trzeba mówić innym, my sami je złapać – uspokoił go Tony.

– Kiedy wyruszamy na polowanie?

– Jeszcze czas. W dzień gorąco, one spać ukryte w liściach na gałęziach wysokie drzewa. Dopiero pod wieczór one szukać jeść. Koala mądre, nie męczyć się w upał. Dlaczego człowiek miałby być głupszy od nich?

– One mogą oddalić się z miejsca, w którym je widziałeś? – niepokoił się Tomek.

– Nie bój się, koala chodzić bardzo wolno, my znaleźć je na pewno.

– Dobrze, Tony, zrobimy tak, jak radzisz...

Całe popołudnie Tomek unikał towarzyszy. Obawiał się zdradzić przed nimi podnieconym wyrazem twarzy. Cóż to będzie za niespodzianka, jeśli z Tonym przyniosą do obozu koala, zwanego też niedźwiedziem workowatym! Koala żyje wprawdzie w Australii wschodniej od Queenslandu po Wiktorię, lecz ze względu na małą liczbę dotąd złapanych okazów, niewiele wiedziano o jego sposobie życia. Tomek doskonale orientował się, jak bardzo zależało uczestnikom ekspedycji na schwytaniu niedźwiadka.

Po nocnych łowach Wilmowski zazwyczaj zarządzał krótką przerwę w polowaniu. Tego właśnie wieczoru wszyscy mieli wcześniej udać się na spoczynek. Mimo to nikt się nie zdziwił, gdy tuż przed zmierzchem Tony oświadczył, iż ma zamiar rozejrzeć się za nowymi śladami zwierząt. Tomek natychmiast wyraził gotowość wyruszenia z nim i wkrótce obydwaj znaleźli się z dala od obozu.

Tony szedł pewnie, jakby kroczył ulicami dobrze mu znanego miasta. Po pół godzinie dotarli do miejsca, gdzie wśród buszu wyrastały wysokie drzewa eukaliptusowe. Krajowiec przez chwilę penetrował wzrokiem korony drzew, potem wyciągnął rękę i wskazując kierunek, odezwał się:

– Koala już się zbudziły! Czy widzisz je?

– Widzę, widzę, Tony! Och, jakie śliczne – zawołał Tomek, z upodobaniem przyglądając się niedźwiadkom.

Na dobrze ulistnionej gałęzi drzewa siedział koala, a pod nim drugi wspinał się po grubym konarze. Nie przejmując się niczym, niedźwiadki australijskie, podobnie jak wiewiórki, przednimi łapkami przytrzymywały gałęzie i odgryzały poszczególne liście. Poruszały się na drzewie tak wolno, że często używana dla nich nazwa „australijskie leniwce” wydała się Tomkowi bardzo uzasadniona.

Obserwowanie niedźwiadków sprawiało chłopcu dużą przyjemność i ani się spostrzegł,

jak mrok wkradł się między drzewa. Tony pierwszy zwrócił na to uwagę mówiąc:

- Później przyglądać się, teraz my złapać koala. Zaraz wieczór, wtedy nic nie widzieć.
- Masz rację, ale w jaki sposób schwytamy niedźwiadki?
- Ty wejść na drzewo.- Zrzucisz pętlę sznura na koala i opuścisz go do mnie na ziemię.
- Czy przypuszczasz, że one nie będą się broniły?
- Nic się nie bać. Koala bardzo łagodny. To nie kolczatka! – z humorem odparł Tony.

Tomek przewiesił sznur przez ramię, po czym szybko zaczął się wspinać na drzewo. Koala na niższej gałęzi wcale nie zwracał uwagi na Tomka, który bez przeszkód dotarł blisko do niego. Teraz zdjął z ramienia sznur i zgrabnym ruchem zrzucił pętlę na kark koala. Początkowo niedźwiadek opierał się łapami o pień drzewa, lecz gdy młody łowca zacisnął pętlę, dał się ująć bez dalszego sprzeciwu. Dłonie Tomka zagłębiły się w puszyste futerko pachnące liśćmi eukaliptusowymi, czyli głównym pożywieniem zwierzątka. Tomek opasał misia sznurem i wolno opuścił na ziemię. Tam odebrał go Tony. Z kolei Tomek zaczął wspinać się wyżej na konar drzewa w pogoni za drugim koala. Ten również po krótkim i niezbyt zaciętym oporze został wzięty do niewoli.

Było już zupełnie ciemno, gdy obydwaj łowcy powracali do obozu. Uszczęśliwiony Tomek pospieszał za Tonym. Każdy z nich dźwigał jednego koala. Ku zdziwieniu Tomka niedźwiadki szybko pogodziły się ze swoim losem.

Na wieść o schwytaniu koala wszyscy uczestnicy ekspedycji powybiegali z namiotów. Chcieli jak najprędzej przyrzuć się puchatkom, które do złudzenia przypominały dziecięce pluszowe misie-zabawki.

Długość ciała każdego niedźwiadka osiągała około sześćdziesięciu centymetrów, a wysokość w kłębie dochodziła do trzydziestu. Miały mocne, krępe tułowia pozbawione ogona. Na dużej głowie, o tępo ściętym pysku widniały wielkie uszy pokryte puszystym włosiem. Ciało ich porastało wspaniałe, miękkie futerko, z wierzchu rdzawoszare, podczas gdy na brzuchu miało odcień żółtawobiały. Obie pary nóg opatrzone były pięcioma palcami o silnych pazurach i stanowiły doskonale wykształcone narządy chwytne. Jak już później się przekonano, ich przednie łapy miały po dwa palce wewnętrzne przeciwstawne trzem pozostałym, a na tylnych silny, pozbawiony pazura jeden palec wewnętrzny przeciwstawiony czterem innym. Tony uśmiechał się i rad był obserwując dumę Tomka, z jaką przyjmował on powinszowania od starszych towarzyszy.

W ciągu następnych dni przewidziane były zasadzki na szczury kangurowe[72], zwane tutaj potoru. Łowiono także wombaty[73] podobne do naszych świstaków i tropiono lisy workowate[74], żyjące na drzewach.

W przerwach pomiędzy poszczególnymi wypadami łowcy musieli wykonywać wiele pilnych prac. Różnorodność chwytanych zwierząt wymagała przygotowania odpowiednich pomieszczeń, umożliwiających im pomyślne przetrwanie najgorszego dla nich pierwszego

okresu niewoli.

Dotychczasowy wynik łowów wprawiał uczestników wyprawy w doskonały nastrój, mimo że upały stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Nawet podczas nocnych polowań nie zaznali ochłody. Nic więc dziwnego, że wszyscy niecierpliwie oczekiwali na wypad w pobliże góry, o znacznie niższych temperaturach dnia i nocy. Toteż, kiedy w końcu rozpoczęli przygotowania do polowania na skalne kangury, Wilmowski był przekonany, że Tomek z radością przyjmie tę wiadomość. Ku jego zdziwieniu chłopiec oświadczył, że woli pozostać w obozie.

– Będę pilnował zwierząt – tłumaczył ojcu. – Niektóre z nich źle czują się w niewoli, a są przecież takie miłe i zabawne.

Wilmowski zgodził się na propozycję syna. Wydawało mu się, że osaczenie skalnych kangurów w rozpadlinach górskich mogło przedstawiać pewne niebezpieczeństwo dla impulsywnego oraz przedsiębiorczego chłopca. Tomek pozostał w obozie, pozwalając towarzyszom zabrać Dingo na polowanie. Oprócz Tomka wyznaczono jeszcze dwóch ludzi dla doglądania zwierząt.

Wilmowski nie opuszczałby obozu z takim spokojem, gdyby w chwili odjazdu zwrócił na syna baczniejszą uwagę. Przymrużonymi oczyma chłopiec spoglądał na jeźdźców i juczne konie obładowane małymi klatkami na kangury. Na jego ustach czaił się wiele mówiący uśmiech.

Dwaj marynarze pozostawieni w obozie mieli zbyt dużo zajęcia, aby mogli poświęcić więcej uwagi chłopcu, korzystającemu zawsze z dużej swobody. Żaden z nich nie oponował, gdy Tomek oświadczył, że zamierza urządzić małą wycieczkę. Wkrótce ze sztucercem pod pachą opuścił obozowisko. Szybkim krokiem podążył w górę strumyka, wypływającego z głębokiego parowu.

Tomek od wielu już dni miał ochotę na samodzielną wycieczkę. Doświadczenie nabyte podczas wędrówek z Tonym po buszu wyrobiło w nim pewność siebie, czekał więc jedynie okazji, by zrealizować swój plan. Według zapewnień Bentleya znajdowali się teraz na terenach badanych kilkadziesiąt lat temu przez Strzeleckiego. Tomek marzył o tym, aby jakoś upamiętnić swój pobyt w Australii. Najprostszą drogą do osiągnięcia celu wydawało mu się dokonanie jakiegoś niezwykłego czynu. Dlatego też postanowił nie wziąć udziału w wyprawie na skalne kangury, a czas nieobecności opiekunów wykorzystać na samotny wypad.

Bez jakichkolwiek obaw zagłębił się w kręty, porośnięty wysokimi drzewami parów. Podążył w górę strumienia, który spływając po skalnych stopniach tworzył strome, malownicze wodospady. Skaliste ściany szerokim półkolem ogarniały głęboki parów, napełniając go przyjemnym cieniem. Około południa Tomek znajdował się już daleko od obozu. Okolica wydawała się dzika i nie zamieszkała nawet przez czworonogi, lecz chłopiec śmiało szedł naprzód. Nie mógł zabłądzić idąc wzdłuż strumienia. Parów zwężał się coraz bardziej. Tuż przed ostrym zakrętem zagroził Tomkowi drogi skalny blok. Zniechęcony ponurą dzikością miejsca już miał zawrócić, gdy naraz wydało mu się, że za

pobliską skałą rozległy się ludzkie głosy.

„Cóż to za ludzie mogą znajdować się na takim pustkowiu?” pomyślał. Wydawało mu się, że nie tracąc czasu powinien zawrócić do obozu, lecz ciekawość przykuwała go do miejsca. Nasłuchiwał chwilę. Nie miał wątpliwości. Jacyś ludzie rozmawiali za skalną ścianą.

„Spojrzę na nich z daleka i wracam do obozowiska” zdecydował. Ostrożnie wdrapał się na olbrzymi głaz. Podpełznął na brzuchu do krawędzi. Teraz mógł spojrzeć poza zakręt parowu. Wychylił głowę i zaraz zamarł w bezruchu. Skaliste ściany za zakrętem rozszerzały się półkolisto, zamykając parów. Strumień spływał w dół głęboką rozpadliną i rozlewał się szeroko, tworząc dość duży zbiornik wody, zatrzymywanej w tym miejscu przez wysoki skalny próg.

Tuż nad brzegiem strumienia rozłożone było małe obozowisko. Dwóch mężczyzn toczyło gwałtowną rozmowę siedząc przy tłącym się ognisku. W pierwszej chwili obydwaj wydali się Tomkowi ogromnie do siebie podobni. Długie jasne brody opadały im na piersi, a całe ich twarze pokrywał gęsty zarost. Wkrótce jednak zorientował się, że jeden z nich był znacznie młodszy.

– Twoja to będzie wina, jeśli spotka nas nieszczęście – mówił młodszy podniesionym głosem. – Jak można tak lekkomyślnie ryzykować.

– Jedno ryzyko mniej lub więcej nie gra już roli w naszym położeniu – odparł starszy. – Czy mamy jakiegokolwiek inne wyjście?

– Gdyby on był na naszym miejscu, dawno skończyłby z nami – zawołał młodszy. – Podłóż patrzyła mu z oczu od pierwszej chwili.

– Nigdy nie splamiałem rąk ludzką krwią. Skąd te podejrzenia, że Tomson chce pozbawić nas naszego udziału? – zapytał starszy.

– Dlaczego nie powraca tak długo? – odpowiedział młodszy pytaniem.

– Już sześć razy wyprawiał się do osiedla po zapasy i wszystko było w porządku. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? – zastanowił się starszy. – Wydaje mi się, że zbyt długo przebywamy na tym bezludziu. Nerwy odmawiają nam posłuszeństwa.

– To prawda, czas kończyć z tym wszystkim – odezwał się już spokojniej młodszy mężczyzna. – Widok złotego piasku niezbyt dobrze działa na umysł człowieka. Trzeba było nam od razu zwinąć manatki, gdy licho przyniosło tu tych łowców zwierząt.

– Wyglądają na przyzwoitych ludzi – uspokoił go starszy. – Zgadza się wszakże z tobą, że we własnym interesie musimy unikać wszelkiego rozgłosu.

– O to mi właśnie chodzi, ojciec – potwierdził młodszy mężczyzna. – Im wcześniej rozstaniemy się z Tomsonem, tym lepiej dla nas. Wzrok, jakim spogląda na złoty piasek, daje mi wiele do myślenia.

– Po powrocie Tomsona podzielimy złoto na trzy części i rozejdziemy się w swoje strony – zdecydował starszy.

– Źle zrobiliśmy, pozwalając mu teraz iść po zapasy.

– Nie było innego wyjścia – padła odpowiedź. – Stanowimy siłę dwóch na jednego. Ojciec i syn nie posprzecząją się przecież o złoto. Gdyby natomiast któryś z nas pozostał z Tomsonem sam na sam... nie obyłoby się bez walki i mordu. Tylko przewaga naszych sił powstrzymuje go od jawnej zaczepki.

Tomek słuchał tej rozmowy z zapartym tchem. Zrozumiał, że w parowie rozgrywa się dramat, którego podłożeni było złoto. Dwaj brodacze rozmawiali zapewne o nieobecny w obozie trzecim swoim wspólniku. Tomek nie mógł zrozumieć, dlaczego ci trzej mężczyźni nie mogli się pogodzić? Dlaczego rozmawiają o walce i zabijaniu? Przecież powinni być zadowoleni, jeśli naprawdę udało im się znaleźć złoto w tym dzikim parowie.

„A więc tak wyglądają ludzie, którzy znaleźli złoto? – rozmyślał. – Jakie to szczęście, że nie mam z tym nic wspólnego. Muszę uciekać stąd jak najszybciej, zanim nadejdzie ten trzeci poszukiwacz, którego dwaj brodacze tak się obawiają”.

Jeszcze raz spojrział w parów, aby przyjrzeć się obozowisku poszukiwaczy złota. Obok blaszanego koryta leżały na brzegu strumienia jakieś płaskie naczynia i sita. Mały namiot stał tuż pod skalną ścianą. To było wszystko. „Brr, jak tu ponuro i smutno” mruknął Tomek cofając się powoli na czworakach.

Nagle tuż nad jego głową rozległ się głośny, przeciągły śmiech. Tomek przeraził się ogromnie, wyobrażając sobie, że to trzeci poszukiwacz złota nadszedł niespodziewanie i odkrył jego obecność. Porwał się na nogi gotów do ucieczki, lecz w tej chwili przeciągły śmiech zabrzmiał po raz drugi. Zdumienie ogarnęło Tomka. Zamiast ponurego poszukiwacza złota ujrzał ptaka o potężnym dziobie, który, przekrzywiwszy łepkę, wydawał głos tak łudząco przypominający ludzki śmiech.

„To jest na pewno kookaburra”[75] pomyślał Tomek.

Zanim zdążył ochłonać, w parowie rozległ się donośny krzyk. Głośny chichot kookaburry zwrócił uwagę obydwu brodaczy na skalny blok. Promienie słoneczne odbiły się o błyszczącą lufę sztucera, gdy Tomek przestraszony śmiechem porwał się na nogi. Brodacze ujrzeli męską głowę i błysk broni. Jeden z nich chwycił starą flintę, a drugi rewolwer. Dodając sobie krzykiem odwagi, zaczęli szybko wspinać się na skałę.

Krzyki poszukiwaczy złota niemal sparaliżowały chłopca. Dopiero gdy ujrzał blisko siebie kosmatą rękę i brodatą twarz mężczyzny, nieopisany strach przywrócił mu siły.

– Ratunku...! Ratunku, mordercy! – krzyknął rozpaczliwie i rzucił się do ucieczki.

Echo powtórzyło wielokrotnie jego bezskuteczne wołanie o pomoc. Brodacze ujrzeli umykającego chłopca. Pobiegli za nim olbrzymimi susami. Ktokolwiek to był, należało go unieszkodliwić. Nie mieli wątpliwości, że podsłuchiwał ich rozmowę. Na szczęście stary poszukiwacz złota zapanował nad swym zdenerwowaniem. W ostatniej niemal chwili podbił lufę flinty synowi, który mierzył do Tomka. Rozległ się wprawdzie huk strzału, lecz kula przeszła powietrze, przelatując wysoko nad głową umykającego chłopca!

– Durniu, to nie jest Tomson! – krzyknął gniewnie stary poszukiwacz. – Zatrzymaj go tylko, to wystarczy!

Młody brodacz odrzucił broń i pognął za chłopcem. Świst kuli podziałał na Tomka jak smagniecie batem. Uciekał, ile tylko starczyło mu sił, i chyba zdołałby umknąć szczęśliwie, gdyby nie zawadził stopą o wystający z ziemi korzeń drzewa. Gwałtowne szarpnięcie za nogę powaliło go na ziemię. Nim zdołał się podnieść, brodacz – sapiąc jak miech kowalski – chwycił go żelaznym chwytem za kark.

– Ratunku! – krzyknął Tomek.

– Milcz, jeśli ci życie miłe! – gniewnie syknął poszukiwacz złota.

– Niech mnie pan nie zabija, ja... nic nie słyszałem – powiedział Tomek drżącym głosem.

Oświadczenie to upewniło brodacza, że chłopiec podsłuchał jego rozmowę z ojcem.

– Czego tu szukałeś, mów prawdę? – zapytał groźnie.

– Wybrałem się na wycieczkę...

– Nie kłam! Tomson nasłał cię na nas.

– To nieprawda! Skąd mógłbym znać takiego strasznego człowieka?

– Więc słyszałeś, co mówiliśmy o Tomsonie – mruknął poszukiwacz złota.

Tomek spostrzegł teraz, że palnął głupstwo, lecz było za późno na dalsze zaprzeczanie. Zamilkł przestraszony, a poszukiwacz złota zarzucił go sobie na plecy i poniósł z powrotem do obozu. Wkrótce też zbliżył się do starszego mężczyzny.

– Podsłuchał naszą rozmowę – poinformował go krótko, sadzając Tomka na ziemi.

– Jak się nazywasz i kim jesteś? – zapytał starszy mężczyzna, obrzucając Tomka badawczym wzrokiem.

– Jestem Tomasz Wilmowski. Łowię z ojcem zwierzęta do ogrodów zoologicznych – odparł Tomek.

– Zaraz tak pomyślałem. Jesteś z obozu na polanie?

– Tak jest, naprawdę. Pan mi wierzy, że nie znam żadnego Tomsona? Wybrałem się na wycieczkę. Już miałem wracać do obozu, aż naraz usłyszałem wasze głosy.

– Dlaczego podsłuchiwałeś?

– Byłem ciekaw, kto to rozmawia na tym pustkowiu. Później przestraszyłem się. W końcu ten ptak ze swoim śmiechem...

– Ha, nie ma rady! Musimy zatrzymać cię w obozie aż do chwili wyniesienia się stąd – powiedział starszy poszukiwacz złota. – Gdzie jest twój ojciec?

– Wyruszył na polowanie na skalne kangury. Proszę mnie puścić do obozu. Naprawdę nie powiem nikomu ani słowa.

– Kiedy powraca, ojciec z polowania? – pytał dalej poszukiwacz, nie zwracając uwagi na prośbę chłopca.

– Za dwa lub trzy dni. Pan przecież pozwoli mi odejść, prawda?

– Ilu ludzi pozostało w obozie?

Tomkowi wydało się, że jeżeli powie prawdę, to brodacze urządzią napad na obóz. Odparł więc szybko:

– W obozie pozostało kilku marynarzy, oni widzieli, w którym kierunku udałem się na wycieczkę.

– No, tylko nas nie strasz – mruknął młodszy.

– Nie ma co dłużej gadać. Zwijamy natychmiast manatki i wiejemy bez względu na to, czy Tomson powróci – stanowczo powiedział starszy. – Chłopiec ma rację. Oni na pewno będą go szukali.

– Jestem pewny, że będą szukali – szybko potwierdził Tomek.

– Przywiąż go do drzewa! – rozkazał starszy poszukiwacz.

Tomek nie opierał się. Tymczasem drugi brodacze nie tracił czasu. Wydobył z namiotu duży worek, po czym zaczął pakować skromny dobytek. Przynrządy do płukania złota powrzucał w krzewy. Już składał namiot, gdy nagle rozległ się chrapliwy głos:

– Do góry łapy, przeklęte szczury!

Obydwaj brodacze znieruchomieli spoglądając na skalny blok. Tomek spojrzał tam również. Ogarnęło go przerażenie. Pięciu rosłych drabów stało na skale. Dłonie ich zaciskały się na rękojeściach rewolwerów wymierzonych w poszukiwaczy złota.

– Co to ma znaczyć, Tomson? – zapytał starszy brodacze, nieufnie spoglądając na napastników.

– Bezczelność twoja równa się twej głupocie, Johnie O'Donell – odparł Tomson. – Ptaszki przygotowały się do opuszczenia gniazda, pozostawiając starego kompana na lodzie?! No, no! Ojciec wart swego podstępного synalka!

– Głupstwa pleciesz, Tomson! – rzekł stary O'Donell. – Zaraz się o tym przekonasz!

Tomson roześmiał się cynicznie i odpowiedział:

– Od dawna przeczuwałem, że będziecie chcieli wystrychnąć mnie na dudka! Haruj z nami przez sześć długich miesięcy, głupi Thomsonie, a potem podzielimy się sprawiedliwie wydobyłym złotem. Zaledwie jednak wyruszyłem z obozu po prowianty dla nas wszystkich na drogę, zaraz przygotowaliście się do odlotu. Oj, wy głupcy! Trafiliście na mądrzejszego od siebie. Oto moi kompani, którzy są teraz świadkami waszej zdrady i dopilnują podziału złota! Miła niespodzianka dla was, co?

– Kłamiesz Tomson! – zaoponował stary O'Donell. – Gadasz nieprawdę i dobrze wiesz o tym!

– Kłamię? A manatki spakowane do czmychnięcia?!

– Likwidujemy obóz jedynie dlatego, że jacyś obcy łowcy zwierząt wysłedzili nas w parowie i teraz wiedzą, po co tu siedzimy – wyjaśnił stary O'Donell. – Oto dowód!

Dłoń starego wyciągnęła się w kierunku Tomka przywiązanego do drzewa.

– Co widzę? Porwaliście i uwięziliście chłopca? – obłudnie zdziwił się Tomson. – No, no! Taka zabawa nie ujdzie wam na sucho. Łapy do góry!

– Ej, Tomson! Widzę, że szukasz z nami zwady! – krzyknął młodszy O'Donell.

Tomson zmierzył przeciwników przenikliwym, czujnym wzrokiem, po czym powiedział:

– Zawsze znajduję to, czego szukam! Porwanie chłopca stawia was obydwóch poza prawem. Łapska do góry!

Tomek przerażony z zapartym tchem przyglądał się tej pełnej dramatycznego napięcia scenie.

Tymczasem w oczach młodego poszukiwacza złota przewinął się błysk gniewnej determinacji. Nagłym ruchem wy dobył z pochwy rewolwer.

Tomson bez chwili wahania nacisnął spust trzymanego w dłoni rewolweru. Huknął strzał.

Twarz młodego O'Donella wykrzywiła się w bolesnym grymasie, lecz mimo to broń jego plunęła ogniem.

Tomson pochylił się, twarz jego pokryła się bladością. Po chwili wolno stoczył się ze skały i z rozkrzyżowanymi ramionami legł bez ruchu niemal u stóp poszukiwaczy złota.

– Nie strzelajcie! – krzyknął ostrzegawczo stary O'Donell do kompanów Thomsona. – Złoto jest dobrze schowane, nie znajdziecie go bez nas!

Czterech napastników stało niezdecydowanie z bronią gotową do strzału. Naraz szansę na zwycięstwo nieoczekiwanie przechyliły się na ich stronę. Oczy ranionego przez Thomsona młodego O'Donella zaszły mgłą, ciężko osunął się na martwe ciało przeciwnika.

– Przegrałeś, stary! – roześmiał się jeden z drabów. – Jest nas czterech, a ty możesz liczyć tylko na siebie. Trzymaj łapy wysoko do góry! Schodzimy do ciebie!

POMOC NADCHODZI

Czterej buszrendżerzy pozbierali broń znajdującą się w obozie, złożyli ją pod skalną ścianą, po czym pozwolili staremu O'Donellowi zająć się rannym synem. Miał on przestrzelone na wylot lewe ramię, ale na szczęście rana nie była zbyt groźna. Wkrótce odzyskał przytomność. Zaledwie ojciec nałożył mu opatrunek, buszrendżerzy związali obydwóch jeńców powrozami. Teraz rozpoczęli gorączkowe poszukiwania złota. O'Donellowie przyglądali się im w ponurym milczeniu. Byli przekonani, że napastnicy nie znajdą ich skarbu, lecz również zdawali sobie sprawę z beznadziejności swego położenia. Tyle trudu włożyli w wydobywanie złotego piasku, na który przypadkiem natrafili na dnie górskiego strumienia, a teraz musieli wszystko utracić za cenę życia. Jeśli dobrowolnie nie oddadzą swej własności, bandyci zabiją ich bez skrupułów. Nie mieli nawet pewności, czy nie zginą po zaspokojeniu żądań buszrendżerów.

– Dobrze schowaliście złoto – pochwalił jeden z bandytów siadając przy O'Donellach.
– Szkoda tracić czas na poszukiwania. Jeśli dojdziemy do porozumienia, nic wam się nie stanie.

– Czego chcesz? – krótko zapytał O'Donell.

– Zabiliście naszego kompana. No, pał go lichu! Pierwszy pociągnął za cyngiel. Podzielimy złoty piasek na sześć części i każdy z nas weźmie po jednej dla siebie. Zgoda?

– Tomson miał otrzymać trzecią część. Tyle damy wam bez wahania, bo to była jego własność. Pracował na nią.

– Nie tak ostro, staruszkule. Jeśli przypieczemy ci piętę, wyśpiewasz szybko, gdzie ukryliście skarb.

– Nie odważycie się na to!

Bandyta roześmiał się chrapliwie. Pochylił się do O'Donella i zapytał:

– Czy nie poznajesz mnie? Przypatrz mi się dobrze!

Twarz buszrendżera wydała się O'Donellowi dziwnie znajoma. Natężył pamięć. Te oczy o zimnym wyrazie... Gdzieś już je widział. Nagle uprzytomnił sobie wszystko. Oczywiście, widział tę twarz i to nie jeden raz. Znajdowała się ona na gończych listach rozwieszonych we wszystkich ważniejszych osiedlach.

– Carter! – zawołał O'Donell.

– No, nareszcie! Czy jeszcze jesteś pewny, że zawaham się przypiec ci piętę? Wiesz już teraz, że wyznaczono nagrodę za dostarczenie władzom mojej głowy.

O'Donell stracił do reszty wszelką nadzieję. Wpadli przecież w ręce Cartera, postrachu wszystkich dróg Nowej Południowej Walii. Tak, ten człowiek nie zawaha się przed niczym dla zdobycia złota.

– Widzę, że dojdziemy do porozumienia – odezwał się Carter, obserwując swą ofiarę. – Konna policja deptała nam trochę po piętach ostatnimi czasy. Musiałem podzielić bandę

na mniejsze oddziały, aby prześliznąć się przez oczka „sieci”. Tomson był moim człowiekiem. Od dwóch miesięcy oczekiwałem w pobliżu, aż ukończycie swą pracę.

– Krótko mówiąc, Tomson był twoim szpiegiem – mruknął O'Donell.

– Do niego właśnie należało powiadamianie nas o terminach odsyłania złota z kopalń do miasta. Po ostatnim napadzie, dla zmylenia śladu, przyłączył się do was. Wtedy właśnie odkryliście tutaj złoto. Tomson nie żyje i nie ma co płakać po nim. Pozwalam wam na zatrzymanie części złota, ponieważ dusze wasze i tak nie wymkną się diabłu – odparł Carter.

– Cóż możemy począć? Jesteśmy przecież w waszej mocy. Dzisiaj wszakże nie zdołam już wydobyć złota z kryjówki. Musimy poczekać do rana – powiedział zrezygnowany O'Donell.

– Gdzie je schowałeś? – nalegał Carter marszcząc brwi.

– Leży zakopane na dnie strumienia. Wydobędę je o świcie i przystąpimy do podziału.

– Myślę, O'Donell, że cenisz własne życie...

– Tak będzie, jak powiedziałem. Co zrobimy z tym chłopcem? Lepiej chyba puścić go na wolność.

– Kto to jest? – zaciekawiał się Carter, spoglądając na młodego jeńca.

Tomek przymknął oczy pod bezlitosnym spojrzeniem bandyty. Tymczasem O'Donell udzielał niezbędnych wyjaśnień. Wynikało z nich, że wędrując razem z Thomsonem przypadkowo znaleźli złoto w strumyku. Nie był to rodzimy pokład cennego kruszcu. Po prostu kawałki złota, przez wiele lat spływały z wodą z gór i zatrzymywały się przy skalnym progu. Trójka odkrywców tego naturalnego skarbcza nie powiadomiła władz o znalezieniu złota. Przez sześć miesięcy wydobywali je sami w ponurym, bezludnym parowie. Pojawienie się w pobliżu łowców zwierząt nakłoniło ich do przerwania dalszych poszukiwań. Na dnie strumyka było już tak mało złotych drobinek, że nie opłacało się ryzykować zetknięcia z ludźmi i tym samym rozgłoszenia tajemnicy. Na swe nieszczęście Tomek podsłuchał rozmowę O'Donellów, co zmusiło ich do zatrzymania go oraz do natychmiastowego zlikwidowania obozu. Chcieli czmychnąć, zanim mógłby opowiedzieć wszystko swoim towarzyszom. Carter w milczeniu wysłuchał wyjaśnień, po czym zbliżył się do Tomka.

– Hm, więc ten młody kawaler tak was przeraził? Otwórz oczy chłopcze i powiedz, jak ci na imię? – zagadnął.

Tomek powoli otworzył oczy. Pot wystąpił mu na czoło. Usiłował odpowiedzieć na pytanie, lecz nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa. Carter przyklęknął przy nim. Wydobył zza pasa nóż o cienkim, długim ostrzu. Twarz Tomka pokryła się niemal trupią błądzą. Carter tymczasem przeciął więzy krępujące jego ręce i odezwał się karcącym tonem:

– O'Donell! Dorosły mężczyzna nie postępuje w ten sposób z chłopcem.

Potraktowaliście go jak dzikusa. No, kawalerze, teraz chyba powiesz mi swoje imię?

Tomek odetchnął lżej. Wzrok bandyty wydał mu się mniej groźny

– Jestem Tomasz Wilmowski – odparł drżącym głosem.

– Czy to prawda, że należysz do wyprawy łowców zwierząt?

– Tak, proszę pana, chwytny dzikie zwierzęta do ogrodów zoologicznych w Europie.

– Dzisiejszego ranka spotkaliśmy grupę jeźdźców, którzy wieźli klatki na koniach. To zapewne twoi towarzysze?

– Właśnie pojechali łowić skalne kangury.

– Dlaczego nie zabrali ciebie?

– Bo ja... ja chciałem urządzić samodzielną wycieczkę i dlatego zostałem w obozie.

– Lubię zuchów, którzy palą się do samodzielności. Taki sam byłem

w twoim wieku.

– Niech pan pozwoli mi odejść do obozu. Na pewno wszyscy mocno niepokoją się o mnie.

– Tym więcej ucieszą się, gdy zobaczą ciebie zdrowego jutro rano. Takie małe smyki jak ty potrafią płatać różne figle dorosłym. Muszę wynieść się z tej okolicy na jakiś czas, a do tego potrzebne mi jest złoto O'Donellów i kilka koni. Twój ojciec na pewno ofiaruje mi je za ciebie. Rozumiesz teraz, że jesteś mi potrzebny?

– Och, więc chce pan zażądać za mnie okupu?

– Trafnie to określiłeś, mój chłopcze, pieniądze leżą na gościńcach, trzeba tylko umieć je zbierać. Nazywają mnie Krwawym Carterem, ponieważ zabiłem siedmiu głupców, którzy deptali mi po piętach lub chwytny za broń. Kiedy prosiłem ich o różne drobiazgi. Twoje życie na pewno warte jest dla ojca więcej niż kilka koni. Możesz więc spać spokojnie.

Carter odszedł do swych towarzyszy, którzy przygotowywali się do przenocowania w parowie. Nazbierali chrustu, i gdy tylko zapadł zmrok, rozpalili ognisko. Sporządzili sobie posłania, po czym zasiedli do kolacji. O'Donellom rozwiązali ręce przy posiłku. Zaledwie skończyli wieczerzę, natychmiast skrupowali ich znowu.

Tomek z trudem przełknął kilka kawałków suszonego mięsa. Carter polecił mu ułożyć się w pobliżu ogniska. Leżał więc pod niskim drzewkiem, rozmyślając ze zgrozą o swej sytuacji. Był w niewoli u niebezpiecznych przestępców. Na pewno mieli jak najgorsze zamiary w stosunku do O'Donellów, a za niego chcieli zażądać okupu. W obozie pozostało tylko dwóch marynarzy. Co się stanie, jeśli Carter dowie się o tym?

Tomek bał się ogromnie Cartera, który z taką obojętnością mówił o morderstwach. Drżał rozmyślając o swym strasznym położeniu.

Czas płynął bardzo wolno. Buszrendżerzy ułożyli się do snu. Mieli czuwać na zmianę i

podsycać ogień. Pierwszy pełnił wartość drab o ospowatej twarzy. Usiadł na skalnym bloku. Czujnym wzrokiem przepatrywał obóz oraz ciemną gardziel parowu. Tomek obserwował go uważnie, nie wykonując najmniejszego ruchu. Następny wartownik był równie czujny. Trzeci natomiast, zaledwie zdążył objąć posterunek, dorzucił większą wiązkę do ognia, po czym natychmiast położył się na ziemi. Ziewając potężnie, spoglądał na gwiazdy migocące na niebie.

Serce w piersi Tomka zaczęło bić szybciej, bowiem po chwili głowa bandyty opadła na ziemię. Wkrótce strażnik spał w najlepsze pochrapując z cicha.

„Jeżeli nie wrócę do obozu przed świtem, na pewno stanie się coś strasznego – rozmyślał Tomek. – Gdyby tak udało mi się teraz uciec...”

Postanowił tę myśl natychmiast zrealizować. Ręce przecież miał wolne. Carter skrupował mu tylko nogi, ponieważ nie sądził, by przerażony chłopiec mógł odważyć się na ucieczkę. Tomek miał swój nóż myśliwski. W czasie utarczki z O'Donellem bluza wysunęła mu się ze spodni, zasłaniając broń tkwiącą za paskiem. Ręka chłopca szybko namacała rękojeść. Powolnym ruchem wydobył nóż i przeciął więzy krępujące nogi.

„Gdybym zdołał wspiąć się na skalny blok, miałbym już otwartą drogę do ucieczki – rozważał. – Lecz cóż się stanie ze mną, jeśli któryś z nich przebudzi się nieoczekiwanie? Och, lepiej nie myśleć o tym! Gdybym miał chociaż moją broń!”

Rozejrzał się uważnie. Jego lśniący sztucer stał oparty o skałę obok karabinu Cartera, tuż przy głowie śpiącego bandyty. Tomek podniósł się z ziemi. Krok za krokiem skradał się ku śpiącemu Carterowi, nie spuszczać z niego wzroku. Przenikał go dziwny chłód; wstrzymywał oddech, ale serce łomotało mu w piersi. Zaledwie trzy kroki dzieliły go od Cartera.

Nagle...

„Pssst!”

Tomek znieruchomiał.

„Pssst!” rozbrzmiało po raz drugi.

Tomek spojrzał w kierunku, skąd rozległ się dziwny syk. O'Donell przywołał go teraz ruchem głowy. Tomek wahał się. Przez O'Donellów znalazł się przecież w tej straszej sytuacji. Jeśli nie zbliży się do brodacza, ten gotów zbudzić wszystkich swoim psykaniem. Wykonał więc dwa kroki i przystanął tuż przy starym O'Donnellu, pochylił się nad nim.

– Czy masz nóż? – szeptem zapytał poszukiwacz. Tomek potwierdził ruchem głowy.

– Przetnij moje więzy – szepnął brodacz.

Tomek cofnął się przerażony. Za nic na świecie nie uwolni człowieka, który wtrącił go w tę okropną sytuację. Bo cóż uczyni O'Donell? Na pewno rzuci się na Cartera. Rozpocznie się mordercza walka. Oczywiście O'Donellowie ulegną przewadze bandytów, a wtedy cały ich gniew spadnie na niego. Nie, nie może i nie powinien mieszać się w porachunki tych strasznych ludzi i O'Donell ujrział jego wahanie. Kiwnął głową, aby pochylił się nad nim.

Tomek spełnił prośbę.

– Na litość boską, czy nie rozumiesz, że oni zamordują mnie i mego syna, gdy ujrzą złoto? – szepnął O'Donell.

– Pobiegnę do obozu po pomoc – cicho odparł Tomek.

– Nie zdążysz... Błagam cię, nie wydaj nas bezbronnych na łup tym... mordercom... Pozwól mi zginąć jak przystoi mężczyźnie.

Tomek wahał się. Czy mógł odmówić pomocy nieszczęśliwemu poszukiwaczowi złota? W odblasku żarzącego się ogniska zobaczył jego błagające oczy, z których teraz, na zoraną bruzdami zmarszczek twarz, spływały łzy. Zrozumiał, że widok tych oczu prześladowałby go do końca życia.

Szybko powziął postanowienie. Przyłożył palec do ust, nakazując O'Donellowi milczenie. Wydobył nóż, przeciął więzy krępujące jego ręce, a potem wsunął go w prawą dłoń brodacza. O'Donell uściśnął mocno dłoń chłopca i legł nieruchomo na ziemi. Tomek zrozumiał: O'Donell chce mu dać czas na ucieczkę. Lecz to niemożliwe... bez broni...

Tomek idzie ostrożnie w kierunku sztucera. Już jest przy nim. Wystarczy sięgnąć ręką. Wolno Wyciąga prawą dłoń ku lśniącej lufie, a wzrok wlepia w twarz uśpionego Cartera. Cóż to? Carter spogląda na niego spod lekko przymkniętych powiek. Ręka Tomka nieruchomo zawisa w powietrzu. Złudzenie czy rzeczywistość? Carter patrzy na niego? Czuje na sobie jego zimny, bezlitosny wzrok...

„On nie śpi!” stwierdza Tomek. Czuje, jak włosy jeżą mu się na głowie. Myśli przebiegają niczym błyskawice. Musi porwać sztucer. Broń jest nabita, lecz czy zdoła strzelić do człowieka? Nie, nie! Na to nie potrafi się zdobyć.

Nagle rozlega się zachrypły głos Cartera:

– Kładź się spać szczeniaku, albo ukrećę ci głowę jak kurczakowi!

Dziwny chłód przenika Tomka. Przecież O'Donell jest przekonany, że ten straszny morderca dotrzyma słowa. Co stanie się z nim, gdy zginą obydwaj poszukiwacze złota? Co stanie się z jego towarzyszami w obozie? Nagle rozumie, że Carter jest znacznie mniej wart od wspaniałego tygrysa, którego trzeba było zabić w nadzwyczajnych okolicznościach. Dłoń Tomka schwyciła sztucer.

Carter powstał szybko, zwinnie jak kot. – Chodź tutaj! Muszę cię związać... – warknął.

Głos bandyty obudził wartownika. Zerwał się z ziemi, głośno klnąc i natychmiast dorzucił chrustu do ognia. Porwali się również pozostali członkowie bandy.

– Chodź tu w tej chwili, ty... – mówiąc to, Carter ruszył ku Tomkowi.

– Carter! Nie zbliżaj się do mnie...! – krzyknął Tomek piskliwie. – Nie zbliżaj się! Strzele! Naprawdę strzele!

Cofał się krok za krokiem, aż plecami oparł się o skałę. Carter wolno postępował za nim, wpijając w niego zimne spojrzenie. Nie powstrzymał go nawet metaliczny trzask

repetowanego sztucera.

Palec Tomka już dotknął spustu. W tej chwili coś ciepłego otarło się o jego nogi. Głuche, gniewne warknięcie przeszło w skowyt. Zaledwie Tomek ujrzał swego Dingo, który odgrodził go od bandyty, nadzieja wstąpiła w jego serce. Pojawienie się psa było dowodem, że pomoc musiała być już blisko. Tymczasem Dingo przysiadł na tylnych łapach. Sierść zjeżyła się na jego grzbiecie. Szczercząc kły gotował się do skoku.

Carter przystanął. Jego prawa dłoń wolno opadała na biodro ku rękojeści rewolweru. Nie zwracał uwagi na to, że lufa sztucera uniosła się na wysokość jego piersi.

Nagle rozległ się przeciągły świst. Jakiś ciemny przedmiot upadł na ziemię tuż obok ogniska, odbił się od niej i zatoczywszy krótki łuk w powietrzu, uderzył Cartera w skroń. Bandyta ciężko osunął się na ziemię. Zanim zdumieni buszrendżerzy zdolali chwycić za broń, dwóch ludzi zeskoczyło z bloku skalnego w sam środek obozowiska. Tomek poznał ich natychmiast. Byli to Tony i Smuga. Tony rzucił się na wartownika dobywającego rewolweru. Zwarli się w uścisku, potoczyli na ziemię. Smuga bez chwili wahania zaatakował dwóch pozostałych bandytów. Lewa pięść łowcy wylądowała na podbródku buszrendżera, który zatoczył się, wyszarpując zza pasa nóż. Smuga uderzył jeszcze raz. Bandyta ciężko upadł z rozkrzyżowanymi ramionami. W tej chwili huknął strzał. Smuga przyklęknął oszołomiony; kula otarła się niemal o jego głowę. Natychmiast jednak porwał się znów do walki. Czwartym buszrendżer nie zdążył ponownie nacisnąć spustu. Stary O'Donell skoczył mu na plecy i powalił swym ciężarem na ziemię. Smuga podbiegł do walczących, nogą wytrącił rewolwer z ręki napastnika. Z pomocą Tony'ego i O'Donella obezwładnił bandytę.

– Co się stało z twoim przeciwnikiem. Tony? – zawołał Smuga. – Już związany – padła krótka odpowiedź.

Podbiegli do Tomka. Stał oparty o skałę, przyciskając do piersi sztucer. Przed nim, naprzeciw powalonego Cartera, warował przy ziemi Dingo.

– Tomku, kochany Tomku, już po wszystkim! – mówił Smuga, a zwracając się do Tony'ego dodał:

– Zajmij się Carterem.

– Nie trzeba – lakonicznie odparł Tony.

O'Donell pochylił się nad przywódcą bandy. Po chwili rzekł:

– Do licha! Nigdy nie przypuszczałem, że kawałek drewna może uderzyć z taką precyzją. Carter nie żyje!

– Carter, zły biały człowiek. On chciał zrobić krzywdę mojemu małemu

pappa[76]. Już nie podniesie więcej ręki na niego – potwierdził Tony, groźnie spoglądając na buszrendżerów.

– Za głowę Cartera wyznaczona jest duża nagroda – poinformował O'Donell.

– Nic mnie to nie obchodzi. Tommy, co tutaj zaszło? – zapytał Tony, obrzucając O'Donella przenikliwym spojrzeniem.

Łagodnym ruchem otoczył chłopca ramieniem i poprowadził ku ognisku. Urywanymi zdaniem Tomek opowiedział wydarzenia minionego dnia. Tony spoglądał na O'Donella przymrużonymi oczami, kiedy Tomek mówił o schwytaniu go przez poszukiwaczy złota.

– Żałujemy swego zachowania, chłopcze – odezwał się stary O'Donell.- Nie mieliśmy zamiaru uczynić ci krzywdy. Jesteśmy biednymi ludźmi. Obawa, że stracimy wszystko, co zdobyliśmy z takim trudem, doprowadzała nas do rozpacz.

– Bieda wygnała nas w świat, w poszukiwaniu pracy dotarliśmy aż tutaj – dodał młody O'Donell. – Znaleźliśmy trochę złota, chcieliśmy powrócić do Irlandii, by rozpocząć nowe życie. Czuliśmy, że nasz przygodny towarzysz, Tomson, knuje jakąś podłość. Nigdy nie mieliśmy zamiaru go oszukać.

– Przeczucie nie zawiodło nas. Tomson nasłany był przez Cartera, który potrzebował złota, aby uciekać dalej przed policją – tłumaczył stary O'Donell. – Nie ulega żadnej wątpliwości, że uratowaliście nam życie. Ha, jesteśmy prostymi ludźmi. Nie potrafimy słowami wyrazić naszej wdzięczności. Powiem więc krótko: część złota należąca do Thomsona jest teraz waszą własnością...

– Tylko złoty piasek pozbawił nas rozsądku – gorąco powiedział młody O'Donell.

– Jeśli chodzi o mnie, to nie chcę nic słyszeć o waszym złocie. Pomógłbym wam, gdybyście prosili o to. Szkoda tylko, że nie mieliście zaufania do naszego młodego przyjaciela, który w zamian za złe potraktowanie... przeciął wam więzy, nie zwracając uwagi na własne niebezpieczeństwo – zauważył Smuga suchym tonem.

– „Mała Głowa” ma wielkie serce, dlatego też nazywam go moim pappą, czyli bratem. Jego wróg jest moim wrogiem – wtrącił Tony. – Mój bumerang leci jak ptak i dosięgnie każdego, kto wyrządzi Tommy'emu krzywdę.

– Tony, czy ty naprawdę chcesz być moim przyjacielem? – zawołał Tomek, chwytając krajowca za rękę.

– Tony ma tylko jedno słowo. Jestem twoim bratem – poważnie odparł krajowiec, ściskając dłoń chłopca. – Ty nie strzeliłbyś do krajowca jak do dzikiego dingo...

– Och, Tony! Nie potrafiłbym strzelać do człowieka. Nie mogłem nacisnąć cyngla, mierząc do Cartera, chociaż bałem się go więcej niż tygrysa.

– Bardzo się cieszę, że nie doszło do ostateczności – stwierdził Smuga. – Osobiście wolałbym oddać Cartera w ręce policji. Na pewno nie minęłaby go zasłużona kara, tak jak i nie minie jego kompanów, których przekażemy władzom.

O'Donellowie w milczeniu przysłuchiwali się tej rozmowie. Poczucie bezpieczeństwa napełniało ich radością. Starszy z nich, chcąc wyrazić jeszcze raz swą wdzięczność, powiedział:

– Proszę cię, chłopcze, nie miej do nas urazy. Masz długie lata życia przed sobą.

Pieniądze na pewno przydadzą ci się w czasie podróży po świecie. Przyjmij część złota. Rano dokonamy podziału.

– Nie, nie! Zatrzymajcie sobie wasze złoto! Tomson i Carter śniliby mi się po nocach, gdyby ono było przy mnie! – zawołał Tomek. – Chciałbym tylko jak najprędzej opuścić ten okropny parów.

– Tommy dobrze mówi. Złoty piasek przynosi niepokój białym ludziom – pochwalił Tony.

– Niestety, Tomku, musimy tutaj przenocować – wyjaśnił Smuga. – Rano zabierzemy buszrendżerów do obozu i oddamy ich policji. Zasłużyli na karę.

– Chłodno tu się zrobiło i... jakoś tak dziwnie... Na pewno nie usnę – odparł Tomek, tuląc do siebie Dingo.

– Wkrótce będzie świt. Posiedzimy przy ognisku do rana – pocieszył go Smuga.

– Nie powiedział mi pan jeszcze, w jaki sposób znaleźliście się tutaj? – zapytał Tomek.

– Jadąc na polowanie na skalne kangury, spotkaliśmy po drodze pięciu mężczyzn o podejrzanym wyglądzie. Podali się za postrzygaczy owiec. Twierdzili, że idą na północ w poszukiwaniu pracy. Pojechaliśmy dalej, kiedy znaleźliśmy się na wysokim pagórku, skąd przebytą drogę było widać jak na dłoni, stwierdziliśmy, że zamiast na północ, udali się oni na południe prosto w kierunku naszego obozu. Obserwowaliśmy ich przez lornetkę, dopóki nie znikli w buszu. Ojciec twój zaczął niepokoić się o ciebie i ludzi pozostawionych w obozie. Zaproponowałem, że pojedę do was i uprzedzę o przebywaniu w okolicy podejrzanym włóczęgów. Tony postanowił mi towarzyszyć, abym nie zmylił drogi. Wzięliśmy Dingo i ruszyliśmy do was. W obozie zastaliśmy naszych dwóch towarzyszy zaniepokojonych twoją nieobecnością. Przypuszczali, że udałeś się za nami. Tony wpadł na myśl, by twoje ślady odszukał Dingo, on też doprowadził nas aż tutaj. Wspięliśmy się na skalny blok, ujrzeliśmy powiązanych ludzi i śpiących włóczęgów. Zanim ochłonęliśmy ze zdumienia, podniosłeś się z posłania. Musieliśmy trzymać Dingo, ponieważ wyrwał się do ciebie. Czekaliśmy jedynie na odpowiednią chwilę, aby unieszkodliwić twoich prześladowców. Widzieliśmy, jak rozcinałeś więzy O'Donellowi. Potem jeden z włóczęgów przebudził się, powiedział głośno jego nazwisko, Tony zaraz mi wyjaśnił, że jest to groźny bandyta. Obawiałem się strzelać. Carter stał zbyt blisko ciebie, Dingo podenerwowany twoim głosem wyrwał się z rąk Tony'ego. Nie mieliśmy chwili do stracenia. Tony unieszkodliwił Cartera bumerangiem. Resztę wydarzeń już znasz.

– Czy ojciec nie będzie się niepokoił waszą długą nieobecnością? – zafrasował się Tomek.

– Uprzedziłem go, że możemy przenocować w obozie ze względu na wasze bezpieczeństwo.

– Och, jak to dobrze, że przybyliście na czas! Bałem się bardzo i... nawet teraz tak tu jakoś strasznie...

– Masz najlepszy dowód, że pustkowia australijskie nie są zbyt bezpieczne dla małych chłopców. Z tego względu nie urządza więcej samotnych wycieczek bez uzyskania uprzednio zgody ojca. Czy wyobrażasz sobie, ile sprawiłbyś mu zmartwienia, gdyby ci się stała krzywda? Musisz wykazać więcej zdyscyplinowania wobec ojca, który darzy cię dużym zaufaniem.

– Naprawdę nie chciałem zrobić nic złego. To tak jakoś samo dziwnie się układa – usprawiedliwiał się Tomek.

– Jestem o tym całkowicie przekonany. Musisz jednak zrozumieć, że posłuszeństwo nie oznacza ograniczenia samodzielności. Wszystkich uczestników wyprawy obowiązuje pewna dyscyplina wobec twego ojca, jako naszego kierownika. Czy moglibyśmy zabrać cię na łowy do Afryki, gdybyśmy nie mieli pewności, że zachowasz się rozsądnie?

Tomek zmarszczył brwi rozmyślając nad słowami Smugi. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że postępowaniem swoim nadużywa zaufania. Smuga na pewno pragnął jedynie jego dobra. Nie, nie wolno mu było dopuścić do tego, aby ojciec i tacy przyjaciele jak Smuga i bosman Nowicki przestali mu wierzyć. Spojrzał Smudze prosto w oczy i powiedział:

– Daję słowo, że od tej pory będę powiadamiał ojca o wszystkich moich planach.

– Oczywiście przed ich zrealizowaniem – dodał Smuga.

– Tak, na pewno będę tak robił. Czy pan mi wierzy?

– Wierzę ci, Tomku. Na dowód tego ponawiam moje zaproszenie na wyprawę do Afryki.

– Kiedy tam pojedziemy?

– Prawdopodobnie w przyszłym roku. Mam nadzieję, że przyłożysz się w szkole do nauki, aby zasłużyć na zgodę ojca.

Tomek westchnął ciężko na myśl o szkole, lecz pocieszył się zaraz przypominając sobie wyprawę do Afryki.

– Ha, nie ma rady! Jestem gotów zamienić się nawet w mola książkowego – powiedział. – Ciekaw jestem, na jakie zwierzęta będziemy polowali w Afryce?

– Będą to łowy na grubego zwierza. Kangury oraz dzikie dingo są łagodnymi stworzeniami wobec mieszkańców stepów i dżungli afrykańskich. Znajdziemy tam: słonie, lwy, bawoły, hipopotamy, nosorożce, żyrafy, antylopy, goryle i co tylko dusza łowcy może zapragnąć. Afryka jest dla nas prawdziwą kopalnią złota.

– Czy afrykańscy Murzyni są tak samo łagodni jak rdzenni mieszkańcy Australii? – zapytał Tomek nieufnie zerkając na związanych buszrendżerów.

– Krajowców afrykańskich nie można porównywać z Australijczykami. Wystarczy choćby wspomnieć olbrzymich, wojowniczych Masajów lub karłów-Pigmejczyków używających do walki zatrutych strzał, aby stwierdzić zasadniczą różnicę.

– Czy to znaczy, że następna nasza wyprawa łowiecka do Afryki będzie niebezpieczniejsza od obecnej, australijskiej? – zapytał Tomek.

– Oczywiście i to nie tylko ze względu na wojowniczość niektórych plemion murzyńskich – odparł Smuga.

– Zapewne ma pan na myśli drapieżne zwierzęta – wtrącił chłopiec.

– Tak, to właśnie chciałem powiedzieć – potwierdził Smuga. – Należy dobrze poznać zwyczaje różnych zwierząt i to nie tylko tych drapieżnych, aby uniknąć groźących życiu sytuacji.

– Sądziłem, że niebezpieczeństwo może nam grozić jedynie ze strony drapieżników.

– Myliłeś się, bo na przykład podstępny i na pozór ociążały bawół afrykański często staje się o wiele groźniejszy od drapieżnego lwa – wyjaśnił Smuga. – Jeśli nie trafisz celnie za pierwszym strzałem i on umknie jedynie raniony, wtedy sam zaczyna iść śladami za myśliwym, a jego nieoczekiwany atak przeważnie kończy się śmiercią łowcy.

– Proszę, niech mi pan więcej opowie o różnych afrykańskich zwierzętach!

Tomek z zacięciem przysłuchiwał się wyjaśnieniom. Wkrótce zapomniał o walce z buszrendżerami. Dopiero tuż przed świtem oparł głowę na Dingo, z zaciśniętą dłonią na lufie sztucera zasnął, marząc o niezwykłych przygodach na Czarnym Łądzie.

Smuga z uśmiechem spoglądał na śpiącego chłopca. Przypomniały mu się jego młode lata, kiedy to głód przygód pchnął go do włóczki po świecie. Od tej pory tak się jakoś dziwnie składało, że gdzie się tylko pojawił, niebezpieczeństwa wyrastały jak grzyby po deszczu. Przywykł więc do nich i traktował je jak chleb powszedni. Łowienie dzikich zwierząt najbardziej odpowiadało jego naturze. Stanowczością i łagodnością ujarzmił najdziksze bestie. Chociaż był niezawodnym strzelcem, zabijał zwierzęta jedynie w przypadku ostatecznej konieczności. Smuga dojrzał żal w oczach Tomka po zastrzeleniu tygrysa na statku. Tym głównie zyskał chłopiec jego zaufanie i przyjaźń.

Wytrawny łowca wyczuwał w Tomku pasję poszukiwania przygody. Dowodem tego były przeżycia w czasie australijskiej wyprawy. Powątpiewał więc, czy Tomek zdoła dotrzymać przyrzeczenia, które złożył pod jego silnym naciskiem. Przecież chodziło jedynie o bezpieczeństwo Tomka. Uczestnicy ekspedycji uważali chłopca niemal za amulet przynoszący wszystkim szczęście. To on uratował Smugę, zabijając tygrysa, on nakłonił krajowców do wzięcia udziału w obławie na kangury i strusie emu, to Tomek odnalazł małą Sally zagubioną w buszu, a teraz wybawił poszukiwaczy złota od niechybnej śmierci. Za Tomkiem kroczyła przygoda w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Najtrafniej określił go Tony: Tomek miał wielkie serce i ono zjednywało mu wszędzie przyjaciół.

Chłopiec spał głębokim snem; Smuga przerwał swe rozmyślenia. Postanowił oszczędzić Tomkowi przykrego widoku rozrachunku z buszrendżerami, dlatego też zdecydował się pozostawić śpiącego chłopca w parowie pod opieką rannego młodego poszukiwacza złota i powrócić po niego już po odwiezieniu bandytów do najbliższego osiedla. Bezszelestnie powstał z ziemi. W jego wzroku nie było już łagodności.

– Tony! Tomek zasnął nareszcie – zawołał cicho. – Teraz możemy zająć się bandytami. Odstawimy ich do najbliższego osiedla.

Nie tracąc czasu rozwiązali buszrendżerów, polecając im sporządzić nosze z gałęzi, które były potrzebne do przeniesienia dwóch zabitych bandytów do osiedla. Wkrótce buszrendżerzy umieścili martwych towarzyszy na noszach. Pod eskortą Smugi, Tony'ego i starszego O'Donella wyruszyli do obozu łowców. Stamtąd mieli dalej udać się wozem.

NA GÓRZE KOŚCIUSZKI

Co pewien czas Tomek niecierpliwie spoglądał w kierunku pasma górskiego. Oczekiwał powrotu ojca z polowania na skalne kangury. Nie opuszczał obozu od chwili wyjazdu Smugi i Tony'ego. Dotrzymywał danego przyrzeczenia, skracając sobie czas doglądaniem zwierząt. W wolnych chwilach badał przez lornetkę pobliskie góry, aby wcześniej wypatrzeć powracających.

Dwa dni upłynęły od niebezpiecznej przygody z buszrendżerami. Smuga osobiście odwiózł ich do najbliższego osiedla, gdzie przypadkowo natrafił na patrol konnej policji. Przedstawiciele prawa spisali protokół stwierdzający śmierć Cartera, po czym pochowali obydwoh zabitych bez jakichkolwiek ceremonii. Pozostałych przy życiu bandytów zabrali zakutych w kajdany do miasta, nie było więc obawy, aby minęła ich zasłużona kara. Smuga po spełnieniu obowiązku powrócił do obozowiska poszukiwaczy złota. O'Donell pragnął jak najszybciej opuścić parów, lecz było to niemożliwe ze względu na syna. Smuga przywiózł podróżną apteczkę i pomógł w opatrzeniu rannego. Nie tracąc już więcej czasu odprowadził Tomka do obozu na polance, a sam powrócił do polujących na skalne kangury. Tony nie brał udziału w odwożeniu buszrendżerów do osiedla. Na polecenie Smugi miał odszukać w górach Wilmowskiego, by go powiadomić o tych niezwykłych wydarzeniach.

W ten sposób chłopiec znów pozostał w obozie z dwoma marynarzami i oczekiwał powrotu ojca. Cierpliwość jego była wystawiona na długą próbę. Polowanie przeciągało się; łowcy przebywali poza obozem sześć dni. Tomek pierwszy dojrzał powracających. Dosiadł pony i wyruszył im na spotkanie. Wkrótce mocno uściskał ojca. Ze skruszoną miną czekał na słuszną naganę. Tymczasem Wilmowski, poinformowany przez Smugę o przebiegu wydarzeń, nie miał zamiaru gniewać się na niego.

– Jak też czuje się twój ranny poszukiwacz złota? – zapytał po przywitaniu.

– Nie wiem, tatusiu, lecz mam nadzieję, że jest już zdrowszy – odparł Tomek ucieszony, że ojciec nie robi mu wyrzutów.

– Dlaczego nie odwiedziłeś go przez tyle dni?

– Hm, prawdę mówiąc, miałem ochotę to uczynić, ale przyrzekłem panu Smudze, że więcej nie będę opuszczał obozu bez twego zezwolenia. Wobec tego doglądałem zwierząt oczekując na wasz powrót.

– Wydaje mi się, że powinieneś zajrzeć do nich, aby dowiedzieć się, czy nie potrzebują naszej pomocy,

– Może udalibyśmy się tam razem? – zaproponował Tomek.

– Jestem przekonany, że oni pragną uniknąć wszelkiego rozgłosu. Lepiej sam wybierz się do nich i zapytaj, czy przypadkiem nie potrzebują czegoś od nas.

Tego dnia Tomek nie zdążył odwiedzić O'Donellów. Oglądanie złowionych przez towarzyszy zwierząt wypełniło mu czas do zachodu słońca. Oprócz małych, zwinnych

skalnych kangurów schwytali oni dwie jaszczurki płaszczowe[77]. Gady te, dochodzące do długości jednego metra, miały na głowie oraz szyi fałd skórny, do złudzenia przypominający duży kołnierz. Biegały na tylnych łapach jak kangury. Złowiono również kilka molochów[78], o ciałach okrytych kolczastymi wyrostkami skórnymi, węża-tygrysa, łusko-noga oraz parę ptaków zwanych zimorodkami olbrzymimi lub kookaburrami. Te ostatnie przypomniały Tomkowi O'Donellów. Przecież to kookaburra swoim denerwującym chichotem zdradziła wtedy poszukiwaczom złota jego obecność. Niestety, było już zbyt późno na wycieczkę do parowu. Tomek postanowił udać się tam następnego ranka. Miała to być jego pożegnalna wizyta u O'Donellów, ponieważ łowy na zwierzynę australijską dobiegały końca. W zamian za niedźwiadki koala oraz kilka skalnych kangurów Bentley zobowiązał się dostarczyć łowcom szereg gatunków ptaków australijskich, które w nadmiarze mnożyły się w ogrodzie zoologicznym w Melbourne.

Nazajutrz w godzinach przedpołudniowych Tomek osiodłał pony i razem z Dingo wyruszył do parowu. Bez przeszkód dotarł do skalnego bloku zagradzającego drogę, za którym znajdował się obóz poszukiwaczy złota. Przywiązał pony do drzewa, po czym wspiął się na skałę. Jednocześnie z Dingo wychylił głowę, spoglądając ciekawie za załom parowu. O'Donellowie siedzieli przy ognisku. Smażyli ryby złowione w strumieniu. Tomek zsunął się ze skały i podbiegł do nich.

– Oho, mamy miłego gościa! – zawołał starszy O'Donell na jego widok. – Myślałem, że pogniewałeś się na nas. Cieszę się mogąc pożegnać się z tobą przed wyjazdem z Australii.

– Przyjechałem dowiedzieć się, czy nie potrzebujecie od nas pomocy. Widzę, że syn pana czuje się znacznie lepiej – odparł Tomek.

– Rana goi się dobrze. Jutro wyruszamy do Sydney, skąd odpływają statki do Europy. Wracamy w rodzinne strony, do Irlandii. Dzięki tobie powrócimy tam zaopatrzeni w pieniądze konieczne do rozpoczęcia nowego życia.

– My również wkrótce opuścimy Australię – wyjaśnił Tomek. O'Donellowie okazwali mu swą wdzięczność na każdym kroku. Spożył z nimi śniadanie, a później czas szybko mijał im na rozmowie. Dopiero po dwóch godzinach Tomek zaczął zbierać się do powrotu do obozu. W czasie pożegnania stary O'Donell był bardzo wzruszony. Przytrzymał dłużej dłoń Tomka i powiedział:

– Przygotowałem dla ciebie skromną pamiątkę. Zaciekawi cię ona na pewno jako swego rodzaju osobliwość. Otóż w parowie tym znalazłem oryginalną glinę zmieniającą swój kolor po zanurzeniu w morskiej wodzie. Poznasz po jej ciężarze, że nie jest to zwykła ziemia.

O'Donell wygrzebał z plecaka kawał gliny wielkości pięści dorosłego mężczyzny. Owinął ją dokładnie w kraciastą chustkę.

– Przyrzeknij mi, że nie pokażesz jej nikomu do chwili zanurzenia w morskiej wodzie. Sprawisz tym sobie niespodziankę, a mnie wielką przyjemność. Dobrze? – poprosił O'Donell.

– Jeśli panu na tym zależy, to mogę obejrzeć ten podarunek dopiero na statku, gdzie będę, miał morskiej wody pod dostatkiem.

– Jestem przekonany, że taki dżentelmen jak ty zawsze dotrzymuje słowa.

Tomek z trudem tłumił wesołość. Jaki śmieszny był ten staruszek! Dlaczego mówił z taką powagą o bryle gliny? Nie miał zamiaru pozbawiać go przyjemności. Wziął więc zawiniątko i z trudem wepchnął je do kieszeni spodni.

– Nie zgub tylko – upominał O'Donell. – Sprawci ci ona nie lada niespodziankę.

– Bardzo dziękuję. Na pewno nie zgubię – przyrzekł Tomek, zegnając poszukiwaczy złota.

Ruszył w powrotną drogę. Ciężki kawał gliny zawadzał mu w kieszeni. Zaledwie przybył do obozu wrzucił zawiniątko do walizy i natychmiast o nim zapomniał.

Najbliższe dni łowcy spędzili bardzo pracowicie. Przygotowywali klatki dla zwierząt i gromadzili zapasy pożywienia. W końcu przygotowania do drogi zostały ukończone. Pewnego dnia o świcie zwinęli obóz i ruszyli na południe. Ze względu na dużą liczbę złowionych zwierząt mogli posuwać się naprzód bardzo powoli. Zatrzymywali się co pewien czas na dłuższe wypoczynki. Częste oczyszczanie klatek oraz gromadzenie żywności pochłaniało wiele czasu, lecz dbałość o higienę zwierząt przynosiła dobre wyniki. Czworonożni więźniowie czuli się w niewoli prawie znośnie. Niektóre zwierzęta zdążyły się już nawet zaprzyjaźnić z łowcami.

Nadchodził koniec listopada. Upał dawał się podróżnikom mocno we znaki. Wilmowski z niepokojem czekał na najgorętszy w Australii miesiąc lata, który miał rozpocząć się już za kilka dni. Nieliczne rzeczki napotymane u podnóża wzgórz wysychały coraz bardziej, trawa żółkła niemal w oczach, a ziemia twardniała i pękała z gorąca. Obawy Bentleya, że lato będzie suche, sprawdzały się w pełni.

W końcu, po nadzwyczaj męczącej jeździe, wyprawa dotarła do brzegu rzeki. Według Bentleya była ona jednym z dopływów Murrayu. O dwa dni jazdy w dół rzeki znajdowała się stacja kolejowa. Tym samym zaopatrzenie w wodę było już zabezpieczone. Ze względu na zmęczenie koni ciągnących wozy Wilmowski zarządził kilkudniowy postój. Rozbicie obozu i wyładunek klatek ze zwierzętami zajęły łowcom prawie całe popołudnie.

Tuż przed wieczorem Tomek postanowił wykąpać się w rzece. Zrzucił ubranie i razem z Dingo pławiał się w ciepłej wodzie. Brodzili przy brzegu. Naraz gniewne warknięcie psa zwróciło jego uwagę. Dingo wypatrzył jakieś dziwne zwierzątko i płynął teraz ku niemu z całych sił. Tomek pobiegł za nim. Ujrzał wynurzającą się z wody część grzbietu pokrytą sierścią i głowę zakończoną dziobem zupełnie podobnym do kaczego. Przypomniał sobie zaraz, że Smuga w drodze z Warszawy do Triestu opowiadał mu o podobnych zwierzątkach zamieszkujących Australię.

– Na pomoc! Dziobak! – krzyknął na wszelki wypadek, gdyż nie był pewny, czy nieznane zwierzątko nie zrobi mu krzywdy.

Zanim łowcy nadbiegli, dziobak dał nura przy samym brzegu, machnąwszy ogonem tuż przed pyskiem Dingo. Pies zniknął za nim pod wodą, lecz po chwili wypłynął głośno prychając.

– Co się stało? – zawołał z niepokojem Wilmowski, zatrzymując się na brzegu rzeki.

– Widziałem dziobaka! Dingo chciał go chwycić, ale schował mu się pod wodą przy samym brzegu – wyjaśnił Tomek podnieconym głosem.

– Jak wyglądało to zwierzę? – zapytał Bentley.

– Miało taki sam dziób jak kaczka.

– Możliwe, że był to dziobak. O zmroku zazwyczaj wychodzą z nor w poszukiwaniu pożywienia. Gdzie on się schował? – dopytywał się Bentley.

– Tutaj, przy samym brzegu.

– Pomocaj ręką, czy przypadkiem nie natrafisz na otwór prowadzący do jego nory – doradził Smuga.

Tomek zbliżył się do brzegu. Po chwili zawołał:

– Tak, tak! Jest jakaś dziura w ziemi!

– Niezła okazja! Czy nie uważacie, że warto by zapolować na dziobaki? – zagadnął Bentley.

– Nie słyszałem, aby nadawały się one do chowu w niewoli – zauważył Wilmowski. – W każdym razie żaden ogród zoologiczny nie może poszczycić się dotychczas takim żywym okazem.

– To prawda, że dziobaki bardzo źle znoszą niewolę. Nie znamy prawdopodobnie odpowiednich sposobów umożliwiających ich hodowlę. Jedynie krajowcy chwytają je dla ich mięsa i futerek, z których sporządzają sobie czapki – dodał Bentley.

– Byłby to nie lada sukces przewieźć żywego dziobaka do Europy – wtrącił Smuga.

– Spróbujmy, skoro nadarza się okazja – zdecydował Wilmowski.

– Wobec tego zaraz przyniosę odpowiedni sprzęt – powiedział Bentley.

Powrócił wkrótce z siecią przypominającą wyglądem długi rękaw przymocowany do drewnianej obręczy. Razem ze Smugą umocowali obręcz pod wodą przy otworze prowadzącym do nory. Założywszy sieć, łowcy powrócili do obozu.

Wieczorem przy ognisku Wilmowski omówił z Bentleyem warunki wymiany niektórych schwytanych zwierząt na ptaki australijskie, licznie reprezentowane w ogrodzie Towarzystwa Zoologicznego w Melbourne. Uzgodnili ostatecznie, że za kilka skalnych kangurów i dwa niedźwiadki koala Bentley, jako dyrektor ogrodu zoologicznego, dostarczy Wilmowskiemu okazy pierzastego świata Australii. Było to korzystne dla Wilmowskiego, umożliwiało mu bowiem znacznie wcześniejsze zakończenie łowów. Tym samym ostatnim etapem długiej wędrówki po Australii miało już być miasto Melbourne,

stolica stanu Wiktorja. Stosownie do umowy kapitan Mac Dougal powinien przybyć tam na „Aligatorze” w ciągu najbliższych dni.

Po dokonaniu zamiany oraz załadowaniu na statek zwierząt schwytanych w ciągu ostatnich tygodni wyprawa miała wyruszyć z Melbourne do Europy.

Łowcy musieli jakiś czas zatrzymać się w Melbourne, rodzinnym mieście Bentleya. Zoolog cieszył się z tego. Polubił swych nowych polskich przyjaciół i pragnął ich przedstawić swej matce. Podczas dalszej rozmowy wspomniał, że obecne ich obozowisko znajduje się w odległości zaledwie osiemdziesięciu kilometrów od Góry Kościuszki. Wilmowski, gdy tylko to usłyszał, zapytał natychmiast, ile czasu zajęłoby im wycieczka w Alpy Australijskie.

– Wydaje mi się, że pięć dni powinno wystarczyć na wyprawę na Górę Kościuszki – odparł Bentley. – Możemy sobie chyba na to pozwolić, gdyż i tak postój nasz, ze względu na zmęczenie zwierząt, musi potrwać około tygodnia.

– Och tak, tak! Musimy ujrzeć górę odkrytą przez Strzeleckiego – prosił Tomek.

– Warto wykorzystać okazję – poparł go bosman Nowicki.

– Uczymy chociaż w tak skromny sposób pamięć naszego zasłużonego rodaka – dodał Smuga.

– Tony zna dobrze najkrótszą drogę, to jego rodzinne strony – wyjaśnił Bentley.

– Nie ma się co zastanawiać. Jutro w południe wyruszamy na wycieczkę na Górę Kościuszki – zgodził się Wilmowski ku uciesze syna.

Zaraz też ułożyli się do snu, aby należycie wypocząć przed drogą. Zaledwie zajaśniał dzień, Tony zaczął pakować sprzęt obozowy, a Wilmowski, Smuga, Bentley i Tomek udali się nad rzekę, aby sprawdzić wynik łowów na dziobaki. Po wydobyciu sieci z wody ujrzeli w niej dwa dziwne zwierzątka porośnięte gęstą brązową sierścią. Każde z nich nie przekraczało długości sześćdziesięciu centymetrów łącznie z krótkim ogonkiem. Tomek stwierdził, że zamiast pysków miały one, tak jak już słyszał uprzednio od Smugi, szerokie, skórzaste dzioby podobne do kaczych, a palce ich bardzo krótkich nóg połączone były dobrze rozwiniętą błoną pływającą. Bentley wyjaśnił, że obserwacje życia, odżywiania się i rozmnażania dziobaków były dotychczas zupełnie jeszcze niewystarczające. Zaledwie przy końcu dziewiętnastego wieku stwierdzono, że dziobaki składają małe jaja w skorupie podobnej do jaj węzów. Młode, jak wszystkie ssaki, karmią się mlekiem matki, które wypływa z sutek na jej brzuchu.

– W jaki sposób będziemy przewozili dziobaki? – zapytał Tomek, przyglądając się oryginalnym zwierzątkom.

– Umieścimy je w koszach wymoszczonych rzeczonymi wodorostami – odparł ojciec. – Na „Aligatorze” urządzimy im mały basen z wodą.

– Nie miejcie zbyt wielkich nadziei na dowiezienie ich do Europy – odezwał się Bentley. – Na pewno zdechną, zanim ujrzą ogród zoologiczny.

– Może się nam poszczęści – wtrącił Tomek.

– Zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy, aby podróż jak najmniej dała się im we znaki – powiedział Wilmowski.

Powrócili z dziobakami do obozu i zajęli się przygotowaniem dla nich odpowiedniego pomieszczenia. Około południa gotowi byli do wyprawy na Górę Kościuszki. Aż do zachodu słońca jechali prosto na wschód. Następnego dnia o świcie ruszyli w dalszą drogę. Upał stawał się coraz dotkliwszy. Odetchnęli z ulgą, gdy około południa poczuli ożywczy, chłodny wiatr, wiejący od pobliskiego już, wysokiego łańcucha górskiego. Wkrótce wjechali w dolinę wijącą się między łagodnymi wzgórzami. Tony znał doskonale okolicę i bez wahania wybierał coraz to dziksze, kręte ścieżki. Po kilku godzinach drogi dotarli do dosyć rozległej, głębokiej kotliny otoczonej wysokimi szczytami. Tony zatrzymał konia nad brzegiem wartko płynącego strumienia.

– Ależ to niespodzianka! W górach Australii śnieg pada w lecie – zdziwił się Tomek spoglądając na ubielone szczyty.

– Byłem pewny, że widok śniegu w tym gorącym kraju sprawi wam nie mniejszą przyjemność niż Góra Kościuszki – powiedział Bentley. – W Alpach Australijskich śnieg pada od maja do listopada, co stanowi nie lada urozmaicenie dla mieszkańców wschodniego wybrzeża. Toteż Góra Kościuszki jest dla Australijczyków ulubionym miejscem wycieczek.

– Czy widać już stąd Górę Kościuszki? – zagadnął Tomek.

– Spójrz na znajdujący się przed nami ostry szczyt całkowicie pokryty śniegiem. To jest właśnie Góra Kościuszki – wyjaśnił Bentley.

Skalisty, pokryty wiecznym śniegiem szczyt dominował nad kilkoma innymi wzniesieniami masywu. Była to Góra Kościuszki odkryta i nazwana przez Strzeleckiego imieniem polskiego bohatera narodowego. Grupka Polaków w milczeniu spoglądała na zrab górski. Ze wzruszeniem uzmysławiali sobie, że to właśnie ich rodak odkrył te nieznane przed nim góry na australijskim kontynencie. Bentley musiał odgadnąć uczucia przeżywane przez swych towarzyszy. Oparł dłoń na ramieniu Tomka i odezwał się:

– Sześćdziesiąt dwa lata temu Strzelecki rozpoczął największą swoją wyprawę. Z doliny rzeki Murray dotarł z zachodu do Alp Australijskich. Kto wie, czy właśnie z tego miejsca, na którym stoimy, nie spoglądał wówczas na Górę Kościuszki? Z jednym tylko przewodnikiem odbył trudną i niebezpieczną wspinaczkę na najwyższy szczyt, niosąc przyrządy pomiarowe na własnych plecach.

– Dlaczego Strzelecki sam niósł przyrządy? – zapytał Tomek.

– Przed przybyciem Strzeleckiego koloniści nie znali tych okolic – wyjaśnił Bentley. – Nie było tu wtedy dróg ani ścieżek. Dzisiaj można dotrzeć końmi niemal na sam szczyt Góry Kościuszki[79], lecz kilkadziesiąt lat temu Strzelecki wspinał się w najtrudniejszych warunkach. Był przecież pierwszym białym człowiekiem, który dotknął stopą nieznaną gór. Wspinaczka nie była łatwa, tym bardziej, że sam niósł przyrządy, aby uchronić je

przed ewentualnym uszkodzeniem. Ten właśnie ostry szczyt wydał mu się najdogodniejszym miejscem do dokonania pomiarów. Przekonamy się sami, jak rozległy widok roztacza się z Góry Kościuszki.

Nasi podróżnicy zatrzymali się na nocleg na brzegu strumienia. Przy obozowym ognisku długo jeszcze rozmawiali o wybitnym polskim podróżniku, badaczu Nowej Południowej Walii. Późnym wieczorem, układając się do snu, otulili się szczelnie kocami, ponieważ noc była chłodna.

Wczesnym rankiem znowu dosiedli koni. Tony kluczył, aby dotrzeć do szczytu góry od wschodniej strony. Wreszcie odnalazł dość szeroką ścieżkę, po której konie mogły już iść bez trudu. Zaledwie kilkaset metrów od szczytu zsiadli z wierzchowców. Pozostawili je pod dozorem tropiciela. Bentley poprowadził Polaków na sam szczyt. Kiedy dotarli do ostatecznego celu, zatrzymali się zdumieni. Roztaczał się stąd wspaniały, niczym nie zmacony widok, obejmujący rozległą przestrzeń około osiemnastu tysięcy kilometrów kwadratowych. W dali na wschodzie, mimo odległości osiemdziesięciu kilometrów, widoczne było morskie wybrzeże. Bezpośrednio pod nimi ciągnęły się niższe pasma, kręte, przepaściste doliny rzeki Murray oraz jej dopływu Murrumbidgee.

– Więc to tutaj musiał zapewne Strzelecki rozmyślać o Kościuszcze, skoro ten szczyt nazwał jego imieniem – odezwał się Tomek do stojącego obok niego Bentleya.

– Dla ścisłości muszę ci coś wyjaśnić, Tomku – odparł Bentley. – Strzelecki nadał miano Góry Kościuszki temu sąsiedniemu szczytowi, uznając go za najwyższe wzniesienie Australii. Dopiero w kilkadziesiąt lat później zoolog austriacki Lendenfeld, badając te okolice i dysponując nowocześniejszymi przyrządami, stwierdził, że ten właśnie szczyt jest wyższy o kilka metrów od góry uznanej przez polskiego podróżnika za najwyższą. Największą więc górę nazwał na cześć austriackiego geodety Mount Townsend, a Górę Kościuszki przemianował na Mount Muller dla upamiętnienia niemieckiego przyrodnika. Mimo to mieszkańcy Australii, po stwierdzeniu słuszności pomiarów Lendenfelda, przenieśli nazwę Góry Kościuszki na najwyższy szczyt, a nazwę Mount Townsend nadali górze odkrytej uprzednio przez Strzeleckiego, właściwego odkrywcę tych gór. W ten sposób Australijczycy uszanowali intencję Polaka[80].

– No tak, szanowny panie! Takiemu Lendenfeldowi nie w smak było, że jakiś tam Polak odważył się uprzedzić Niemiaszków w odkryciu najwyższej góry w tym kraju – odezwał się ironicznie bosman Nowicki. – Dobrze to świadczy o Australijczykach, że nie zapomnieli, co uczynił dla nich nasz rodak.

– Zapomnieć o zasługach Strzeleckiego byłoby czarną niewdzięcznością – gorąco powiedział Bentley. – Pomijając już to, że wszystkie swe badania przeprowadzał własnym kosztem, narażał się on przecież dla dobra mieszkańców tego kraju, ryzykując wielokrotnie życie. Badanie Gór Błękitnych, które przez przeszło ćwierć wieku uniemożliwiały poznanie wnętrza kontynentu, było bodaj więcej niebezpieczne niż przebycie Alp Australijskich i przebijanie się później w kierunku Melbourne przez morderczy skrob.

– Nie wyobrażam sobie, aby w Górach Błękitnych mogło grozić tak odważnemu podróżnikowi jeszcze większe niebezpieczeństwo niż podczas tego okropnego przedzierania się przez skrob, o którym pan opowiadał nam w czasie polowania na dingo – powiedział Tomek z niedowierzaniem.

Bentley uśmiechnął się do czupurnego chłopca i wyjaśnił:

– A jednak tak było, drogi Tomku! Między poszczególnymi pasmami Gór Błękitnych leżą bezdenne rozpadliny, głębokie wąwozy i straszne przepaście, otoczone potężnymi skalnymi ścianami. Zejście do tych wąwozów jest nawet i dzisiaj pełne niebezpieczeństw. Dla poparcia mych słów powiem ci, że jeden z mierniczych australijskich, Dixon, chciał dotrzeć do góry Hay w Górach Błękitnych. W tym celu odważnie zagłębił się w dolinę rzeki Grose, która wówczas nie była jeszcze przez nikogo zbadana. Po czterodniowym błędzeniu po wąwozach z największym trudem, i to zupełnie przypadkowo, wydostał się ze zwodniczych labiryntów, wyczerpany do ostatnich granic wytrzymałości ludzkiej, nie docierając w ogóle do zamierzonego celu. Strzelecki znał straszne niebezpieczeństwo, na jakie naraził się Dixon, a mimo to bez wahania rozpoczął badania w dolinie rzeki Grose i dokonał tego, czego nie udało się osiągnąć dzielnemu mierniczemu. Wtedy właśnie omal nie stracił życia wraz z towarzyszącymi mu krajowcami. Już u stóp góry Hay zaskoczyła ich burza deszczowo-gradowa. Niewiele brakowało, żeby zamarзли na śmierć. Nawet zaprawieni w takich wędrówkach krajowcy stracili orientację i padali z wycieńczenia. Jedynie nieomylny podróżniczy instynkt Strzeleckiego wybawił ich wszystkich od śmierci. Strzelecki znalazł w najtragiczniejszej chwili wyjście z labiryntu. Kiedy zdawało się, że nic już nie uchroni ich od zamarznięcia, natrafili na osiedle samotnego hodowcy owiec.

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Strzelecki był nadzwyczaj odważnym i pełnym poświęcenia człowiekiem – odezwał się Wilmowski. – Uczcijmy teraz chwilą milczenia pamięć naszego zasłużonego rodaka.

Podróżnicy odkryli głowy. Stali w skupieniu na ośnieżonym skalnym szczycie. Dopiero po dłuższej chwili Wilmowski pierwszy nałożył kapelusz, po czym wolno ruszył ku ścieżce.

Reszta mężczyzn wraz z Tomkiem udała się za nim w dół zbocza.

Po krótkiej wędrówce odnaleźli Tony'ego pilnującego wierzchowców i jeszcze wieczorem dotarli do strumienia, przy którym, jak poprzedniego dnia, zatrzymali się na nocleg. O wschodzie słońca wyruszyli rażno w drogę powrotną do obozu, dokąd przybyli bez większych przeszkód.

TAJEMNICA STAREGO O'DONELLA

W obozie powitało łowców radosne szczekanie Dingo. Za ledwie Tomek zeskokczył z pony, pies już łasił się u jego nóg. Machając puszystym ogonem domagał się zadośćuczynienia za nudę w czasie rozłąki. Tomek nie zabrał swego ulubieńca na forsowną wycieczkę w góry. Uradowany teraz gorącym przyjęciem postanowił zabawić się z nim na brzegu strumienia. Zaraz też rozpoczęli wesołą gonitwę. Wkrótce Tomek rozgrzany bieganiami zrzucił ubranie i razem z psem wskoczył do wody. Dopiero po dwóch godzinach hasania, zmęczeniu, lecz zadowoleni z siebie, legli na ziemi w pobliżu zarośli. Tomek wyjął mały srebrny zegarek, który otrzymał na pamiątkę od wujostwa Karskich w dniu wyjazdu z Warszawy. Była dopiero trzecia po południu.

„Prześpię się trochę” postanowił, kładąc zegarek obok siebie na ubraniu.

Niebawem zasnął zmęczony. Po jakimś czasie zbudziło go gwałtowne ujadanie Dingo. Rozgniewany pies biegał opodal zarośli spoglądając w górę, szczekał bez przerwy. Tomek chciał sprawdzić, jak długo trwała jego drzemka, sięgnął po zegarek. Zdziwiony nie mógł znaleźć go tam, gdzie przed zaśnięciem położył. Przeszukał kieszenie, rozejrzał się po ziemi, lecz zegarek zniknął jak kamfora. Wtedy dopiero zwrócił uwagę na dziwne zachowanie Dingo.

„Na pewno ktoś podkradł się w czasie mego snu i zabrał zegarek – pomyślał Tomek. – Złodziej zapewne czmychnął w busz i dlatego Dingo tak się denerwuje.”

Zaniepokojony pobiegł do obozu. Po chwili powrócił z przyjaciółmi.

– Kto mógłby zabrać twój zegarek na tym pustkowiu – zastanawiał się Bentley, obserwując Dingo. – Nie ulega wątpliwości, że pies widział złodzieja. Dlaczego pozwolił mu odejść?

Tony nie tracił czasu na rozmowy. Lustrował ziemię, wypatrując tropów domniemanego sprawcy kradzieży.

Wkrótce przerwał poszukiwania mówiąc:

– Widzę tylko ślady chłopca i psa.

– Więc kto zabrał mój pamiątkowy zegarek? – denerwował się Tomek. – Przecież Dingo biega bez przerwy przy zaroślach. Tam też prawdopodobnie skrył się złodziej!

– Tomek dobrze mówi – potwierdził Tony. – Złodziej na pewno ukrył się w buszu.

– Tony, ktokolwiek zabrałby zegarek, musiałby pozostawić jakieś ślady na ziemi – powiedział Wilmowski. – Tymczasem, jak sam mówisz, poza Tomkiem i Dingo nie było tutaj nikogo.

– Gdyby złodziej chodził po ziemi, Dingo nie pozwoliłby zabrać zegarka – odparł tropiciel.

– Tony, czy podejrzewasz już kogoś? – dopytywał się Tomek podniecony słowami tropiciela.

– Myślę, że mały złodziej miał skrzydła i Dingo go widział – wyjaśnił Tony.

Łowcy zdziwieni spojrzeli na tropiciela, Bentley pierwszy zorientował się w sytuacji.

– Czy posądzasz o kradzież ptaki altanowe[81]? – zapytał.

– Tak właśnie myślę – odpowiedział Tony.

– Dingo naprawdę denerwuje się na widok ptaków – wtrącił Wilmowski. – Czyżby one mogły zabrać zegarek?

– Jest to bardzo prawdopodobne – rzekł Bentley. – Ptaki te budują w zaroślach małe ogródki z altankami, które przyozdabiają kwiatami, piórkami, muszelkami oraz wszelkimi błyskotkami. Tubylcy dobrze znają ich upodobania. Jeżeli zginie im jakikolwiek błyszczący przedmiot, przede wszystkim szukają go w pobliskich ogródkach ptaków altanowych.

– Zdaje mi się, że brak śladów oraz zachowanie się Dingo potwierdza przypuszczenie Tony'ego – wtrącił Smuga.

– To jest możliwe – dodał Bentley. – Ptak porwał zegarek i wzniósł się ponad zarośla. W ten sposób Dingo stracił ślad. Denerwuje się, że nie może ścigać złodzieja.

– Jeśli tak jest w rzeczywistości, to już nigdy nie odzyskam mego zegarka, do którego tak bardzo się przyzwyczailem – powiedział Tomek z żalem.

– Nie trać nadziei – pocieszył go Bentley. – Krajowcy australijscy potrafią tropić nawet ptaki i pszczoły w locie, a przecież Tony jest naprawdę mistrzem w swoim zawodzie. Obserwuj tylko jego zachowanie.

Tony stał wyprostowany, śledząc przez pewien czas czujnym wzrokiem ptaki fruujące nad zaroślami, po czym, spoglądając stale na nie, począł zagłębiać się powoli w niski busz. Szedł naprzód, przystawał, zbaczał, zawracał, aż w końcu pochylił się i znikł wśród krzewów. Dopiero po dłuższej chwili powrócił na polanę. Zaproponował łowcom, aby udali się za nim. Wilmowski mocno ujął Dingo za obrożę; wszyscy ruszyli za Tonym. Uszli nie więcej niż pięćdziesiąt kroków, bowiem tropiciel zatrzymał się przed dużą kępą krzewów. Ruchem ręki nakazał milczenie, pochylił się i rozsunał gałęzie. Tomek pośpiesznie zajrzał w głąb zieleni. W kolisku utworzonym przez krzewy znajdował się miniaturowy ogródek otoczony kilkucentymetrowej wysokości płótkiem uplecionym z gałązek i trawy. W ogródku tym, przy pięknie wygracowanych ścieżkach, stały budki-altanki o dwustronnych wejściach zbudowane z giętkich gałązek. Tak altanki, jak i ścieżki ozdobione były barwnymi piórami papug bądź kwiatami. W środku ogródka, otoczony kamykami, zbiałymi kostkami i piórami leżał srebrny zegarek. Gromada ptaków nieco większych od wróbli wesoło hasała po ścieżkach. Niektóre kryły się w altankach, jakby bawiły się w chowanego, inne urządzały gonitwy, napełniając ogródek głośnym świergotaniem.

– Widzisz, jak prędko Tony odnalazł twoją, zgubę – szepnął Bentley do Tomka.

Łowcy z zaciekawieniem obserwowali zabawę ptasich budowniczych oryginalnych ogrodów. Wreszcie Tony wyciągnął rękę w kierunku zegarka. Ptaki rozpięchły się z piskiem, trzepocząc skrzydłami. Tropiciel zwrócił chłopcu zegarek, po czym rozbawieni

przygodą powrócili do obozu. Jedynie Dingo był bardzo niezadowolony. Gniewnie spoglądał na wszelkie unoszące się w powietrzu ptaki.

Była to już ostatnia przygoda Tomka na lądzie. Trzeciego dnia po powrocie z Góry Kościuszki łowcy wyruszyli do najbliższej stacji kolejowej w miasteczku leżącym na pograniczu stanów – Nowej Południowej Walii i Wiktorii. Tam też załadowali klatki ze zwierzętami do pociągu odchodzącego do Melbourne, odległego o około trzysta kilometrów.

Pociąg przejeżdżał przez tereny pokryte buszem, mijał gospodarstwa hodowlane, lecz Tomka nie ciekawiły teraz widoki roztaczające się z okna wagonu. Siedział w kącie przedziału i rozmyślał z żalem, że oto skończyły się już emocjonujące przygody łowieckie. W Port Phillip, przystani morskiej odległej o kilka kilometrów od śródmieścia Melbourne, oczekiwał na nich „Aligator” przygotowany do wyruszenia w morze. Po powrocie do Europy Tomek miał rozpocząć w Anglii dalszą naukę. Oznaczało to dla niego nową rozłąkę z ojcem oraz życzliwymi, starszymi przyjaciółmi.

Obdarzony był jednak zbyt wesołym usposobieniem, aby mógł smucić się przez długi czas. Wkrótce przypomniał sobie, że osamotnienie jego nie potrwa długo. Najprawdopodobniej w następnym roku wyruszą na wyprawę do Afryki. Smuga z pewnością dotrzyma przyrzeczenia i wyjedna, że i on będzie mógł pojechać. Na samo wspomnienie nowych przygód twarz Tomka wypogodziła się; w jak najlepszym nastroju wysiadł z pociągu na dworcu w Melbourne.

Bentley, Tony, Smuga i Tomek zajęli się wyładowaniem klatek ze zwierzętami przeznaczonymi do wymiany w ogrodzie Towarzystwa Zoologicznego. Natomiast Wilmowski z pozostałymi uczestnikami wyprawy udał się dalej tym samym pociągiem aż do nabrzeża Port Phillip, ponieważ przywiezione zwierzęta należało jak najszybciej umieścić na statku. Wilmowski, jako kierownik wyprawy, musiał również sprawdzić, czy kapitan Mac Dougal wypełnił właściwie wszystkie polecenia. Przede wszystkim chodziło o odpowiednie rozmieszczenie zwierząt na „Aligatorze” i zaopatrzenie ich w dostateczną ilość żywności na długą podróż morską. Dopiero następnego ranka Wilmowski miał powrócić do śródmieścia Melbourne w celu dokonania wymiany w ogrodzie zoologicznym.

Jeszcze przed przybyciem do Melbourne Bentley nalegał, aby łowcy rozgościli się w jego domu. Nie chcąc sprawiać mu kłopotu, nie skorzystali z propozycji. Wobec tego Bentley polecił im wygodny hotel na ulicy Bourke, gdzie Smuga i Tomek mieli oczekiwać na przybycie Wilmowskiego.

Po południu obydwaj odświeżeni i przebrani po podróży wyszli rozejrzeć się po mieście. Ulica Bourke była zabudowana dwupiętrowymi domami z głębokimi podcieniami wychodzącymi na chodniki. W domach tych przeważnie mieściły się teatry, sale koncertowe, cyrki, restauracje i hotele. W porze popołudniowej ruch tu znacznie się ożywił. Był to okres popularnych w Australii wyścigów konnych, na które przybywało wielu farmerów, nawet z bardzo odległych okolic. Łatwo ich było rozpoznać w barwnym tłumie przechodniów po niezbyt modnych ubiorach.

Tomek i Smuga zatrzymali się u wylotu szerokiej ulicy, by przyjrzeć się białemu gmachowi Parlamentu oraz Pałacowi Wystawy Powszechnej[82] z jego olbrzymią kopułą dominującą nad miastem. Potem szybko minęli opustoszałą o tej porze dzielnicę handlową i zagłębili się w ulicę Little Bourke zamieszkiwaną przeważnie przez Chińczyków. Powiewające nad sklepami szyldy z niebieskiego materiału ze złotymi napisami chińskimi zachęcały do oglądania egzotycznych wystaw. Podobnie jak w Port Saidzie tak i teraz Tomek z upodobaniem zatrzymywał się przed sklepami.

Podczas wędrówki po mieście dwaj przyjaciele wstąpili do kawiarni na podwieczorek. Tomek skorzystał z wolnej chwili i napisał do Sally Allan list, w którym wspomniał o wycieczce na Górę Kościuszki oraz przesłał jej pozdrowienia Od siebie i Dingo. Po przyjemnie spędzonym dniu podróżnicy udali się na przedstawienie do cyrku, po czym powrócili do hotelu.

Następnego ranka Bentley przybył po nich jeszcze przed godziną dziewiątą, a wkrótce po nim zjawił się również Wilmowski. Oznajmił z zadowoleniem, że kapitan Mac Dougal wywiązał się doskonale z powierzonego zadania. Wszystkie zwierzęta przywiezione z Port Augusta czuły się zupełnie dobrze. Po uzupełnieniu zapasów odpowiedniego dla nich pożywienia, statek mógł bez przeszkód wyruszyć w powrotną drogę. Bentley natychmiast zaofiarował się ułatwić zaopatrzenie w prowiant.

Grupa Polaków razem z Bentleyem udała się powozem do ogrodu Towarzystwa Zoologicznego dla dokonania wymiany zwierząt. Podczas jazdy podróżnicy z podziwem przyglądali się pięknie zabudowanemu, rozległemu miastu, leżącemu na obydwóch brzegach rzeki Yarra. Handlowe oraz przemysłowe śródmieście było otoczone szerokim wieńcem wspaniałych ogrodów, za którymi rozciągały się również pełne zieleni przedmieścia. Tutaj wśród drzew bieleły wygodne domki mieszkańców miasta. Kierując się na północ minęli ogrody Carltona, przebyli skwer Lincolna i zagłębili się w Park Królewski. W parku tym, między wieloma atrakcjami, mieścił się ogród Towarzystwa Zoologicznego, którego zarządcą był Bentley. Zwierzyńiec udostępniano dla publiczności jedynie w ściśle określone dni. Z tego względu zwierzęta korzystały z dość dużej swobody. Niektóre z nich przebywały tam niemal całkowicie na wolności, nie zdradzając chęci ucieczki.

Tomek po raz pierwszy ujrzał ogród zoologiczny, można więc sobie wyobrazić, z jakim zaciekawieniem przyglądał się wszystkim zwierzętom. Największą radość sprawił mu widok słonia przywiezionego na „Aligatorze” z Cejlonu. Wspaniałe zwierzę przyzwyczało się już do nowych warunków bytowania, a ze względu na swą wielką łagodność stało się ulubieńcem najmłodszych mieszkańców miasta. Tomek twierdził, że słoń musiał go poznać, gdyż bez zachęty pomógł mu trąbą wspiąć się na swój grzbiet. Wilmowski wskazywał, które okazy ptaków chciałby otrzymać w zamian za skalne kangury i niedźwiadki koala. Bentley nie robił żadnych trudności, ponadto polecił obsłudze ogrodu dostarczyć ptaki w klatkach na statek.

Z ogrodu łowcy udali się do Muzeum Narodowego zaopatrzonego w bogate zbiory fauny z całego kontynentu. Tutaj Wilmowski i Smuga spędzili kilka godzin na oglądaniu

oryginalnych eksponatów. Oprawdzał ich dyrektor muzeum, który nie szczędził im swych rad w związku z organizowanym działem fauny australijskiej w ogrodzie zoologicznym w Europie.

Dopiero późno po południu wracali do hotelu. Ku ich zdziwieniu powóz zatrzymał się przed piękną willą otoczoną dużym ogrodem.

– Musicie mi panowie wybaczyć, lecz na prośbę matki dokonałem na was zamachu. Znajdujecie się przed moim domem. Dopiero nazajutrz wieczorem odzyskacie wolność. Nie możecie odmówić nam tej przyjemności- powiedział wesoło Bentley.

– To już moje drugie porwanie w Australii – zawołał Tomek.

Wśród ogólnej wesołości wysiedli z powozu, a gdy weszli do domu, zastali w salonie bosmana Nowickiego zajętego ożywioną rozmową z matką Bentleya.

Okazało się, że gościnny zoolog, odsyłając klatki z ptakami na statek, załączył zaproszenie dla bosmana, zapewniając go z góry o zgodzie kierownika wyprawy na opuszczenie „Aligatora”. W ten sposób wszyscy Polacy uczestniczący w wyprawie znaleźli się w domu Bentleyów.

Wieczór i następny dzień minęły nadzwyczaj szybko. Pani Bentley okazała się bardzo miłą i gościnną kobietą. Wypytywała rodaków o Warszawę, interesowała się przeżyciami Tomka w czasie wyprawy i nawet namawiała go usilnie, aby pozostał w Australii. Pożegnalny obiad był prawdziwą ucztą. Zaproszono na niego Tony'ego, który szczególną sympatią darzył „Małą Głowę”. Kiedy podróżnicy przygotowywali się już do powrotu na statek, Bentley ofiarował Tomkowi na pamiątkę prawdziwy bumerang, dzidę i tarczę.

– Ofiarowanie bumerangu przez Australijczyka ma u nas specjalne znaczenie – powiedział Bentley, wręczając piękny dar. – Ma to oznaczać: wróć do nas, Jak powraca bumerang. Będziesz zawsze naszym najmiłszym gościem.

Chłopiec wzruszony uściskał Bentleya i jego matkę, obiecując napisać do nich po przybyciu do Europy. Po serdecznym pożegnaniu łowcy udali się wprost na dworzec, gdzie wsiedli do pociągu, który dowiózł ich do Port Phillip.

Powrót na statek uradował Tomka do tego stopnia, że ojciec z trudem nakłonił go do udania się na spoczynek. Oczywiście Dingo zamieszkał z nim w jednej kabynie, gdyż chłopiec nie chciał rozstać się ze swym ulubieńcem. Zaledwie zajaśniał dzień, Tomek zerwał się z łóżka. Razem z Dingo rozpoczął wędrówkę po wszystkich zakamarkach statku, spędzając najwięcej

czasu w pomieszczeniach zwierząt. Z wyjątkiem dziobaków, które mimo największych starań załogi nie dojechały żywe do Europy, zwierzęta czuły się znośnie.

Mały kangurek oswoił się już z widokiem ludzi. Wychodził nawet z klatki, w której przebywał z wojowniczą matką i brał pożywienie z rąk obsługi. Tomek gorliwie pomagał w karmieniu zwierząt i dopiero basowy ryk syreny okrętowej wywabił go na pokład. Nadeszła chwila odjazdu. „Aligator” zwolniony z uwięzi wolno oddalał się od brzegu.

Zadudniły maszyny. Wkrótce statek wypłynął z zatoki w otwarte morze. Brzegi Australii roztopiały się w dali.

Tomek udał się teraz do kabiny, ponieważ po powrocie z wyprawy nie zdążył nawet rozpakować swych rzeczy. Przede wszystkim zawiesił nad łóżkiem, obok własnej broni palnej, otrzymane od Bentleya: dzidę, bumerang oraz tarczę. Następnie rozłożył na podłodze wyprawioną skórę tygrysa, po czym z zadowoleniem rozejrzał się po pokoju. Wydawało mu się, że gdyby Irka mogła przypadkowo znaleźć się w jego kabinie, to na pewno orzekłaby, iż „pachnie” w niej prawdziwą dżunglą.

Z kolei Tomek otworzył walizkę, aby umieścić swe ubrania w ściennej szafie. Na samym dnie walizy ujrzał, już zapomniany, dziwny dar starego O'Donella. Ciężki kawał gliny leżał owinięty w niezbyt świeżą kraciatą chustkę. Tomek uśmiechnął się biorąc do ręki zawiniątko. Zgodnie z przyrzeczeniem danym poszukiwaczowi złota mógł obecnie przekonać się o właściwości tej ciężkiej gliny.

„A to dziwak z pana O'Donella – pomyślał. – Na pewno spletał mi jakiegoś figla. Trzeba sprawdzić, na czym ów figiel polega”.

Wybiegł do łazienki po morską wodę, w której O'Donell polecił mu zanurzyć swój oryginalny dar. Powracając z kabiny z miską napełnioną do połowy zielonkawą wodą spotkał na korytarzu ojca i Smugę.

– Czy rozpakowałeś się już? – zapytał ojciec.

– Właśnie uporządkowałem moje rzeczy. Wstąpcie na chwilę do mnie, a zobaczycie coś zabawnego – odparł Tomek.

Weszli razem do kabiny. Dingo przywitał ich machnięciem ogona. Tomek postawił miskę na stole mówiąc:

– Pamiętasz, tatusiu, że po powrocie z polowania na skalne kangury poleciłeś mi udać się do obozu poszukiwaczy złota z zapytaniem, czy nie potrzebują naszej pomocy. Otóż podczas pożegnania starszy pan O'Donell wręczył mi dziwny upominek. Mianowicie był to kawał gliny znalezionej w parowie. Ma ona nabierać specjalnych właściwości po zanurzeniu w morskiej wodzie. Pan O'Donell polecił mi nie mówić nikomu o podarunku i prosił, abym go obejrzał dopiero na statku. Prawdę mówiąc, zapomniałem o nim. Dopiero teraz, podczas rozpakowywania bagażu, znalazłem bryłę gliny na dnie walizy. Na pewno pan O'Donell zażartował sobie ze mnie mówiąc, że ten upominek sprawi mi wielką niespodziankę. Mimo to przyniosłem zgodnie z jego poleceniem trochę morskiej wody i zaraz sprawdzimy, co miały znaczyć jego słowa.

Tomek rozsypał węzeł chustki i wrzucił nieforemny kawał gliny do wody. Po chwili pochylił się nad miską. Ojciec i Smuga zdziwieni opowiadaniem chłopca również pochylili się, aby lepiej widzieć.

– Ha, zaraz w parowie pomyślałem, że pan O'Donell zażartował ze mnie – odezwał się Tomek. – Glina nie zmienia wyglądu pod wpływem morskiej wody. Najlepiej zrobię wylewając za burtę wodę razem z tym śmiesznym darem.

– Poczekaj chwilę – zatrzymał go Smuga. – Może się myłę, lecz... Zanurzył rękę w wodzie i wyjął bryłę. Ważąc ją na dłoni jak na szali wagi, dodał:

– Za ciężka jak na ziemię...

Znów zanurzył dłonie w wodzie i zaczął rozgniatać glinę. Cienka, czerwona warstwa ziemi rozkruszyła się teraz. Po chwili podał Wilmowskiemu ciemnożółtą bryłę mówiąc:

– Oto niespodzianka zapowiedziana przez O'Donella.

– Do licha, przecież to wygląda jak bryła złota! – zawołał Wilmowski oglądając podarunek.

– Bo też jest to prawdziwy duży nugat – potwierdził Smuga. – Słyszałem, że kilkanaście lat temu znajdowano w Australii potężne bryły złota. No, Tomku, nie możemy powiedzieć, że O'Donellowie nie byli warci tego, co zrobiłeś dla nich. Podły człowiek nie zdobyłby się na taki królewski dar.

– Czy to naprawdę złoto? – nie dowierzał Tomek zdziwiony odkryciem Smugi.

– Nie ma wątpliwości Tomku. To jest prawdziwe złoto – odparł nie mniej zdziwiony ojciec. – Wydaje mi się, że jest to istotnie wspaniały dar.

– Co ja mam z tym zrobić? – zafrasował się chłopiec.

– Możesz sprzedać złoto, a otrzymane za nie pieniądze złożysz w banku. Będziesz miał do dyspozycji ładną sumkę, gdy podrośniesz – doradził ojciec.

Tomek zastanowił się przez chwilę, po czym zawołał z ożywieniem:

– Już wiem, co zrobimy ze złotem. Urządzimy za nie samodzielną wyprawę do Afryki.

Obydwaj mężczyźni spojrzeli na siebie zaskoczeni tym pomysłem.

– Co myślisz, Janie, o tej propozycji? – zagadnął Wilmowski.

– „Mała Głowa” nie jest pozbawiona rozsądku – odparł Smuga. – Warto zastanowić się nad tym projektem.

– Porozmawiamy na ten temat w odpowiednim czasie – powiedział Wilmowski.

– To wspaniale tatusiu, lecz nie chcę więcej widzieć złota, które przypomina mi to straszne wydarzenie w parowie – zawołał Tomek, a po chwili zastanowienia zapytał: – Tatusiu, pan Smuga zaprosił mnie na wyprawę do Afryki. Czy pozwolisz, abym pojechał z wami?

– Jeśli będziesz uczył się dobrze, to pojedziesz do Afryki – odparł ojciec. – Zaraz po powrocie do Europy odwiozę cię do szkoły. Mam nadzieję, że nadrobisz opóźnienie w nauce. Prędeż jak w maju przyszłego roku i tak nie będziemy mogli wyruszyć na nową wyprawę.

– Niektórych przedmiotów mogę uczyć się już teraz na statku – mówił Tomek z zapałem. – Na pewno nadrobię wszystkie zaległości.

Ojciec i Smuga z radością słuchali tych zapewnień. Wierzyli, że Tomek potrafi dotrzymać przyrzeczeń. Nie zawiedli się na nim. Już od następnego dnia ambitny chłopiec zamykał się w kabinie na kilka godzin dziennie, ślęcząc nad książkami, w które zaopatrzył go przewidujący ojciec. Wierny Dingo kładł się na skórze tygrysy i nie odrywał wzroku od swego pana.

Dni szybko mijały, a do Tomka uśmiechała się już nowa, tajemnicza przygoda.

Przypisy

[1] Rუსyfikować: wynaradawiać wychowując w duchu rosyjskim.

[2] W owym czasie ziemie polskie znajdowały się pod zaborem Prus, Rosji i Austrii.

[3] Monarchia Austro-Węgierska powstała na mocy porozumienia w 1867 roku. W skład jej weszły Austria i Węgry złączone wspólną osobą panującego. Triest należał do Austrii od 1813 do 1918 roku.

[4] Ssaki (Mammalia); ich podgromadę I stanowią stekowce (Monotremata), zaś podgromadę II torbacze (Marsupalia).

[5] Torbacze, poza Australią i sąsiednimi wyspami, żyją jeszcze obecnie w Ameryce Północnej i Południowej. Tam reprezentuje je zresztą jedna tylko rodzina, przy czym większość gatunków tej rodziny żyje w Ameryce Południowej. Są to dydetfy (Didelphyidae). zwierzęta nocne, prowadzące samotny, skryty tryb życia. Najlepiej znanym przedstawicielem tej rodziny jest północnoamerykański oposum (Didelphys irginiana).

[6] Ukąszenie muchy tse-tse zakażonej zarazkiem śpiączki powoduje u ludzi chorobę, przeważnie kończącą się śmiercią.

[7] Bumerang – zakrzywiony drewniany pocisk, używany przez australijskich krajowców jako broń. Przy odpowiedniej wprawie posługiwania się nią – bumerang, nie trafiwszy w cel, wraca do miejsca, skąd został wyrzucony.

[8] Wezuwiusz – stale czynny wulkan w południowych Włoszech nad Morzem Tyrreńskim, wysokość 1186 m.

[9] Smoluchami bosman nazywał palaczy kotłowych na statku.

[10] Port Said – miasto portowe w północno-wschodnim Egipcie, założone w 1860 roku przez budowniczego Kanału Sueskiego, Ferdynanda Lessepsa i nazwane przez niego na pamiątkę wicekróla Egiptu – Saída.

[11] Minaret – wysoka, smukła wieżyca meczetu (muzułmańskiej świątyni).

[12] Do roku 1958, to jest do chwili unarodowienia Kanału Sueskiego przez Egipt, zarząd nad eksploatacją Kanału .sprawowała w imieniu międzynarodowego towarzystwa Kompania Suez.

[13] Tamaryndowiec (Tamarindus) rodzi kwaśne w smaku owoce, które znalazły zastosowanie jako środek przeczyszczający.

[14] Dawid Livingstone – zasłużony badacz Afryki. Henry M. Stanley – dziennikarz i podróżnik

[15] Miasto Aden leży w południowo-zachodniej części Półwyspu Arabskiego. Wchodzi ono w skład brytyjskiej Kolonii Aden, obejmującej miasto Aden z portem Steamer Point (fonet. Stimer Point), miasteczko Othman oraz niewielkie obszary pustynne miasta Aden.

[16] Monsun – okresowy wiatr wiejący na Oceanie Indyjskim i w Południowej Azji.

[17] Wyspa Cejlon (o obszarze 65608 km²) leży na Oceanie Indyjskim u południowego wybrzeża Półwyspu Indyjskiego.

[18] tur (Boś primigenius) wymarł kompletnie kilkaset lat temu.

[19] Cejlon zamieszkują Syngalezi, Tamile i Hindusi.

[20] Baobab (*Adansortia digitata*) – drzewo z rodziny serecznikowatych.

[21] Linie poprowadzone w wyobraźni po powierzchni kuli ziemskiej i łączące oba bieguny nazywa się południkami. Równik zaś jest to koło poprowadzone przez środek południków, dzielące ziemię na dwie równe półkule: północną i południową. Obwód równika wynosi 40 070 368 m.

[22] Powierzchnia Australii wynosi 7,7 milionów km², co równa się 4/5 powierzchni Europy.

[23] Pustynie te znajdują się w zachodniej części kontynentu.

[24] Góry Australijskie, zwane również Kordylierami Australijskimi, ciągną się nieprzerwanym łukiem wzdłuż wschodnich wybrzeży Australii. Wśród płaskich stoliw na południu wyróżniają się Góry Błękitne i Alpy Australijskie z najwyższym szczytem kontynentu: Górą Kościuszki.

[25] James Cook (czytaj Dzems Kuk) – angielski żeglarz, jedna z najwybitniejszych postaci w historii odkryć geograficznych.

[26] Botany Bay (czytaj Boteny Bej) – Botaniczna Zatoka.

[27] Artur Phillip (czytaj Fylyp).

[28] W 1872 roku ukończono budowę linii telegraficznej o długości 3157 km, przecinającej kontynent z południa na północ.

[29] Edward Jan Eyre odkrył w 1840 r. wielkie jezioro w Centralnej Australii, które nazwano jego imieniem. Jezioro Eyre, największe z australijskich jezior, ma powierzchnie 7690 km² i zbiera wody z obszaru czterokrotnie większego od powierzchni Polski. Mimo to jezioro Eyre i rzeki do niego wpływające wysychają w okresie dużej suszy. Tak samo wysychają jeziora: Torrensa (5775 km²) Gairdner (4765 km²) i inne.

[30] Wiśniewski Sygurd urodził się w Paniowcach nad Zbruczem w 1841 r.; zmarł w Kołomyi w 1892 r. Zwiedził Bałkany, w 1860 r. brał udział w kampanii sycylijskiej pod wodzą Garibaldi, a potem przebywał dłuższy czas w Australii, gdzie między innymi pracował w kopalni złota. Przewędrował wschodnią część kontynentu australijskiego, Nową Zelandię, część wysp Oceanii i Antyle. Podczas następnych dwóch podróży przebywał w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Pod koniec życia powrócił do Polski; napisał i wydał w 1873 r. książkę pt. "Dziesięć lat w Australii".

Korzeliński Seweryn urodził się w 1804 r., a zmarł w 1876 r. Był oficerem w powstaniu listopadowym (1830-31) i brał udział w węgierskim powstaniu (1848-49) pod komendą

generała Dembińskiego; otrzymał rangę majora. Potem tułał się po Francji i Anglii, skąd z grupą emigrantów polskich wybrał się do Australii. Tam pracował w kopalni złota. Po czteroletnim pobycie w Australii powrócił do kraju. Od 1860 r. był dyrektorem Szkoły Rolniczej w Czernichowie pod Krakowem. W 1858 r. wydał dzieło: "Opis podróży do Australii i pobytu tamże od r. 1852 do 1856".

[31] Była to jedna z ekspedycji Landsborougha, który w r. 1861, na równi z wyprawami prowadzonymi przez Howitta, Walkera i Mc Kinlaya, poszukiwał zaginionej wyprawy Burkego i Willsa.

[32] Melbourne – rodzinne miasto Bentleya – leży w stanie Wiktorii.

[33] Bathurst – miasto w Nowej Południowej Walii.

[34] Funt – nazwa pieniądza obiegowego w Anglii.

[35] Karol Sturt dokonywał wypraw odkrywczych w latach 1829-1845. Jan Mc Douall Stuart brał udział w ekspedycjach od 1845 r. (to jest od ostatniej wyprawy Sturta, w której uczestniczył) do 1862 r. Zapadł na zdrowiu podczas przedzierania się przez tropikalną dżunglę na swej ostatniej wyprawie i już jako inwalida zmarł w cztery lata później w Londynie.

[36] Ludwik Leichhardt, młody niemiecki uczonek, odbył wyprawę z Brisbane na północ do Portu Essington nad Zatoką Van Diemena. Potem wyruszył na czele ekspedycji na zachód, zamierzając dotrzeć do miasta Perth, by w ten sposób przeciąć kontynent ze wschodu na zachód. Od tej pory słuch o nim zaginął. Okres jego wypraw to lata: 1844 do 1845.

[37] E. B. Kennedy – oficer angielski. Zginął z rąk krajowców w roku 1848.

[38] Scrub (po angielsku, fonetycznie skrob) – krzaczasta, kłująca gęstwina.

[39] Fonetycznie: Pik Overlend Telegref Stejszen.

[40] Johnny (fonetycznie Dżoni) po angielsku zdrobniale od John (Dżon) – Jan.

[41] Australijscy krajowcy potrafią odszukiwać miejsca, w których znajdują wodę na małych głębokościach. Zazwyczaj kopią tam doły i posługując się długimi słomkami, wysysają wilgoć.

[42] Ratitae.

[43] Struthio

[44] Rhea americana.

[45] Dromaeus

[46] Casuarius

[47] Dinornites

[48] Apteryges

[49] y sir – tak panie (po angielsku: czytaj: Aj syr).

[50] Polski podróżnik, odkrywca i badacz Paweł Edmund Strzelecki urodził się w Głuszynie pod Poznaniem 24 czerwca 1797 roku. W czasie dwunastoletniej wędrówki poznał niemal większość kontynentów świata. Badał Amerykę Północną i Południową, wiele wysp Pacyfiku, Nową Zelandię, skąd przybył do Tasmanii i Australii. W drodze powrotnej do Europy zwiedził Japonię, Chiny i Półwysep Malajski, Filipiny, Indonezję i Egipt. W samej Australii i Tasmanii przebył pieszo ponad czternaście tysięcy kilometrów. Wszystkie podróże odbywał na własny koszt. Strzelecki w Australii przebywał w latach 1839-1844. Przedmiotem jego szczegółowych badań była Nowa Południowa Walia. Jako geolog, Strzelecki stwierdził istnienie tam wielu ważnych dla rozwoju kraju minerałów, odkrył złoża złota i srebra. Na prośbę ówczesnego gubernatora Australii Gippsa, Strzelecki zachował w tajemnicy wiadomość o znalezieniu złota. Podczas podróży badawczych rodak nasz odkrył Alpy Australijskie, których najwyższe wzniesienie nazwał Górą Kościuszki. On pierwszy wskazał najbogatszą na kontynencie krainę i nazwał ją na cześć gubernatora – Gippslandem. Z Alp Australijskich przedarł się na południowy zachód do Port Phillip (dzisiejszego Melbourne), przechodząc z narażeniem życia przez tereny pokryte gęstym, ciernistym skrobem, które dotąd były uważane za nie do przebycia. Podczas badań kontynentu dokonał wielu różnych pomiarów; po powrocie do Europy wyniki swych podróży i badań opisał w dziele o Australii i Tasmanii (dzieło pt. "Physical Description of New South Wales and Van Diemen's Land" wydał w Londynie w 1845 roku – polski przekład tego dzieła ukazał się w Polsce drukiem po raz pierwszy w roku 1958 nakładem PWN). Za wybitne osiągnięcia naukowe w Australii oraz za ujawnienie istnienia złota, królowa Wielkiej Brytanii nadała Strzeleckiemu wysokie odznaczenie państwowe. Strzelecki zmarł w Londynie 6 października 1873 roku. Do dzisiaj istnieją w Australii nazwy polskie nadane przez Strzeleckiego: Góra Kościuszki oraz miasto i dystrykt Czarnogóra, przekręcone przez Anglików na "Tarngulla"; nazwa "Góry Adyny" nie przyjęła się. Na mapie zamieszczonej w niniejszej książce znajdzie Czytelnik nazwy miejscowości związane z imieniem Strzeleckiego, a nadane przez innych podróżników i geografów dla uczczenia ważnych odkryć Polaka.

[51] Miraż, w znaczeniu fatamorgana; zjawisko optyczne występujące przeważnie na pustyniach lub na obszarach o jednostajnym krajobrazie. Wskutek załamania i odbicia światła w warstwach powietrza o różnej gęstości mogą ukazywać się złudne obrazy przedmiotów czy pejzaży ukrytych za horyzontem.

[52] Zdrobnienie od Sara.

[53] *Melopsittacus undulatus*.

[54] *Lorinae*

[55] *Trichoglossus novae-hollandia*

[56] *Cacatuinae*

[57] Papugi zamieszkują wszystkie części świata z wyjątkiem Europy. Znamy ich przeszło 6000 gatunków, a wszystkie swym rozmieszczeniem związane są ściśle z lasem.

Szczególnie bogato są one reprezentowane w Ameryce i Australii oraz na sąsiednich wyspach; mniej licznie występują w Afryce i Azji południowej. Ogólnie odróżniamy dwie rodziny papug: szczerkino jęczyczne i gładko jęczyczne.

[58] Wallabi – nazwą tą obejmuje się szereg drobnych gatunków zwierząt zbliżonych do największych kangurów budową długich tylnych i króciutkich przednich kończyn.

[59] Pudding (angielski, fonetycznie puding), budyń – deser robiony z maki, mleka, jaj, cukru itd.

[60] Maorysi – Polinezyjczycy – Maori są pierwotnymi mieszkańcami Nowej Zelandii, składającej się z dwóch wielkich wysp.

[61] Kaha – (Nestor meridionalls) papuga nadrzewna.

[62] Kea – (Nestor notabilis) papuga naziemna.

[63] Buszrendzerzy – australijscy bandyci napadający podróżnych na gościńcach.

[64] Eukaliptus (rozdręb) – jednaj najbardziej charakterystycznych dla Australii roślin, którą znajduje się tam w około 360 odmianach.

[65] Sekwoja amerykańska osiąga wysokość 150 m.

[66] Pałanka australijska – zwierzątko futerkowe (*Pseudochirus peregrinus*) zamieszkuje południowo-wschodnią Australię.

[67] Kolczatka australijska (*Echidna aculeata*).

[68] Dziobak (*Ornithorhynchus anatinus*), zwany przez kolonistów australijskich "kaczo-kretem". jego niezwykła budowa długo budziła spory zoologów europejskich, w jakie miejsce świata zwierzęcego należy włączyć stekowce. Nie można było prześledzić trybu życia dziobaków, ponieważ w niewoli ginęły już po kilkunastu dniach. Dopiero w 1798 r. nie znany z nazwiska kolonista z Nowej Południowej Walii przesłał do Brytyjskiego Muzeum w Londynie całą skórę dziobaka z sierścią, ogonem i z najprawdziwszym dziobem kaczki. W cztery lata później nadesłano do Londynu nieżywe, całe okazy dziobaków, na których dokonał sekcji Everard Home. W ten sposób uwierzono wreszcie, że takie zwierzęta istniały naprawdę. W 1884 r. Wilhelm Haacke stwierdził, że kolczatka należąca do ssaków składa jaja, a niemal jednocześnie Australijczyk W. H. Caldwell stwierdził to samo odnośnie do dziobaków. Tak więc spór został ostatecznie rozstrzygnięty. Mimo że życie dziobaka ściśle uzależnione jest od wody, spędza on w niej w ciągu doby tylko około dwóch godzin, o świcie i zmierzchu, by zaopatrzyć się w pożywienie w błotnistym dnie rzeki. Do tej pory wysłano z Nowej Południowej Walii zaledwie siedem żywych okazów, i to wszystkie do Bronx ZOO w Nowym Jorku. Ostatni z nich zdechł w 1959 r. Prawdopodobnie próby adaptowania się dziobaków na innych kontynentach nie będą już powtarzane. Kolczatki natomiast można spotkać w kilku ogrodach zoologicznych w różnych krajach.

[69] Stekowce (Monotremata) – nazwa oznacza zwierzęta posiadające jeden otwór do wydzielania kału, moczu, nasienia i potomstwa, jak to jest u gadów i ptaków, a nie jak u

innych ssaków.

[70] Nową Gwineę zamieszkuje kolczatka czarnokolczasta (*Proechidna riigroaculeata*).

[71] Koala (*Phascolarctus cinereus*) należy do rodziny torbaczy.

[72] Szczury kangurowe (*Potoroina*) stanowią najmniejsze gatunki rodziny zwierząt workowatych skaczących.

[73] Wombaty (*Phascolomyidae*) należą do torbaczy. Znamy ich obecnie trzy gatunki, mało różniące się wyglądem i obyczajami. Wszystkie zamieszkują gęste lasy. Ich geograficzne rozmieszczenie: Tasmania i wyspy Cieśniny Bassa oraz południowa Australia.

[74] Lis workowaty (*Trichosurus vulpecula*) zwany również kuzu.

[75] Kookaburra – nazwa nadana przez krajowców największemu z zimorodków – łowcy olbrzymowi (*Dacelo gigas*). Ze względu na wydawany przez niego głos, przypominający gardłowy śmiech, zyskał sobie nazwę “Śmiejącego Jasia”.

[76] Pappa – brat w narzeczu krajowców.

[77] *Chlamydosaurus kingi* – żyje przeważnie na drzewach.

[78] *Moloch horridus*

[79] Wysokość Góry Kościuszki wynosi 2245 m.

[80] W 1939 roku Polacy osiedleni w Australii utworzyli komitet do przygotowania uroczystych obchodów z okazji setnej rocznicy odkrycia Góry Kościuszki przez Polaka Pawła Strzeleckiego w Alpach Australijskich. Do komitetu tego również przystąpił rząd Nowej Południowej Walii oraz szereg osobistości australijskich. 17 lutego 1940 roku podczas uroczystości centralnej na Górze Kościuszki, w obecności przedstawicieli rządu Nowej Południowej Walii, nastąpiło odsłonięcie pamiątkowej tablicy, ufundowanej ze składek młodzieży szkolnej. Tablica wykonana z brązu została umieszczona na granitowym cokole. Napis na tablicy w języku angielskim podaję w całości poniżej we własnym przekładzie polskim: Z Doliny Rzeki Murray Polski Badacz Paweł Edmund Strzelecki wspiął się na te Alpy Australijskie 15 lutego 1840. “Szczyt skalisty i nagi przewyższający kilka innych” wspominał Strzelecki “wywarł na mnie tak wielkie wrażenie przez podobieństwo do kopca wzniesionego w Krakowie nad grobem patrioty Kościuszki, że choć w obcym kraju, na obcej ziemi, lecz wśród wolnego ludu, który cenił wolność i jej atrybuty, nie mogłem powstrzymać się od nadania górze nazwy Góra Kościuszki.”

[81] Altanniki (*Ptilonorhynchus yiolaceus*) zamieszkują znaczną część Australii.

[82] Wystawa Powszechna odbyła się w Melbourne w 1880 r.